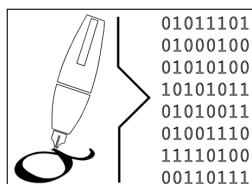


A.J. QUINNELL

PIEKŁO

Tłumaczyli: Jan Zakrzewski i Ewa Krasnodębska



Tytuł oryginału:

Message From Hell

Data wydania polskiego: 1998 r.

Data pierwszego wydania oryginalnego: 1996 r.

*Mormor
In memoriam*

*Dziękuję sierżantowi Mike'owi Allenowi
za oprowadzenie po niebezpiecznych miejscach.
Autor*

PROLOG

Mężczyzna był stary, a palce jego prawej dłoni, chude i kościste, przypominały raczej szpony. Trzymany w nich znaczek identyfikacyjny odbijał padające z okna światło.

— Znaczek identyfikacyjny.

— Wiem, co to jest.

— Nieśmiertelnik¹ amerykańskiego żołnierza.

— Powiedziałem: wiem. Mogę obejrzeć?

Szpony zwały się na blaszce, jakby chroniły bezcenny skarb.

— To mojego syna.

— Widziałem, jak umiera pański syn. Dostał serię z *Katasznikowa*.

— Sprawdzał pan, że nie żyje?

— Nie. Byliśmy pod ostrzałem. Wpadliśmy w zasadzkę i uciekaliśmy w popłochu. Widziałem, jak Jake oberwał. Seria z *Katasznikowa*, jak już powiedziałem. Leżał sto metrów od nas, nie było sposobu do niego wrócić. Ja też oberwałem i miałem wielkie szczęście, że mi się udało wydostać.

— Więc właściwie nie wie pan, czy Jake umarł?

Creasy zaprzeczył ruchem głowy.

— O tym wiedzieć mogą tylko ci, którzy do niego strzelali.

Siedzieli w kącie brukselskiego baru. Creasy wpadł tu, żeby wypić szklaneczkę z barmanem — starym przyjacielem. Nim zdołał posmakować drinka, pojawił się u jego boku ów starzec o sępich szponach i poprosił o rozmowę. Bar odwiedzali byli najemnicy, bądź ci, którzy ich udawali, oraz kandydaci na najemników.

— Czy mogę z panem porozmawiać na osobności? — spytał nalegająco stary człowiek.

¹Nieśmiertelnik — popularna nazwa znaku umożliwiającego identyfikację żołnierza na polu walki. W Armii USA nieśmiertelnik, zwany także psim numerkiem (dog tag) składa się z dwóch blaszek ze stali nierdzewnej w kształcie prostokąta o zaokrąglonych rogach, na których wytłoczone jest: nazwisko, grupa krwi i numer służbowy żołnierza. Blaszkę, połączone krótkim łańcuszkiem, nosi się na długim łańcuszku wokół szyi. Po śmierci żołnierza krótki łańcuszek rozpina się, dołączając jedną z blaszek do aktu zgonu lub zawiesza się ją na grobie, a druga pozostaje wraz z długim łańcuszkiem przy zwłokach (przyp. red.)

Creasy przyjrzał się uważnie pobrużdżonemu zmarszczkami obliczu, które wyrażało palący niepokój. Miał dobrą pamięć do twarzy, ale ta nie budziła żadnych skojarzeń. Było coś jednak w oczach tego człowieka, co skłoniło Creasy'ego do wskazania stolika w rogu. Usiedli naprzeciwko siebie. Wtedy właśnie starzec sięgnął do kieszeni, wyciągnął nieśmiertelnik i powiedział: — Jestem ojcem Jake'a Bentsena.

— Jak mnie pan znalazł? — spytał Creasy.

Starzec głęboko westchnął. — To nie było proste. Ale mój sąsiad ma kuzyna, który pracuje jako analityk w CIA w Langley. Kuzyn poszperał w archiwum i powiedział, że wciąż jest pan najemnikiem, i że można pana znaleźć w tym barze. Tydzień temu przyleciałem do Brukseli i codziennie tu na pana czekam. Pytałem barmana, ale nic się od niego nie dowiedziałem. Zamierzałem w poniedziałek wrócić do San Diego.

— Źle panu powiedziano. Już nie jestem najemnikiem, przynajmniej w znaczeniu profesjonalnym. Wpadłem do Brukseli przejazdem, odwiedzam starego przyjaciela. Jutro wyjeżdżam. Jak mnie pan poznał? Skąd pan wiedział, że to ja?

— Z opisu w jednym z listów Jake'a. Nie opuścił ani jednej blizny na pańskiej twarzy.

Creasy w zamyśleniu patrzył na starego człowieka.

— Niech mi pan pokaże tę blaszkę — powiedział.

Mężczyzna powoli rozwarł palce i obrócił dłoń. Nieśmiertelnik upadł na stół. Creasy długo patrzył na wytłoczone w metalu imię, nazwisko i numer służbowy.

Upił łyk ze szklanki i wreszcie spytał:

— Skąd pan to ma?

— Przed dwoma tygodniami dostarczono mi to do domu w San Diego.

— Kto dostarczył?

— Nie wiem, panie Creasy. To znaczy nie wiem, jak się nazywa i skąd przybywał. Usłyszałem dzwonek do drzwi. Otworzyła żona. Przed wejściem stał krępy Azjata. Podał jej paczuszkę i poszedł sobie.

— W tej paczuszce był tylko nieśmiertelnik czy coś jeszcze?

Kościste palce ponownie powędrowały do kieszeni i wyjęły z niej pognieciony kawałek brunatnego pakowego papieru. Creasy wygładził papier na stole i odczytał nabazgrane słowa. Tylko trzy słowa:

CREASY
W-NAM
K-BODŹA

Litery na skrawku papieru skreślone były w pośpiechu. Creasy podniósł wzrok na zniszczoną twarz starca.

— Panie Bentsen, to może być po prostu okrutny, chory żart. To zdarzało się już w przeszłości. Jake zginął dwadzieścia sześć lat temu na granicy wietnamsko-kambodżańskiej.

Mężczyzna intensywnie wpatrywał się w tabliczkę i skrawek papieru. — Pojechałem z tym do Waszyngtonu — powiedział, nie podnosząc głowy. — Do Biura MIA². Powiedzieli mi, że w ich przekonaniu nieśmiertelnik jest autentyczny. Ciało Jake'a nigdy nie znaleziono, jego blaszki także nie. Nie potrafili powiedzieć, czy na tym skrawku papieru jest pismo Jake'a. Zaniósłem go do grafologa wraz z jednym z listów Jake'a. Powiedział, że dostrzega wiele wspólnych cech.

Mężczyzna podniósł głowę, ale nie napotkał spojrzenia Creasy'ego, który, ze zmarszczonymi brwiami, wciąż wpatrywał się w blaszkę i papierek.

Starzec mówił dalej: — Jake często o panu pisał. Nie miał zbyt wielu idoli. W pewnym sensie Jake był sam dla siebie bohaterem. Ale na pana patrzył z zachwytem. Jak nigdy na nikogo innego. Miał dokładnie dwadzieścia jeden lat. Tak, zginął w swoje urodziny. Nigdy nie znaleziono jego ciała. Nikt nie wrócił, by go poszukać...

Creasy powoli podniósł głowę.

Sięgnął po blaszkę, podniósł ją i zacisnął w dłoni.

— A pan uważa, że nadszedł czas, by wrócić?

²Missing in Action — zaginieni w akcji (przyp. red.)

ROZDZIAŁ PIERWSZY

— Masz poczucie winy?

Creasy westchnął głęboko:

— Nie.

— Więc co? O co ci chodzi?

Creasy spojrział na przyjaciela po drugiej stronie stołu. Znali się dłużej, niż Creasy lubił sięgać pamięcią. Jako najemnicy uczestniczyli ramie przy ramieniu w dziesiątkach bitew na przestrzeni paru dziesiątków lat, póki Maxie się nie ożenił i nie kupił tego baru w Brukseli, gdzie osiadł, choć nazwać to można było tylko względnym ustatkowaniem się.

W barze siedzieli Maxie i Creasy, Duńczyk o nazwisku Jens Jensen i Francuz o okrągłej twarzy, zwany Sową.

Jensen był eks-naczelnikiem wydziału osób zaginionych kopenhaskiej policji. Sowa był eks-gangsterem i eks-ochroniarzem szefów marsylskiej mafii. Przed laty Creasy w trakcie pewnej operacji skontaktował Jensena i Sowę, którzy obecnie byli współwłaścicielami agencji detektywistycznej, specjalizującej się w odnajdywaniu wszystkiego, co może zagać. Mógł to być mąż lub żona, pies lub diament. Duńczyk Jensen zbliżał się do czterdziestki, miał lekką nadwagę, rzadniejące blond włosy, żonę nauczycielkę i malutką córkę. Poza swą rodziną i Sową był jeszcze przywiązany do notebooka IBM, zawsze znajdującego się w zasięgu ręki. W epoce, w której ludzie tylko rozprawiali o Infostradzie i Internecie, Jensen zdołał się już podłączyć do Internetu i żeglował własnym szlakiem.

Francuz był w połowie drogi między czterdziestką a pięćdziesiątką i skrzętnie ukrywał swój prawdziwy charakter za grubymi, okrągłymi szklami, z powodu których zasłużył na miano Sowy. W jego życiu tylko cztery osoby miały jakieś znaczenie: Creasy i rodzina Jensenów. Oprócz nich jeszcze tylko dwie rzeczy się liczyły: walkman Sony, wiecznie uwieszony u pasa i dostarczający jedynej rozrywki, której potrzebował: dźwięków wspaniałych dzieł wielkich mistrzów, których życiorysy i twórczość znał na pamięć i wśród których Mozart był bogiem; oraz ryglowany przez obrót lufy francuski pistolet *MAB PA15*. Trzymał go zawsze pod lewą pachą w kaburze z irchy i w razie potrzeby wyciągał z taką prędkością, i strzelał z taką precyzją, że zawstydzilyby wielu strzelców wyborowych.

Jensen i Sowa stanowili nieprawdopodobną parę, ale zżyta, zgraną i dopełniającą się. Jensen miał dar pakowania się w kłopoty, Sowa zaś dar wyciągania go z nich. Jensen był mózgiem, Sowa ściągał język spustowy.

* * *

Jensen i Sowa przyjechali do Brukseli w poszukiwaniu żony duńskiego przemysłowca. Znaleźli ją poprzedniego wieczoru w łóżku czarnego saksofonisty. Ponieważ była wyraźnie zadowolona z miejsca pobytu, Jens ograniczył się do odebrania jej pierścionka zaręczynowego z pięciokaratowym brylantem i grubej złotej obrączki, w celu oddania obu przedmiotów klientowi, do którego zadzwonił z wiadomością, że może już podejmować kroki rozwodowe. Jens i Sowa przed kilku laty uczestniczyli z Creasym i Maxie'em w paru przedsięwzięciach, nic więc dziwnego, że na ostatnią kolację w Brukseli wybrali się do baru Maxie'ego. Spotkanie Creasy'ego było miłym zaskoczeniem. Wraz z Maxie'em wysłuchali opowieści o rzekomo od dawna nieżyjącym żołnierzu i tajemniczym zwrocie nieśmiertelnika wraz ze skrawkiem pakowego papieru.

— Masz poczucie winy? — powtórzył pytanie Maxie.

— Wiesz, jak to jest — odparł Creasy. — Byłeś w podobnej sytuacji dziesiątki razy. Facet z twojego oddziału obrywa i instynkt od razu ci mówi: oberwał na dobre, czy może się wylize. Dziewięć razy na dziesięć instynkt podpowiada ci dobrze. Uciekałem z zasadzki, ale dobrze widziałem, jak chłopak dostał. Zakreślił się jak bąk i padł. Ja też oberwałem, ale niegroźnie.

— No więc, jeśli nie o poczucie winy chodzi, to o co?

Creasy wydawał się nieco poirytowany.

— Nie czuję się winny, ale myślę, że może powinniśmy byli wrócić, żeby się upewnić... Mnie tylko drasnęło, wystarczyło kilka szwów i jeden dzień w połowym szpitalu. Oczywiście od razu nie mogliśmy tam wrócić, ale po paru dniach, w większej sile...

Duńczyk małymi łydkami pił wino. — Dowodziłeś tym patrolem?

— Nie. To był patrol Sił Specjalnych. Wzięli mnie jako najemnika-ochotnika.

— Więc o co chodzi? To nie była twoja sprawa.

— Niby nie. Ale dowódca patrolu był kretynem. Może powinienem był zebrać paru chłopaków z oddziału najemników, iść tam i rozejrzeć się.

Maxie spojrział zdumiony na przyjaciela. — Co ty gadasz, Creasy? W takiej sytuacji nikt nie wraca pod ogień, żeby szukać prawie na pewno zabitego faceta. — Wskazała na leżącą na stole blaszkę. — Po dwudziestu sześciu latach ktoś to dostarcza z kawałkiem papieru. Ktoś chory umysłowo albo spryciarz, który zamierza

skubnąć ojca chłopaka na dużą forszę. Takie rzeczy już się zdarzały.

— Może masz rację.

Maxie wziął do ręki nieśmiertelnik i zaczął obracać go w palcach. — Co to był za chłopak?

Creasy chwilę się zastanawiał. — W porządku. Nieco inny. Zawsze okropnie się bał.

Maxie roześmiał się. — Co ty opowiadasz? Zawsze się bał? Wzięli go do Sił Specjalnych, w Wietnamie spędził ponad rok, a ty mówisz, że się zawsze bał?

— Tak. Był pewien, że tego po nim nie widać. Udawał twardziela. Odniosłem wrażenie, że już się urodził, robiąc w pieluszki ze strachu, a potem przez wszystkie lata swego życia usiłował sam siebie przekonać, że jest bohaterem. Stale za mną łąził. Jak pies. Gadał jak cholerny twardziel, a pod spodem widziałem przestraszonego chłopaczka. Właściwie to go polubiłem. Właśnie tak, jak można polubić wiernego psiaka. Kiedy robiło się gorąco, kazałem mu się trzymać blisko siebie, ale akurat tego dnia nasz durny dowódca patrolu wysłał go jako zwiadowcę. No i pierwszy oberwał.

Maxie przyjrzał się pokiereszowanej twarzy przyjaciela.

— Nie ma najmniejszego powodu do wyrzutów sumienia. Nawet nie byłeś w tym pieprzonym wojsku. Byłeś najemnikiem, jednym z wielu, o których nawet nie wolno było wspominać. Nie dowodziłeś. Za nic i za nikogo nie odpowiadałeś. Płacili ci dobrze, ale nie aż tak dobrze, byś ryzykował życiem i szedł szukać faceta, który w twoim przekonaniu już nie żył. Wracaj do siebie, na Gozo, opalaj się i zapomnij o całej sprawie.

Creasy ujął w palce świstek brązowego papieru. — Dzięki za radę, Maxie, ale Wietnam powrócił, powróciła Kambodża. W mojej świadomości. Chyba pojedę tam i porozglądam się za szczeniakiem.

Maxie spojrzał na Jensa i Sowę.

— Wygląda mi to na szukanie igły w stogu siana, a raczej na tysiącu hektarów pól ryżowych — powiedział Duńczyk. — Gdzie zamierzasz zacząć szukać?

Obracając w dłoni szklaneczkę z winem, Creasy odparł pytaniem: — Czy coś w tej chwili robicie, ty i Sowa?

— Nie mamy nic specjalnego — przyznał Jens. — Właśnie zamknęliśmy jedno zlecenie. Zamierzaliśmy troszkę odsapnąć.

Creasy odstawił szklanekę. — Mielibyście ochotę popracować ze mną?

Duńczyk i Francuz spojrzeli po sobie. — A co, tatuś tego faceta jest nadziany?

— Wątpię. Urzędnik na emeryturze. Chyba z niej żyje. Gdybyście się przyłączyli, to ja byłbym waszym klientem.

Creasy ponownie wszystkich zaskoczył.

— Będiesz za darmo szukał jego syna? — zapytał Maxie.

— Pytałeś, czy czuję się winny. Winny nie jestem, wiem o tym, ale jestem bardzo ciekawy. Chcę wiedzieć, skąd się wziął nieśmiertelnik i dlaczego. — Spojrzał

na Duńczyka. — Chcę wynająć ciebie i Sowę na jakieś dwa tygodnie. Ile bierzecie dziennie?

Nagle Sowa wydał z siebie przedziwny odgłos. Spojrzeli na niego z niepokojem, póki nie zdali sobie sprawy, że to śmiech. Sowa szybko się opanował i już poważnie oświadczył:

— Nigdy nie spodziewałem się podobnego pytania z twojej strony, Creasy. Przed trzema laty wdarłeś się w moje życie, to znaczy w to, co brałem za normalne życie, i przewróciłeś je do góry nogami. . . Nadałeś mi sens. Partnerstwo z Jensem po raz pierwszy pozwoliło mi mieć rodzinę. Tak, Jensowie są moją rodziną, i teraz masz czelność pytać mnie, ile wezmę, żeby ci oddać drobną przysługę?

— Gdyby nie ty, Creasy, nadal siedziałbym w zapyziałym biurze kopenhaskiej policji, grzebiąc w papierkach — wtrącił się Jens. — Zamknij więc buzię i przestań mówić o pieniądzach. Możesz tylko mówić, czego od nas oczekujesz.

Creasy spojrział na Maxie'ego, który pokiwał głową:

— Nie powinienesz obrażać starych przyjaciół, Creasy.

W oczach Creasy'ego na chwilę pojawił się ogień gniewu, ale zaraz zgasł. Rozsiadł się wygodniej. — Dzięki, Jens. Dzięki, Sowa. Oczywiście pokryje wszystkie koszty. A kto wie, czy nie urodzą się z tego jakieś pieniądze. Często tak bywa. Jeśli tak, to dzielimy na trzy.

— Umowa stoi. Teraz mów, czego ci potrzeba.

Creasy z pół minuty myślał, zanim odpowiedział: — Armia ma w Waszyngtonie Biuro MIA. Społeczeństwo amerykańskie jest niestęchanie wyczulone na los żołnierzy, którzy zaginęli podczas wojen poza granicami kraju. To problem, który wzbudza wiele emocji, często więc wykorzystują go politycy. W dalszym ciągu usiłuje się ustalić los zaginionych żołnierzy, albo ich szczątków, podczas wojny koreańskiej przed czterdziestu pięciu laty. Waszyngton stale odmawia dyplomatycznego uznania Wietnamu, póki nie jest załatwiona sprawa MIA. — Rzucił okiem na Duńczyka. — Poszukiwania zaginionych żołnierzy to właściwie to samo, w czym specjalizujecie się ty i Sowa. I dlatego przydałaby mi się wasza pomoc. Chciałbym, abyście polecili do Waszyngtonu i porozmawiali z ludźmi z MIA. Oczywiście Bentsen kontaktował się już z nimi natychmiast po otrzymaniu nieśmiertelnika. Powiedzieli mu, że jest autentyczny. Potrzebna mi jest wasza opinia na temat całej sprawy. Do tych facetów w biurze dociera mnóstwo informacji. Często są to spekulacje, których nie przekazuje się rodzinom zaginionych, by nie budzić złudnych nadziei. Dla mnie to mogą być cenne wskazówki. Ja w tym czasie pojedę do San Diego. Będziemy się posuwali krok po kroku. Trochę już rozpytywałem. Szefem Biura MIA jest pułkownik Elliot Friedman. Pogadajcie z nim.

Duńczyk schylił się i spomiędzy nóg wyciągnął na stół swojego notebooka. Po chwili wystukiwał kryptonim nowej operacji: ZAGINIONY SZCZENIAK.

ROZDZIAŁ DRUGI

Wniosek był logiczny: znaleźć posłańca, by przez niego dotrzeć do nadawcy. Ale gdzie rozpocząć poszukiwania? Oczywiście tam, gdzie posłaniec dostarczył przesyłkę.

Creasy siedział w przeładowanym meblami saloniku domu w San Diego i sączył Budweisera. Naprzeciwko niego siedziała para starych ludzi. Pili kawę, a ich twarze wyrażały zakłopotanie i niepokój.

— Mamy pewne oszczędności, panie Creasy, no i emerytury — zaczęła kobieta. — Możemy panu coś zapłacić. . .

Creasy zupełnie świadomie był brutalny: — Pani Bentsen, normalnie za takie zlecenie wzięlibyśmy z góry sto tysięcy dolarów i o wiele więcej na koszty operacji. Ale sytuacja nie jest normalna. Mam zamiar poświęcić dwa tygodnie w celu zaspokojenia własnej ciekawości. Tak się składa, że po ostatnich dwóch operacjach nie mam problemów finansowych. Od państwa oczekuję nie pieniędzy, lecz informacji. Macie pogrzebać w pamięci, wydobyć z niej wszystkie szczegóły i dokładnie opisać mi człowieka, który wam dostarczył znaczek identyfikacyjny syna.

Marina Bentsen miała twarz wychudłą, wąską, ale oczy żywe, spojrzenie inteligentne.

— Azjata — zaczęła mówić w pełnym skupieniu. — Co do tego nie ma wątpliwości. W San Diego jest kilka azjatyckich skupisk. Spora kolonia chińska, japońska, koreańska, no i oczywiście wietnamska. Trudno ich rozróżnić. Nie tylko trudno rozpoznać narodowość, ale i wiek. Ten człowiek nie był młody. Powiedziałabym, że między pięćdziesiątką a sześćdziesiątką. . . Nie miał pomarszczonej twarzy. Włosy oczywiście czarne, i raczej krótkie, przedziałek pośrodku. Oczy małe i bardzo ciemne. Nos nieco haczykowaty. I bardzo wąski podbródek. Miał na sobie ciemnoniebieskie spodnie i jasnoniebieską wiatrówkę. Tenisówki. Kiedy odchodził, zauważyłam, że lekko utyka.

— Na którą nogę?

— Wolał się wspierać na lewej.

— Jest pani bardzo spostrzegawcza, pani Bentsen.

Po raz pierwszy wąskie usta na wychudłej twarzy drgnęły w leciutkim uśmiechu. — To chyba dlatego, że maluję. . .

— Pani jest malarką?

Wskazała ściany saloniku. Creasy zaczął przyglądać się obrazom. Pięć krajo-
brazów i jeden portret młodego mężczyzny. Creasy rozpoznał Jake'a Bentsena. —
Bardzo dobre obrazy, a podobieństwo do syna uderzające.

— Rozpoznał go pan? — zapytała pełnym smutku głosem.

— Tak. Ale potrzebne mi będą fotografie, które powiększę.

— Mamy ich dużo. Zrobiliśmy już powiększenia i sporo odbitek dla Biura
MIA. — Ojciec Jake'a podszedł do biurka, otworzył szufladę i wyjął dużą kopertę.

Creasy obejrzał z dziesięć powiększeń, dwadzieścia na dwadzieścia pięć
i z aprobatą skinął głową. — Czy potrafiłaby pani narysować z pamięci posłańca?

Leciutko się uśmiechnęła. — Zrobiłam to tego samego wieczoru, kiedy tu był.

Mąż, który już wracał na swój fotel, zawrócił do biurka i po chwili podał
Creasy'emu rulon w elastycznej opasce.

Po rozwinięciu go, Creasy ujrzał wyrazisty szkic węglem. Twarz wydawała
się żywa, a ponad wydatnymi kośćmi policzkowymi gorzały małe czarne oczy.
Para starszych ludzi przyglądała się Creasy'emu, który ze skupieniem studiował
portret.

— Czy jest pani pewna podobieństwa? — spytał wreszcie.

— Absolutnie. Ta twarz wyrzyła się w mojej pamięci. Pracowałam nad tym
przez pół nocy. Zaręczam panu, że to twarz posłańca.

Creasy powrócił do kontemplacji portretu.

— Czy to panu pomoże? — spytał mężczyzna.

— Ja znam tego człowieka, panie Bentsen — odparł cicho Creasy.

Zapadła cisza, którą przerwała Marina Bentsen wykrzykując podniecona: —
A więc to panu pomoże!

— Tak i nie — odparł Creasy.

— Nie rozumiem?

Creasy postukał palcem w portret.

— Podobnie jak wasz syn, ten człowiek nie powinien już żyć.

— Skąd może pan być pewien? — spytał mężczyzna.

— Bo ja go zabiłem.

ROZDZIAŁ TRZECI

Po wyjściu Creasy'ego Bentsenowie przez wiele minut siedzieli w milczeniu. Wreszcie kobieta wstała i podeszła do biurka w rogu. Wróciła na swoje miejsce, niosąc pudełko od butów. Postawiła je na stole, otworzyła i wyjęła pakiet kopert przewiązanych żółtą wstążeczką. Wiedziała dokładnie, o który list jej chodzi. Przekartkowała pakiet i wyjęła właściwą kopertę. Kartki papieru zaszeleściły. Mąż czekał cierpliwie, aż żona znajdzie odpowiedni akapit.

Moja jednostka wykonuje PDZ (patrole dalekiego zasięgu) na terytorium Wietkongu — zaczęła czytać. — Taki patrol może trwać wiele dni, albo nawet i tygodni. Zupełnie inaczej niż w tych jednostkach, które udają się na czterdziestoosmiodzinny spacer i dostają gorące śniadanka dowożone przez helikoptery. Mamy niebezpieczne zadania, ale zbytnio się nie martwicie. Jesteśmy elitarną jednostką. Dobrze wiemy, co i jak robić. Głównym naszym zadaniem jest rozpoznanie, czasami jednak natrafiamy na przeciwnika. Wymiana ognia jest wtedy krótka i ostra. Dotychczas jesteśmy górą, chociaż mieliśmy paru rannych. Do naszej jednostki przydzielono kilku „nieoficjalnych”. Tak nazywa się najemników. Nie wolno mi mówić, skąd oni są, ale jedno mogę powiedzieć: brali udział w wielu wojnach i przy nich jesteśmy żółtodziobami. Ale uczyliśmy się szybko.

Kobieta westchnęła i czytała dalej:

Zaprzyjaźniłem się trochę z jednym z tych nieoficjalnych. Może to za wielkie słowo „zaprzyjaźniłem”. Zbliżyliśmy się. Wydaje mi się, że on w ogóle nie ma przyjaciół. Krążą na jego temat różne plotki. Podobno był we francuskiej Legii Cudzoziemskiej i bił się wszędzie, gdzie było można. Ma okropnie pokiereszowaną twarz. Opowiadają, że brał udział w wojnach w Biafrze i w Kongo. Ale jak go o coś spytać, to wzrusza ramionami i mówi, że nie pamięta. Ja jestem tutaj najmłodszy w naszej jednostce i niektórzy z moich kolegów dają mi to odczuć. Czasami w bardzo przykry sposób. Ale nie on. On traktuje

mnie serio. Czasami uczy mnie różnych sztuczek w terenie, sposobu używania broni i różnych innych rzeczy. Wie o wiele więcej niż wszyscy nasi podoficerowie i porucznik. I kiedy od czasu do czasu udziela rady, to należy jej słuchać. Jeśli mamy jakieś potyczki, to staram się trzymać blisko niego. To chyba naturalne. I tak mi się coś wydaje, że on wie o tym. Nie mam nic konkretnego na poparcie takiego wrażenia. Podpowiada mi to intuicja. Chciałbym być jego prawdziwym przyjacielem. Nazywa się Creasy.

Kobieta złożyła list i schowała z powrotem do koperty. Z pakietu wyjęła inną kopertę, z niej list i znowu zaczęła na głos czytać:

Właśnie wróciliśmy z kolejnego PDZ z miejsc położonych daleko na Północy. Nigdy sobie nie wyobrażałem, że można tak się zmęczyć. Zupełnie opadłem z sił. Szedłem chyba tylko dlatego, że szli inni. Może taki jest właśnie mechanizm. Wszyscy patrzą na wszystkich, czyhają na pierwszego, który się załamie, żeby mieć wymówkę. Tym razem nie mieliśmy kontaktu z „Charlie'em” (już wiecie, że tak nazywa się tych z Wietkongu), ale wydarzyło się coś bardzo interesującego. Otrzymaliśmy zadanie rozpoznania pewnej doliny i znajdującej się tam wioski. Weszliśmy do wioski o świcie i zabraliśmy ich wójta na przesłuchanie. To jest brudna wojna, sami dobrze o tym wiecie, i nie zaskoczy was, jeśli powiem, że przesłuchania bywają brutalne. Dobrzy faceci, to znaczy my, nigdy takich rzeczy nie robią. Zawsze towarzyszy nam paru żołnierzy z armii południowowietnamskiej, żeby tłumaczyć i wykonywać tę brudną robotę. Ale tym razem okazało się, że ten wójt był wykształcony i mówił po francusku. Nasz porucznik jakoby zna francuski, ale chyba słabiutko, bo wójt prawie nic nie rozumiał. Porucznik się wściekał i kazał naszym Wietnamcom przepytwać wójta. Ale Creasy ich powstrzymał i odbył z wójtem długą rozmowę po francusku. Tak, ten Creasy chyba był legionistą. Rozmowa dobrze im szła. Wójt uśmiechał się, a potem to nawet głośno się śmiał. Creasy powiedział porucznikowi, że wie już wszystko, co trzeba. Jeszcze kilka słów zamienił z wójtem i potem pobił go do krwi. Strasznie go pobił. Nie połamał mu żadnych kości, ale wójt spływał krwią. Nie mogliśmy zrozumieć, dlaczego to zrobił. Nawet porucznik był zaskoczony. Przecież wójt z nami współpracował. Większość naszych doszła do wniosku, że Creasy jest po prostu sadystą i chciał się zabawić. Nie mogłem w to uwierzyć. Tego wieczoru po kolacji poszedłem do Creasy'ego i zapytałem, dlaczego to zrobił. Odpowiedział mi, żebym raz skorzystał z szarych komórek i zastanowił się.

Myślałem przez parę dni i wreszcie wymyśliłem. Już wiedziałem, o co chodziło Creasy'emu. Znajdowaliśmy się głęboko na zapleczu wroga. Nie było wątpliwości, że kiedy następnym razem jakaś jednostka Wietkongu trafi do tej wioski, to się dowie, że tam byliśmy i zacznie przepytawać wójta. Jeśli byłby zdrowy i cały, wzbudziłoby to ich podejrzenia. I podejrzenia byłyby jeszcze większe, gdyby został tylko powierzchownie pobity. W tym wszystkim najdziwniejsze jest to, że Creasy nie ujawnił powodów swego zachowania ani mnie, ani nikomu innemu. Creasy jest dziwny. Żyje własnym wewnętrznym życiem.

I ten trzeci list powędrował z powrotem do koperty. Kobieta wybrała z pakietu następny, a zarazem ostatni list pełen zachwyty. Jake ukończył właśnie sześciotygodniowy kurs saperski. Wiedział teraz świetnie, jak się kładzie miny i jak się je rozbraja. Ta nowa specjalność, uzupełniająca zdobyte poprzednio, przyniosła mu awans na „specjalistę pierwszej klasy”. Kobieta pamiętała, jak oboje z ojcem byli dumni, gdy otrzymali ten list — jakby Jake dostał promocję z wyróżnieniem na Harvardzie.

Ale po trzech tygodniach przyszło pismo z Pentagonu. Z MIA. Nastąpiły miesiące wyczekiwania i modlitw, nadziei, że nadejdzie wiadomość, iż syn żyje, choć jest w niewoli. Dwadzieścia sześć lat oczekiwania.

Mężczyzna wstał, z rąk żony delikatnie wyjął pudełko po butach, zaniósł je do biurka, schował do szuflady i zamknął ją na kluczyk.

ROZDZIAŁ CZWARTY

— Pieprzone komputery!

Pułkownik Elliot Friedman rozejrzał się po obszernym gabinecie i powiedział do Duńczyka: — Od trzydziestu lat pracuję w tym biurze. Pamiętam, kiedy po raz pierwszy pojawiły się te burzące stary porządek szczeniaki z tymi swoimi komputerami. Powiedzieli, że dość, koniec z papierkami. Bzdura! Mimo tych wszystkich maszyn mamy teraz więcej papierków niż przedtem. Więcej ich wytwarzamy. Wie pan dlaczego?

— Nie wiem, ale domyślam się — odparł Jensen. — Przez lata pracowałem w wydziale osób zaginionych duńskiej policji. Mieliśmy komputery i, oczywiście, drukarki, które pracowały na okrągło. Przypomina mi się anegdota z ubiegłego stulecia, kiedy to Bismarck dowiedział się, że niemiecka biurokracja ma dwa wielkie magazyny pełne bezużytecznych dokumentów. Poleciał spalić wszystko, co zbędne. Po dwóch latach przypomniał sobie to polecenie i kazał swemu szefowi sztabu sprawdzić jego wykonanie. Szef sztabu zameldował, że spalono tylko dziesięć procent niepotrzebnych papierów. „Dlaczego tak mało?” — zapytał Bismarck. „Urzędnicy powiedzieli mi, że potrzeba jeszcze wielu lat, by sporządzić kopie dokumentów, które mają być spalone” — otrzymał odpowiedź.

Pułkownik po raz pierwszy się uśmiechnął. Miał pracę nie do pozazdroszczenia. Budynek mieścił dziesiątki tysięcy akt dotyczących zaginionych żołnierzy — począwszy od pierwszej wojny światowej. Oczywiście teraz tylko zaginieni podczas wojen koreańskiej i wietnamskiej wywoływali jeszcze ból w sercach ich bliskich. Żaden kraj na świecie nie poświęcał tyle czasu i pieniędzy na ustalenie losów swoich zaginionych żołnierzy. Z powodów emocjonalnych i politycznych. I dlatego też ostatnio prezydenci amerykańscy tak niechętnie zgadzają się na udział Armii Stanów Zjednoczonych w operacjach wojennych poza granicami kraju. I dlatego, jeśli już się na to decydują, używają ciężkiego młota do stłuczenia skorupy orzecha.

Jens wszystko to wiedział. Był w Waszyngtonie dopiero od tygodnia, ale dobrze już poznał Biuro MIA. Zorientował się, że pułkownik Friedman jest dobrym, głęboko zaangażowanym w swoją pracę oficerem, a, mimo wysokiego stopnia wojskowego, nigdy nie wahał prochu. Kierował zespołem trzystu ludzi, w któ-

rym znajdowali się także eksperci od identyfikacji szczątków ludzkich.

Duńczyk podał pułkownikowi blaszkę. — Wiem, że pańscy ludzie już to widzieli. Powiedzieli, że jest autentyczna.

Pułkownik przez długą chwilę przyglądał się nieśmiertelnikowi.

— Wygląda na prawdziwy. Z wojny wietnamskiej. O co konkretnie panu chodzi?

— Sprawa dotyczy mego przyjaciela. Bardzo bliskiego przyjaciela. Nieśmiertelnik należał do żołnierza Sił Specjalnych. Był z moim przyjacielem, kiedy zaginął podczas patrolu w pobliżu granicy kambodżańskiej. W sześćdziesiątym ósmym.

Pułkownik trzymał blaszkę w otwartej dłoni i nadal mu się przyglądał. — Sześćdziesiąty ósmy, to był zły rok. Jake. Czy to przezwisko, czy imię?

— Imię.

Pułkownik spojrział na klawiaturę komputera. Wzruszył ramionami, słabo się uśmiechnął i powiedział: — Mógłbym nacisnąć parę klawiszy i dokumentacja wyskoczy niby diabełek na ekran. Ale ja jestem jak ci urzędnicy Bismarcka. Trochę staroświecki.

Nacisnął guzik interkomu. — Susan, potrzebna mi jest teczka specjalisty pierwszej klasy, Jake'a Bentsena, zaginionego w sześćdziesiątym ósmym w Wietnamie.

Musieli teraz czekać, aż osoba imieniem Susan znajdzie w archiwum dokumenty dotyczące Jake'a Bentsena.

Pułkownik nalał trzy kubki kawy z maszynki stojącej w kącie gabinetu, wrócił z nimi do biurka, mrugnął porozumiewawczo i z szuflady wyjął butelkę Martela.

— Polepsza smak — oświadczył. — Wojskowa kawa wymaga wszelkiej możliwej pomocy z zewnątrz.

Wlał po okazałej porcji do każdego z kubków, jeden podsunął Jensowi, drugi milczącemu przez cały czas Sowie, trzeci podniósł sam.

— *Skal!* — powiedział Jens. — Był pan kiedyś w moim kraju?

— Owszem — odparł pułkownik. — W latach siedemdziesiątych, ale więcej czasu spędziłem w Szwecji. Sporo chłopaków zdezerterowało podczas wojny wietnamskiej. Wielu uchyliło się od poboru. Liczna gromadka schroniła się w Kanadzie, nieco mniejsza w Szwecji. Zwłaszcza czarnych. Mieliśmy wypadki, że tak zachachmęcili, że uznano ich za MIA, a potem pojawiali się w Szwecji. Pracowałem jako oficer łącznikowy z władzami szwedzkimi. Szczerze mówiąc, Sztokholm jak i Szwedzi wydają mi się bardzo nudni. Dlatego podczas weekendów wsiadałem na prom i jechałem na krótki urlop do Kopenhagi. Duńczycy mają lepsze poczucie humoru, alkohol był tańszy, no i wspaniałe dziewczyny.

— Jaki był pana ulubiony lokal?

— „Kakadu”... Jeszcze istnieje?

— Istnieje, i dziewczyny też są, ale klientela głównie japońska.

Minęło mniej więcej dziesięć minut od chwili, gdy pułkownik prosił o akta Bentsena, kiedy usłyszeli pukanie do drzwi gabinetu. Po chwili weszła kobieta w kapitańskim mundurze i położyła na biurku pułkownika grubą teczkę. Nim wyszła, obrzuciła Jensa i Sowę ciekawym spojrzeniem.

Teczka była czerwona, zabezpieczona czarną elastyczną opaską. Prawy górny róg teczki opatrzony był pieczęcią: MIA (MIN).

Pułkownik pchnął teczkę w stronę Jensa mówiąc:

— Jest to wbrew przepisom, ale skoro w waszej stolicy tak dobrze się bawiłem, to niech pan sobie to przejrzy. Nie mogę panu pozwolić na robienie żadnych kopii bez pisemnej zgody sekretarza obrony.

Duńczyk podziękował skinieniem głowy i, stukając palcem w okładkę, spytał: — Co oznaczają te litery w nawiasie?

— Wielkość szansy odnalezienia zaginionego. MIN oznacza, że szansę są minimalne. Nie ma nadziei, że ten człowiek żyje, a nawet że odnajdziemy jego szczątki. — Pułkownik spojrział na blaszkę na biurku. — Chociaż teraz, skoro odniesiono rodzicom do domu nieśmiertelnik, może powinniśmy zmienić kategorię.

Jens otworzył teczkę i zaczął przeglądać papiery. Było w niej paręnaście szczegółowych raportów, poczynając od meldunku porucznika dowodzącego patroliem. Następny dokument pochodził od oficera wywiadu dywizji, dalsze zawierały rezultaty przesłuchań więźniów i powracających do Stanów byłych jeńców wojennych, meldunki biur Czerwonego Krzyża i analizy informacji otrzymanych od rządu zjednoczonego Wietnamu, kiedy ten doszedł do wniosku, że trzeba kooperować z rządem amerykańskim, by zostały zniesione sankcje. Wszystkie raporty były negatywne. Żadnego śladu zaginionego.

Duńczykowi, który był mistrzem szybkiego czytania, zapoznanie się z wszystkimi dokumentami zajęło pół godziny. W tym czasie pułkownik systematycznie dopełniał kubki kawy zawartością butelki Martela, aż w końcu pili prawie czysty koniak.

— W pełni rozumiem dlaczego zakwalifikowaliście ten przypadek jako MIN — powiedział Jens, zamykając teczkę. — Niemniej widzę w tej teczce rezultat wielkich starań. Moje gratulacje.

Twarz pułkownika posmutniała. Patrzył na fotografię stojącą na biurku. — W sześćdziesiątym siódmym straciłem w Wietnamie syna. Jego ciało wróciło do Stanów. Jest pochowany na cmentarzu arlingtonskim. Niektórzy nie potrafią zrozumieć, co to znaczy dla rodziców wiedzieć, że ich syn znalazł godne miejsce spoczynku. Choćby pod ziemią. Bardzo wielu oficerów naszego biura, kobiet i mężczyzn, jest w tej samej sytuacji. Traktujemy naszą pracę bardzo poważnie. Codziennie napotykaemy na ludzki ból. Ból towarzyszący przez długie lata niepewności, nadziei i smutkowi. Ten ból jest dla nas motywacją. — Pułkownik spojrział przez okno na drugi brzeg rzeki Potomak. Ciągnął dalej, dzieląc się własnymi myślami: — Rozmyślając nad ostatnimi latami dostrzegam zmiany, jakie

nastąpiły w Ameryce. Do lat sześćdziesiątych więzy rodzinne były bardzo silne, a nasi żołnierze jechali na wojny w Europie i w Korei w poczuciu wykonywania ważnej misji. Rozumieli, po co ryzykują życiem. Wietnam wszystko zmienił. Lata sześćdziesiąte zmieniły także charakter więzów rodzinnych. Jednakże rodzice tych, którzy zginęli, nie zmienili się. W dalszym ciągu chcą wierzyć, że ich ofiara miała cel i próbują znaleźć w tym sens. W dalszym ciągu mają nadzieję, że ich poświęcenia nie poszły na marne. — Pułkownik powrócił do teczki: — Rodzice Jake'a Bentsena muszą mieć teraz po sześćdziesiątce. Po tylu latach nagle otrzymali nieśmiertelnik. To musiało z jednej strony rozbudzić nadzieje, z drugiej odnowić cierpienia.

Pułkownik zmienił nagle temat: — Ten pański przyjaciel to żołnierz regularnej armii?

Duńczyk pokręcił głową. — Niegdyś był w piechocie morskiej, ale to było jeszcze przedtem, nim zaciągnął się do Legii Cudzoziemskiej, i następnie został najemnikiem. I w tym właśnie charakterze był w Wietnamie.

Pułkownik pokiwał głową. — Tak, mieliśmy takich sporo. Ale przyznaję, że słyszę po raz pierwszy, by któryś z nich po dwudziestu sześciu latach ruszał na poszukiwanie niemal na pewno zabitego. Najemnicy nie należą do ludzi tego typu. Ten zaginiony musiał być jego wyjątkowo bliskim przyjacielem.

— Nie byli przyjaciółmi w codziennym znaczeniu tego słowa — odparł Duńczyk. — Szczerze mówiąc, pułkowniku, sam nie rozumiem, po co mój przyjaciel chce jechać do Wietnamu. . . Z drugiej strony on zawsze był inny. Bardzo różnił się od wszystkich najemników, którzy byli gotowi bić się za pieniądze i których tylko pieniądze interesowały.

Z górnej kieszonki marynarki wyjął wizytówkę i położył ją na biurku pułkownika.

— Tysięczne dzięki. Jeśli kiedyś wróci pan do Kopenhagi, to proszę do mnie zadzwonić. Pójdziemy sobie na dobrego sznapsa.

Jens był już przy drzwiach, kiedy zatrzymał go głos pułkownika.

— Jeśli pański przyjaciel podróżuje z paszportem amerykańskim, to może mieć pewne trudności z wjazdem do Wietnamu. A jeśli go nawet wpuszczą, to narobi sobie poważnych kłopotów, gdy zechce nieoficjalnie zadawać pytania na temat amerykańskich MIA.

— Być może ma pan rację, pułkowniku — odparł Jensen. — Ja jestem tylko detektywem, natomiast mój przyjaciel. . . Jeśli idzie o kłopoty, jest mistrzem w ich pokonywaniu. Raz jeszcze serdeczne dzięki. Albo, jeśli pan woli, z pewnością pan to słyszał podczas nocnych spacerów po Kopenhadze — *Tusind tak!*

ROZDZIAŁ PIĄTY

— Ktoś zastawia pułapkę. To jedyne wytłumaczenie.

Byli w hotelowym pokoju w śródmieściu San Diego. Creasy stał przy oknie, wpatrzony w zasłone gęstego deszczu. Sowa siedział na fotelu w rogu, Duńczyk zaś na łóżku z teczką i komputerem na kolanach.

— Pułapkę na kogo? — spytał Creasy przez ramię.

— Na ciebie, oczywiście — odparł Jens. — Najpierw znaczek identyfikacyjny i skrawek papieru z twoim nazwiskiem. Następnie dowiadujesz się, że dostarczył to Bentsenom człowiek, którego znasz, i o którym wiesz, że nie powinien żyć.

Creasy odwrócił się. — Wcale nie jest pewne, że ja go znam. Widziałem szkic jego twarzy i otrzymałem informację, że utykał na lewą nogę.

— Nie wierzę w takie zbiegi okoliczności — włączył się do rozmowy Sowa. — Kim był ten człowiek, który według ciebie nie żyje?

— Pracował w południowowietnamskiej policji. Nazywał się Van Luk Wan. Był wyższym oficerem w wydziale wywiadu. To oznacza, że torturował wielu ludzi. Jedną z torturowanych była moja przyjaciółka. Dziewczyna, która pracowała w sajgońskim barze. Wanowi wpadło do głowy, bez najmniejszych podstaw, że jest informatorką Wietkongu. Właściwie było mu obojętne, jest czy nie jest. Takim był człowiekiem. Zamęczył ją na śmierć. Okropną śmierć.

— Więc go zabiłeś?

— Tak mi się wydawało. Była noc, oświetlenie fatalne. Ale znajdował się o kilka metrów ode mnie. Z takiej odległości zwykle nie chybiam.

— Nie sprawdziłeś?

— Nie było na to czasu. Oddałem jeden strzał i wzięłem nogi za pas.

— Później niczego się nie dowiedziałeś? Nie pytałeś? — zagadnął Jens.

— Nie. Tej samej nocy odleciałem z lotniska Than Son Nut do Bangkoku. I już nigdy nie wróciłem do Wietnamu. Miałem dość tej całej wietnamskiej awantury.

Sowa wystukał coś na komputerze. — Ten policjant Wan, czy dobrze cię znał? — spytał znad klawiatury.

— Bardzo dobrze. Tydzień przedtem wezwał mnie na przesłuchanie. Bez żadnych siłowych prób wydobycia zeznań. Wobec Amerykanów nie stosowano metod, które były zwyczajowe w stosunku do własnych obywateli.

— No to po co cię przesłuchiwał?

Creasy ponownie zapatrzył się w deszcz za oknem.

— Musisz zrozumieć czas i miejsce. Samo apogeum wojny. Po Sajgonie kręcili się najrozmaitsi ludzie. Chyba zwalili się tam wszyscy oszuści i kanciarze świata. Ja pracowałem dla Amerykanów w charakterze najemnika. Amerykanie mieli swoje Siły Specjalne, Zielone Berety i Rangersów, i Bóg wie kogo jeszcze, ale jak była do odwalenia robota przedstawiająca duże ryzyko, wynajmowali takich jak ja. W wojskowym żargonie byliśmy nazywani „spisani na straty”. Nie mieliśmy ojców ani matek, którzy płakaliby nad zapakowanym w plastikową torbę ciałem wysłanym do Stanów. Czasami używali nas do wzmocnienia patroli wojskowych. Płacili duże pieniądze, więc zgłaszało się wielu głupków. Pozostałości z tego, co zostało po Kongo i Biafrze. Wśród najemników było sporo zupełnie dobrych gości, nawet paru byłych legionistów. Ale większość to ostatnie śmieci. I gdy nie znajdowali się w terenie, uczestniczyli we wszystkich możliwych szwindlach i kombinacjach, jakie można sobie wyobrazić, od narkotyków, przez prostytutkę do handlu bronią i wymuszenia. Wan stał na czele wydziału, którego oficjalnym zadaniem było zwalczanie tych przestępstw. — Creasy zaśmiał się ironicznie. — Ale zarówno on, jak i większość jego ludzi w nich uczestniczyła. Korupcja w Sajgonie była wprost niewyobrażalna. Oczywiście musiał jakoś zaspokoić swoich przełożonych, więc od czasu do czasu wzywał kogoś z najemników na przesłuchanie.

— Widział, kto do niego strzelał? — spytał Jens.

— Tak, przecież nie strzeliłem mu w plecy. Zanim pociągnąłem za spust, powiedziałem: „To za Ming!”. Wiedział, że Ming była moją przyjaciółką.

Duńczyk wystukał coś na komputerze. — Pamiętasz dzień, dokładną datę, kiedy do niego strzelałeś?

— Czy to jest istotne?

— Owszem, jest. Być może uda mi się trafić do szpitalnej dokumentacji. Archiwa mogły ocaleć. Może dowiem się, czy przeżył, czy też zmarł. — Spojrzał na Creasy'ego z uśmiechem. — Tak zawsze robią policjanci: szukają w archiwach. Zwykli żołnierze, tacy jak ty, nie mają pojęcia o podobnych rzeczach.

Creasy zerknął na Sowę i zauważył: — Twój kumpel zapomina czasami, kto płaci rachunki.

— Masz rację, ale musisz pamiętać, że on ma mózg większy od jaj — odparł Sowa.

— Dość wulgarności — odezwał się Jens. — Staraj się przypomnieć sobie datę lub choćby tydzień.

Creasy podparł brodę pięścią i zamyślił się. Po pół minucie powiedział: — To było w sześćdziesiątym ósmym, na tydzień przed Bożym Narodzeniem.

Duńczyk wprowadził informację do komputera. — Postaram się o kalendarz sześćdziesiątego ósmego i ustale dzień.

Sowa zrobił coś nieoczekiwanego: wstał i zaczął przechadzać się po pokoju. A należał do ludzi myślących zwykle w pozycji siedzącej. Zaczął mówić, jakby Jensa i Creasy'ego nie było w pobliżu:

— Jeśli ten facet przeżył i chciał zemścić się na Creasym, to dlaczego czekał przez te wszystkie lata? Jeśli nieśmiertelnik miał być przynętą, to znaczy, że wiedział, iż ojciec Jake'a Bentsena odnajdzie Creasy'ego. A to przecież oznacza, że mógł sam to zrobić. Mógł pojechać do Brukseli i zacząć się na niego w jakimś zaułku.

— Logiczne rozumowanie — odparł Jens. — Płynie stąd wniosek, że facetowi zależy na zwabieniu Creasy'ego do Południowo-Wschodniej Azji. Moim zdaniem Jake Bentsen od dawna nie żyje. Znaczek identyfikacyjny i skrawek papieru przysłano na wabia. Natomiast za Van Luk Wanem musi kryć się jeszcze ktoś.

— A skąd ten błyskotliwy wniosek? — spytał Creasy.

Duńczyk zdjął z kolan komputer, zamknął go i położył ostrożnie na łóżku. Przeciągnął się i uważnie spojrzął na Creasy'ego.

— Czasami nawet geniusze polegają na własnej intuicji — powiedział w końcu. — Moim zdaniem jakaś gruba ryba w Południowo-Wschodniej Azji poluje na twój tyłek. Ile masz tam wrogich grubych ryb?

Creasy przez długą chwilę zastanawiał się, a potem zerknął na zegarek i powiedział: — Chodźmy coś zjeść, a ja będę myślał, i sporządzę listę.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Na pierwszy rzut oka wydawała się piękna. Dopiero drugie spojrzenie wyprowadzało z błędu. Kości policzkowe zbyt wydatne i osadzone za wysoko, nos niemalże haczykowaty. Dopiero jednak oczy usuwały wszelkie myśli o urodzie. Za plecami nazywano ją Kobrą, a przezwisko to zawdzięczała jadowi płynącemu z jej spojrzenia. Nikt nie był na tyle szalony, by powiedzieć jej to w oczy.

Prawdziwe nazwisko brzmiało Connie Lon Crum. Connie łączyła w sobie w równej proporcji wyrafinowanie z okrucieństwem. Siedzący naprzeciwko niej tajski biznesmen coś niecoś o niej wiedział. Jej ojcem był powszechnie znany Bili Crum, podejrzany typ, pół Chińczyk, pół Amerykanin. Podczas wojny wietnamskiej zbił fortunę, dostarczając whisky i inne towary do wojskowych kantyn. W celu otrzymania kontraktów przekupił wielu Amerykanów, od sierżantów zaopatrzenia do dwugwiazdkowych generałów. Zmarł w 1977 roku podczas tajemniczego pożaru w którejś z dzielnic Nowych Terytoriów Hongkongu.

Jej matką była kambodżańska prostytutka. Connie Lon Crum przeciwstawiła swoje francuskie wykształcenie małżeństwu z oficerem Czerwonych Khmerów, którego później zabiła w przystępie zazdrości. Po ojcu odziedziczyła talent do ciemnych interesów, a po matce umiejętność manipulowania mężczyznami.

Patrząc na nią tajski biznesmen poczuł pożądanie i jednocześnie lęk.

Po obu stronach stały za nią dwie młode, niskie i nieco zbyt tęgie Khmerki. Miały na sobie czarne kurtki i spodnie, a do pasa przypięte kabury z pistoletami. Twarze płaskie i bez wyrazu, tylko oczy wpatrywały się w mężczyznę.

Był ubrany w zupełnie niestosowny włoski garnitur, jedwabną kremową koszulę i jedwabny krawat w paski. Na nogach miał półbuty od Gucciego. Nie wydawał się to właściwy strój na spotkanie w tropikalnej dżungli na pograniczu tajsko-kambodżańskim; z drugiej strony samo spotkanie było niezwykle.

Kobieta podsunęła w jego kierunku płaskie drewniane pudełko i powiedziała: — Bardzo mi się śpieszy. Ma pan piętnaście minut na podjęcie decyzji. Płatność w dolarach, frankach szwajcarskich lub w złocie.

Mężczyzna otworzył pudełko i zobaczył kamienie. Szafiry i kawałki naturalnego jaspisu. Wziął do rąk jeden z kawałków ważący około pięćdziesięciu gramów. Z boku zeszlifowano „okienko”: jaspis był bladozielony, niemal przezroczysty.

Mężczyzna podniósł wzrok i zobaczył martwy uśmiech na wargach kobiety.

— Wiem, że w normalnych okolicznościach chciałby pan zabrać to ze sobą do Bangkoku w celu obejrzenia przez jeszcze większego eksperta niż pan. Ale na to nie ma czasu, panie Ponnosan. Tu, gdzie jesteśmy, wszystko zawiera element ryzyka, życie także.

Drewniany barak, w którym siedzieli, nie był klimatyzowany. Mężczyzna czuł spływający po brzuchu pot. Miał ochotę rozluźnić krawat, ale powstrzymał się. Po raz pierwszy w życiu przeprowadzał transakcję z kobietą. Wiedział, że inni w Bangkoku handlują z nią od miesięcy. Niektórzy wiele na tym zarobili, inni nie. Zdawał sobie sprawę, że jest jakby w kasynie i gra w ruletkę. Gra w ruletkę w dzungli. Kobieta spojrzała na złotego Rolexa, mężczyzna powrócił do drogocennych kamieni. Było ich w pudełku dwadzieścia kilka. Podzielił je na dwie kupki. Kobieta powiedziała: — Bierze pan wszystkie albo nic.

— Znam dobrze procedurę. Pięćdziesiąt tysięcy dolarów — zaproponował.

Na jej twarzy pojawił się cyniczny uśmiech. — Kupuje pan klejnoty, a nie szkiełka, panie Ponnosan. Bez żartów, proszę.

Targowali się przez niespełna pięć minut. Osiągnęli kompromis przy osiemdziesięciu pięciu tysiącach dolarów. Kobieta sięgnęła po pudełko, zamknęła je i przesunęła na swoją stronę stołu. — Niech pan wyciągnie lewą rękę, wewnętrzną stroną do góry — powiedziała.

Posłuchał, wiedząc, co teraz nastąpi. Jedna z dwóch kobiet stojących za Connie Crum obeszła stół, ujęła jego dłoń i w skupieniu zaczęła z niej czytać. Gdy skończyła, obróciła się do swej pani i skinęła głową. Connie przesunęła pudełko na środek stołu — kupujący został zaakceptowany. Wstał, rozpiął marynarkę oraz koszulę, i wyciągnął pas. Z jego kieszonki wyjął jeden tysiąc dolarowy banknot i podał kobiecie. Sprawdziła go pod światło i na stole. Skinęła głową. Mężczyzna odliczył pozostałe osiemdziesiąt cztery banknoty, po czym odszedł z pudełkiem.

* * *

Gdy jego Mercedes odjechał gruntową drogą w kierunku tajskiej granicy, przed barak zajechał podniszczony džip Willys. Wskoczył z niego mężczyzna w średnim wieku, w wypłowiałych dżinsach i w grubych szklach na nosie. Gdy wchodził do baraku, obie Khmerki czujnie na niego spojrzały, ale szybko rozpoznały przybysza i uspokoiły się. Connie Crum zakładała właśnie czarna elastyczną opaskę na plik banknotów. Obdarzyła przybysza szerokim uśmiechem.

— Witam podróżnika! — powiedziała.

Usiadł, zerkając na pieniądze. — Ubiłaś dobry interes? — spytał po francusku.

Uśmiechnęła się jeszcze szerzej. — Nie, Wan. Bardzo zły. Zapłacił mi osiemdziesiąt pięć tysięcy dolarów za kamienie warte dwa razy tyle.

— Czyżbyś stała się filantropką?

— Ach, nie. To był prawiczek. Jego pierwsza transakcja. Wróci do Bangkoku, stwierdzi, że doskonale zarobił i będzie myślał, że wcale nie jestem taka sprytna, jak mówią. Przyjedzie po więcej i po raz drugi zrobi doskonały interes. Tak będzie ze trzy, może cztery razy. Zrobi się bardzo pewny siebie i chciwy. I wtedy go wykastruję.

Wietnamczyk uśmiechnął się do Connie.

— Jakie wieści przywozisz z Ameryki? — spytała.

— Wszystko układa się pomyślnie. Trzeciego ubiegłego miesiąca dostarczyłem nieśmiertelnik i kawałek papieru. Staruszek po dwóch dniach poleciał do Europy i wrócił do San Diego po tygodniu. Nasi ludzie widzieli, jak wieczorem trzynastego do jego domu wchodził Creasy. Przebywał tam godzinę. Zgodnie z instrukcją, nasi ludzie nie próbowali za nim iść.

Kobieta rozparła się w prostym drewnianym krześle. Wzrok utkwiała w jakiś punkt na ścianie nad głową Wana. — Czy możesz im zaufać?

Wzruszył ramionami. — To są Amerykanie i kochają pieniądze. Ich agencja detektywistyczna cieszy się dobrą reputacją. Nie znali nazwiska Creasy'ego. Mieli tylko jego rysopis. Dokładnie opisali mi mężczyznę, który wchodził do domu Bentsenów. Nie ma najmniejszej wątpliwości, że to był Creasy.

Connie Crum sięgnęła po plik banknotów, wstała i przeciągnęła się. Przypominała teraz szykującego się do skoku węża. Jej oczy miały wyraz zadowolenia, który widuje się u kota wpatzonego w śpiącą smacznie mysz.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Podobno nawiązanie łączności z kimkolwiek gdziekolwiek na świecie wymaga najwyżej trzech rozmów telefonicznych.

Jens Jensen święcie w to wierzył. W konkretnym wypadku chciał się skontaktować z wiarygodnym źródłem informacji w mieście o nowej nazwie Ho Szi Min, czyli w dawnym Sajgonie. Podczas lat spędzonych w policji oddał niejedną przysługę dziennikarzom, nigdy nie prosząc o nic w zamian. Teraz jednak nie był już policjantem. Podniósł słuchawkę telefonu i połączył się z redaktorem zagranicznego „Morgenavisen Jyllandsposten”. Po wymianie paru grzeczności i obietnicy spotkania się na drinka w porze lunchu podczas najbliższej wizyty w Arhus, poruszył właściwy temat:

— Czy macie korespondenta w Południowo-Wschodniej Azji?

— Mamy dwóch — usłyszał w odpowiedzi. — Jednego w Hongkongu, drugiego w Bangkoku. Obsługują oni cały obszar Południowo-Wschodniej Azji, więc dużo podróżują. Czego ci potrzeba?

— Potrzebny mi jest kontakt w Ho Szi Min. Nowa nazwa Sajgonu. . .

W słuchawce usłyszał prychnięcie. — Mnie to mówisz? Jestem kierownikiem działu zagranicznego duńskiej gazety, która bije rekordy, jeśli idzie o liczbę korespondentów rozsianych po całym świecie. . .

— Okay, nie denerwuj się. Wszyscy wiedzą, że należysz do grona dziennikarskich geniuszy. Najważniejsze jest, czy możesz mi pomóc?

— Gdzie teraz jesteś?

— W domu.

— Oddzwonię.

Żona Jensa, Birgitte, przygotowała na lunch *skipperlabskova*, co można przetłumaczyć jako „ulubione danie kapitana”. Był to rodzaj potrawy z kartofli, mięsa i jarzyn, posypanej zmieloną szynką. Była to również ulubiona potrawa Jensa. Właśnie zasiadł do buchającego parą specjału, kiedy zadzwonił telefon. Odebrała Birgitte i po chwili zawołała męża:

— Dzwoni Henrik z Arhus.

Jens szpetnie zaklął, ale wstał i podszedł do telefonu. — Zawsze wybierasz najgorszy czas na oddzwanianie.

Henrik roześmiał się. — A co? Akurat spótkowałeś ze swoją piękną żoną?

— Nie. Robiłem coś znacznie lepszego. Właśnie zasiadałem do *skipperlab-skovs*.

— Wyrażam współczucie. Ale kiedy prosisz o przysługę, nie możesz wyznaczać czasu. . . Masz papier i pióro?

— Mam i słucham.

— Rozmawiałem z moim człowiekiem w Bangkoku. Ma przyjaciela od kieliszka, którego właśnie przeniesiono z biura A.P. Mollera w Bangkoku do ich nowego biura łącznikowego w Ho Szi Min, które, nota bene, nazywało się dawniej Sajgon.

— Już dobrze, dobrze, nie mścij się, tylko daj mi namiary na gościa.

* * *

Po zjedzeniu lunchu i zasypaniu Birgitte komplementami, Jens obliczył różnicę czasu między Kopenhagą a Wietnamem. W Ho Szi Min powinien być późny wieczór. Wyszukał w książce telefonicznej numer kierunkowy Wietnamu i wykreślił go wraz z numerem abonenta. Wskazana mu osoba była w domu i ucieszyła się ogromnie na dźwięk ojczystego języka. Jens wyjaśnił, kim jest i kto go poleca, a następnie przedstawił swoją prośbę, podając nazwisko południowowietnamskiego oficera policji i datę, kiedy do niego strzelano. Po zakończeniu rozmowy włożył płaszcz i poszedł na mecz piłki nożnej między drużynami Brontby i OB, zadowolony, że przynajmniej raz ktoś za niego powęszy.

ROZDZIAŁ ÓSMY

— On przeżył!

— Kto przeżył?

— Twój przyjaciel, Van Luk Wan. Przyjęty do szpitala dziewiętnastego grudnia sześćdziesiątego ósmego roku z ciężką raną postrzałową. Uratowała go natychmiastowa operacja. Wypisany ze szpitala dwudziestego siódmego stycznia sześćdziesiątego dziewiątego.

Creasy znajdował się w pensjonacie Guida w Neapolu. W jednym ręku trzymał słuchawkę, w drugim szklankę wina. Był zbudowany operatywnością Jensa.

— Jak się tego dowiedziałeś?

W Kopenhadze Jens chrząknął. — Łatwizna. Poleciałem czarterem do Sajgonu, zawarłem znajomość z przełożoną pielęgniarek, zabrałem ją na kolację do hotelu „Continental”, napiłem szampanem, uwiodłem, a następnie skłoniłem do wdarcia się do zapieczętowanego archiwum szpitalnego. Dałem jej aparat fotograficzny Minox i ona sfotografowała wszystkie karty szpitalne z tego okresu... Rachunek nie będzie niski.

Creasy zachichotał. — Z góry akceptuję, jeśli nie przekroczyłeś sumy dziesięciu dolarów. — Przez chwilę zastanawiał się. — Teraz trzeba się dowiedzieć, czy on dalej działa w Sajgonie, a jeśli tak, to co robi od momentu przejęcia władzy przez komunistów.

— Chcesz, żebym się tym zajął i powęszył?

Creasy ponownie się zastanowił. — Wstrzymaj się na parę dni. Wiemy, że ostatnio był w San Diego. Teraz to już jest pewne. Może mieszka w Stanach jako uchodźca polityczny. Chyba uda mi się to sprawdzić. Zadzwoń do ciebie... Dzięki, Jens. Dobra robota.

Odłożył słuchawkę i przez kuchnię wyszedł na obszerny taras. Było to jego najbardziej ulubione miejsce na świecie — na wzgórzach wysoko nad miastem, ze wspaniałym widokiem na całą zatokę. Przy samotnym stoliku siedział najbliższy przyjaciel Creasy'ego, Guido Aurello. Poznali się na początku lat sześćdziesiątych, podczas algierskiej wojny o niepodległość. Obaj służyli w drugim pułku Legii Cudzoziemskiej, z której ich wyrzucono, gdy cały batalion przyłączył się do Puczu Generałów. Creasy i Guido umieli się bić, więc wspólnie, jako najem-

nicy, brali udział w dziesiątkach wojen afrykańskich i na Dalekim Wschodzie. Guido poznał Maltankę, w której się zakochał i pojął za żonę. Skończył z żołnierką i w Neapolu kupił pensjonat „Splendide”. Drogi Creasy’ego i Guida rozeszły się aż do tragicznego wydarzenia, jakim była śmierć żony Guida. Zginęła w wypadku samochodowym. Następnie Creasy ożenił się z siostrą Maltanki, ale i ona tragicznie zginęła. . . Wspólna żałoba ponownie zbliżyła obu mężczyzn. Skrzętnie jednak ukrywali swoją przyjaźń, zachowując ponadto dystans wobec ludzi. Żaden postronny obserwator nie dostrzegłby owych niesłychanie silnych związków, które łączyły tych dwóch ludzi. Nigdy nic po sobie nie okazywali i nie afiszowali zażyłości. Rozumieli się jednak doskonale po latach wspólnej tułaczki i teraz Creasy specjalnie przyjechał do Neapolu, by z przyjacielem podzielić się historią nieśmiertelnika, skrawka papieru i posłańca z mroków przeszłości. Usiadł przy stoliku i poinformował: — Jens dzwonił z Kopenhagi. Dowiedział się, że Van Luk Wan żyje.

— Z jakiej odległości strzelałeś?

— Z pięciu metrów.

Guido spojrział spod oka na przyjaciela i podniósł brew. — Spudłowałeś z pięciu metrów?

— Nie spudłowałem. Padł jak kłoda. Ale nie miałem czasu sprawdzić, czy żyje.

Guido spojrział na zatokę. Amerykańska fregata obracała się powoli na kotwicy. Tego wieczoru jej pijana załoga będzie rozrabiała w dzielnicy portowych burdeli. Niektórzy zostaną okradzeni, a inni powrócą na okręt bogatsi o chorobę weneryczną. Wreszcie zwrócił się do Creasy’ego.

— Zgadzam się z Jensem i Sową. Ktoś chce cię wciągnąć w pułapkę. Przynętą jest ten facet Van. Dlaczego nie wracasz do siebie na Gozo, żeby radować się zasłużoną emeryturą?

Creasy upił łyżeczek wina, zanim odpowiedział. — Byłaby to bardzo rozsądna rzecz. . . Z drugiej strony nigdy nie byłem dobry w robieniu rozsądnych rzeczy. Ta sprawa nie pozwala o sobie zapomnieć. Tu czy na Gozo.

— Polecisz do Wietnamu?

— Tak, ale przedtem chcę się porozumieć z Jimem Graingerem w Stanach. Zadzwoń do niego. Ma z pewnością dobre kontakty ze służbami granicznymi i będzie mógł sprawdzić, czy Van Luk Wan przybył do Stanów jako turysta czy przesiedleńca. Jeśli uzyskał status uchodźcy politycznego, to zdobędziemy jego adres. W tym ostatnim wypadku złożę mu wizytę.

Guido dopełnił winem szklanki. — Sezon się skończył, zaczynam się nudzić. Polecę z tobą do Sajgonu. Będzie jak za dawnych czasów. — Przez jego twarz przemknął lekki uśmiech.

— Mam nadzieję, że nie — odparł Creasy. — Za dawnych czasów kupa facetów chciała nam odstrzelić tyłki.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Holender stracił panowanie nad sobą.

Piett de Witt uczestniczył w wielu wojnach w wielu krajach i w zasadzie wszędzie dobrze mu płacono. Teraz doszedł do wniosku, że jeśli Bóg zapragnąłby sprawić planecie Ziemi lewatywę, to wsadziłby irygator w Kambodżę. Nie chodziło o sam kraj, który był piękny, nie chodziło też o mieszkańców kraju, w większości pokojowo nastawionych, ale o aktualnych pracodawców. Ich zachowanie było poniżej wszelkiej krytyki, nawet według zdecydowanie tolerancyjnych kryteriów de Witta.

Zmierzył wzrokiem odzianego w brunatny mundur oficera Czerwonych Khmerów: — Odwal się. Do zachodu słońca nie da się oczyścić tego pola z min bez narażania życia moich ludzi.

— Codziennie narażają życie — odparł oficer. — Nasi ludzie też. Na tym polega wojna.

Holender zaśmiał się głucho. Patrząc na dolinę soczystej zieleni stwierdził: — Wojny są przeważnie bezsensowne i głupie. A ta, którą wy prowadzicie, zupełnie kretyńska. — Postukał palcem w trzymaną mapę. — To Czerwoni Khmerowie założyli przed sześciu laty to pole minowe. To wasza robota. Dwa tysiące min w tej jednej biednej dolinie. Kładliście bez planu, nie oznaczyliście przejść. A teraz, po latach, chcecie wysłać przez dolinę wojskowy konwój. Dlaczego nie poślecie go inną drogą?

Drobny Khmer zadął do góry głowę patrząc na rosnącego Europejczyka. — Przed sześciu laty zaminowaliśmy wszystkie doliny w tym rejonie. Wiele map pól minowych zaginęło. Dlatego też płacimy panu dziesięć tysięcy dolarów miesięcznie za szkolenie naszych ludzi, żeby umieli oczyszczać pola minowe, kiedy zachodzi taka potrzeba. — Spojrzał na zegarek. — Do zachodu słońca zostało sześć godzin. Wtedy konwój będzie już czekał na przejście przez dolinę. Do tego czasu trzeba otworzyć mu drogę. Otrzymaliśmy takie rozkazy.

Holender zaklął pod nosem. — Niech pan jej lepiej powie, że to niemożliwe. Jestem tu dopiero od dwóch miesięcy. Nie macie innego specjalisty od rozminowywania. Wyszkoliłem dwunastu ludzi, ale brak im doświadczenia, są nadal amatorami. Niech pan jej to powie.

Oficer odparł: — Będzie miał pan okazję osobiście to wyjaśnić. Ona przyjedzie tu dwie godziny przed zachodem słońca i zamierza zabrać się razem z konwojem przez dolinę. Proponuję, żeby pańska drużyna zabrała się żwawo do roboty. I pan z nimi.

* * *

Holender pracował dla pieniędzy. Z tego też powodu znalazł się w czołówce formacji w kształcie klina, wcinającej się powoli w pole minowe, zgodnie z obowiązującymi procedurami saperskimi. Miny były przeważnie chińskie, przeciwpiechotne typu *K3000*, uzupełniane od czasu do czasu rosyjskimi minami przeciwczołgowymi *DOM K2*. Oczyszczano korytarz szerokości pięćdziesięciu metrów. W ogonie, po obu końcach klina, szli dwaj ludzie de Witta, zatykając w ziemię czerwone proporce oznaczające granice korytarza. Po dwóch godzinach jeden z ludzi popełnił błąd i stracił nogę. Po kolejnej godzinie ktoś inny popełnił błąd i stracił życie.

Na dwie godziny przed zachodem słońca oczyszczono połowę przejścia. Kambodżański oficer, który dla bezpieczeństwa trzymał się parędziesiąt metrów z tyłu, wykrzyknął: — Musicie posuwać się szybciej. Przejście przez dolinę musi być otwarte z chwilą zapadnięcia mroku.

Holender obrócił się na kolanach i już miał odpowiedzieć stekiem przekleństw, kiedy zobaczył daleko za plecami oficera nadjeżdżające ciężarówki. Z pierwszej, która podjechała, wyskoczyła wysoka, smukła kobieta w połowym mundurze i z *Katasznikowem*. Zamieniła kilka słów z oficerem i ruszyła rozminowanym korytarzem krokiem wieczornych spacerowiczów po Polach Elizejskich. Holender wiele o niej słyszał, ale jeszcze nigdy jej nie spotkał. Mimo rozsadzającego go gniewu, był zaintrygowany.

Kobieta uśmiechnęła się, podała mu rękę i przedstawiła się:

— Jestem Connie Lon Crum i bardzo mi miło, że mogę pana wreszcie poznać. Słyszałem wiele dobrego o pańskiej pracy. Jesteśmy panu niesłychanie wdzięczni.

Holender był bardzo podatny na urok kobiecy, zwłaszcza kobiet naprawdę pięknych i twardych jak diament. Ujął jej drobną dłoń w swą ciężką łapę i zapomniał o gniewie. Zapomniał też języka w gębie.

Kobieta mówiła dalej: — Czy istnieje jakiś sposób, by można było ukończyć korytarz przed zmrokiem? Jest to dla nas niezmiernie ważne.

Oprzytomniał, gdy usłyszał to pytanie i zaczął myśleć jak należy.

— Jedynym sposobem byłby ostrzał artyleryjski, wybuchy zdetonowałyby większość min. Z resztą moi ludzie już by sobie poradzili. Kłopot w tym, że nie

mamy artylerii. A niestety, panno Crum, innego sposobu nie ma.

Po raz pierwszy zobaczył stal w jej oczach i zupełnie inny uśmiech.

— Zawsze jest inny sposób. — Odwróciła się i wydała rozkaz. Z najbliższych trzech ciężarówek zaczęli wyskakiwać ludzie. Większość z nich miała ręce związane na plecach, poganiali ich Czerwoni Khmerowie, uzbrojeni w karabiny z nasadzonymi bagnietami.

— Żołnierze rządowi wzięci do niewoli przed dwoma tygodniami pod Sem Reap — wyjaśniła. — Wytańczą nam ścieżkę.

Holendrowi odebrało mowę. Patrzył skamieniały, jak ustawiono jeńców w trzy rzędy, jeden od drugiego o metr, a następnie połączono długimi sznurami. Strażnicy podprowadzili ich na granicę pola minowego i kazali ruszyć przed siebie. Musieli każdego z nich najpierw wpychać na pole, szturchając w plecy bagnietami, a następnie strzelali im pod stopy. Biedacy dosłownie tańczyli. Martwą ciszę zakłócały ich krzyki i skomlenia oraz kolejne detonacje wybuchających min.

Holender był pewien, że już jest nieczuły na wszelkie okrucieństwa. Widział je w Biafrze, w Angoli, w Kongo i Mozambiku. Ale nie widział jeszcze nic podobnego. Kobieta ujęła go pod ramię i pociągnęła za konającymi jeńcami. Obróciła się do idącego za nimi oficera i wydała polecenie: — Masz temu człowiekowi dostarczyć na noc dziewczynę. — Uśmiechnęła się do Holendra i dodała: — Mamy w Kambodży takie powiedzenie: „Kobięcy dotyk jest balsamem dla ciała i duszy”.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

— Jesteś z Holandii?

— Nie.

— To dlaczego nazywają cię Holendrem?

Piett de Witt westchnął i odpowiedział, jakby recytował litanie: — Jestem Afrykanerem z Republiki Południowej Afryki. Pochodzenia holenderskiego. Tak się już utarło, że wszystkich Afrykanerów nazywa się Holendrami.

Leżał na plecach, wpatrzony w białą moskitierę. Dziewczyna spoczywała z głową na jego ramieniu, a jej czarne włosy zakrywały mu pierś.

Connie Crum miała rację. Dziewczyna ukoiliła mu duszę i ciało. Trochę go bawiło, że jego dusza wymaga ukojenia. Zawsze szczyił się swoją odpornością. Uważał się za absolutnie zahartowanego. Jako najemnik dopuścił się wielu aktów przemocy i gwałtu, często bezmyślnych. Nauczył się tego wcześniej, jeszcze w szkole, od tRenéra rugby: „Żadnych wahań”. Stało się to jego życiową doktryną. Jeśli w jakimś barze ktoś go zaczepiał, atakował pierwszy. I bił, póki przeciwnik nie uległ. Ta cecha wywoływała ogólny strach i gwarantowała poważanie w środowisku.

Ale tego dnia, w czasie przedwieczornych wydarzeń coś w nim pękło. Z zasady nikogo nie torturował i bezmyślnie nie zabijał niewinnych. Wiele razy widział, jak robili to inni. Nigdy jednak nie interweniował, nigdy też nie czuł oburzenia i wstrętu, jaki odczuwałyby każda normalna ludzka istota. Dziś wydarzyło się to po raz pierwszy. Przyszło mu na myśl, że być może starzeje się i robi się mięczakiem. Odczuwał dziwną czułość w stosunku do szczupłej dziewczyny leżącej obok. To dziwne, obce mu uczucie. Przecież nauczył się używać kobiet tak, jak używa się karabinu czy sztuców. Nie kochał nawet własnej matki.

— Jak się nazywasz? — spytał dziewczynę.

— Tan Sotho.

— Jesteś Wietnamką?

— Tak.

— To co tu, do cholery, robisz?

Odpowiedziała pełnym smutku głosem: — Moja rodzina mieszkała tu od pokoleń. Mieliśmy własną ziemię. Kiedy przyszli Czerwoni Khmerowie, zabili

wszystkich mężczyzn, chłopców i stare kobiety. Zatrzymali przy życiu młode kobiety i dziewczynki głównie do przymusowej pracy. Ale niektóre z nas przysłano do tego burdelu. Jesteśmy właściwie niewolnicami. — Spojrzała mu w oczy.

— Nigdy nie próbowałaś uciec?

— Nie. Moja przyjaciółka uciekła i schwytali ją. Nie powiem, co jej zrobili, bo to zbyt okropne. I żadna z nas więcej nie próbowała.

Zapadła długa cisza. De Witt wyjrzał spod moskitiery na prawie pusty pokój.

— Słyszałam, że rozbrajasz miny.

— Tak. To moja praca.

— Pewno bardzo niebezpieczna.

— Dobrze mi płacą.

— Płacą ci? — zdziwiła się.

Roześmiał się. — Oczywiście, że mi płacą. Po co bym inaczej ryzykował życiem? — Spojrzał na dziewczynę i w jej oczach zobaczył niedowierzanie. — Czy to takie dziwne, że płacą?

— Tak — odparła. — Nigdy nie płacili innym.

— Innym?

— Tak. Amerykanom.

Teraz w jego oczach pojawiło się zdziwienie. — Tu byli Amerykanie?

— Tak. Trzej. Byli niewolnikami, tak jak ja.

— Skąd się tu wzięli Amerykanie?

— Jeszcze z czasów wojny. Wzięci do niewoli przez Wietnamczyków. W tamtych czasach Wietnamczycy współpracowali z Czerwonymi Khmerami. I sprzedali Amerykanów Khmerom.

Zaciekawiony wsparł się na łokciu i wpatrzył w owalną twarz dziewczyny. — Co się z nimi stało?

— Zginęli, jeden po drugim, na polach minowych. Ostatni przed dwoma laty, siedemnastego listopada.

— Znałaś ich?

— Tak. Jedyne, na co im pozwalano, to wizyta u nas raz na miesiąc. Jedyne przyjemność w ich życiu. Można powiedzieć, że się przyjaźniliśmy. Pewno dlatego, że łączył nas wspólny los, żyliśmy w tym samym piekle.

Opadł na poduszkę. Jego myśli przerwał nagle płacz dziecka. Dziewczyna wyslizgnęła się z łóżka. — Przepraszam — powiedziała.

Patrzył na nią, gdy szła do drewnianych drzwi. Otworzyła je, zapaliła światło, weszła. Drzwi zostawiła otwarte. Dostrzegł dziecko w łóżeczku. Dziewczyna pochylała się, wyszeptwała kilka słów i pogłaskała buzię. Płacz ustał. Po dziesięciu minutach wróciła z gorącym mokrym ręcznikiem. Uklękła i powoli, starannie wytarła całe ciało mężczyzny.

— Twoje dziecko? — spytał.

— Mój synek.

— Ile ma lat?

— W przyszłym miesiącu skończy trzy. Byli dla mnie okropnie źli, kiedy się dowiedzieli, że jestem w piątym miesiącu ciąży. A i tak długo udało mi się to ukrywać. Ale pozwolili mi je zatrzymać.

Starannie wycierała mu twarz ręcznikiem. — Od jak dawna jesteś najemnikiem? — spytała.

— Od zbyt dawna. Chyba z dwadzieścia pięć lat. To moja ostatnia robota. Potem kupię sobie farmę w Transvaalu i będę handlował bydłem.

— Gdzie już walczyłeś?

— Wydaje mi się, że wszędzie.

— Czy znasz człowieka, który nazywa się Creasy?

Czuła, że mężczyzna zeszywniał. Wyrwał jej ręcznik, poderwał się i chwycił jej ramię jak w kleszcze.

— Coś ty powiedziała?

— Nic. Spytałam tylko, czy znasz człowieka, o nazwisku Creasy. Był najemnikiem, tak jak ty.

— Znasz go? — spytał chropowatym głosem.

— Nie. Tylko mówił o nim jeden z tych Amerykanów.

De Witt z powrotem opuścił głowę na poduszkę i puścił jej ramię. Spojrzała na niego ciekawie. Wzrok jego błędził gdzieś daleko.

— Znałeś go? — powtórzyła pytanie.

— Znałem.

— Jeszcze żyje?

— Nie wiem.

Palcami wodziła mu delikatnie po piersi. Była to niemal matczyzna pieśczoła.

— Jakim on jest człowiekiem? — wyszeptwała.

Powstrzymał jej dłoń.

— Niesie śmierć — odparł.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Z jednej strony nienawidziła Wietnamu, z drugiej ją fascynował. Była to kraina smutku i cierpkiego bólu. Wietnam był niczym siekiera, której ostrze zostawiło głęboki ślad między sercem i umysłem. Nieustannie ją kusił, tak jak światło kusi ćmę.

Samolot tajskich linii lotniczych z Bangkoku schodził do lądowania na lotnisku Than Son Nut. Zamknęła pokrywę notebooka IBM i sięgnęła pod siedzenie po teczkę. Jej myśli nadal krążyły wokół raportu, który przed chwilą po raz kolejny przeczytała na małym ekranie komputera.

Raport dotyczył duńskiego detektywa Jensa Jensena i został sporządzony przez FBI. Łączył Jensena z osobą niejakiego Creasy'ego, najemnika. Samo w sobie nie budziło to niepokoju u niej ani u jej szefa, Elliota Friedmana. Czerwone światełko zapaliło się dopiero przy dopisku na końcu raportu. Była to uwaga, że o jakichkolwiek pytaniach skierowanych do FBI na temat Creasy'ego, ma być natychmiast zawiadamiany James Grainger, starszy senator stanu Nowada i przewodniczący senackiej komisji środków budżetowych, a więc osobistość bardzo wpływowa. Senator znalazł się w gabinecie Friedmana następnego poranka, kiedy zadzwonił telefon. Friedman odebrał i przełączył rozmowę na głośnik.

Rozmowa nie odbiegała od schematu wielu podobnych rozmów między politykiem a wyższym oficerem armii. Polityk był początkowo przesadnie grzeczny. Pogratulował pułkownikowi wspaniałych sukcesów w tak trudnych okolicznościach. Przez pierwsze kilka minut po prostu gwarzono o problemach związanych z MIA. Wreszcie senator powiedział: — Dowiedziałem się wczoraj, że prosił pan FBI o raport dotyczący Duńczyka Jensa Jensena.

- Prosiłem — odparł grzecznie pułkownik.
- Zakładam, że już go pan otrzymał.
- Właśnie mam go na biurku.
- W jakim celu był on panu potrzebny?
- Rutynowa sprawa, sir. Jens Jensen był u mnie przedwczoraj ze swoim kolegą. Jest prywatnym detektywem specjalizującym się w poszukiwaniu osób zaginionych. Bardzo miły człowiek. Jego zajęcie ma wiele wspólnego z naszą pracą.
- Czego chciał, pułkowniku?

— Miał nieśmiertelnik MIA. Blaszką została dostarczona rodzicom owego MIA, mieszkającym w San Diego. Wydobyliśmy z archiwum właściwe akta poszukiwanej osoby i troszeczkę nagiąłem przepisy, pozwalając Jensenowi przeczytać je.

Susan usłyszała w głośniku chrząknięcie senatora. — Muszą istnieć przepisy, żeby było co naginać, pułkowniku. Czy Jensen dowiedział się od pana, czego chciał? Mógł pan mu w czymś pomóc?

— Oprócz pokazania akt w niczym. Prosiłem, żeby był ze mną w kontakcie i informował, jeśli czegoś się dowie lub jeśli potrzebowałby dalszej pomocy.

Zapadła cisza. Nawet głośnik zdawał się intensywnie myśleć. Wreszcie usłyszeli głos senatora: — Jaka była sygnatura raportu FBI?

Pułkownik Friedman przysunął papiery do siebie i głośno odczytał: — CN łamane przez D, łamane przez 404082A.

Znowu cisza. Susan miała wrażenie, że słyszy przez głośnik szelest papierów. Wreszcie senator zapytał: — Ten raport wymienia człowieka o nazwisku Creasy?

— Tak jest, sir.

— Czy oprócz tego, co wspomina raport, wie pan coś więcej o tym człowieku?

— Nie wiem nic więcej oprócz tego, że jest najemnikiem.

Głos senatora uległ radykalnej zmianie. Był jakby zamyślony. — Pułkowniku, czy możemy porozmawiać nieoficjalnie?

Friedman spojrział na Susan, oczekując jej reakcji. Wzruszyła ramionami i skierowała się w stronę drzwi. Friedman nacisnął guzik wyłączający mikrofon i powiedział: — Zostań. Kiedy senator chce rozmawiać nieoficjalnie z oficerem, lepiej jest mieć świadka.

Zaintrygowana wróciła na krzesło. Friedman włączył mikrofon i głośno oznajmił: — Oczywiście, senatorze. Każde słowo zostanie między nami.

— Doskonale. Nie będę prosił o nic, co mogłoby być sprzeczne z pana obowiązkami. Po prostu mam prośbę. Chciałbym być informowany o jakichkolwiek dalszych kontaktach pana lub pańskiego biura z Jensenem lub Creasym. I ponadto chcę prosić, aby w wypadku takich kontaktów udzielił im pan wszelkiej możliwej pomocy.

Pułkownik spojrział na Susan, a ta ponownie wzruszyła ramionami. Po paru sekundach pułkownik powiedział: — Z chęcią to uczynię, panie senatorze. Zrobię, co w mojej mocy. Czy mógłby pan jednak zaspokoić moją ciekawość? Chciałbym tylko wiedzieć, dlaczego.

Friedman i Susan wymienili spojrzenia podczas kolejnej ciszy, wypełnionej w głośniku oddechem senatora. Wreszcie usłyszeli: — W przyszłym tygodniu będę w Waszyngtonie. Czy zechciałby pan zjeść ze mną lunch w „The Red Sage”?

Friedman ze zdumienia podniósł brwi. Rzadki to wypadek, by senator zapraszał zwykłego pułkownika do najlepszej restauracji stolicy.

— Będzie to dla mnie zaszczyt, panie senatorze.

— Doskonale. Moja sekretarka zadzwoni do pana, żeby ustalić dzień i godzinę. Dziękuję za pańską gotowość pomocy.

Połączenie zostało przerwane. Friedman przez chwilę patrzył w sufit, potem dopiero opuścił wzrok na Susan.

— Co to wszystko ma znaczyć?

— Przede wszystkim najlepszy posiłek w życiu.

Uderzyła go nagła myśl. — Co powinienem włożyć? Mundur czy cywilny garnitur z jedwabnym krawatem?

— Trzeba spytać sekretarki, kiedy zadzwoni. A przede wszystkim półbuty muszą się świecić.

— Włącz przyspieszone myślenie, Susan. Co się za tym kryje?

— Nie wiem. Podejrzewam tylko, że jego zainteresowanie bardziej dotyczy tego Creasy'ego niż Duńczyka. — Wstała. — Posłuchaj mnie, Elliot. Na to spotkanie musisz iść doskonale przygotowany. To jest nieodzowne. Musisz dowiedzieć się czegoś więcej o tym Creasym.

— Masz rację, ale jeśli zapytam FBI, to oni natychmiast poinformują Grainera. Muszę znaleźć inny sposób.

Skinęła głową. — Masz możliwość skorzystania z innego kanału informacyjnego, do którego senator nie ma dostępu i z którym nie ma umowy o wymianie informacji.

— A mianowicie?

— Rutynowe zwrócenie się do Interpolu w Paryżu.

— Do Interpolu? Przecież chodzi o najemnika, a nie kryminalistę.

— Tak, ale gdzieś czytałam, że od paru dziesiątków lat Interpol prowadzi kartotekę znanych najemników. Nie ma problemu. Często zwracamy się do Interpolu.

* * *

Susan zamknęła oczy, gdy samolot siadał na płycie. Chociaż latała często, nigdy nie zdołała wyzbyć się lęku podczas startów i lądowań. Usłyszała obok siebie śpiewny teksaski akcent: — Wiem, co pani przeżywa. Dla mnie zawsze graniczy z cudem, że te cholerne maszyny mogą oderwać się od ziemi.

Otworzyła oczy i obróciła głowę ku mężczyźnie. Z wcześniejszej rozmowy wiedziała, że jest nafciarzem z Teksasu. Odgadłaby, gdyby nawet tego nie powiedział — pocziwiec składał się właściwie z długich butów, potężnej klamry pasa i staromodnej galanterii. Gdy wysiadali z samolotu, pomógł jej z podręcznym bagażem i zaprosił do taksówki do miasta. Grzecznie odmówiła, nie mając większej ochoty na dalszą z rozmowę ani na ewentualne zaproszenie na kolację.

W trakcie półgodzinnej jazdy z lotniska zdumiona była panującym wszędzie ściskiem. Było więcej niż kiedyś ulicznych sprzedawców i zdecydowanie więcej motorowerów. Tym razem Hondy. Dziki kapitalizm powracał do Wietnamu.

Myślami tkwiła jeszcze w Waszyngtonie. Interpol w ciągu paru godzin odpowiedział na pytanie Elliota Friedmana. Była sama w gabinecie, kiedy zaczął nadchodzić materiał. Papier wkrótce dotknął ziemi, a faks dalej go wypluwał, aż zebrało się tego z pięć metrów. Zaczęła czytać i niezwykle zaintrygowana przeczytała do końca, a dopiero potem zaniósła Elliotowi. Gdy skończył, spytał:

— Czytałaś?

— Tak. Przepraszam. Zerknęłam i już nie mogłam się oderwać. Powinnam ci była od razu przynieść.

W zamyśleniu zwinął powoli papier w ciasny rulon i stuknął nim w blat biurka. — Oczywiście, zauważyłaś związek? — spytał.

— Tak. Lockerbie. PanAm 103. Żona i dziecko Creasy'ego nim leciały. I żona senatora Graingera. Wiadomo, że ktoś czy jakaś organizacja dokonały odwetu na Bliskim Wschodzie na sprawcach tego zamachu. Materiały Interpolu w pewnym sensie to potwierdzają. Creasy maczał w tym palce.

— Widzę, że Creasy maczał palce w wielu innych sprawach — mruknął pułkownik. — Legionista u Francuzów, najemnik podczas kilku wojen afrykańskich w latach sześćdziesiątych. A potem Wietnam i Kambodża w charakterze „nieoficjalnego” żołnierza Sił Specjalnych.

— Nieśmiertelnik — powiedziała w zamyśleniu Susan.

— Słucham?

— Może właśnie on wywołał zainteresowanie Creasy'ego. Tak głębokie zainteresowanie, że podpira się osobą senatora. Może Creasy znał Jake'a Bentsena? Może poznał go w Wietnamie?

— Spróbujmy to sprawdzić. Proszę prześledzić przebieg służby wojskowej Bentsena. Wszystkie jednostki, w których był. Nasze archiwa nie wykażą, czy do tych jednostek byli przydzielani owi „nieoficjalni”, ale ja mam swoje nieoficjalne źródła informacji. — Wykrzywił usta w cierpkim uśmiechu. — Nie tylko senator James L. Grainger ma stosunki.

* * *

Taksówka zatrzymała się przed hotelem „Continental”. Ilekroć odwiedzała Ho Szi Min, zawsze postanawiała zatrzymać się w jakimś nowoczesnym hotelu, ale nieuchronnie zmieniała zamiar w ostatniej chwili i wędrowała do „Continentalu”. Tam bardzo często przebywał jej ojciec podczas wojny wietnamskiej. Opo-

wiadał o wspaniałej werandzie i barze oraz o „kolonialnej” atmosferze. I zawsze z gorzko-słodkim wzruszeniem wchodziła do środka. Po paru minutach wpadała we właściwy nastrój — lepiej przebywać wśród wspomnień i w pewnym sensie odczuwać obecność ojca.

Myła włosy pod starym mosiężnym sitkiem prysznicą i myślała o tekście z musicalu „South Pacific”: „Zmyję z włosów moich pamięć o tym mężczyźnie”. Pamięć o jej przyjacielu, profesorze Jasonie, tak znowu natrętnie jej nie towarzyszyła. Uczucie dawno odeszło w niepamięć. Podświadomie myślała o mężczyźnie, który nagle się pojawił nie tyle po to, by zwalić ją z nóg, ale rozbudzić w niej uczucia, których spory zapas posiadała w rezerwie na podobną okazję. Tak, spory zapas, chwilowo jakby w uśpieniu. Owszem, lubiła towarzystwo Jasona, miło się dopełniali na płaszczyźnie zarówno intelektualnej, jak i fizycznej, ale owe stosunki fizyczne stały się zwykłą rutyną. Raczej towarzyskim rytuałem, niż połączeniem dusz i ciał. Widziała, jak niektóre z jej przyjaciółek szaleńczo się zakochują i równie szaleńczo odkochują. Jej nigdy to nie spotkało. Być może zbyt logicznie i racjonalnie myśli, prowadzi zbyt zdyscyplinowane życie?

Zmyła z włosów szampon i namydliła całe ciało. Znowu myślami powędrowała do Waszyngtonu i do swego przełożonego, pułkownika Friedmana. Gdy Elliot wrócił z lunchu z senatorem Graingerem, natychmiast wpadł do jej gabinetu. Przez pierwsze dziesięć minut wypytywała go o restaurację „The Red Sage”, potrawy i rodzaj klientów. Elliot potrafił zaspokoić jej ciekawość. Widział żonę wiceprezydenta z podtatusiałym aktorem, sekretarza sprawiedliwości z dwoma senatorami. Ach tak, był absolutnie przekonany, że są to tylko biznesowe spotkania. Grainger zamówił zwykły stek z grilla, ale Elliot był bardziej przedsiębiorczy. Zaczął od musu łososiowego, a następnie postanowił spróbować kaczki z pomarańczami. Wspaniałość! Z początku Grainger bardzo ostrożnie sondował gościa i wyrabiał sobie o nim opinię, ale już przy głównym daniu otworzył się i zaczął się zwierzać. Mówił o osobistym życiu. Rozmowa lekko otarła się o osobę Creasy’ego. Senator ujawnił, że się przyjaźnią. Ich zbliżeniu dała początek tragedia nad Lockerbie. Tak, Creasy zorganizował i przeprowadził operację odwetową, częściowo finansowaną i wspieraną przez Graingera. W parę lat potem Creasy zaangażował się w operację przeciwko potężnej organizacji handlu narkotykami i żywym towarem we Francji i we Włoszech. Grainger kilkakrotnie pomagał mu, korzystając z rozlicznych koneksji. Przestępcza organizacja została rozbita, a jej szef zginął. W operacji uczestniczyli Jens Jensen i Sowa. W rok później została zamordowana w Zimbabwie córka jednej z wpływowych obywaterek Kolorado, z okręgu wyborczego Graingera. Policja Zimbabwe nie potrafiła znaleźć mordercy i matka zamordowanej przyszła do Graingera prosząc o pomoc w formie nacisku na Departament Stanu, by ten z kolei wywarł presję na władze Zimbabwe. Zamiast tego Grainger przedstawił jej Creasy’ego, który na swój sposób doprowadził do wymierzenia sprawiedliwości. Jens Jensen ponownie uczestniczył w ope-

racji. Nic więc dziwnego, że pytanie zadane FBI na temat Duńczyka wzbudziło zainteresowanie senatora...

Elliot z kubkiem kawy w ręku spacerował tam i z powrotem po niewielkim gabinecie Susan. W pewnej chwili zatrzymał się i powiedział:

— Gdy Grainger to mi wyjawiał, zrozumiałem, skąd ta przyjaźń z Creasym. I z miejsca podjąłem decyzję. Oświadczyłem senatorowi, że przez najbliższe kilka tygodni będzie rutynowo przebywał w Sajgonie ktoś z mego personelu. Zaproponowałem, by zawiadomił Creasy'ego, że jeśli będzie mu potrzebna w Sajgonie jakaś pomoc lub konkretne wsparcie, to może się do nas zwrócić. Do nas, to znaczy do osoby przebywającej na miejscu. A tą osobą będzie Susan Moore — dokończył z uśmiechem.

Była zaskoczona. Do Wietnamu miała jechać dopiero za kilka miesięcy.

— Chcę, żebyś odleciała jutro — powiedział. — Instynkt mi podpowiada, że to może rozwinąć się w poważną operację. Jestem przekonany, że człowiek pokroju Creasy'ego nie ściga po świecie duchów.

Wyszła spod prysznica i dokładnie się wytarła. Zaskoczyła ją decyzja Elliota. Pułkownik nie należał do ludzi działających pod wpływem impulsu. Miał uporządkowany logiczny umysł i dlatego tak dobrze wykonywał swoją pracę. Nie wydawał lekkomyślnie budżetowych pieniędzy i pochopnie nie wysyłał oficerów w podróż na drugi koniec świata. No, ale była jeszcze jedna informacja, którą się z nią podzielił.

— Sięgnąłem do moich źródeł — powiedział — i dowiedziałem się, że Jake Bentsen został uznany za MIA dwudziestego czwartego grudnia 1968 roku. Operacja patrolowa Sił Specjalnych. Patrolowi towarzyszyło dwóch najemników. Ci „nieoficjalni” zawsze używali fałszywych nazwisk. Dotarłem do oficera, który wówczas dowodził.

Porucznika. Jest teraz pułkownikiem. Dobrze sobie przypomina tamtą misję. I obu najemników. Jednym był Belg. Drugi miał francuskie papiery i mówił z lekkim amerykańskim akcentem. Rysopis pasuje do Creasy'ego. Również jego postawa i zachowanie. Pułkownik przypomina sobie, że Jake Bentsen miał wówczas dwadzieścia jeden lat. Trzymał się blisko jednego z najemników. Mógł nim być właśnie Creasy. — Friedman upił parę łyków kawy i wyraził swoją opinię: — Rysuje mi się pewien scenariusz. Błazka Jake'a w tajemniczych okolicznościach trafia w ręce jego rodziców w San Diego. Wszystkie kierowane przez nich w przeszłości pytania o syna pozostały bez odpowiedzi. Być może młody Bentsen wspominał Creasy'ego w którymś ze swoich listów. Udało im się odszukać Creasy'ego. I dlatego właśnie Creasy rusza teraz do Wietnamu w poszukiwaniu Bentsena lub jego szczątków. I teraz wniosek: taki człowiek może zdziałać więcej niż my. Może zajrzeć tam, gdzie my nie możemy, gdzie nie wolno nam pojechać. Może zadawać pytania w sposób, w jaki nam nie wolno. Może na coś wpaść. A poza tym może zdobyć wiele informacji na temat innych MIA.

Spojrzał na nią przeciągle i dokończył: — Miej oczy i uszy otwarte. I jeśli się do ciebie zwróci, udziel mu wszelkiej pomocy.

* * *

Skończyła suszenie ciemnych włosów, przeszła do sypialni i włożyła bawełnianą sukienkę w kolorze niedojrzałej cytryny. Po dyskretnym makijażu i przejrzaniu się po raz ostatni w lustrze wyszła z pokoju. Postanowiła wypić w barze popołudniowy koktajl.

Schodząc po schodach zaczęła zastanawiać się nad tym, czy profesor Jason Woodward wart jest spędzenia reszty życia u jego boku. Zresztą on nigdy o tym nie wspominał. Nie prosił, by za niego wyszła. Choć tego tematu nie poruszył, wiedziała, że nigdy by jej nie opuścił. Zachichotała w duszy na myśl, że w pewnym sensie ona należy do tej samej kategorii rekwizytów jak rzędy zakurzonych książek, które Jason trzyma na półkach, i stare kapcie, które wkłada po powrocie wieczorem do domu. Tak, była rekwizytem w jego wygodnym, uporządkowanym życiu. Gdy usiłowała zdefiniować swoje uczucia, stwierdziła ze zdziwieniem, że w istocie kocha tylko jego umysłowość. Uwielbia sposób, w jaki Jason potrafi spojrzeć na problem czy wydarzenie. W jaki analizuje zagadnienia bez najmniejszych uprzedzeń czy założeń. Z pewnością fascynowało ją jego poczucie sprawiedliwości i bezstronność w ocenie faktów. Bardzo sobie ceniła długie rozmowy podczas kolacji, kiedy podejmowała się zawsze roli adwokata diabła, usiłując sprowokować argumentację i sięgnąć do sedna problemu. Oczywiście zdawał sobie sprawę z jej zamierzeń, uśmiechał się łagodnie i wdawał w dyskurs nadzwyczaj logicznego humanisty.

Usiłowała znaleźć odpowiedź na pytanie, co jest ważniejsze: współżycie fizyczne dwojga osób czy bliskość intelektualna. Czy wystarczy kochać człowieka dla jego umysłu, czy też konieczne jest dopełnienie tego rodzaju uczucia miłością fizyczną? Wielokrotnie dochodziła do wniosku, że byłoby lepiej nie mieć zmysłowych pragnień. Kiedyś przeczytała w biografii Ghandiego, że osiągnięcie apogeum intelektualnego jest niemożliwe bez uprzedniego poskromienia słabostek własnego ciała. Słabostkami Ghandi nazywał pożądanie seksualne, i świadomie je poskromił, by skoncentrować się na swej życiowej misji. Ale Susan nie czuła się Ghandim. Była normalną, atrakcyjną kobietą, która od czasu do czasu pragnęła iść do łóżka z mężczyzną i kochać się z nim.

Czasami skrycie zerknęła na mężczyzn, usiłując dopatrzeć się w nich zalet raczej fizycznych niż intelektualnych. Był na przykład pewien porucznik w jej biurze. Dostrzegała jego zainteresowanie swą osobą. Wysoki, muskularny, emanował

magnetyczną namiętnością. Był przy tym absolutnie tępy. Często marzyła o tym, by spotkać mężczyznę, posiadającego fizyczne cechy porucznika i umysł profesora. Miałaby zapewnione fizyczne zaspokojenie z jednej strony i stymulację intelektualną z drugiej. Na razie nikogo takiego nie spotkała. Zdawała sobie sprawę, że tymi myślami zasługuje na dwóję z moralności. Wiedziała przecież, że Jason ją kocha, a ona, akceptując tę miłość i tkwiąc przy nim, ma obowiązek pozostawać mu wierną.

Zeszła z ostatniego stopnia do holu i przestała myśleć o profesorze. Dziś jest dziś, a jutro zobaczymy.

* * *

Mroczne pomieszczenie zaskoczyło ją. Zatrzymała się, właściwie gotowa do zrezygnowania i odejścia. Ani jednej kobiety, sami mężczyźni, a większość z nich to cudzoziemcy, najprawdopodobniej biznesmeni lub dziennikarze. Sala tonęła w chmurze dymu. Postanowiła wyjść na werandę i tam kazać podać sobie drinka, ale kiedy szła przez bar, zatrzymał ją męski głos:

— Chyba się nie mylę, panna Moore?

Obróciła głowę. Obaj siedzieli przy stoliku: Jens Jensen i Sowa.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

W domu Bentsenów w San Diego tuż przed dziesiątą zadzwonił telefon. Starsi państwo oglądali właśnie serial telewizyjny. Pani Bentsen ściszyła dźwięk, Bentsen podniósł słuchawkę.

On słuchał, ona na niego patrzyła. Po trzech minutach powiedział: — Dziękuję. Życzę powodzenia.

Odłożył słuchawkę i poinformował żonę: — To był Creasy. Jutro wylatuje do Wietnamu. Zadzwonił, żeby o tym powiedzieć. Raz jeszcze przypomniał, że szansa jest bliska zeru i że nie powinniśmy się łudzić. Ma zamiar spędzić dwa tygodnie na Dalekim Wschodzie. Jeśli na cokolwiek trafi, natychmiast do nas zadzwoni.

Kobieta powróciła do oglądania telewizji. Wzmocniła dźwięk. Po kilku minutach powiedziała: — Najważniejsze, że z naszej strony zrobiliśmy wszystko, co było można. Jeśli Creasy nie natrafi na żaden ślad i nie dowie się, co się stało z Jake'em, zaakceptuję śmierć Jake'a.

Potem obdarzyła męża niemal pogodnym i beztroskim uśmiechem. — Za dwa tygodnie, bez względu na rezultaty, będę wreszcie mogła spać spokojnie.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Niemal z miejsca poczuła sympatię do Duńczyka. Nieco dłużej trwało nawiązanie kontaktu z Sową. Dokładnie do połowy kolacji. Drobny Francuz milczał, gdy pili drinki w barze, milczał też na początku posiłku w eleganckiej restauracji. W tym czasie Jens Jensen usiłował poznać jej inteligencję i fachowe przygotowanie. Czowała to wyraźnie. Nie była tym wcale urażona, gdyż czynił to zgrabnie i szarmancko.

Rozmowę na interesujące ich tematy zaczął od tego, iż rano zadzwonił do niego z Neapolu Creasy, zapowiadając przybycie do Sajgonu w ciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin. W towarzystwie przyjaciela, Guida. Z kolei Susan poinformowała Jensa, że przez pewien czas pozostanie w mieście, zawsze gotowa do udzielenia wszelkiej pomocy, jakiej jej biuro potrafi udzielić.

Dopiero po tym wstępie padły pierwsze pytania. Z początku dotyczyły jej osoby — życia prywatnego i środowiska, z jakiego pochodziła. Nieco tym rozbawiona mówiła długo o swych wczesnych latach w Bostonie, nauce w gimnazjum i studiach na uniwersytecie Wellesley. Wspomniała, że ma dyplom z historii nowożytnej. Następnie powiedziała, że jej ojciec został uznany za zaginionego w Wietnamie i że wtedy właśnie podjęła spontaniczną decyzję służby w siłach zbrojnych. Jens słuchał z uśmiechem jej opowieści o pierwszych dniach szkolenia unitarnego i nagłym przeskoku z komfortu życia w patrycjuszowskiej rodzinie, obciążonej tradycjami Nowej Anglii, do rygorów obowiązujących w wojsku.

Przez cały ten czas Sowa siedział zatopiony w myślach, jakby przebywał w innym wymiarze. Z apetytem zjadał doskonały posiłek i popijał białe wino.

Duńczyk przeszedł do pytań na temat jej obecnej pracy. Ciekaw był zasad funkcjonowania Biura MIA. Jego zainteresowanie wynikało z pewnej zbieżności działania dwuosobowego biura poszukiwań osób zaginionych i federalnej instytucji zajmującej się tym na wielką skalę. Była to praca pełna frustracji i często bez nadziei na sukces. Podczas rozmowy Susan i Jens znaleźli szybko wspólny język i zaczęli sobie opowiadać, jak często opierać się muszą na strzępach informacji, pogłoskach i plotkach, polegając na własnej intuicji i podpierając się optymizmem. Zdradziła Jensowi, że w zasadzie jedynym rezultatem były szkielety bądź rozsypane szczątki ludzkie. Wielką pomocą okazał się postęp w technice, który

pozwała na porównywanie kodów genetycznych, ale mimo tego zidentyfikować można było najwyżej dwa procent odnalezionych kości.

— Czy to warte takiego wysiłku? — spytał Jens.

Jej „tak” było wypowiedziane stanowczo i bez najmniejszego wahania. Opowiedziała mu o swym zaginionym ojcu i o znaczeniu, jakie by to miało dla niej i dla matki, gdyby któregoś dnia mogły pochować jego szczątki na wojskowym cmentarzu w Arlington.

Chyba zrozumiał i nagle pojawił to także Sowa. Popatrzył bacznie znad soczystego antrykotu i po raz pierwszy wziął udział w rozmowie:

— Ilekroć odwiedzam Marsylię, idę na grób mojej matki. Sprzątam go i kładę na nim kwiaty. — Po raz pierwszy uśmiechnął się. — Czy wiecie, że na Madagaskarze co kilka lat odkopuje się szkielety przodków, odziewa w piękne szaty i obwozi dokoła miasta lub wsi? Potem jest wielkie przyjęcie i wszyscy doskonale się bawią. Bardzo mi się to podoba — zakończył i powrócił do jedzenia. Jens mrugnął porozumiewawczo do Susan. — Już to sobie wyobrażam — powiedział. — Sowa paradujący wokół Marsylii z rodzicami na rękach. Od razu by go zamknęli, a klucz wrzucili do rzeki.

Francuz zignorował uwagę. — Lubi pani muzykę? — spytał.

— O tak!

— Jaką?

— Głównie klasyczną. — W oczach Sowy zauważyła nagle zainteresowanie.

— Jakich kompozytorów?

— Mozart, Verdi, Beethoven oraz przyznaję się do Straussa.

Poważnie pokiwał głową. Miała wrażenie, że dobrze przeszła próbę, jakiej od początku rozmowy poddawał ją Jens, i że zdała także egzamin u Sowy.

— Ma pani dobre kontakty z miejscowymi władzami? — spytał.

— Bardzo dobre. Z dwóch powodów. Po pierwsze, Wietnamowi bardzo zależy na uznaniu dyplomatycznym przez Stany Zjednoczone i zniesieniu wszystkich sankcji. Nasz rząd stawia warunek: pełna współpraca i pomoc w sprawach MIA. Po drugie, przyjeżdżając tu lub do Hajfongu nigdy nie grozę kijem. Postarałam się dobrze poznać mentalność Wietnamczyków, a zwłaszcza tutejszych władz, i raczej proszę o pomoc niż jej żądam.

Jens wpatrywał się w nią przez kilka sekund i podjął decyzję. Sięgnął do stojącej na ziemi aktówki i wyjął z niej papierową cienką teczkę, którą podał Susan mówiąc: — Oto pewne dane dotyczące Wietnamczyka o nazwisku Van Luk Wan. Za czasów dawnego reżimu był wysokiej rangi policjantem w wydziale antykorupcyjnym. Pod koniec 1968 roku został poważnie postrzelony. Udało mi się stwierdzić, że opuścił szpital 27 stycznia 1969 roku. Chcę wiedzieć, co się z nim stało i czy przebywa w Sajgonie.

Otworzyła teczkę i zagłębiła się w dokumenty. Po zapoznaniu się z ich treścią powiedziała: — Istnieją trzy możliwości. Albo opuścił kraj przed upadkiem Saj-

gonu, albo go schwytano i zabito z powodu jego policyjnej przeszłości, albo też wysłano do obozu reedukacyjnego. I w tym ostatnim przypadku mógł przeżyć. — Zamknęła teczkę. — Czy mogę to chwilowo zatrzymać?

Duńczyk wyraził zgodę skinieniem głowy.

— Mogłoby mi bardzo pomóc, gdybym wiedziała, dlaczego go szukacie i kto go postrzelił w 1968 roku.

Jens spojrział na Sowę. Musiało między nimi istnieć telepatyczne porozumienie, gdyż po chwili Duńczyk odpowiedział: — Postrzelił go Creasy i był pewien, że zabił. Okazuje się, że Wan chyba przeżył, mamy bowiem podstawy sądzić, że to on właśnie dostarczył rodzicom Jake'a Bentsena nieśmiertelnik.

— Osobiście nie wierzę, by Jake Bentsen żył. — Ponownie rzucił okiem na Sowę. — Naszym zdaniem blaszka jest przynętą, mającą zwabić Creasy'ego do Południowo-Wschodniej Azji.

— Może mieć pan rację — odparła. — Zwłaszcza, że Creasy znał Jake'a Bentsena.

Zauważyła zaskoczenie w oczach Jensa. — Skąd może to pani wiedzieć?

Pochyliła się nad stołem i obdarzyła Duńczyka najśłodszy uśmiechem, jaki miała w zanadrzu na podobne sytuacje. — Nie jest pan jedynym detektywem w tej restauracji, panie Jensen. Pański przyjaciel Creasy walczył tu jako najemnik, jako tak zwany nieoficjalny żołnierz. Jest rzeczą niemal pewną, że uczestniczył z Bentsenem w patrolu, podczas którego Jake'a uznano za zaginionego. Nie znam tylko odpowiedzi na pytanie, dlaczego po tylu latach taki człowiek jak Creasy przyjeżdża do Wietnamu w poszukiwaniu kogoś, kto w najlepszym wypadku mógł być tylko znajomym. I dlaczego ponosi wielkie ryzyko, wysyłając pana i pańskiego przyjaciela w charakterze forpoczty. Z pewnością nie robi tego dla pieniędzy. Sprawdziłam stan majątkowy Bentsenów. Nie mają wiele, a tym bardziej tyle, by wynająć jednego z najdroższych najemników i jego drużynę.

Zapadła niezręczna cisza. Wreszcie Jens spytał: — Skąd pani to wszystko wie?

— Moja praca polega na tym, by wiedzieć wszystko, co dotyczy konkretnej sprawy. A kiedy moi przełożeni wydają mi polecenie udzielenia komuś wszelkiej pomocy, to chcę wiedzieć, kim ten ktoś jest. Jestem pewna dwóch rzeczy. Że Creasy jest bardzo twardym człowiekiem i że nie ulega sentymentalnym porywom. Tak więc, drogi panie Jensen, jeśli nasza kooperacja ma przynieść dobre rezultaty, to musi pan być ze mną szczery. Chcę znać motywację Creasy'ego.

Przerwali na chwilę rozmowę, gdy kelner podawał kawę. Po jego odejściu Jens powiedział: — Po pierwsze, dość „panów Jensenów”. Jestem Jens. Jeśli idzie o motywację Creasy'ego, to mogę najwyżej spekulować. Ale nie mam w zwyczaju dzielić się spekulacjami, bo to do niczego nie prowadzi, a może przynieść szkody. Za dwa dni spotka pani Creasy'ego. Może on pani powie. A jeśli powie, to mam nadzieję, że podzieli się pani informacją ze mną.

— W porządku. A jutro rano zacznę rozglądać się za ewentualnym miejscem pobytu pana Van Luk Wana.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Dang Hoang Long, mimo iż należał do grona oddanych komunistów, był w każdym calu dżentelmenem. W pierwszej połowie lat pięćdziesiątych ukończył Sorbonę i uważał się za frankofila, aż do pewnego wieczoru w kawiarni Montparnasse'u, kiedy to wdał się w rozmowę z grupką pobratymców-Wietnamczyków. Jeden z nich nosił okrągłe grube szkła i miał głos tak charyzmatyczny, że pokonał wszelkie sentymenty, a nawet logikę słów. Przedstawiono go jako pana Ho.

Nieco później tego samego wieczoru, gdy wszyscy inni już sobie poszli, Dang Hoang Long pozostał sam z panem Ho i obaj panowie przegadali wiele godzin, prawie do świtu. Dang miał właśnie wracać do Sajgonu, by objąć tam stanowisko we francuskiej służbie celnej. Pan Ho długo go wypytywał o rodzinę, o przekonania polityczne i poglądy na temat przyszłości Wietnamu. Samego Danga zdziwiło, że w tej ostatniej sprawie zaczyna udzielać odpowiedzi, które bardzo by się nie spodobały francuskim panom wietnamskiej ziemi.

Na zakończenie rozmowy pan Ho poprosił o sajgoński adres Danga i zapisał go skrupulatnie w czarnym notesiku. Gdy żegnał się przed kawiarnią, w mżącym deszczu, Dang go zapytał:

— Jak brzmi pańskie pełne nazwisko?

Mężczyzna w grubych szklach powiedział:

— Jestem Ho Szi Min.

Dopiero po czterech latach do domku Danga na przedmieściu Szolon zapukał mężczyzna. Przez te cztery lata Dang kilkakrotnie awansował i był już wysokiej rangi oficerem służby celnej nowego niepodległego rządu Południowego Wietnamu. Przybyły mężczyzna podał mu list, poczekał, aż Dang go przeczyta, potem list odebrał i spalił. W tym momencie, gdy patrzył na płonącą kartkę, Dang stał się agentem Wietmin, a potem, gdy pojawili się Amerykanie, agentem Wietkongu.

Po upadku Sajgonu Dang został wynagrodzony za lata wiernej służby miejscem w politbiurze z odpowiedzialnością za miasto Ho Szi Min. Ponieważ miał wyższe wykształcenie i wieloletnie doświadczenie w kontaktach z Amerykanami, obarczono go także dyplomatycznymi kontaktami z Amerykanami w sprawach dotyczących dawnego Południowego Wietnamu. Polecenia płynące z Hanoi były jasne: potrzebne jest nam uznanie dyplomatyczne przez Stany Zjednoczone,

potrzebne są nam amerykańskie inwestycje, amerykański handel i amerykańskie technologie. W związku z tym współpracujemy z nimi w dopuszczalnych granicach.

W gabinecie Danga skrzydło sufitowego wentylatora kręciło się wolno, ledwo poruszając wilgotne powietrze. Z termosu Dang nalał gościowi szklanę zimnej wody. Gościem była kobieta. Zawsze wzbudzała w nim ojcowskie uczucia. Sam nie wiedział dlaczego. Z pewnością nie tylko dlatego, że była od niego młodsza o jakieś czterdzieści lat. Chodziło raczej o jej zachowanie. Odnosił wrażenie, że ona go szanuje i czeka na rady. W ciągu ostatnich lat często go odwiedzała i czasami jedli razem kolację lub lunch. Dang szanował ją za to, że podjęła wielki wysiłek i nauczyła się języka wietnamskiego. Zrobił wszystko, co mógł, by trafić na ślad ciała jej ojca, i bardzo żałował, że mu się to nie udało. Szanował ją też za to, że poświęca tyle samo czasu sprawom innych zaginionych, co sprawie własnego ojca. Powiedział teraz do niej:

— Droga Susan, mamy już tylko osiemnaście nie zakończonych spraw, wyjątkowo trudnych i nie rokujących wielkich nadziei. Tracimy czas, a wraz z nim cierpliwość. Zrobiliśmy wszystko, czego żądaliście. Chyba się z tym zgodzisz? Podczas wojny przewinęło się przez Wietnam ponad dwa miliony Amerykanów. Pięćdziesiąt dwa tysiące zginęło albo uznano ich za zaginionych. W tym samym czasie w USA więcej ludzi zginęło w wypadkach samochodowych lub zniknęło bez śladu. Co jeszcze możemy zrobić?

Już wiele razy słyszała podobne argumenty. I właściwie zgadzała się ze starszym mężczyzną po drugiej stronie biurka. — Mówię to nieoficjalnie, Hoang Long: w Waszyngtonie jest głośno od plotek, że uznanie dyplomatyczne jest tuż-tuż. A wraz z nim wszystko inne. Moje ostatnie raporty są dla was korzystne. . .

Poważnie skinął głową i zapytał: — A więc co sprowadza cię tym razem do Sajgonu i w czym miałbym pomóc?

Położyła mu na biurku kartkę. — Chcę odnaleźć tego człowieka lub dowiedzieć się, co się z nim stało.

Przeczytał nazwisko i zawarte na kartce krótkie dane. Spojrzał na Susan z uniesionymi brwiami. — Czyżby wasze agendy przerzuciły się na odszukiwanie zaginionych wietnamskich policjantów?

— To ma związek ze sprawą jednego z naszych MIA. Może nam pomóc w śledztwie dotyczącym jego osoby.

Wstał, zabierając kartkę. — Ponieważ lubisz kantońską kuchnię, zabiorę cię na lunch do jednej z niewielu pozostałych w Szolon chińskich restauracji. A w tym czasie mój najlepszy pracownik spróbuje odszukać tego Van Luk Wana.

* * *

Uświadomiła sobie, że on próbuje z nią flirtować. Nie sprawiało jej to przykrości. Wiedziała, że Dang dobiega siedemdziesięciu pięciu lat, ale miał nadal męski urok. Długimi pałeczkami wybierał dla niej najapetyczniejsze kawałki ostryg abalone.

— Dlaczego nigdy nie wyszłaś za mąż? — spytał.

Spojrzała w jego ciemne oczy, w których czaiły się iskierki przekornego humoru.

— Ponieważ nikt nigdy mi tego nie zaproponował.

— Nikomu nie dałaś sygnału, że tego oczekujesz. Jesteś zbyt surowa dla mężczyzn.

— Nigdy właściwie nie poznałam mężczyzny, którego chciałabym zachęcić, żeby się oświadczył.

— Być może nigdy odpowiednio szeroko nie zarzuciłaś sieci.

— Czy kobieta musi zarzucać sieć, żeby spotkać odpowiedniego mężczyznę?

— Oczywiście! — odparł bardzo poważnie. — Oczywiście, że tak. Tylko że to musi być sieć z wielkimi okami, żeby małe rybki spokojnie sobie odpłynęły.

Odparła równie poważnie: — Może oka mojej sieci były zbyt wielkie, za wielkie nawet na duże ryby.

Nieoczekiwanie wykazał lekką irytację. — Obawiam się, Susan, że nie zarzuciłaś żadnej sieci. Ile masz lat?

Nie była zaskoczona obcesowością pytania, bardzo niecodzienną w przypadku Wietnamczyka. Skoro jednak znali się tyle lat? Być może zdobył prawo zadawania intymnych pytań.

— Trzydzieści cztery — odparła.

Pochylił się, wybierając kolejny kawałek abalone, który położył jej na talerzu. — Jesteś w swojej armii kapitanem, masz zapewnioną karierę. Wiem, że cieszysz się dobrą opinią u przełożonych. Jesteś ładna i inteligentna... Czy miałaś wielu kochanków?

Roześmiała się. — A jaka ich liczba, według ciebie, pasowałaby do mnie lub była właściwa w moim wieku? — spytała.

— Nie mniej niż pięciu i nie więcej niż dziesięciu — odpowiedział po głębokim namyśle.

Przeprowadziła w myślach błyskawiczny bilans i znów się roześmiała. — Trafiłeś. Było ich siedmiu, nie licząc pijanego wyskoku w wieczór promocji.

— Obecnie nie masz kochanka?

— W pewnym sensie mam. Ale jest to raczej intelektualny związek.

— Co to konkretnie oznacza?

— Oznacza, że dużo rozmawiamy i prawie nic więcej.

Kelner podał ostatnie danie i stary mężczyzna znowu wybierał kaski i nakładał jej na talerz. — Byłabyś dobrą matką — powiedział. — Wiem, że byłaś dobrą córką. Jedno z drugim się łączy. Jedno wynika z drugiego. Wietnamczyk, z którym teraz rozmawiasz, bardzo boleje nad tym, że twój ojciec tu właśnie utracił życie i że nie można odnaleźć nawet jego szczątków. Chciałbym, abyś znalazła tu szczęście. Nasz kraj zaznał zbyt wiele smutku i bólu. Przelano tu zbyt wiele krwi. Najwyższy czas, aby zaczęło zakwitać tu szczęście.

Spojrzała w głąb prawie pustej restauracji. Właśnie weszła do niej młoda kobieta. Skierowała kroki do Danga i podała mu kopertę. Wypowiedziała parę krótkich zdań i wyszła.

Kelner przyniósł czajnik świeżej herbaty. Dang rozerwał kopertę, wyjął z niej dwie kartki i zaczął czytać. Susan zauważyła ironiczny uśmiech na jego ustach. Podniósł wzrok i spytał: — Czy coś dla ciebie znaczy data trzydziestego kwietnia siedemdziesiątego piątego roku?

— Oczywiście. Tego dnia poddał się rząd południowowietnamski.

— Tak — odparł. — Tego właśnie dnia ostatni Amerykanie odlecieli helikopterem z dachu amerykańskiej ambasady. Był wśród nich amerykański ambasador i jego pies. Wiele tysięcy wietnamskich służalców waliło w bramy ambasady, chcąc się dostać na jej teren. Jednym z nich był twój poszukiwany przyjaciel, Van Luk Wan. Nie udało mu się. Wraz z wieloma innymi został aresztowany przez komunistów. — Dang spojrzał na leżące przed nim kartki. — Twierdził, że był drobnym funkcjonariuszem w administracji Duong Van Mihna. Wysłano go więc do obozu w górach. Nieco później odkryto, że był wyższym oficerem policji tejże samej administracji, i ściągnięto go na przesłuchanie do Ho Szi Min.

— Po przesłuchaniu został zgładzony? — spytała.

Zaprzeczył ruchem głowy. — Tak należałoby sądzić. Był winien licznych przestępstw przeciwko narodowi wietnamskiemu, a w owym czasie powszechne było zrozumiałe pragnienie zemsty. Ale Wan ocalał. Został w pewnym sensie wykupiony.

— Wykupiony? — zdziwiła się.

— Tak. W dawnym systemie korupcja w Sajgonie przybrała olbrzymie rozmiary. Ta korupcja niestety przetrwała i w pewnym stopniu istnieje po dziś dzień. Została dana łapówka. Olbrzymia łapówka i Van Luk Wan otrzymał zezwolenie na opuszczenie kraju.

— Dokąd wyjechał?

Dang ponownie zerknął na zapisane kartki. — Wymiany dokonano na granicy kambodżańskiej.

Susan upiła łyk prawie już zimnej herbaty i spytała:

— Co jeszcze wiesz w tej sprawie?

Dostrzegła lekkie zakłopotanie na twarzy Danga.

Zaczął mówić: — Wiesz przecież, że to był trudny czas. Za pieniądze można było wiele kupić. Teraz też. Z akt wynika, że Van Luk Wan był ściśle powiązany z człowiekiem, który podczas wojny handlował z Południowym Wietnamem. Osobnik z piekła rodem. Przekupywał na lewo i na prawo. Amerykanów i Wietnamczyków. Z dokumentów wynika, że po upadku Sajgonu przekupił kilku wyższych funkcjonariuszy komunistycznych. I dokumenty mówią, że zapłacił kilogram złota za uwolnienie Van Luk Wana.

— Jak on się nazywał?

— Bili Crum.

* * *

Po wyjściu z restauracji wsiadła do rikszy, która po przecięnięciu się przez zatłoczone uliczki Szolon zawiozła ją na drugą stronę rzeki w labirynt równie zatłoczonych ulic śródmieścia Sajgonu. Rozsadzało ją podniecenie. Odezwał się w niej duch współzawodnictwa. Detektyw Jens Jensen powierzył jej zadanie, rzucając zaledwie ochłap informacji, a oto miała pełną odpowiedź zaledwie po dwudziestu czterech godzinach. Chciała czym prędzej podzielić się tą informacją. Z niecierpliwością bębniła palcami w obudowę siedzenia rikszy, gdy ta z trudem przeciskała się między innymi pojazdami.

W hotelowej recepcji spojrzała na rzędy kluczy. Wiedziała, że Jensen zajmuje pokój 36. Klucza na tablicy nie było. Nie czekając na windę, pobiegła na trzecie piętro i mocno zapukała do drzwi. Miała przygotowane piękne wprowadzenie. Zamierzała z prostą nonszalancją przekazać informację, jakby to była drobna przysługa.

Drzwi się otworzyły. Musiała podnieść wyżej głowę, by zobaczyć przed sobą twarz nieznanego mężczyzny, zarazem tajemniczą i groźną. Nagle ogarnęło ją poczucie bezpieczeństwa. Widziała tylko głęboko osadzone oczy i bruzdy blizn.

— Pan Creasy?

— Tak. A pani jest Susan Moore? — Głos miał głęboki, przedziwnie kojący.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Czuła się wśród nich wyobcowana. Odnosiła absurdalne wrażenie, że jest uczennicą zdającą egzamin przed dostojnym gronem nauczycieli.

Siedzieli przy okrągłym stole w barowej sali hotelowego parteru. Creasy naprzeciwko niej, ze swym przyjacielem z Włoch po prawej ręce, a z obu stron tej pary Jensen i Sowa. Cała ich czwórka odnosiła się do siebie familiarnie, jakby byli członkami jednej rodziny. W oczekiwaniu na podanie drinków, rozmawiali. Przysłuchiwała się. Żartowali i wspominali dawne czasy i dawnych przyjaciół. O nie, nie wyłączali jej z rozmów świadomie, nie separowali się od niej. Po prostu jakaś niewidzialna szyba oddzielała jej świat od ich świata. Poczuli się samotna i, aby uciec od tych myśli, skoncentrowała się na obserwowaniu czwórki mężczyzn.

Creasy i Guido byli podobni, chociaż na pierwszy rzut oka Włoch wydawał się wręcz nieprzyzwoicie przystojny: kruczycie włosy siwiejące na skroniach, opalona twarz. Uśmiechał się łatwo i beztrąsko. W czarnym jedwabnym polo i w czarnych spodniach wyglądał jakby właśnie wyszedł z salonu mody męskiej Armani. Kiedy na nią patrzył, widział tylko jej twarz i ciało. Kiedy patrzył na nią Creasy, skupiał uwagę na jej intelekcie.

Sowa jak zwykle milczał, pilnie obserwując i słuchając. Duńczyk ustawił na stole notebooka i wpatrywał się w zielony ekran. Zerknął na Susan i powiedział niemal wesoło: — Możesz zaczynać, moja droga!

Zaczęła więc zdawać relację z rozmowy z Dang Hoang Longiem. W pewnej chwili Creasy jej przerwał.

- W jakim języku rozmawialiście?
- Wietnamskim.
- Zna go pani dobrze?
- Biegle.
- Jakie inne języki pani zna?
- Dobrze francuski i dostatecznie khmerski.

Zachował nieruchomy wyraz twarzy, ale zauważyła jego spojrzenie rzucone Guido. Kontynuowała sprawozdanie, nadal czując się jak uczennica przed egzaminatorami. Pod wieloma względami była od nich młodsza. Zarówno wiekiem, jak i doświadczeniem. Dobrze znała przeszłość każdego z nich i, mimo iż należa-

ła do kobiet bardzo pewnych siebie, nie potrafiła pozbyć się kompleksu niższości i jakby nieśmiałości, gdy przebywała w ich towarzystwie. Przez parę minut słuchali w milczeniu. W pewnym momencie Guido jej przerwał, pytając o przeszłość Dang Hoang Longa. Podała mu pokrótce wszystkie istotne szczegóły jego kariery, nie zapominając o mającym decydujące znaczenie spotkaniu z Ho Szi Minem w Paryżu. Jensen przez cały czas wstukiwał informacje do komputera.

— Dlaczego on pani ufa? — spytał Creasy.

— Ponieważ zawsze byłem z nim szczerza i, w odróżnieniu od wielu innych Amerykanów, nie traktuję ani jego, ani w ogóle Azjatów z góry, z łaskawą wyższością.

— Bardzo właściwe zachowanie — odparł Creasy. — Mówiąc szczerze nie rozumiem, dlaczego Amerykanie nie mieliby traktować Wietnamczyków z pełnym szacunkiem. Przecież podnieśli oręż przeciwko najpotężniejszej machinie wojskowej świata i pokonali ją.

— Pan też stanowił częsteczkę tej maszyny. — Musiała to powiedzieć. Nie mogła sobie odmówić tej satysfakcji.

Na jego ustach pojawił się, lecz momentalnie zgasł nikły uśmiech. — Tak, przez bardzo krótki czas. I wiele się wówczas nauczyłem. Przyjechałem prosto z Afryki Zachodniej, gdzie uczestniczyłem w paru wojnach. I chociaż wiedziałem, że Wietmin dał w kość Francuzom, nadal uważałem, że Wietnamczycy są słabymi żołnierzami. Wkrótce porzuciłem to błędne mniemanie. Jeśli idzie o wojnę partyzancką w dżungli, to dorównują im tylko Japończycy i Ghurkowie... Proszę mówić dalej.

Opowiedziała, jak Van Luk Wan został najpierw zatrzymany przez zwycięskich żołnierzy Północnego Wietnamu, a następnie wymieniony za kilogram złota.

Tym razem Creasy jej przerwał, wyraźnie zainteresowany: — Wie pani, kto dał ten okup?

— Wiem. Mieszaniec chińsko-amerykański o nazwisku Bili Crum.

Creasy zachował pokerową twarz, ale przez oczy przemknął mu dziwny błysk.

— Zna go pan? Coś pan o nim wie? — spytała.

Creasy patrzył w przestrzeń ponad głową Susan. Myślami wędrował w przeszłości.

Powtórzyła pytanie. Skinął głową.

— Znam go. Bili Crum to najohydniejsza kreatura, jaką znam. A spotkałem ich wiele... — Zerknął na Guida, który wpatrywał się w niego z zainteresowaniem. — Uczyniłem w życiu kilka rzeczy, których żałuję, chyba każdy z nas to zrobił, ale pewnej zimnej nocy na początku roku 1977 zrobiłem coś, z czego jestem bardzo dumny... Zabiłem potwora o nazwisku Bili Crum. Zabiłem go w przerobionym ze świątyni apartamencie na Nowych Terytoriach Hongkongu, a potem spaliłem jego ciało i świątynię. Nic nie zostało...

Jens przestał stukać w klawisze komputera. Zafascynowany patrzył na Creasy'ego. — Wyjechałeś z Wietnamu dziesięć lat przedtem. Dlaczego go zabiłeś?

— Kontrakt — odparł Creasy. — Zlecona robota. Wynajęto mnie, żebym to zrobił. W zasadzie nie przyjmuję podobnych zleceń. Nie jestem mordercą, ale w tym wypadku była to czysta przyjemność.

— Kto pana wynajął? — zadała pytanie Susan.

Creasy długo się jej przyglądał, zanim odpowiedział:

— Pewna agenda rządu Stanów Zjednoczonych.

Jej reakcja była natychmiastowa, niemal odruchowa: — Mój rząd nie wynajmuje rewolwerowców!

Creasy i Guido głośno się roześmieli. Susan poczuła wzbierający w niej gniew. — Taka rzecz mogła się wydarzyć w latach sześćdziesiątych — zareplikowała. — Ale w latach siedemdziesiątych zdecydowanie z tym zerwano.

Obaj najemnicy powtórnie się roześmieli, a Guido dodał: — Od czasów prezydentury Johna F. Kennedy'ego oficjalna polityka wszystkich prezydentów zawierała postanowienie, że w żadnym wypadku nie będą wydawane rozkazy fizycznej eliminacji kogokolwiek. Ale czasami, droga panno Moore, prezydenci uciekają się do metody tak zwanej becketowskiej akceptacji.

— Nie rozumiem — powiedziała Susan.

Włoch pochylił się ku niej. — Wie pani, kim był Thomas Becket? I jak zginął?

Zadał te pytania uwłaczającym tonem profesorskim. To ją rozzłościło jeszcze bardziej. — Wiem, panie Aurello. Chodziłam do szkoły.

Guido skinął głową. — Doskonale. Wobec tego pani wie, że kiedy Thomas Becket zaczął zbyt drażnić swego władcę, król rzucił swym rycerzom pytanie: „Kto mnie uwolni od tego czyniącego zamieszanie księżyny?”. Czterech rycerzy bez zwłoki pośpieszyło do katedry Canterbury i zabiło mieczami Thomasa Becketa. Na wieść o tym król okazał zgorzniecie. . . W dzisiejszych czasach, ilekroć amerykański prezydent ma kłopoty z jakimś obcym mężem stanu, zdarza się, że wymrukuje do szefa personelu Białego Domu albo do doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego lub do dyrektora CIA coś takiego jak na przykład: „Ach, żeby tego drania diabli wzięli!”. Oczywiście nie jest to prezydencki rozkaz i sam prezydent okazałby wielkie oburzenie, gdyby mu ktoś powiedział, że zachęcał do morderstwa. — Włoch uśmiechnął się. — W polityce to właśnie nazywa się „becketowską aprobatą”. . . I niech panią pocieszy fakt, że nie tylko amerykańscy prezydenci korzystają z podobnie „moralnego” parawanu i podobnej osłony.

Spojrzała na Creasy'ego i zadała mu pytanie: — Ile zapłaciła panu CIA za zabicie Billa Cruma?

Odpowiedział bez skrępowania: — To nie była CIA. To było konsorcjum wyższych amerykańskich oficerów, których Crum szantażował. Zapłacili mi dwieście tysięcy franków szwajcarskich, co w owych czasach było poważną sumą. No ale moim zadaniem było także zniszczenie wszystkich dokumentów, jakie znajdo-

wały się w świątyni. Zapoznałem się z nimi przed spalaniem. Niezbyt budująca lektura.

Jej gniew zastąpiła ciekawość. — Daje mi pan do zrozumienia, że w amerykańskich siłach zbrojnych istniała korupcja na wielką skalę? Mam na myśli okres wojny wietnamskiej.

— Większa korupcja, niż ktokolwiek to sobie wyobraża. Skoro jest pani z zawodu i zamiłowania historyczką, to pewno wie pani, że pod koniec lat sześćdziesiątych w bazach amerykańskich w Wietnamie i wokół tych baz rozwinął się wielki przemysł. Tygodniowe obroty wojskowych kantyn i bezcłowych sklepów były większe niż największego koncernu handlowego Searsa obejmującego sieć swoich domów towarowych całe Stany. Setki milionów dolarów miesięcznie. Bazy wojskowe stały się gigantycznymi domami towarowymi, w których było wszystko, od wykwintnej bielizny po najlepszy sprzęt stereo. Jeden z domów mody z Hongkongu miał na terenie baz ponad dwadzieścia salonów mody. Na terenie baz znajdowały się nocne kluby z filipińskimi orkiestrami i australijskimi striptizerkami. Była to jedna wielka pajęcza sieć, pośrodku której tkwił pająk, Bili Crum. Kontrolował wszystko. Od narkotyków, poprzez kobiety, do whisky. Miał kwaterę główną w willi na przedmieściu Sajgonu. W willi tej podejmował wyższych oficerów amerykańskiej armii, zwłaszcza tych, którzy mieli coś wspólnego z zaopatrzeniem. Mówiono, że Bili Crum potrafi zrealizować każde zamówienie. Od partii prezerwatyw do najnowszego modelu czołgu *Abrams*. W willi czekały na gości dziewczęta, narkotyki oraz tak zwane wietnamskie złoto. Były to cienkie jak papier płatki kruszcu, którymi można było wykleić dno walizki czy schować w paskach lub w obuwiu. Crum opracował też system podsłuchu i nagrywania rozmów. Jego urządzenia nie były gorsze od tego, które Nixon kazał zainstalować w Watergate. Po zakończeniu wojny Crum wrócił do Hongkongu, kupił sobie port jachtowy na Nowych Terytoriach i starą świątynię, którą przebudował na dom mieszkalny. Oczywiście zabrał ze sobą wszystkie nagrania, dokumenty i fotografie. Problem zrodził się w połowie lat siedemdziesiątych, kiedy paru dziennikarzy z grona tak zwanych dociekliwych, pracujących dla programu „Sześćdziesiąt Minut” telewizji NBC, zaczęło wokół niego i całej sprawy węszyć. Bili Crum był obywatelem amerykańskim i Departament Sprawiedliwości rozpoczął procedurę ekstradycyjną. Wtedy właśnie Bili Crum zaczął naciskać na paru generałów, a mnie wynajęto, bym go wyeliminował i zniszczył całą dokumentację... Nieskromnie przyznaję, że odwaliłem dobrą robotę.

Susan uwierzyła w tę opowieść. Creasy nie miał żadnego powodu, by kłamać. Jens podniósł głowę znad komputera i spytał Creasy'ego: — Co łączyło Cruma i Van Luk Wana?

— Wan dla niego pracował. Crum był skończonym draniem, ale uznawał zasadę złodziejskiej lojalności. Poza tym kilo złota to była dla niego pestka.

— Gdyby Bili Crum żył, to jego podejrzewałbym o zastawianie na ciebie pu-

łapki — odezwał się Guido. — Miał rodzinę, krewnych?

— Miał córkę z Kambodżanką. Uwielbiał ją. Była jedynaczką.

— Czy ona może wiedzieć, że zabiłeś jej ojca? — spytał Guido.

— W zasadzie nie. Ale już w paru sprawach pochopnie zakładałem różne rzeczy. Założyłem, że Jake Bentsen zginął podczas patrolu i że zabiłem Van Luk Wana strzałem z pięciu metrów w klatkę piersiową. Więc może i ona wie, że zabiłem Billa Cruma.

— Gdzie ona może teraz być? — spytała Susan.

Creasy wstał i przeciągnął się. — Pojęcia nie mam. Ale chyba powinniśmy zacząć się za nią rozglądać.

Pozostali też wstali. Duńczyk spytał: — Jak ona się nazywa?

— Wołano na nią Connie. Matka Billa Cruma miał na imię Konstancja. — Zwrócił się do Susan: — Bardzo nam pani pomogła, panno Moore. Jesteśmy niesłychanie wdzięczni. Mam nadzieję, że dziś wieczorem zje pani z nami kolację. Później pójdziemy odwiedzić parę spelunek, które zapamiętałem z tamtych lat. Oczywiście, jeśli jeszcze któryś z tych lokali istnieje. I może gdzieś coś podsłuchamy.

— Chętnie przyłączyłabym się do panów, ale pewno wolicie zostać sami i żeby wam nikt obcy głowy nie zawracał. . .

Sprawę rozstrzygnął Guido mówiąc: — Pójdzie pani z nami, ktoś przecież musi nas pilnować, żebyśmy nie narozrabiali.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

— Chwycił przynętę! — Twarz Van Luk Wana promieniała złośliwą radością.

— Jesteś pewien? — spytała Connie.

— Absolutnie. Moi ludzie zauważyli go wczoraj, kiedy opuszczał lotnisko Than Son Nut. Sprawdziłem w kontroli granicznej. Używa własnego nazwiska. Towarzyszy mu niejaki Guido Aurello. Wpis kontrolny stwierdza, że jest Włochem z Neapolu.

— Coś niecoś o nim wiem. To najbliższy przyjaciel Creasy'ego. Byli razem w Legii Cudzoziemskiej, a potem współpracowali jako najemnicy. — Zatopiała się w myślach.

— Czy on też jest niebezpieczny? — zapytał Wan.

— Bardzo niebezpieczny. Ale z moich informacji wynika, że przed wieloma laty wycofał się z interesu. Fakt, że przylecieli razem, może oznaczać, iż Creasy podejrzewa pułapkę. W takim wypadku Aurello może nie być jego jedynym towarzyszem wyprawy. Musimy być bardzo ostrożni. Ten bydlak Creasy nigdy nie pakuje się w nic w ciemno. — Rzuciła Wanowi ostre spojrzenie. — Jesteś pewien, że twój człowiek, ten który ma pilnować Creasy'ego, jest naprawdę dobry?

— Najlepszy z najlepszych — powiedział Wan z wielką pewnością siebie. — Doświadczony fachowiec od inwigilacji. Ale niezupełnie rozumiem, na czym polega twój plan. Chcesz, żeby Creasy go dostrzegł, pochwycił i wydusił z niego informacje, które mu podsunęliśmy. Mój człowiek oczywiście nic o tym nie wie. Myśli, że otrzymuje duże pieniądze za dobrą robotę. Dobrze go przygotowaliśmy. Pojechał do Chek i widział malutki odcinek naszej operacji. Widział też z daleka „Amerykanina” z kajdankami na nogach. Słyszał, jak wydawałem polecenia dotyczące Amerykanina, co do miejsca, które ma być odminowane. Był zdumiony i zbudowany, że mamy Amerykanina. Powiedziałem, że nie tylko tego jednego, ale wielu innych.

Connie uśmiechnęła się. — Bo to i prawda. Ale jak zareagował Holender na polecenie założenia na nogi łańcuchów?

Wan wykrzywił twarz w złośliwym grymasie mającym wyrażać radość, — Nerwowo. Początkowo odmówił. Przekonałem go, że to tylko na parę minut, a potem będzie mógł spędzić godzinę z Tan Sotho.

— Bardzo dobrze — pochwaliła Connie. — Creasy go dopadnie i dowie się, że w tamtej okolicy jest Amerykanin. Ale czy jesteś pewien, że Holender był odpowiednio daleko, by twój człowiek nie mógł podać jego dokładnego rysopisu?

— Jestem pewien. Holendrowi kazałem tylko przejść z tymi łańcuchami przez plac w odległości stu metrów. Był przez cały czas z profilu. W podanym rysopisie będzie mowa o wysokim, brodatym, opalonym białym w wieku od czterdziestu do pięćdziesięciu lat.

— Bardzo dobrze — po raz wtóry wyraziła zadowolenie. — Więc dlaczego mówisz, że niezupełnie rozumiesz mój plan? Jakie masz wątpliwości?

Wan westchnął: — Powiedziałem, że mój człowiek jest najlepszy z najlepszych. Nie ma sobie równego nie tylko w Sajgonie, ale pewno w całej Azji Południowo-Wschodniej. Były oficer wywiadu wyspecjalizowany w inwigilacji. Creasy jest tylko najemnikiem. Co on wie o działaniach wywiadowczych? Dlaczego nie chcesz, żebym za nim posłał jakiegoś niedorajdę z tymi samymi informacjami?

Connie przysunęła się do mężczyzny twarzą w twarz. — Oto jeden z powodów, dlaczego ty pracujesz dla mnie, a nie ja dla ciebie. Nigdy nie wolno lekceważyć przeciwnika. I zawsze trzeba pomyśleć trzy razy, nim uczyni się jeden ruch. A więc posłuchaj, Wan. Słyszałam, że Creasy jest obdarzony szóstym zmysłem, jeśli idzie o inwigilację. Gdybyśmy posłali za nim durnia, natychmiast podejrzewałby, że to podstęp. Stałby się jeszcze bardziej podejrzliwy, niż jest teraz. Zważyłby w otrzymaną od tego człowieka informację. Zdaję sobie sprawę, że wysyłając najlepszego tracimy czas. Może minąć kilka dni, nim Creasy zorientuje się, że jest śledzony. Ale zorientuje się, nie ma obawy. Rozpozna prawdziwego eksperta i uwierzy wydobytej od niego informacji. Problem może powstać tylko wtedy, gdy Creasy, zamiast pochwycić śledzącego, po prostu zniknie. Jest do tego zdolny.

— Nie ma obawy, nie zniknie — odparł Wan. — Mam informatorów w hotelu „Continental” i w większości barów, dokąd może uczęszczać. Wszyscy mają fotografię Creasy’ego. Natychmiast się dowiemy, jeśli postanowi jechać do Kambodży. — Ciągnął dalej pełnym nienawiści szeptem: — Niemal widzę jego twarz. Mam jej wyraz odcisnięty w pamięci. Jaki był pewien, że mnie zabije! I kiedy ściągał spust, ta jego twarz wyrażała obojętność. Patrzył na mnie tak, jakby zabijał bezpańskiego psa. I w swoim przeświadczeniu zabijał mnie z zemsty za kobietę. Za dziwkę, prostytutkę! Odgrywał rolę karzącego boga, który posługuje się swoimi miarami sprawiedliwości. Milimetr w lewo, a byłbym zmarł. Zastrześlił mnie i odszedł sobie. — Wan na chwilę zamilkł i poprzez drewniany stół wpił wzrok w siedzącą naprzeciwko kobietę. — Connie, obiecaj mi jedno. Przysięgnij na pamięć twego ojca! Kiedy już będziesz miała Creasy’ego, daj mi go na jedną godzinę. Jedną godzinę, nim ty się nim zajmiesz.

Wstała, otrzępując z siebie kurz. Wan poszedł za nią do wyjścia z drewnianego

baraku i patrzył, jak otwiera drzwiczki dzipa Isuzu.

Spojrzała mu prosto w twarz. — Nie martw się, Wan. Będziesz świadkiem jego męki.

— Jakże tego pragnę. . . Dokąd teraz jedziesz?

Spojrzała na zachód i przeciągnęła się, jak rozbudzona drapieżna kocica. — Noc spędzę w Bangkoku. Czuję wielkie podniecenie i muszę je zaspokoić. — Jej oczy zwężyły się dziko. — Wezmę apartament w hotelu „Oriental”, z widokiem na rzekę. Najpierw kąpiel w wannie z masażem wodnym, a potem każę sobie zrobić masaż erotyczny. . . Wieczorem włożę suknię od Lagerfelda. Długą, do samej ziemi. Na gołe ciało. Perfumy Joy za uszami i poniżej brzucha. . . Zejdę do baru i zamówię koktajl na szampanie. W barze będzie na pewno wielu zachodnich biznesmenów. Zawsze tam schodzą na drinka przed wyjściem na miasto w poszukiwaniu kobiety. Poderwę dwóch. — Uśmiechnęła się. — Będą myśleli, że umarli i poszli do nieba. Zabiorę ich do mojego apartamentu i będą robili to, czego pragnę i co im każę. — Podniosła wysoko dłonie z długimi, silnymi palcami o jaskrawoczerwonych paznokciach. — Całe moje ciało włączy się w akcję. Moje palce także.

Wsiadła do dzipa i spytała: — A ty co będziesz robił?

Wan niemal wycharczał na urywanym oddechu: — Chyba pójdę do Tan Sotho.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Wietnamska nazwa baru była niewymawialna. Nad wejściem wisiał też szyld angielskojęzyczny: MAI MAM BAR. W tym lokalu Creasy spędzał niegdyś długie godziny. Inni „nieoficjalni” także tu przychodzili. Jakim cudem bar przetrwał wojnę? — zastanawiał się Creasy.

Usiadł na stolku w końcu długiej lady i wdał się w pogawędkę z właścicielem, „Billy” Nguyen Huy Cuongiem. Guido, Jens, Sowa i Susan zaszyli się w kącie zadymionej salki, gdzie Guido zaczął ich uczyć morderczej gry w kości zwanej „Pojedynkiem Łgarzy”.

Był to bardzo pouczający wieczór. W każdym razie dla Creasy’ego. Dowiedział się na przykład, że prawie wszystkie bary i spelunki zostały zamknięte niemal natychmiast po wkroczeniu armii północnowietnamskiej. W miarę upływu czasu i „łagodnienia” nowej władzy powstały nowe lokale. Creasy poszukiwał znajomych twarzy. Na żadną nie trafił. Spytał wreszcie kierowcy, czy ostał się jakiś przedwojenny bar i wtedy usłyszał, że „Mai Mam Bar” nigdy nie został zamknięty.

— Jak ci się to udało? — spytał Cuonga.

Billy przez pół minuty podtrzymywał ciekawość Creasy’ego wymownym orientальnym milczeniem, wreszcie rozjaśnił twarz w szcherbatym uśmiechu i porozumiewawczo mrugnął.

Nachyliwszy się konfidencyjnie nad ladą zaczął wyjaśniać: — Udało się, mój przyjacielu Creasy, ponieważ podczas wojny byłem informatorem Wietkongu. Przez wszystkie lata wojny. Słuchałem waszych rozmów. Gdzie byliście i dokąd się wybieracie. Przekazywałem treść tych rozmów agentowi, który utrzymywał ze mną stały kontakt. I dlatego też tyłu z was „nieoficjalnych” nie wracało z patroli. Północni wynagrodzili mnie po przejęciu władzy: pozwolili dalej prowadzić interes.

Creasy przetrwał to, co usłyszał, i zapytał:

— Chłopcy płacili ci dobrymi dolarami za drinki, a ty ich zdradzałeś?

— Tak, zdradzałem. Ale w większości były to szumowiny i męty ze wszystkich zakątków świata, którym płacono za mordowanie moich braci. Znałem tylko kilka wyjątków. Ty do nich należałeś, mój przyjacielu. Nigdy nami nie pogardza-

łeś, nigdy nikogo nie torturowałeś. Nigdy nie zabiłeś nikogo, kto nie próbował przedtem zabić ciebie. Miałeś taką reputację i dlatego nigdy cię nie zdradziłem. Będę jednak szczery: nie dałeś mi nigdy szansy na to, abym cię zdradził. Inni zawsze się przechwalali, co zrobili i ilu Wietnamczyków utłukli, a nawet ile kobiet i dziewcząt zgwałcili. Ty nigdy nic podobnego nie mówiłeś. Dlatego jesteś mile widziany w moim barze.

— Też nie jestem święty.

Właściciel baru roześmiał się. — W latach wojny nie było świętych po żadnej ze stron. Nawet teraz wielu ich nie mamy. Ideały komunizmu rozplynęły się po paru latach. Teraz panuje tu taka sama korupcja i chciwość. Przeżyłem siedemdziesiąt pięć lat, a jeszcze nigdy w życiu nie spotkałem świętego.

Creasy upił łyk z dużej szklanki i zerknął w kąć salki. Jego towarzysze byli zatopieni w grze w kości, ale Susan miał wzrok wlepiony w Creasy'ego. Ich spojrzenia tylko na chwilę się skrzyżowały.

— Skoro wspomniłeś korupcję — zwrócił się do Biliy'ego. — Przypominasz sobie oficera policji nazwiskiem Van Luk Wan?

— Oczywiście. Najgorszy ze wszystkich. Krążyły plotki, że przed opuszczeniem Wietnamu wpakowałeś mu kulkę w brzuch, ale on przeżył.

— Plotki mówiły prawdę. Nie wiesz, gdzie on teraz przebywa?

— Z pewnością nie w Wietnamie. Coś do mnie dotarło, że wydostał się z kraju.

Creasy znowu podniósł szklankę do ust, potem wyjął z kieszeni banknot — dziesięć tysięcy dongów — i położył na ladzie.

— Bardzo mnie interesuje, gdzie on może teraz być — powiedział.

Billy Cuong odsunął banknot. — Schowaj pieniądze, przyjacielu. Popytam tu i tam. W imię dawnych czasów. Gdzie mieszkasz?

— W „Continentalu”. Pokój dwieście dwanaście. Dziękuję ci, Billy. Nie mam wielu miłych wspomnień w Wietnamie, ale ty jesteś jednym z nich.

Zabrał szklankę i podszedł do stolika w kącie, przeciskając się przez zatłoczoną salkę. Siadając zerknął kolejno na Jensa, Sowę i Susan. — Ostrzegam was, że Guido uczy was oszukańczej meksykańskiej gry. Wydaje się ona śmiesznie prosta, ale w rzeczywistości nie wystarczy życia, aby się jej dobrze nauczyć. Za chwilę Guido zacznie prawić wam komplementy, że świetnie sobie radzicie, że macie wrodzony dar i tak dalej. A następnie zaproponuje, żeby grać nie na zapalki, ale na pieniądze. Z początku po kilka centów. Będzie przegrywał i obdarzał coraz większymi komplementami, aż zaczniecie brać siebie za zmartwychwstałego Einsteina. No i wtedy zacznie was oskubywać, aż wreszcie oskubie ze wszystkiego.

Spojrzał na przyjaciela, który teatralnie westchnął i zaczął się tłumaczyć: — Ponieważ nasza praca polega teraz na bezczynnym siedzeniu i wyczekiwaniu, chciałem im urozmaicić czas. . .

Creasy poklepał przyjaciela po ramieniu. — Oczywiście, Guido. Podobnie zapelniałeś sobie czas ucząc naiwniaków pokera oraz bakgammona. Minąłeś się

z powołaniem. Powinieneś być zostać nauczycielem.

Guido nic nie odpowiedział. Przez ramię Creasy'ego patrzył na przeciwną stronę salki. — Wydaje mi się, że ktoś za nami łązi — mruknął.

Creasy nie obrócił się, tylko lekko skinął głową. — Wiem. Już go widziałem w dwóch barach. Niech się pani nie obraca — syknął do Susan, która usiłowała spojrzeć w kierunku drzwi. — Proszę zachowywać się normalnie.

— Pewno jakiś miejscowy bezpiecznie — podsunął Jens. — Jesteśmy w kraju komunistycznym, po prostu mają oko na samotnych turystów.

— Może. Ale jeśli rzeczywiście ktoś nas tu specjalnie zwabia do Wietnamu, to ten człowiek może pracować dla niego — zauważył Creasy.

— Więc co teraz zrobimy? — spytała Susan.

— Nic nie zrobimy. Będziemy zachowywać się jak gdyby nigdy nic. — Creasy zastanowił się. — Ten pani przyjaciel. Dang Hoang Long. Tak sobie myślę... czy mogłaby pani zaaranżować mi spotkanie? Chciałbym z nim porozmawiać.

Tylko chwilę się wahała. — Nie widzę specjalnych trudności. Rano do niego zadzwonię.

Creasy spojrzął na zegarek. — Robi się późno. Wracajmy do hotelu.

Na wszelki wypadek Susan zabrała ze sobą zapinany sweter. Gdy wstała, Creasy zdjął go z oparcia krzesła i pomógł jej włożyć. Pomyślała sobie, że w tym dzisiejszym świecie jest to wyraz niezwyklej uprzejmości, i doszła do wniosku, że Creasy w ogóle jest niezwykle ciekawym człowiekiem.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Creasy był niesłychanie ostrożny, zwłaszcza gdy chodziło o formowanie opinii o ludziach. Bał się pochopnych instynktownych ocen. Jednakże z miejsca poczuł sympatię do Dang Hoang Longa, do którego gabinetu wszedł przed pięcioma minutami. Spotkanie odbywało się w oprawie tradycyjnych wietnamskich uprzejmości. Najpierw uścisk dłoni, potem herbata i lekkie wschodnie słodkości. Przy herbacie Creasy podziękował za umożliwienie mu tego spotkania.

— Susan Moore jest przyjacielem. Musiałem więc zgodzić się na jej prośbę — odparł starzec. — Niemniej wypytałem ją przedtem, kim pan jest. Będę z panem szczerzy, panie Creasy: nie należy pan do kategorii ludzi, którzy budzą we mnie ciepłe uczucia. Zabija pan dla pieniędzy. Większość Amerykanów, którzy tu przybyli, aby zabijać Wietnamczyków, nie miała wyboru. Młodzi chłopcy, niemalże jeszcze dzieci. Przybyli do tego kraju na rozkaz ich rządu. Byli przerażeni, a ci, którzy zdołali wrócić do siebie, nosić będą do końca życia fizyczne i psychiczne blizny. Pan natomiast przybył tu z własnej woli. Przyjechał pan, żeby zarobić duże pieniądze.

— Jestem, jaki jestem, ale tym razem moje motywacje są inne — odparł Creasy patrząc staremu człowiekowi prosto w oczy. — Przybyłem w poszukiwaniu jednego z owych chłopców, których niegdyś przysłał tu rząd USA. Nikt mi za to nie płaci.

Dang upił łyk herbaty i spytał: — Czyżby chciał mi pan powiedzieć, że pana sumienie żyje?

— Nigdy nie myślałem tymi kategoriami. A czy pan ma sumienie, panie Dang?

— Mam nadzieję, że tak.

— A co panu mówi pańskie sumienie na temat tysięcy ludzi uciekających przez wzburzone morze do Hongkongu na pokładach łupinek? Co mówi sumienie, jeśli idzie o dziesiątki tysięcy torturowanych i mordowanych w tak zwanych obozach reedukacyjnych?

Stary człowiek pokiwał smutnie głową. — Tak, moje sumienie boleśnie to odczuwa. Chociaż jestem wysokim funkcjonariuszem mojego rządu, nie leżało w mojej gestii powstrzymanie ekscesów... Byłem bezsilny. Ale dręczy to moje

sumienie, panie Creasy.

Creasy rozparł się wygodniej w fotelu:

— Wierzę panu i z kolei proszę o uwierzenie mnie, że gdybym wiedział, czym jest sumienie, to być może mógłbym pana zapewnić, że także je posiadam.

Dang Hoang Long po raz pierwszy uśmiechnął się. A chociaż uśmiech ten dodawał jego twarzy zmarszczek, twarz wydawała się znacznie młodsza. Obaj mężczyźni znaleźli nić porozumienia.

— Czy pan kazał mnie śledzić? — spytał Creasy.

— Oczywiście.

— I chodzi za mną młody człowiek ze złamanym nosem i z blizną na czole?

Dang zaprzeczył ruchem głowy. — Nie. W tym wypadku korzystam z kobiet. Nie sądzi pan, panie Creasy, że to bardzo dziwne, iż mężczyzna, kiedy uważa, że jest inwigilowany, zakłada, iż inwigilującym musi być także mężczyzna? Właściwie zawsze używam do tego celu kobiet. Zauważył je pan?

— Owszem. Jedną. Długie włosy, niebieska koszula, dżinsy, buty sportowe Nike, bardzo zgrabna. Jeździ na nowym skuterze Hondy.

Na twarzy Danga pojawił się wyraz niezadowolenia. — Otrzyma nagane. A więc, czym mogę panu służyć, panie Creasy?

— Chciałbym usłyszeć pańską opinię. Od panny Moore już pan wie, że interesuje mnie człowiek o nazwisku Van Luk Wan. Otóż czy jest możliwe, iż przebywa on w Wietnamie, a jeśli nie, to czy może mieć tu swoich ludzi? Siatkę?

Dang nie wahał się z odpowiedzią: — Jeśli idzie o pierwszą część pytania, to bardzo wątpię, natomiast co do siatki, możliwe. Po wczorajszej rozmowie z Susan, zadałem kilka dodatkowych pytań na temat Van Luk Wana. Krążą plotki, że przebywa w Kambodży i ma powiązania z Czerwonymi Khmerami. Reprezentuje pewnie ich — nazwijmy to — interesy. Nie sądzę, aby ryzykował powrót do Wietnamu, ale z pewnością ma tu ludzi, z którymi współpracuje. Wspomniany przez pana człowiek ze złamanym nosem może należeć do jego drużyny.

Creasy wstał i żegnając się powiedział: — Dzięki za cenne informacje. Obiecuję pod słowem honoru, że będę pana informował o moich poczynaniach i o wszystkim, czego się dowiem. Uczynię to osobiście albo przez Susan.

Dang również wstał. Obaj mężczyźni uścisnęli sobie dłonie. Wietnamczyk oświadczył: — Wierzę panu. I odwołam moje kobiety. Jeśli spostrzeże pan kogoś, kto się za panem włóczy, to nie będzie mój człowiek... Jednocześnie ośmielam się przestrzec pana, że w naszym kraju nadal czyhają liczne niebezpieczeństwa. A jeszcze liczniejsze w Kambodży. Ma pan dobrze opiekować się Susan. To wspinała kobieta.

— Będzie pod moją stałą ochroną — zapewnił Creasy.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Zdarzyło się to po raz pierwszy i bardzo rozstroiło Susan Moore. Emocje podróży i poznawanie nowego gatunku dotychczas nie znanych jej mężczyzn spowodowały, że umknęło to jej uwadze. W zasadzie nic dziwnego w podobnych okolicznościach. Dopiero tego ranka, gdy poszła wziąć prysznic i zaczęła grzebać w podręcznej torbie, rzuciło się jej w oczy duże pudełko Tampaxu. Zapakowała je w Waszyngtonie wiedząc, że zbliża się okres. Miesiączki pojawiały się u niej zawsze z regularnością szwajcarskiego zegarka.

Wróciła do sypialni i sprawdziła w kalendarzyku. Cztery dni spóźnienia. Usiadła na łóżku i zaczęła rozmyślać. Tak, to zupełnie możliwe. Minęły właśnie trzy tygodnie od ostatniego zbliżenia z profesorem. Przez ostatnie dwa lata nie przedsiębrali żadnych środków zapobiegawczych podczas dość rzadkich sesji miłosnych. Ciąża wydawała się czymś mało realnym. Usiłowała się pocieszyć: może to tylko trudy podróży, zmiana klimatu i kuchni. Może to spowodowało opóźnienie. Następnie poczuła konieczność szybkiej akcji. Była bliska paniki. Na Thu Do w pobliżu hotelu zauważyła elegancką, nowoczesną aptekę. Po dziesięciu minutach kupiła w niej test ciążowy, a po dalszych piętnastu minutach siedziała już w swym hotelowym pokoju, wpatrzona w połączone krótkim patyczkiem dwa skrzydełka bibuły. Górne było niebieskie. Wiedziała, że jeśli dolne także przybierze niebieską barwę, będzie to oznaczać, iż znalazła się w błogosławionym stanie. Powoli dolne skrzydełko zaczęło zmieniać barwę na niebieską. Zabrakło jej oddechu. Przez wiele minut siedziała w absolutnym bezruchu, a potem zadzwoniła do kuchni, każąc sobie przynieść dzbanuszek kawy. Czuła się przedziwnie. Jakby ktoś siłą się w nią wdarł.

Myśli o dzieciach były jej obce. Zawsze je odrzucała. Nie dlatego, że ich nie chciała, ale pod tym względem była tradycjonalistką: dzieci powinny być konsekwencją trwałego, szczęśliwego małżeństwa. Zdawała sobie sprawę, że w wieku trzydziestu czterech lat pozostawało jej zaledwie kilka lat na osiągnięcie owego szczęśliwego i trwałego stanu. Kiedy tak siedziała na łóżku w sajgońskim hotelu i rozmyślała o tym wszystkim, musiała stwierdzić, że jej szansę są nikłe. Po pierwsze, nie była wcale pewna, że chce spędzić resztę życia ze swym profesorem. Nigdy nie myślała o nim w kategoriach stałego partnera. Ich związek właściwie

dryfował. Praktycznie wcale o nim nie myślała od chwili wyjazdu z Waszyngtonu. Zbyt wiele się wydarzyło, miała zbyt wiele wrażeń. I musiała przyznać jeszcze jedno: Creasy przyciągał ją jak magnes.

Odłożyła nieszczęsny tester, wstała i zaczęła przechadzać się po pokoju. Stał przed nią trudny wybór: powrót do Stanów i zabieg lub przygotowywanie się do roli matki. Próbowwała wyobrazić sobie w tej ostatniej roli. Obraz był bardzo mglisty.

Siedziała pół godziny i rozważała obie opcje, usiłując uwzględnić wszystkie za i przeciw. Postanowiła wreszcie, że przyszły ojciec także powinien się wypowiedzieć. Zerknęła na zegarek i obliczyła, że w Waszyngtonie jest właśnie po ósmej wieczorem. Jason powinien być w domu. Dokładnie o siódmej siadał zawsze do kolacji. O tej porze nabijał pewno fajkę, z nogami na stoliku, zasłuchany w dziennik telewizyjny. Dała mu jeszcze piętnaście minut na przetrwanie posiłku i wiadomości ze świata, i podniosła słuchawkę telefonu.

* * *

Jego głos brzmiał ciepło. Wyobraziła go sobie w miękkim, pokrytym skórą fotelu w gabinecie obudowanym półkami pełnymi książek, ze słuchawką w jednym ręku i fajką w drugim. Na kolanach spał Thomas. Poczowała nagły przyływ czułości wraz z tęsknotą za prostym i nieskomplikowanym życiem.

Po paru minutach swobodnej rozmowy powiedziała bez owijania w bawełnę: — Właśnie stwierdziłam, że jestem w ciąży.

Zapanowała cisza tak długa, że pomyślała, iż straciła połączenie. Wreszcie usłyszała pytanie zadane zduszonym, jakby konspiracyjnym szeptem: — Jesteś pewna?

— Tak.

— Byłaś u lekarza?

— Nie. Kupiłam w aptece zestaw do przeprowadzenia testu.

— W Wietnamie można takie rzeczy dostać? — zapytał jeszcze ciszej.

— Oczywiście. Nie jestem w dżungli, ale w cywilizowanym mieście.

Nastąpiła kolejna długa cisza, a potem padło pytanie zadane pełnym niepokoju głosem: — Co zamierzasz zrobić?

— Po to do ciebie dzwonię. Mamy następujący wybór. — Zupełnie nieświadomie wybiła słowo „mamy”. — Albo wracam i natychmiast poddaję się zabiegowi, albo będziemy mieli dziecko.

Słyszała jego oddech. — A ty co byś chciała? — zapytał.

— Sama nie wiem. Dowiedziałam się o tym zaledwie przed godziną. Dlatego

do ciebie dzwonię. Chciałam poznać twoją reakcję.

Jego głos stał się nagle szorstki. — Susan, musimy to logicznie przemyśleć. Przykro mi, że to się stało. Oczywiście, dwoje dojrzałych ludzi powinno zachować ostrożność. Dziecko na tym etapie życia byłoby co najmniej zawadą. Musisz myśleć o swojej karierze. Osiągasz wiek, w którym staje się realny twój awans na majora. Musisz zastanowić się, w jakim stopniu dziecko ograniczy ci swobodę ruchu. Wiem, że w dzisiejszych czasach coraz częściej akceptuje się łączenie kariery zawodowej z obowiązkami samotnego rodzica, ale ja osobiście jestem temu przeciwny.

Czuła ogarniający ją gniew, odpowiedziała jednak opanowanym głosem: — Nie byłoby jednego rodzica, Jasonie. Ty jesteś ojcem. Oczywiście, ja sama mam prawo wyboru, ale skoro noszę w sobie twoje dziecko, pomyślałam, że należy cię o tym poinformować, nim podejmę decyzję.

Znowu cisza. — Najważniejsze to nie podchodzić do sprawy emocjonalnie. Rozumiem, że jesteś w obcym mieście, pozbawiona kręgu przyjaciół. Dobrze zrobiłaś, że do mnie zadzwoniłaś. Moja rada brzmi: wracaj do Waszyngtonu. Załatwię ci miejsce w prywatnej klinice.

— Przemyślę to przez parę tygodni — odparła.

Odłożyła słuchawkę. Z oczu popłynęły łzy. Zaczęła szlochać. Oczekiwała ciepłych słów wsparcia, bez względu na to, jaka mogła im towarzyszyć rada. Oczekiwała zrozumienia i współczucia. Miast tego spotkała się z zimną logiką mężczyzny przerażonego tym, że grozi mu utrata wygodnego status quo.

Poczula się okropnie opuszczona i samotna.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

— On jest dobry. Nawet bardzo dobry — stwierdził Guido. Creasy potwierdził to skinieniem głowy.

— I nie pracuje dla miejscowej bezpieki. A więc działa w imieniu tego, który zastawił pułapkę.

Siedzieli na tarasie kawiarni przy ulicy Hoa Dai. Sceneria przypominała czasy przedamerykańskie, kiedy to Wietnam był kolonią francuską, a Sajgon nazywano Paryżem Wschodu. Na śniadanie podano im doskonałą kawę i prawdziwie paryskie rogaliki. Teraz podziwiali talenty człowieka, który od dwóch dni ich śledził.

— Zawodowiec — mruknął Creasy. — Pracuje sam. Skutecznie zmienia wygląd i zachowanie bardzo skromnymi środkami. Zmienia na przykład chód. Wczoraj kulał. Dziś chodzi normalnie. Nawet nigdy na nas nie spojrzy. Zmienia odległość, czasami znika, ale zawsze pojawia się z powrotem. Tak, to profesjonalista. — W głosie Creasy’ego można było wyczuć nutę podziwu dla umiejętności tropiciela.

— I co z nim zrobimy? — spytał Guido.

Creasy w zamyśleniu upił parę łyków kawy i raz jeszcze rzucił okiem w odbicie w wielkiej szybie kawiarnianego okna. Inwigilujący ich mężczyzna siedział na stołku przed sklepem po drugiej stronie zatłoczonej ulicy i jadł z miseczki makaron. Miał na sobie workowate spodnie, biały bawełniany podkoszulek i płaską czarną czapkę. A na stopach sandały wycięte ze starej opony. Świetnie wtapiał się w otoczenie.

— Zgarniemy go wieczorem — powiedział Creasy. — Dowiemy się, kto go nasał. Po południu musimy wynająć samochód. — Spoglądał w górę i w dół ulicy. — Dziwna rzecz — zauważył. — Nigdy nie lubiłem Sajgonu. Pod każdym względem kurewskie miasto. Jego mieszkańcy wysysali z Amerykanów krew nie gorzej niż milion wampirów. A Amerykanom to się podobało. Myśleli, że są panami w morzu niewolników. Było odwrotnie. W głębi duszy żadna istota nie lubi być prostytutką bez względu na materialne korzyści. Zawsze się liczy godność. Dziś sytuacja jest oczywiście inna. Wietnamczycy nadal uwielbiają handel i są w nim doskonali. Nadal jest pełno prostytutek, i będzie ich jeszcze więcej, kiedy nadejdzie kapitalizm, ale zmieniło się jedno: nie ma przymusu. To przedziwne

wrażenie.

Guido spojrział zaskoczony na przyjaciela. Creasy bardzo rzadko wpadał w refleksyjny nastrój. Postanowił wykorzystać sytuację i zapytał Creasy'ego: — Co my tu właściwie robimy?

Creasy spojrział zdumiony. — Doskonale wiesz, co robimy. Szukamy faceta, który najprawdopodobniej nie żyje.

— Wiem, wiem. Nie o to pytam. Chodzi mi o to, co naprawdę robimy. Przecież ta historia z Bentsenem jest mało poważna. A w każdym razie nie na tyle poważna, byś ganiał po całym świecie wydając pieniądze. . .

Creasy podniósł rękę i natychmiast pojawił się kelner. Zabrał wskazany mu pusty dzbanek po kawie i zniknął. Creasy wpatrywał się w ruch uliczny, póki kelner nie wrócił z pełnym dzbankiem. Wtedy nalał kawy do obu filiżanek i wrzucił dwie kostki cukru do swojej. Długo mieszał kawę, nim się odezwał: — Dziwna rzecz, Guido. Jeszcze dwa lata temu nigdy nie piłem kawy z cukrem. Nie znośiłem kawy z cukrem. Któregoś wieczoru w restauracji na Gozo kelner podał mi filiżankę przeznaczoną dla kogoś innego. Kawa była osłodzona. Spróbowałem i. . . polubiłem.

— Co z tego wynika?

— Wszystko się zmienia. Upodobania, smak. — Wskazał na ulicę. — Sajgon się zmienił. Ludzie się zmienili. Może ja też.

Guido się uśmiechnął. — Chcesz powiedzieć, że zrobiłeś się słodszy?

Creasy nie odpowiedział uśmiechem. — Może obecnie mam inne motywacje. Może jestem bardziej ciekaw różnych rzeczy. Przyleciałem tu, ponieważ chcę wiedzieć, kto mnie tu zwabia i dlaczego. Prawdopodobnie zmęczyło mnie siedzenie na słońcu na Gozo. I dlatego pojechałem do Brukseli. Podświadomie rozglądałem się za jakimś emocjonującym zajęciem, ale z otrzymanych ofert nic mi nie odpowiadało. Była robota w Bośni. Nawet dobrze płacono, ale pomyślałem sobie, że jednak nie. Po pierwsze, jestem nieźle zaopatrzony na resztę życia, a po drugie, nie miałem wielkiej ochoty zabijać Serbów, Chorwatów czy Muzułmanów. Uważam, że te bałkańskie dzikusy powinny same dalej rozwiązywać swoje problemy. Przecież robią to już od paru setek lat. Mają wprawę. Miałem też propozycję od jakichś głupoli Portugalczyków, którzy szukali najemników, żeby ich wysłać do Angoli w celu dopomożenia temu Savimbu w jeszcze jednej ostatniej próbie obalenia rządu. — Creasy prychnął. — Walczyliśmy tam przed dwudziestoma laty. A wydaje się, jakby to było sto lat temu. Angola! Też pomysł. — Upił trochę kawy i dorzucił do filiżanki kostkę cukru, obdarzając Guida mglistym uśmiechem. — Tak więc jestem tu z prostej ciekawości. . . A dlaczego ty tu jesteś, Guido?

Włoch wzruszył ramionami. — Chyba dlatego, że mi się nudziło. Znudziło mi się obsługiwanie ciągle tych samych gości restauracyjnych, oglądanie tych samych meczów futbolowych w telewizji i tych samych skorumpowanych polityków o anielskich twarzach, i wypchanych kieszeniach. — Zamilkł na chwilę,

a potem spojrział na Creasy'ego i dodał: — Kiedy mi powiedziałeś, że lecisz do Azji na robótkę, przypomniały mi się dawne czasy. — Pochylił się nad stolikiem i niemal niewidocznie zaznaczył głową kierunek, gdzie znajdował się śledzący ich człowiek. — No to jak zgarniamy tego profesjonalistę?

Creasy też się nachylił. — Grzecznie go poprosisz, żeby udał się z tobą na przejażdżkę.

— Zawsze jestem grzeczny — odparł z uśmiechem Guido.

Ujrzeni Susan przechodzącą przez ulicę i kierującą kroki w ich stronę. Towarzyszyli jej Jens i Sowa. Gdy weszli do kawiarni, Creasy podsunął Susan krzesło. Usiadła, wzdychając i wachlując twarz otwartą dłonią.

— Ten żar mnie dobija — powiedziała. — Mam nadzieję, że podają tu napoje z lodem.

Ubrana była w zieloną sukienkę z krótkimi rękawami i wycięciem w karo pod szyją. Na gołych rękach perlił się pot. Creasy skinął na kelnera i zamówił dla niej dużą szklankę świeżego soku pomarańczowego z lodem. Jens i Sowa poprosili o piwo.

— Zaopiekujesz się dziś wieczorem Susan. Muszę wypożyczyć Sowę — zwrócił się do Jensa Creasy.

— Z przyjemnością — odparł zaciekawiony Duńczyk. — Coś się kroi?

— Likwidujemy ogon. Przechwycimy go i uprzejmie zapytamy, dla kogo pracuje. Od Dang Hoang Longa wiem, że nie dla miejscowych służb bezpieczeństwa. Z tego wynika, że ten, który kazał mu nas śledzić, jest osobą, która nas tu zwabiła. Będzie lepiej, jeśli zjecie z Susan kolację w hotelu i pozostaniecie tam do naszego powrotu.

— Myśli pan, że on powie? — spytała Susan.

Creasy spojrział na Guida, który odpowiedział: — Przekonamy go o konieczności podzielenia się z nami swoim sekretem.

— Będziecie go torturowali?

Guido nachylił się do Susan. — Najprawdopodobniej nie. W takich wypadkach stosujemy psychologię.

— A co zrobicie jeśli w przypadku tropiciela psychologia zawiedzie?

— Będziemy się nad tym zastanawiać, jeśli taki przypadek nastąpi — odparł Creasy. — Jedno jest pewne: musimy wiedzieć, kto go nasłał. W przeciwnym razie utkwimy w ślepej uliczce.

Jens wydawał się bardzo zamyślony. Wreszcie spytał: — A może on został po to nasłany, żeby nas nafaszerować fałszywymi informacjami?

Creasy chwilę się nad tym zastanawiał, po czym pokręcił głową.

— Możliwe, choć mało prawdopodobne. Gdyby chcieli nas dezinformować, nie przysyłałiby takiego profesjonalisty. Wybrali człowieka, który miał być niezauważalny. Tak czy inaczej, dowiemy się dziś wieczorem.

Kelner przyniósł zamówione napoje. Susan uniosła wysoką oszronioną szklanę i potarła nią czoło, zanim wychyliła połowę zawartości. Spojrzała na Creasy'ego i spytała: — A jeśli on nie mówi po angielsku? Ma trzydzieści parę lat, a Amerykanie opuścili Wietnam przed ponad dwudziestoma laty. Młodsze pokolenie nie mówi tu po angielsku, chyba że ktoś zajmuje specyficzne stanowisko w administracji. Ponieważ on nie pracuje w tutejszej administracji, może nie znać angielskiego. Jak tam pański wietnamski, panie Creasy?

Creasy pokręcił głową, jakby był z siebie bardzo niezadowolony.

— Mój wietnamski jest bardzo ograniczony. Powinienem być o tym pomyśleć. Może Billy z „Mai Man Bar” znajdzie mi dyskretnego tłumacza. . .

Guido przybrał sceptyczny wyraz twarzy.

— Lepiej niech pan tego nie ryzykuje. Pójdę z panem — powiedziała Susan.

Zapadła długa cisza, którą przerwał Jens: — Może zająć potrzeba użycia siły. Pani pracuje dla amerykańskiego rządu na bardzo odpowiedzialnym stanowisku.

Susan wzruszyła ramionami. — Otrzymałam rozkaz udzielania wam wszelkiej pomocy. Nie było żadnych ograniczeń. — Zerknęła na Creasy'ego. — Jak duże są szanse komplikacji, o których wspomniał pan Jens?

— Minimalne. Guido i ja jesteśmy w tych sprawach doświadczeni. Mamy do czynienia z człowiekiem, który niczego nie podejrzewa. Nawet jeśli jest uzbrojony w pistolet lub nóż, nie zdąży ich użyć.

— Może najpierw go zgarniemy, a potem, jeśli się okaże, że jegomość nie zna angielskiego, poprosimy Susan — zaproponował Guido.

— Zbyt skomplikowane — stwierdził Creasy. — Nie mam jeszcze opracowanego planu, ale wiem jedno: trzeba go wywabić z miasta w jakieś ustronne miejsce. Użyjemy samochodu. Jeśli Susan ma nam pomóc, to musi być z nami od samego początku. — Raz jeszcze spojrzął w odbicie w kawiarnianej szybie i podjął decyzję: — Bierzemy Susan.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Connie Crum leżała naga na szerokim łożu, jęcząc z rozkoszy i bólu. Dziewczyna klęcząca nad nią okrakiem była tak drobna, że mógłby ją zdmuchnąć wiatr, ale jej palce miały wielką siłę — wpijała się nimi w mięśnie karku i barków masując, masując...

To był dopiero początek wieczoru zaplanowanego przez Connie w najdrobniejszych szczegółach. Przed pół godziną przyjechała do hotelu. W apartamencie czekała już butelka schłodzonego różowego szampana i wielka patera owoców. Otworzyła szampana i po paru łykach z kryształowego kielicha zamówiła przez telefon masażystkę. Wkrótce pojawiła się dziewczyna w bielutkim fartuchu i z niewielką torbą. Gdy Connie się rozbierała, dziewczyna zdjęła fartuch pozostając jedynie w białych majteczkach. Następnie wyjęła z torby kilka buteleczek z najrozmaitszymi olejkami. Przed położeniem się na łóżku, twarzą do poduszki, Connie poczęstowała masażystkę szampanem. Zamówiła ją na godzinę. Przez czterdzieści pięć minut dziewczyna masowała fachowo i silnie całe ciało klientki, aż wreszcie Connie poczuła wielkie odprężenie.

Obróciła głowę i po tajsku powiedziała do masażystki: — Teraz delikatniej. Wyobraź sobie, że jestem kocicą.

Dziewczyna zachichotała. Jej palce zaczęły łagodnie muskać i drażnić wędrując po całym ciele ruchem nieprzerwanej, ciągłej pieszczoty.

Connie czuła nie tylko odprężenie mięśni i całego skąpanego w olejkach ciała, ale także i myśli. Zaczęła wspominać zmarłego męża. Był człowiekiem twardym i bezlitosnym. Niemal tak bezlitosnym jak ona sama. Kiedy czegoś od niego chciała, wysyłała mu sygnał. Tego samego typu sygnał, jaki otrzymywała obecnie: najpierw rozkosznie bolesny, a potem pełen pieszczoty. Otepiała jego zmysły i wkrótce miała go dosłownie w rękach i mogła nim sterować. Pod wieloma względami był idealnym partnerem. Żyłby jeszcze, gdyby tylko potrafił trzymać łapy z dala od innych kobiet. Jednakże Connie żałowała swojego wybuchu zazdrości. Kiedy mu się przypatrywała, gdy już leżał z nożem wbitym w serce, przysięgła sobie, że już nigdy nie zaangażuje swoich uczuć w związek z żadnym mężczyzną.

W przyszłości będzie zaspokajała swoje potrzeby, kiedy przyjdzie jej na to ochota i na jej warunkach.

Palce masażystki dotarły do pośladków. Connie poruszyła się lubieżnie, napawając się miłymi doznaniem. W tym samym czasie jej myśli wędrowały wokół powstałej sytuacji. Sprzymierzyła się z Czerwonymi Khmerami wyłącznie dla korzyści finansowych. Była urodzonym kupcem. Korzystając z chaosu wojny zgromadziła fortunę. Pieniądze dobrze zainwestowała, głównie w nieruchomościach w Japonii, Europie i Ameryce Północnej. Miała własny dom na Montparnasse w Paryżu i wykupione mieszkanie na Piątej Alei w Nowym Jorku. Czerwoni Khmerowie są w fazie rozkładu. Utrzymają się może jeszcze rok lub dwa na coraz bardziej izolowanych obszarach. Po rozprawieniu się z Creasym trzeba będzie z nimi zerwać. Wycofać się z interesów w tej części świata i założyć bazę w Paryżu. Znajdzie sposób wejścia we francuską socjetę. Może sobie nawet weźmie francuskiego męża-figuranta. Kogoś, kto posiada wpływy w rządzie lub w biznesie. Przy jej bogactwie i urodzie nie zabraknie kandydatów. Z wejściem w środowisko nie będzie miała problemów. Na Sorbonie studiowała języki, filozofię i historię sztuki. W rozmowie potrafiła stawić czoło każdemu intelektualistcie. Będzie pomocą i podporą dla każdego wpływowego polityka czy biznesmena, niemniej na jej warunkach. Mężowi pozwoli mieć kochanki i sama będzie miała kochanków. Ale oboje czynić to będą dyskretnie. Sama będzie też odwiedzać Stany Zjednoczone. Wycinek jej prywatnego, tajemnego życia.

Palce masażystki zawędrowały na uda klientki. Nachyliła się i wyszeptwała pytanie.

Connie przecząco pokręciła głową. Nie chciała niczego „specjalnego”. Będzie to miała później. I będzie to coś naprawdę specjalnego i bardzo heteroseksualnego. Obróciła się na plecy i wstała z łóżka. Dziewczyna zapakowała buteleczki, wdziała biały fartuch i odeszła po otrzymaniu sutego napiwku.

Connie zabrała kubek z szampanem i kieliszek do wyłożonej marmurem łazienki. Napełniła wannę wodą tak gorącą, że mało kto odważyłby się w niej zanurzyć. Ona jednak odważyła się, wydając przy tym głuchy pomruk. Nacisnęła guzik urządzenia spieniającego wodę olejkami kąpielowymi, oparła głowę o zręb wanny i myśli jej powróciły do Creasy'ego. Tak, czekała bardzo długo. Czekwała, aż zdobycie fortuny umożliwi jej utkanie sieci, w którą go pochwyci. Śmierć Creasy'ego będzie w pewnym stopniu ukoronowaniem dotychczasowego życia. Jego apogeum. Dusza ojca zazna wreszcie spokoju. Tym większego, im większych cierpień zazna Creasy przed śmiercią. Upiła kilka łyżek szampana i westchnęła zadowolona. Myślami wróciła do chwili obecnej. Za godzinę zacznie polować. Ale to będzie zupełnie innego rodzaju polowanie.

* * *

— Mam już dosyć oralnego seksu w salonie masażu! — Obrócił się do swojego brata, Massima. — Spędziliśmy tu cztery dni i trzy noce i tylko to mieliśmy. Nie jestem niemieckim tłuściochem, jednym z tych turystów, którzy wyskakują z samolotów myśląc wyłącznie o tym jednym. Mam trzydzieści pięć lat, jestem dość przystojny i bogaty. Pragnę życia seksualnego z jakąś pasją, wzbogaconego namietnością i pożądaniem.

Massimo uśmiechnął się. Był o cztery lata starszy od brata i znał miasta Dalekiego Wschodu. Bruno przyleciał tu po raz pierwszy. Obaj przybyli w celu zakupienia jedwabów do rodzinnej fabryki odzieży w Mediolanie. Obaj mieli żony z wyższej sfery mediolańskiej, a były to małżeństwa raczej z interesu niż z miłości. Podróże w egzotyczne zakątki świata wносиły w ich życie powiew przygody. W każdym tego słowa znaczeniu. Bruno był idealistą. I grzeszył pewną arogancją. Nie lubił płacić za seks. To urażało jego dumę. Kiedy udawał się do Londynu lub Paryża czy Nowego Jorku, mógł zwykle liczyć na swą śródziemnomorską urodę i czar, by uwieść kobietę, która chciałaby nacieszyć się nim nie mniej niż on nią.

Massimo westchnął i raz jeszcze wyjaśnił bratu: — Tu jest zupełnie inaczej. Podobnie jak w Hongkongu czy w Tokio. Nie można, ot tak, znaleźć sobie kobiety. Chyba że już długo tu mieszkasz, wszedłeś w środowisko i poznałeś tutejszą kulturę. Jediną szansą są dla ciebie turystki, ale ich przeważnie nie stać na przebywanie w takim jak my hotelu, chyba że są to bogate amerykańskie wdowy. — Wskazał na dwie damy o siwoniebieskawych od farbki włosach, siedzące przy stoliku opodal. — Może chcesz jedną z nich?

Bruno skrzywił się i odwrócił głowę. Miał przed oczami lustro za barową ladą. Nagle wyprostował się i szepnął: — Spójrz na to!

Obaj mężczyźni obrócili się na barowych stołkach.

Weszła do sali, jakby hotel do niej należał. Wysoka, o smagłej cerze i czarnych włosach, ubrana w oblepiającą ją suknię bez ramion.

— To od Lagerfelda — mruknął Massimo. — Widziałem tę suknię w jego wiosennej kolekcji.

Connie Crum zajęła miejsce przy stoliku, jakieś dziesięć metrów od barowej lady. Kelner bez pytania podał jej natychmiast koktajl na szampanie.

— Ona tu bywa — powiedział Bruno. — Nie musiała nawet zamawiać.

— Przestań na jej temat bredzić. Najmniejszej szansy — mruknął Massimo. — Takie kobiety nie chadzają samotnie. Ona czeka na męża albo na kochanka.

Bruno jednak nie rezygnował. — Myślisz, że to Tajka?

— Nie. Euroazjatka. Wiele ich się urodziło podczas wojny wietnamskiej i jeszcze wcześniej, za czasów francuskich. Jedno jest pewne: ma forszę. Nosi suknię za

pięć tysięcy dolarów. A jej naszyjnik i pierścionek to chyba najprawdziwsze diamenty. Prawdziwy jest też Rolex. Na pewno nie podróbka z ulicznego straganu.

* * *

Connie Crum wodziła wzrokiem po sali, niczym pantera w poszukiwaniu obiadu. Sala była zatłoczona, zwłaszcza długa lada barowa. Podobnie jak we wszystkich innych barach luksusowych hoteli Bangkoku, dziewięćdziesiąt procent klientów stanowili mężczyźni. Wielu starszawych z dużą nadwagą, o znudzonych twarzach i w drogich ubraniach.

Wzrok jej padł na dwóch Włochów. Bardzo jej odpowiadało to, co zobaczyła. Nie za młodzi i nie za starzy. Elegancko ubrani, a chociaż nos starszego był nieco haczykowany, stanowili urodziwą parę. Z rysów twarzy wyczytała, że są braćmi, co ją bardzo podnieciło.

Odwrócili już głowy do baru. Connie zauważyła, że wpatrują się w jej odbicie w lustrze. Rozpoczął się niemy dialog ciał, mimiki i drobnych gestów. Mężczyźni siedzieli sztywno na swoich stołkach. Młodszy przemknął dłonią po włosach i poprawił kremową chusteczkę w kieszonce marynarki. Piętnaście minut, pomyślała. I wtedy któryś z nich uczyni pierwszy ruch. Spojrzała na zegarek.

Po dziesięciu minutach młodszy zszedł ze stołka i udał się do toalety. Wrócił okrężną drogą tuż obok jej stolika i przy okazji dokładnie się przyjrzał. Po krótkiej rozmowie z bratem powrócił, lekko się przed nią skłonił i powiedział: — *Signorina* mi wybaczy śmiałość, ale pragnę się przedstawić. Jestem Bruno Marccetti z Mediolanu.

Connie spojrzała na zegarek, uśmiechnęła się i odparła: — Spóźniłeś się o minutę, Bruno.

Kolację zjedli we francuskiej restauracji na dachu wieżowca, z przepięknym widokiem na rzekę. Massimo był uroczy. Bruno okazywał nadgorliwe pożądanie. Siedzieli zaledwie parę minut, kiedy Connie poczuła kolano trącające jej nogę. Odsunęła się nieco, a ponieważ zdawała sobie sprawę, że bracia uzgodnili, iż ma przypaść Bruno, skoncentrowała uwagę na Massimo.

Wyjaśniła, że mieszka w Paryżu, że jej ojciec jest francuskim dyplomatą, a matka pochodzi z bocznego pnia kambodżańskiej rodziny królewskiej. Śmiechem zbyła sugestię, że w jej żyłach płynie królewska krew.

— Najwyżej jeden gram — odparła. — Jestem tylko odległą krewną.

Byli zaintrygowani. Mężczyzn zawsze porusza kombinacja pieniądza, urody

i szlachetnego pochodzenia. Powiedziała im, że przyleciała do Bangkoku, aby odwiedzić ojca, który przyjechał tu z kolejną misją nie kończącego się procesu pokojowego. Właśnie wezwano go na parę dni do Phnom Penh. Ona postanowiła zostać w Bangkoku i czekać na ojca w komforcie hotelu „Oriental”. Napomknęła, że nieco się nudzi, gdyż Bangkok jest miastem mężczyzn i kobiecie nie wypada samotnie zakosztować uroków nocnego życia. Ze smutnym uśmiechem zauważyła, że jest właściwie ptakiem uwięzionym w złotej klatce. W duchu zaśmiała na widok ich porozumiewawczych spojrzeń.

Zamówiła kawior, a następnie jagnię po prowansalsku. Oni także kazali podać sobie kawior, a następnie podzielili się jednym stekiem Chateaubriand. Przedtem Massimo odegrał wielką scenę zamawiania wina Chateau Latur 1971.

Connie zaczęła wabić. Noga Bruna sięgnęła dalej i dotknęła jej nogi. Tym razem nie wycofała się. Z kolei wysunęła drugą nogę i stopą dotknęła kostki Massima. Obaj mężczyźni uznali, że każdy z nich czyni wyraźne postępy. Wielokrotnie sięgnęła po sól i pieprz. Suknię miała nisko wyciętą, a w dodatku nie nosiła pod nią stanika. Ich oczy wędrowały za jej ruchami niczym za tenisową piłką. Gdy nadjechał wózek ze słodkościami, wzięła banana z lodami i jadła go powoli tak prowokacyjnie, że Bruno zaczął urywanie oddychać. Jego noga dociskała coraz mocniej. Massimo przełożył stopę przez jej stopę i delikatnie masował goleń kobiety.

— Czy jest pan żonaty? — spytała Massima.

Zapadło krótkie milczenie, podczas którego bracia spoglądali na siebie. Wreszcie Massimo powiedział: — Ja jestem żonaty, ale Bruno ma wielkie szczęście pozostawać nadal kawalerem.

Łzesz, pomyślała Connie. Obaj aż cuchną małżeństwem. Starszy brat chce pomóc młodszemu, chociaż czyni to raczej niechętnie.

Zamówili kawę i koniak, kelner zaprezentował pudełko cygar. Obaj bracia wybrali hawańskie. Kelner już odchodził, kiedy Connie przywołała go z powrotem i wzięła czarną brazylijską długą cygaretkę. Mężczyźni patrzyli z kiepsko ukrywanym zdziwieniem, gdy ucinęła jej koniec i zanurzała w koniaku, by następnie włożyć do ust i pochylić twarz w stronę kelnera oferującego ogień.

— To jest jedna z moich niewielu przyjemności — wyjaśniła. — Po świetnym posiłku prawdziwie męskie cygaro.

Mężczyźni przybrali uwodzicielskie miny. — Chyba nie ucieka pani od innych przyjemności? — spytał Bruno.

Wypuściła mu dym prosto w nos i słodko się uśmiechnęła, aby złagodzić nieprzyzwoity gest. — Ależ nie, Bruno. Nieco wcześniej kazałam sobie zrobić wspaniały masaż, a potem spędziłam pół godziny w wannie z masażem wodnym. Uwielbiam podwodne strumienie pieszczące mi całe ciało. — Spojrzała na Massima, którego spojrzenie było nieco zamglone niedwuznacznymi myślami. — Jest to niemal równie przyjemne jak seks — dokończyła. Wzrok Massimo rozbłysł —

Niemal?

— Tak, Massimo. Jestem w pełni rozwiniętą kobietą. Lubię masaże. Lubię masaże podwodne, lubię dobre wina i cygara. . . Lubię również mężczyzn. Prawdę mówiąc, potrzebuję ich. Potrzebuję ich nie mniej niż pożywienia. Minał tydzień od chwili mego wyjazdu z Paryża, gdzie został mój mąż. Czuję się, jakbym od tygodnia nie jadła. Jestem bardzo głodna.

Wypowiedziała to wszystko niemal szeptem. Mężczyźni musieli pochylić się nad stolikiem, aby nie uronić żadnego słowa. Wreszcie Bruno odzyskał głos:

— Jestem Włochem. Byłoby to ujmą i plamą na honorze mego kraju, gdybym pozwolił tak pięknej kobiecie dłużej głodować.

— O tak, to byłoby bardzo źle — wymamrotał Massimo jakby z lekkim żalem.

Uśmiechnęła się do obu i powiedziała: — Jesteście obaj dżentelmenami. Mam jednak pewien problem.

— Problem? — wykrzyknęli obaj z prawdziwą troską w głosie.

— Właśnie. Przez minione dwie godziny usiłowałam zdecydować, który z was mógłby najlepiej zaspokoić mój apetyt. Z przykrością stwierdzam, że wybór jest tak trudny, iż nie potrafię podjąć decyzji.

Mężczyźni popatrzyli po sobie z wyraźnym rozczarowaniem na twarzach. Connie przerwała im tę wzajemną kontemplację: — Przed paroma tygodniami w Paryżu usiłowałam zdecydować, którą z pokazanych mi sukienek kupić. Dla kobiety jest to niesłychanie trudna decyzja. Postanowiłam więc kupić obie.

Odsunęła krzesło i wstała wygładzając suknię na biodrach.

— Jestem w apartamencie Maughama — powiedziała. — Za pół godziny? Odpowiada to wam? — Delikatnymi palcami dotknęła szyjki butelki po winie. — Przy okazji każcie przysłać na górę jeszcze jedną butelkę. Rocznik 1971 ma niezrównany bukiet.

Odwróciła się i królewskim krokiem przeszła przez restaurację do drzwi. Patrzyli za nią w milczeniu. — Czeka nas interesująca noc, braciszku! — powiedział Massimo.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Susan wystukała numer mając nadzieję, że Elliot Friedman jeszcze nie pojechał do biura i jest w domu. Nie było to bardzo istotne, ale chciała porozmawiać z nim raczej nieoficjalnie, a telefon do gabinetu czynił rozmowę oficjalną.

Odebrała Julia, żona Fiedmana.

— Czy już wyjechał? — spytała Susan.

— Nie, właśnie kończy swoje wafle.

Susan słyszała, jak Julia woła męża przez kuchnię i po dłuższej chwili usłyszała „Słucham!” wypowiedziane z pełnymi ustami.

— Dzwonię z czymś w rodzaju meldunku — powiedziała Susan. — Żeby przedstawić sytuację w ogólnych zarysach. Nie mam nic konkretnego. Jestem w kontakcie z Creasym i jego towarzyszami. Dziś wieczorem przeprowadzą coś w rodzaju operacji wywiadowczej. Zgłosiłam się ochotniczo jako tłumaczka. Właśnie chcę to z tobą uzgodnić.

Życie po drugiej stronie oceanu ustało i Elliot zapytał już wyraźnym głosem: — Jakiego rodzaju jest ta operacja?

— Nie mogę tego powiedzieć przez telefon, ale chodzi o to, że Creasy chce porozmawiać z pewnym Wietnamczykiem, który nie zna angielskiego.

— Może być niebezpiecznie?

— Teoretycznie tak, ale prawdopodobieństwo jest małe.

— Kiedy ostatnio brałaś urlop?

— Co brałam?

— Urlop.

— O co ci...?

Przerwał jej ostrym głosem: — Susan! Przypomnij sobie: kiedy ostatnio byłaś na urlopie?

Zaczęła sobie przypominać. — Przed ośmioma miesiącami. Pojechałam na tydzień do kuzynki w Kalifornii.

— Doskonale. Wobec tego otrzymujesz od dziś dwa tygodnie urlopu. Kiedy przyjadę do biura, wyślę ci do hotelu faks potwierdzający powyższe. To, co bę-

dziesz przez te dwa tygodnie robiła, nie ma nic wspólnego z Biurem MIA. Od chwili otrzymania faksu wszystko, co robisz, jest twoją sprawą i nic mnie nie obchodzi, i nie biegnij do mnie po pomoc, jeśli wpadniesz w tarapaty.

Roześmiała się do słuchawki. — Tak jest, szefie. . . Czasami bywasz nie tylko piękny, ale i inteligentny. Zadzwoń potem do ciebie do domu, żeby powiedzieć, jak poszło.

— Doskonale, Susan. Zawsze podziwiałem twój rozsądek. Nadal z niego korzystaj. . .

W chwili, gdy odkładała słuchawkę, rozległo się pukanie do drzwi. Gdy otworzyła, na progu stał Creasy. — Chcę z panią porozmawiać w cztery oczy.

Zaprosiła go gestem ręki. Wskazała też hotelowy minibarek. — Napije się pan czegoś?

— Nie. Dziękuję. Zajmę pani tylko parę minut. Jest kilka rzeczy, które powinna pani wiedzieć.

Usiadła. — Proszę mówić.

Nie patrząc na nią, zaczął przechadzać się po pokoju.

— Wprosiła się pani sama na dzisiejszy wieczór. Nie jestem z tego niezadowolony, ale musi pani zrozumieć realia. To, co pani dziś wieczorem zobaczy, nie będzie piękne. Muszę przerazić tego człowieka. Wcale się z tego nie cieszę. Nie lubię robić takich rzeczy. Będzie pani na to patrzyła i może pani pomyśleć, że mi to sprawia przyjemność. Muszę to zrobić z prostego powodu: tamten powinien myśleć, iż ja się w tym lubuję. Jeśli go nie przekonam, że tak jest, nie puści pary z ust. Alternatywą tego, co zamierzam zrobić, byłyby tortury. Zna pani mój życiorys i wie, że nie jestem święty, ale przy tego rodzaju robocie, jeśli chce się pozostać człowiekiem, trzeba sobie wyznaczyć granicę, której się nie przekracza. Trzeba kierować się jakimiś zasadami. Moją zasadą jest nie zabijać nikogo, kto nie zamierza mnie zabić, i nigdy nikogo nie torturowałem. Z jednym wyjątkiem i to było dawno temu, a bestia na to zasługiwała. To, co zamierzam zaaplikować temu człowiekowi, którego chcemy przyskrzytnić, może się pani wydawać torturowaniem, ale nie według moich kryteriów. Po prostu chcę go bardzo przestraszyć. Będzie pani zaszokowana, ale w szoku niech pani pamięta o jednym: logicznie rozumując, powinienem go zabić po wydobyciu od niego potrzebnych informacji. Większość ludzi mojej profesji tak by uczyniła. W przeciwnym razie ci, którzy go wynajęli, mogliby dowiedzieć się, że ich zdradził. Bez względu na wszystko, nie zabiję go. I chociaż moje postępowanie może wydać się pani ohydne, niech pani pamięta o dwóch rzeczach: po pierwsze, ten człowiek przyjął zlecenie związane z wielkim ryzykiem dla życia, a po drugie, ja mu dam życie, gdy będzie pewny, że je traci. Proszę o tym pamiętać. I proszę pamiętać, że nie jestem potworem.

Przez cały ten czas na nią nie patrzył, ale Susan wyczuwała, jaką wagę mają dla niego te słowa. W chwili olśnienia zaczęła mu współczuć. Nie należał do ludzi, którym łatwo przychodzi tłumaczenie własnego postępowania.

Gdy skończył, usiadł na łóżku i bacznie się jej przyglądał. Czują się niczym ksiądz w konfesjonale. Niewiele się zastanawiając, wstała i usiadła obok niego. Ujęła jego potężną prawą dłoń pełną blizn na grzbiecie.

— Skąd one pochodzą? — spytała.

— To już bardzo dawno temu. Byłem jeńcem. Oficer śledczy zadawał mi pytania. Dużo palił, a nie miał popielniczki.

Podniosła głowę i spojrzała mu w oczy. — Zaczął pan mówić?

— Nie. Bo nie znałem odpowiedzi. On jednak w to nie wierzył.

Puściła jego dłoń. Wstał i ruszył do drzwi.

— Creasy, jestem wdzięczna, że pan mi to wszystko powiedział. Nigdy nie uważałam pana za człowieka złego. Beznamiętnego i trzeźwego, tak. Stosującego przemoc, tak. Ale nigdy złego. Prawdopodobnie nie spodoba mi się to, co dziś wieczorem zobaczę, ale postaram się to akceptować.

Położył dłoń na klamce, obrócił głowę z półuśmiechem, ale bardzo szybko spowaźniał. Po raz pierwszy zwrócił się do niej po imieniu: — Czy coś się dziś wydarzyło, Susan?

— Dlaczego? Co miałyby się wydarzyć?

— Obserwowałem cię w kawiarni. Byłaś bardzo zamyślona, jakby przygnębiona. Masz jakiś problem.

Uśmiechnęła się, potrząsając przecząco głową.

— Prosiłeś, żebym postarała się zrozumieć cię, Creasy. Teraz ty postaraj się mnie zrozumieć. Zwykle pracuję w biurze zagubiona w papierach. Nagle znalazłam się w Sajgonie w towarzystwie ludzi umiających przede wszystkim zabijać. To nie jest dla mnie całkowicie normalna sytuacja. Jeśli wydaję się inna, to dlatego, że właśnie jestem inna. Często nie mogę się dopasowywać do obcego mi otoczenia. To nie jest łatwe.

Spojrzał jej prosto w oczy, jakby chciał ją zgłębić i ocenić. Potem spojrzał na zegarek i powiedział: — Wyruszamy za godzinę.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Mogłaby przez miesiąc przeczesywać hotelowe bary w Bangkoku, a nie znalazłaby doskonalszej pary. Byli próżni wrodzoną próżnością Włochów. Mimo to zachowywali się nieco niepewnie, być może dlatego, że po raz pierwszy mieli do czynienia z podobną sytuacją. Byli też wyraźnie podnieceni. Jeszcze przed ich pojawieniem się kelner dostarczył do apartamentu Connie butelkę Chateau Latur. Connie nalewała im wino do kieliszków w eleganckim salonie. Drzwi do sypialni zostawiła otwarte. Wzrok mężczyzn nieustannie podążał ku szerokiemu łożu, skapanemu w migotliwym świetle. Stuknęli się kieliszkami.

— Za rozkosz! — wzniosła toast Connie.

— Za rozkosz! — mruknęli Włosi.

Wskazała im dwa wygodne fotele, a sama usiadła na kanapce. — Rozkosz, aby była piękna, musi być dobrze przygotowana — obwieściła. — Spędzimy razem noc i potem nigdy już więcej się nie zobaczymy. To także mieści się w rytuale rozkoszy. Żadnych konsekwencji. — Spojrzała na Massima: — Czy kiedykolwiek ty i brat kochaliście się w tym samym czasie z jedną kobietą?

Zaprzeczył ruchem głowy, przesuając językiem po suchych wargach.

Zwróciła się z kolei do Bruna: — Jak ty byś do tego przystąpił?

Bruno pociągnął łyk wina, zerknął na brata i odpowiedział: — Może w kolejności...?

Wybuchnęła śmiechem. — Jakie to prostackie. Skoro macie tak mało doświadczenia, dzisiejszej nocy ja będę waszym choreografem. A nasze miłosne pląsy pozostaną wam na zawsze w pamięci. Pod koniec wszyscy troje przeżyjemy w tym samym czasie najwyższą rozkosz. Będę was prowadziła. Będziecie dokładnie robić to, co wam każę. Jeśli mnie zawiedziecie, wszystko przerwę, nocy rozkoszy nie będzie, a ja pójdę szukać prawdziwych mężczyzn. Z doświadczenia wiem, że tylko prawdziwy mężczyzna potrafi dać się prowadzić kobiecie ku rozkoszy. Gdybyście nie byli teraz u mnie, to spędzilibyście czas z parą prostytutek, które moglibyście do woli instruować. Ale tu, dziś wieczorem, odkryjecie sekret prawdziwej rozkoszy.

Jednym haustem opróżniła kieliszek i wstała giętkim ruchem. Sięgnęła za plecy i rozpięła suknię. Jedwabna tkanina opadła jej do kostek. Pozwoliła im przez pół minuty kontemplować swe nagie ciało, a następnie rozkazała: — Chodźcie za mną.

I weszła do sypialni.

Wszędzie paliły się świece, powietrze było ciężkie od zapachu kadzideł.

— Siadaj tutaj, Massimo! Patrz i nic nie rób — wydała polecenie. Z kolei zwróciła się do Bruna: — Rozbierz się!

Usiadła pośrodku łoża, podkładając wysoko poduszkę pod głowę. Zrobili, co kazała. Bruno był bardzo szczupły, o twardych mięśniach oraz czarnoowłosionej klatce piersiowej i ramionach. Connie poklepała miejsce obok siebie. Położył się. W lewą rękę ujęła twardego penisa, mając wzrok wbity w siedzącego naprzeciwko Massima.

— Studiowałam w Paryżu, kiedy miałam osiemnaście lat — powiedziała. — Doszłam do wniosku, że kobieta taka jak ja powinna posiadać pewne umiejętności. Porozmawiałam z matką i matka się ze mną zgodziła. Wynajęła najlepszą paryską call-girl, aby mnie tych umiejętności nauczyła. Mam dwa dyplomy z Sorbony. Z języków i filozofii. Ale najważniejszy dyplom uzyskałam od damy imieniem Lucette. Pozwól, że ci coś zaprezentuję, Massimo.

Pochyliła się nad Bruno i językiem powędrowała od jego podbródka przez klatkę piersiową i brzuch do penisa, który ujęła w usta. Był długi i nabrzmiaty. Wchłaniała go coraz głębiej, aż wargami dotknęła worek moszny. Bruno pojękiwał, a Massimo wpatrywał się niemo nie wierząc własnym oczom. Connie podniosła głowę i spojrzała na Massima. Wypuściła z ust penisa i powiedziała: — Bądź cierpliwy. Przyjdzie i twoja kolej.

Powróciła do penisa Bruna, który po dziesięciu sekundach miał orgazm. Connie usiadła zaśmiewając się.

— Twój braciszek jest jeszcze chłopaczkiem — powiedziała do Massima. — Chyba jeszcze nigdy w życiu nie osiągnął tak szybko orgazmu. — Poklepała Bruna. — Idź do łazienki, weź zimny prysznic, a potem wychyl kieliszek tego dobrego wina. Za pół godziny znów będziesz w formie. Przez ten czas pobawię się z twoim bratem.

Massimo był starszy i mądrzejszy.

— To była niezła sztuczka, ale widziałem twoją prawą rękę. Wpakowałaś mu dłoń między pośladki i masowałaś prostatę. Stary kawał przepracowanych prostytutek z kolejką klientów czekających przed drzwiami — powiedział rozbierając się powoli.

Roześmiała się z uznaniem. — Widzę, że bywałeś już na Dalekim Wschodzie. Ale czy nie sądzisz, że młody człowiek powinien na własnej skórze wszystko sam sprawdzić? Gdyby zapłacił tysiąc dolarów za to doświadczenie, z pewnością byłby teraz rozczarowany. Teraz zobaczymy, jak ty sobie radzisz.

Uniosła obie ręce i dotknęła sutek. — Lewa sutka reaguje bardziej od prawej. Chcę, żebyś zaczął powoli i delikatnie końcem języka. Nie śpiesz się, przed nami są jeszcze długie godziny.

Wpakował się na łóżko, usiłował ją objąć i pocałować w usta. Odwróciła głowę.

— Lewa sutka! Masz od niej zacząć. Wszystko inne później.

Z łazienki wyszedł Bruno, wycierając się kąpielowym ręcznikiem. Penis mu zwisał. Zatrzymał się zapatrzony w brata pochylonego nad kobietą. Zaczęła mu się przyglądać. Penis powoli wstawał.

— Idź do salonu i napij się wina — poleciła. — Drzwi są otwarte, możesz się przyglądać.

Bruno nie ruszył się z miejsca. Connie chwyciła nagle Massima za włosy, odciągnęła mu głowę od sutki i głośno zasyczała:

— Zabieraj tego szczeniaka i obaj się wynoście! Znacie warunki.

Massimo odwrócił głowę i zaczął obrzucać Bruna włoskimi przekleństwami. Ten szybko wyszedł do salonu.

— Żeby mi to było po raz ostatni! — powiedziała ostro. — A teraz chcę mieć w sobie twój język. Wsuwaj powoli i ostrożnie.

Massimo wytrzymał piętnaście minut. Parokrotnie usiłował ją wziąć, ale za każdym razem powstrzymywała go karcącym słowem. Kazała mu wreszcie stanąć na łóżku i po prostu doprowadziła go do orgazmu dłonią, przez cały czas patrząc prosto w oczy. Bruno z kieliszkiem wina w ręku stał jak zakłęty w drzwiach sypialni. Na piersi Connie trysnęła sperma. Wtarła ją w skórę, nie odrywając wzroku od Massima.

— To była tylko przekąska — obwieściła. — Teraz wszyscy napijemy się wina i zobaczymy, czy bracia razem udźwigną dużo więcej niż każdy z osobna.

* * *

Oni byli instrumentami, ona grającym na instrumentach muzykiem. Grała na Bruno, jakby był bębniem, podczas gdy Massimo spełniał rolę skrzypiec. Ustawiała ich, czerpała z nich. Wykorzystywała. Ich dłonie, ich usta i ich penisy. Znała dokładnie sekundę, w której należało się spodziewać ich orgazmu i za każdym razem do niego nie dopuszczała ostrym ukłuciem paznokcia lub sprawiającym ból zaciśnięciem dłoni na jądrach. Jęczeli i wili się, podczas gdy ona zanosila się śmiechem. Przestali odróżniać rozkosz od bólu. Wreszcie z nocnego stolika wzięła buteleczkę pachnącego olejku i podała go Massimo. Potem okrakiem usiadła na Bruno i pozwoliła mu wejść w siebie. Obróciła głowę w kierunku starszego brata

i powiedziała:

— Polej penisa olejkiem. Zabawimy się w czekoladowy przekładaniec.

Poczuła ból, gdy wdarł się w nią od tyłu. A zaraz potem zaczęła krzyczeć z rozkoszy.

* * *

— Nie możemy jutro lecieć do domu — powiedział Massimo.

— Dlaczego? — spytał Bruno.

Obaj bracia znajdowali się w łazience.

— Obejrzyj swoje plecy.

Bruno zapatrzył się w lustro. Widział czerwone równoległe pręgi i sączącą się z nich krew.

— Ja mam to samo — mruknął Massimo. — Potrzeba tygodnia, żeby to się zagoiło. Nasze żony nie przyjęłyby żadnego wyjaśnienia.

— A ja nic nie czułem — wyznał Bruno.

— Ja też nie. Podrapał nas dziki kocur.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Susan nie czuła najmniejszego lęku. Być może dlatego, że cała operacja przebiegała w tak naturalny sposób. Zupełnie jakby Creasy, Guido i Sowa wykonywali rutynowe czynności. Siedziała obok Sowy w wynajętej furgonetce Toyoty. Stali na poboczu wąskiej drogi z wyłączonymi światłami i silnikiem.

— Creasy pije teraz w barze dwieście metrów za nami — objaśniał jej Sowa. — Za trzy minuty wyjdzie z baru i pójdzie w tamtym kierunku. . . — Wskazał wąską odnogę drogi biegnącą w lewo. — Czekaj tam Guido. Śledzący będzie szedł mniej więcej sześćdziesiąt metrów za Creasym. Po tej stronie, ponieważ przeciwna jest bardziej oświetlona. Nim wejdzie w tę wąską odnogę, wyskoczę z wozu i coś do niego zawołam. On się obróci i wtedy Guido zaskoczy go od tyłu. Ułożymy go w tyle furgonetki, zabierzemy Creasy'ego i wyjedziemy z miasta.

— Wydaje się bardzo proste — skomentowała.

— I będzie proste. Guido jest niesłychanie szybki. Nawet jeśli ten gość ma broń, nie zdąży jej użyć.

* * *

Operacja okazała się rzeczywiście prosta. W trzy minuty później zobaczyła Creasy'ego idącego spacerowym krokiem po przeciwnej, lepiej oświetlonej stronie drogi. W minutę później po ciemniejszej stronie przeszła obok furgonetki drobna postać. Sowa miał drzwiczki już lekko uchylone.

Wyskoczył i zawołał: — *Monsieur!*

Mężczyzna obrócił się i po paru sekundach pojawił się za nim cień. Susan usłyszała tępe uderzenie, a potem zapadła cisza, aż do chwili zatrzasnięcia tylnych drzwi furgonetki. Sowa wskoczył na swoje miejsce za kierownicą i spokojnie przekręcił kluczyk w stacyjce. Furgonetka ujechała sto metrów. Z mroku wynurzył się Creasy i wsiadł od tyłu. Ruszyli ulicą To Doe. Po kilku minutach, jadąc

bez pośpiechu, opuścili miasto.

* * *

Jechali przez pół godziny. Susan zaczęła odczuwać rosnący niepokój. Rozmowa z Creasym w hotelu powinna była rozwiązać wszystkie wątpliwości, niemniej w głębi duszy wiedziała, że trójka mężczyzn, którym teraz towarzyszy — Creasy, Guido i Sowa — to ludzie twardzi i bezlitośni.

Zjechali na gruntową drogę i, wolno wymijając drzewa dość gęstego lasu, dotarli do leniwie płynącej rzeki. Sowa zatrzymał wóz tuż przy drewnianym pomoście. Księżyc był niemal w pełni. Wychodząc z furgonetki, usłyszała leśne odgłosy: cykanie świerszczy i nawołujące się wysoko między gałęziami ptaki. Gdy przechodziła na tył wozu, odsunęły się boczne drzwi i na ziemię zeskoczył Creasy. Po chwili wyciągnął z wnętrza związanego mężczyznę.

Mężczyzna był drobny, lekkiej budowy, miał na sobie czarne dżinsy i granatową koszulę. Ręce i nogi krępowała mu czarna taśma, korpus opasany był sznurem, a do stóp uwiązano kamień. Czarna taśma kneblowała mu usta. Susan widziała strach w oczach tropiciela. Na ziemię wyskoczył też Guido. Razem z Creasym zanieśli Wietnamczyka na pomost. Susan i Sowa poszli za nimi.

— Co zamierzacie zrobić? — spytała.

— Ten człowiek ma szczęście, że tutaj jesteś — odparł Creasy. — On nie mówi po angielsku. Powiedz mu, że za kilka minut zadam kilka pytań, ale przedtem otrzyma małą próbkę... To mu pomoże odświeżyć pamięć i skoncentrować się. — Dał znak Guido.

Nastąpiło to niemal natychmiast. Guido chwycił koniec sznura, Creasy zaś uniósł Wietnamczyka, jakby to było małe dziecko i wrzucił do wody. Susan zrobiła krok do przodu, ale Sowa chwycił ją za ramię.

— Spokojnie — powiedział.

Wietnamczyk zniknął pod wodą ściągany na dno kamieniem. Mijały sekundy. Dla Susan każda z nich wydawała się wiecznością. Nie mogąc dłużej wytrzymać krzyknęła do Creasy'ego:

— Wyciągnijcie go, na miłość boską! On się utopi! Co wy najlepszego robicie?

Creasy podniósł dłoń patrząc na zegarek. — Spokojnie!

— Jest już na dnie — poinformował Guido. — Minuta chyba wystarczy.

— Dwie minuty — zdecydował Creasy. — Przygotuj się do wypompowania z niego wody.

Te dwie minuty miały dla Susan długość dwóch miesięcy. Raz jeszcze chciała

rzucić się do przodu, ale Sowa ją zatrzymał. Jego uchwyt był zdumiewająco silny.

Wreszcie Creasy i Guido zaczęli wyciągać Wietnamczyka z rzeki. Wychynał na powierzchnię trzęsąc się i rozpryskując wodę. Położyli go na deskach pomostu, Creasy odkneblował mu usta, jednym szarpnięciem odrywając plaster. Z nosa nieboraka ciekła woda. Guido usiadł na nim okrakiem, dłonie położył na jego plecach i miarowo zaczął z całej siły naciskać. Woda lała się teraz z nosa i ust. Wietnamczyk charczał i krztusił się, wstrząsany drgawkami.

Creasy obrócił się do Susan. W rękę trzymał plastikowy portfelik. Otworzył go i przeczytał: — Tran Quock Cong. Lat czterdzieści trzy. Żona i dwie córki. Mieszka w Szolon. — Dodał: — Chciałbym bardzo wiedzieć, kto i kiedy go wynajął.

Guido posadził Wietnamczyka łapczywie chwytającego powietrze.

— Najpierw mu powiedz, że jeśli nie odpowie na nasze pytania, to wróci na dno rzeki. Tym razem na zawsze — zwrócił się do Susan Creasy.

Susan potrzebowała minuty, by wziąć się w garść. Wezbrała w niej nienawiść do Creasy'ego i Guida, którzy wydawali się jej potworami dręczącymi niepozornego nieszczęsnego człowieczyne.

— Obiecałeś, Creasy, że nie będzie tortur. A to jak mam nazwać?

Guido odezwał się sentencjonalnie: — Czasami trzeba być okrutnym, aby okazać dobroć i wyrozumiałość. Wykapaliśmy go i napędziliśmy mu stracha. A przecież mógłbym połamać mu ręce i nogi, wyłamać wszystkie palce u rąk i nóg, wybić wszystkie zęby. Mam nadzieję, że teraz to już nie będzie konieczne. Niech się pani weźmie w garść i zacznie zadawać mu pytania.

— Nie będę tłumaczyć! — warknęła i odwróciła się plecami.

Zanim zdążyła wstąpić na pomost, zatrzymał ją głos Creasy'ego: — Jego życie jest w twoich rękach. Jeśli wszystkiego się nie dowiem, będę musiał go zabić. W przeciwnym wypadku, ten, kto go przysłał, dowie się, że jest zdemaskowany.

— Zabiłbyś go, Creasy? A jak byś to zrobił? — spytała wściekła.

— Uduślibym go i wrzucił do rzeki. Nie przyjechałaś na piknik, Susan! Rozmawiaj z nim albo wracaj do furgonetki.

Powoli ruszyła na pomost, przekonana, że już nigdy nie spojrzy na Creasy'ego, Guida i Sowę bez uczucia wstrętu. Znalazła się w towarzystwie zwierzaków w ludzkiej skórze. Myślała tylko o jednym: jak ocalić ludzkie życie.

Wietnamczyk teraz stał wsparty na Włochu. Wzrok miał mętny. Odezwała się do niego po wietnamsku:

— Jesteś w wielkim niebezpieczeństwie. Jeśli nie odpowiesz na pytania tych mężczyzn, to cię z pewnością zabiją.

Wietnamczykowi udało się skupić na niej wzrok. — Co oni chcą wiedzieć?

— Kim jesteś, kto cię wynajął i po co?

Creasy wyjął z plastikowego portfela dwie spłowiałe fotografie i pokazał Susan. Jedna przedstawiała mniej więcej trzyletnią dziewczynkę, druga chyba pięć-

ciioletnią. — Powiedz mu, że kiedy go utopię, to pójde do jego domu i zabije obie córki.

W świetle księżycy Susan dostrzegła oczy Creasy'ego. I uwierzyła jego groźbie. Powiedziała parę słów do Wietnamczyka i nagle nastąpiło coś nieoczekiwanego: zaczął się histerycznie śmiać. Guido uderzył go w twarz, powalając na kolana. Wietnamczyk powoli się podniósł. Zaczął mówić gestykulując w kierunku Creasy'ego. Przetłumaczyła:

— Podobnie grozili mu ci, którzy go wynajęli. Powiedzieli mu, że jeśli piśnie słówko tobie lub komukolwiek innemu, to zabiją jego i córki.

— Niech to szlag! — zaklął Creasy. Zbliżył się, klnąc dalej pod nosem. Przez dwie minuty wpatrywał się w Wietnamczyka, a potem po prostu odszedł.

— Rozwiąż go i odczep ten kamień — rzucił polecenie.

Guido bez wahania je spełnił. Creasy spacerował tam i z powrotem po pomocy. Wietnamczyk rozcierał uwolnione przeguby rąk. Ciągłe było widać strach w jego oczach, którymi wodził za Creasym. Wreszcie Creasy zatrzymał się przed drobnym człowiekiem. W obie dłonie pochwycił barki Wietnamczyka. Do Susan powiedział: — Tłumacz mu każde moje słowo.

Patrząc Wietnamczykowi prosto w oczy, zaczął mówić:

— Nie zabiłbym ani ciebie, ani twoich córek. Nie toczę wojny z dziećmi. Ludzie, dla których zdecydowałeś się pracować, nie wyznają podobnych zasad. — Odczekał chwilę, by Susan zdążyła przetłumaczyć. — Jesteś w trudnej sytuacji. Między młotem a kowadłem. Powiedz mi to, czego się chcę dowiedzieć, a ja w zamian ofiaruję ci bezpieczeństwo twoich dzieci. Po rozmowie ze mną będziesz za nami chodził przez następne czterdzieści osiem godzin i donosił swemu chlebodawcy o wszystkim, co robimy. W ciągu tych czterdziestu ośmiu godzin sprrowadzę do Sajgonu dwóch ludzi, którzy roztoczą opiekę nad tobą i twoją rodziną. Masz teraz wybór: odpowiedzieć mi na pytania i otrzymać osobistą ochronę lub po prostu odejść.

Susan skończyła tłumaczyć. Creasy zdjął dłonie z ramion Wietnamczyka i cofnął się. Słyszeć teraz było tylko dźwięki z lasu. Wietnamczyk opuścił wzrok na ciemne wydeptane deski pomostu. Wreszcie podniósł głowę i, patrząc w oczy Creasy'emu, zapytał:

— Kim są ci, którzy mają zapewnić bezpieczeństwo mnie i moim dzieciom?

Susan przetłumaczyła słowa Wietnamczyka, a potem odpowiedź Creasy'ego.

— Ludzie tacy jak ja.

— Odpowiem na pańskie pytania — odparł Wietnamczyk.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

— A jednak masz serce.

Creasy wzruszył ramionami i spojrział filuternie na Susan.

— Przed mniej więcej dwoma laty odwiedziłem w Kopenhadze Jensa. Odezwiała się źle zabliźniona rana. Jens wysłał mnie do szpitala, gdzie dokładnie mnie przebadano. Miałem prześwietlenia i USG. To było zdumiewające. Patrzyłem na monitor i wiedziałem moje wnętrze. Płuca, nerki, wątrobę, jelita i coś jeszcze... Zapytałem lekarza, co to, do cholery jest, a on mi na to, że to jest moje serce. — Creasy uśmiechnął się. — Tak, mam serce. Czasami daje o sobie znać. Przykro mi, że byłaś świadkiem tego przedstawienia, ale było ono konieczne. Byłaś naszą psychologiczną bramą do umysłu Tran Quock Conga. Gdybyś nie wierzyła w to, co mówiłem, nie uwierzyłby i on.

— Nie miałaś zamiaru go zabijać ani uśmiercać jego dzieci?

— Najmniejszego. Powiedziałem ci przecież, że nigdy nie zabijam ludzi, którzy nie próbują zabić mnie.

Siedzieli w pokoju Creasy'ego w hotelu „Continental”. Jens stukał w klawisze komputera. Obok leżała wielka mapa Indochin. Guido rozmawiał przez telefon. Sowa był zatopiony w muzyce ze słuchawek walkmana. Tran Quock siedział w barze po drugiej stronie ulicy, obserwując hotelowe wejście.

Guido odłożył słuchawkę telefonu i wstał. — Okay. Maxie złapał René w Brukseli. Obaj odlatują rano z Paryża. Dotrą na lotnisko Than Son Nut o dziesiątej rano następnego dnia. Wzięli bilety klasy klubowej, więc dobrze odpoczną... Ale potrzebna im będzie broń...

— Dostaną ją. I my też się zaopatrzymy. Porozmawiam z Billym w „Mai Man Bar”. Ma kontakty.

— Kim są ci dwaj, którzy tu przylecą? — spytała Susan.

— Starzy przyjaciele — odparł Creasy. — Maxie MacDonald to Rodezyjczyk. Podczas wojny walczył w elitarniej jednostce Skautów Seluosa. Niewiele armii mogło się szczyścić tak dobrze wyszkolonymi jednostkami. René Callard jest Belgiem. Ja i Guido służyliśmy razem z nim w Legii Cudzoziemskiej. Teraz jest wyspecjalizowanym ochroniarzem. Tran Quock Cong i jego rodzina będą z nimi bezpieczniejsi, niż gdybyśmy ich ukryli w skarbcu Fort Knox. — Obrócił

się do Duńczyka. — Więc co tam masz, Jens?

Duńczyk wyprostował ramiona i, po krótkim wpatrywaniu się w monitor, zaczął recytować tonem policjanta składającego oficjalny raport:

— Tran Quock Cong, urodzony we wrześniu 1958 roku w wiosce w pobliżu Hue. Szkoła podstawowa. Rodzice zginęli podczas amerykańskiego nalotu. Miał wówczas dwanaście lat. Udało mu się dostać do Sajgonu. Był jednym z tysięcy bezdomnych dzieci. Został kieszonkowcem i drobnym złodziejaszkiem. Gdy władzę przejęli komuniści, stał się informatorem tajnej policji, która wyszkoliła go w technikach inwigilacji. Nadal jest policyjnym informatorem, ale dorabia na boku, przyjmując prywatne zlecenia. Przed trzema tygodniami zgłosił się do niego niejaki Cong Hung. Nazwisko najprawdopodobniej fałszywe. Zaproponował mu inwigilację cudzoziemca, który miał przylecieć do Sajgonu mniej więcej za dwa tygodnie. Otrzymał tysiąc dolarów amerykańskich oraz polecenie udania się do Phnom Penh i zatrzymania w pensjonacie „Quai Ban”. Zrobił to. W pensjonacie nawiązała z nim kontakt kobieta o nazwisku Pan Chamnan. Prawdopodobnie także fałszywe nazwisko. Zabrała go pociągiem do miasta Sisophon w pobliżu granicy Tajlandii. Z Sisophon oboje zostali zabrani Land Roverem. Jechali dwie godziny gruntową wyboistą drogą. Tran Quock Cong miał zawiązane oczy. Przybyli do obozu wojskowego w lesie, w pobliżu wioski. Tran Quock Cong sądzi, że jechali przez cały czas na północ, a kiedy później przestudiował mapę, doszedł do wniosku, że mógł być w pobliżu wsi Chek. Obóz należał do Czerwonych Khmerów. Poznał tam człowieka, który przedstawił się jako Ha Minh Hien. Z opisu wynika, że to najprawdopodobniej twój przyjaciel, Van Luk Wan. Tran otrzymał twoją fotografię. Pochodziła co najmniej sprzed dwudziestu lat, ale było widać na twarzy blizny, które masz do dziś. Otrzymał dwa tysiące dolarów w gotówce oraz faks Samsunga i numer faksu w Phnom Pehn. Polecono mu pod ten numer wysyłać faksem raporty oznaczone kodem CALAN. Miał je wysyłać codziennie o szóstej po południu. W obozie spędził cały dzień i całą noc. W tym czasie miał okazję przysłuchiwać się rozmowom, z których wynikało, że Czerwoni Khmerowie przetrzymują wielu amerykańskich jeńców, używając ich do oczyszczania pól minowych. Rano w dniu wyjazdu widział nawet jednego z nich z dużej odległości. Jeniec miał skute nogi, co ograniczało mu swobodę ruchów. Brodaty, między czterdziestką a pięćdziesiątką. Zanim odwieziono go z zawiązanymi oczami do Sisophon, ów rzekomy Ha Minh Hien zagroził, że jeśli zawiedzie w robocie, to jego żona i dzieci zostaną zabite.

Duńczyk podniósł wzrok na Creasy'ego. — Sprawdziłem ten obszar w Kambodży. To są rzeczywiście tereny opanowane przez Czerwonych Khmerów. — Rzucił okiem na mapę. — Trzydzieści kilometrów od tajskiej granicy. Dla armii kambodżańskiej jest to zakazana okolica. Wolą tam nie zaglądać.

Susan wstała i podeszła do telefonu. — Muszę zadzwonić do mojego szefa w Waszyngtonie. Jeśli tam są Amerykanie to z pewnością nasi MIA.

— Wstrzymaj się chwilę — powiedział Creasy. — Co twój szef zrobi, kiedy mu przekażesz tę informację?

— Wyśle agentów, a może sam przyleci. To pierwsza od lat informacja o istnieniu żywych jeńców.

— I co ci agenci zrobią?

— Pójdą w teren.

Creasy rzucił okiem na Guida, a potem ostro przemówił do Susan:

— To byłaby katastrofa. Nie ma nic gorszego niż gromada gorliwców pętających się po okolicy. Jeśli naprawdę są tam MIA, to Czerwoni Khmerowie zdążąliby ich ukryć w ciągu kilku minut.

— Moim obowiązkiem jest zawiadomić przełożonych.

— Pieprzemy twoje obowiązki, droga Susan. Powiedziano ci, że masz z nami współpracować i wspierać w terenie. Ty nam obwieściłaś, że oficjalnie jesteś na urlopie. Proponuję, abyś pozwoliła nam opracować plan, a jeśli będziemy potrzebowali wsparcia, to zawiadomimy twoją instytucję.

— Tak będzie najlepiej — poparł go Jens. — A przede wszystkim potrzebujemy dodatkowych informacji. Chcę zlokalizować ten numer faksu w Kambodży. Teraz, kiedy mamy Tran Quok Conga po naszej stronie, może uda się nam zmontować lipną operację i wykurzyć tych ludzi z nor, w których się poukrywali, oraz odnaleźć ich komórkę w Phnom Penh. W takiej operacji jak nasza trzeba postępować planowo i systematycznie, krok po kroku. — Spojrzał na Creasy'ego. — Myślę, że Tran Quok Cong jest nieświadomym pionkiem. Jego zleceniodawcy spodziewali się, że go odkryjemy i przyłapiemy. To element ich niezwykle precyzyjnego planu zwabienia Creasy'ego. Po prostu podstawili go nam.

Creasy z powątpiewaniem pokręcił głową. — To się nie trzyma kupy, Jens. Tran jest ekspertem, specem od inwiligacji. Gdyby zamierzali oddać w nasze ręce osobę mającą mnie śledzić, to podstawiliby amatora, żeby nie było najmniejszych wątpliwości, że go wypatrzę. I nie założyliby mu na oczy opaski w drodze do tego obozu Czerwonych Khmerów.

— Nasi przeciwnicy są bardzo chytry — odparł Jens. — Zwróć uwagę, że według słów Trana założyli mu opaskę dopiero po dziesięciu minutach od opuszczenia miasta Sisophon. Do tego czasu mógł ustalić kierunek jazdy posługując się słońcem. Ten, kto cię tu zwabił, zna cię dobrze. Doskonale wie, że zauważyłbyś nawet eksperta idącego twoim śladem. Ale ten ktoś nie zna cię tak dobrze jak ja, i zakłada, że po przyłapaniu człowieka i wydobyciu z niego informacji, zabiłbyś go, aby nie ostrzegł swojego mocodawcy. Ponieważ wszystko to wiemy, mamy nad tym kimś przewagę. — Spojrzał bacznie na Susan. — Ponieważ tylko pani mogła się z nim porozumieć, proszę mi powiedzieć, czy według pani Tran uwierzył zapewnieniu Creasy'ego, że ten potrafi ochronić jego i jego rodzinę?

Susan powróciła na swoje miejsce. — Tak — odparła. — On wierzy słowu Creasy'ego.

— To też działa na naszą korzyść — mruknął Creasy. — I to wszystko, co do tej chwili mamy. Jens, polecisz razem z Sową do Phnom Penh i spróbujesz zlokalizować ten faks. Przy okazji zbierz informacje na temat całego rejonu wokół wioski Chek. Warto też dowiedzieć się paru szczegółów na temat lokalnego dowódcy Czerwonych Khmerów. Ilu ma ludzi i jaki obszar kontroluje. — Z kolei zwrócił się do Guida. — Rano idź zobaczyć się z Billy Chanem w „Mai Man Bar”. Napiszę do niego liścik. On zorganizuje ci kontakt z czarnym rynkiem. Kupisz nam trochę zabawek. Potrzebne są przynajmniej dwa pistolety maszynowe, cztery pistolety, trochę granatów obronnych oraz co tam jeszcze uznasz za konieczne i pożyteczne. Z pewnością mają tu sporo rosyjskiego sprzętu. Możesz więc kupić *Katasznikowy* zamiast pistoletów maszynowych. Chyba że trafisz na *Uzi*. Chińczycy wyprodukowali *Typ 51*, zupełnie dobrą wersję pistoletu *TT*. Na pewno jest ich pod dostatkiem na tutejszym rynku broni. Kup też po kilka zapasowych magazynków dla każdego z nas.

Następnie zwrócił się do Susan. — Ciebie proszę o odebranie Maxie’ego i René z lotniska i wręczenie każdemu z nich pistoletu z tych zakupionych przez Guida. Zaprowadzisz ich do domu Trana, zabierając dostateczną liczbę puszek z jedzeniem i butelek z wodą, żeby im wystarczyło na tydzień. Opisz im przebieg wypadków. Wypożycz też trzy telefony komórkowe. Jeden daj Maxie’emu, drugi wezmę ja, trzeci zatrzymasz ty. W ten sposób będziemy mieli stałą łączność. Telefony można wynająć w hotelowej recepcji.

— A ty co będziesz robił? — spytała Susan.

— Ja trochę pozwiadam — odparł Creasy. — Tran będzie faksował, że zachowuję się jak typowy turysta. Kiedy Jens rozejrzy się w Phnom Penh, przeniesiemy się wszyscy do Kambodży. — Spojrzał na zegarek i wstał. — Może szczeniak przeżył, ale z pewnością nie jest już szczeniakiem. Nie po dwudziestu sześciu latach niewoli u Wietnamczyków i Czerwonych Khmerów.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Rozpoznałyby ich nawet bez rysopisu. Dostrzegła ich od razu po odprawie celnej: dwaj mężczyźni z brezentowymi podróżnymi torbami odpowiednio małymi, by można je było zabrać do samolotu jako bagaż podręczny. Jeden był średniego wzrostu, barczysty, silnie zbudowany, miał smagłą, opaloną twarz i krucze włosy. Szli czujni, nieustannie zerkając na boki — przedziwna ostrożność, zupełnie jakby znajdowali się na polu walki.

Susan podeszła, przedstawiła się i powiedziała: — Creasy prosił, abym was zabrała z lotniska tam, gdzie macie przebywać.

Przez chwilę oceniały ją dwie paru oczu. Potem Belg wyciągnął na powitanie rękę.

— Jestem René Callard, a to mój kolega, Maxie.

René usiadł na przednim siedzeniu obok Susan, Maxie z tyłu. W drodze do Szolon pytania zadawał Rodezyjczyk.

— Ma pani... sprzęt dla nas?

— Mam. W torbie na siedzeniu obok pana.

— Jaki?

Susan wciągnęła głęboko powietrze, sama sobie nie wierząc, że przyszło jej rozmawiać na podobne tematy. — *Tokariemy* chińskiej produkcji. Sześć zapasowych magazynków. Sześćset nabojów. Telefon komórkowy Nokia i dwadzieścia metrów sieci rybackiej, zgodnie z waszym zamówieniem.

— Zaopatrzenie?

— Żywność i woda na tydzień.

— Rodzina?

— Zaopatrzona na miesiąc. Otrzymała instrukcje.

Za plecami usłyszała aprobujący pomruk.

— Gdzie są nasi? — spytał René.

— Jens i Sowa odlecieli wczoraj do Phnom Penh. Creasy zwiedza miasto jako turysta. Guido zniknął.

— Zniknął?

— Tak. Nie wiem, gdzie jest. Creasy mi nie powiedział.

W lusterku zauważyła, że Maxie raz po raz wygląda przez tylną szybę, Belg natomiast ani razu nie odwrócił głowy, obserwując drogę przed sobą. Nie byli spięci, ale czujni. Odezwał się Maxie: — Proszę zjechać na pobocze i zatrzymać się pół kilometra przed domem tego Trana. I nie gasić silnika.

René po raz pierwszy spojrział na Susan. — Co, pani zdaniem, robi Guido?

Maxie chrząknął i odpowiedział zamiast Susan: — Włóczy się po najbliższej okolicy. Umie to świetnie robić. My będziemy w środku, on na zewnątrz. Czy on ma telefon komórkowy, panno Moore?

— Tak. Skomunikuje się z wami. . . Jestem Susan. W sytuacji, w jakiej wszyscy się znaleźliśmy, tak się do mnie zwracajcie.

Poczuła na ramieniu lekki dotyk dłoni. — Dziękujemy. Jak dotąd wszystko gra. Zakładam, że rodzina została dokładnie poinstruowana i nie zrobi nic głupiego.

— Zna dobrze sytuację i drży o swoje życie.

— Okay. Oto procedura: najpierw na kilka minut zatrzymamy się o pół kilometra od domu, abyśmy mogli z René sprawdzić, czy nikt się za nami nie wlecze. Następnie podjedzie pani do budynku i rozpoznamy bezpośrednio otoczenie. Potem wejdziemy do domu. Ty wejdiesz dopiero po dziesięciu minutach. . . Rozumiem, że nikt w rodzinie nie mówi po angielsku?

— Najwyżej parę słów.

— Więc musisz pouczyć ich w naszym imieniu, że powinni ściśle przestrzegać procedur. Że jeśli zrobią coś głupiego albo przestaną słuchać poleceń, to René i ja przestaniemy ich chronić i będziemy dbać tylko o nasze własne bezpieczeństwo. Nawet nie uronimy łzy na ich pogrzebie.

Odpowiedziała tym samym tonem: — Zrozumiałam. Przedstawię im sytuację.

* * *

Minęła most i po pięciu minutach zatrzymała wóz na poboczu drogi. Maxie ustawił tak wsteczne lusterko, by mógł obserwować drogę za sobą. Panował na niej spory ruch: samochody, autobusy, riksze i rowery oraz wielu pieszych. René patrzył przed siebie i na boki. Siedzieli w absolutnym bezruchu. Susan zdusiła chęć kichnięcia.

— Okay, możemy podjechać bliżej — powiedział wreszcie Maxie.

Susan włączyła pierwszy bieg i ruszyła, przysłuchując się ich rozmowie.

— Olbrzymi ruch. Jak w mrowisku — zauważył Maxie.

— Aha. Pracujemy od środka. Trzeba tkwić wewnątrz. Reagować z miejsca.

Nie ma czasu na przygotowania.

Susan po raz wtóry zatrzymała wóz przy resztkach chodnika. Wskazała palcem dom.

— W tej bocznej uliczce. Po lewej stronie. Dokładnie pięćdziesiąt pięć metrów z tego miejsca. Frontowe drzwi pomalowane na czarno. Pani Tran i dzieci są uprzedzone.

Po odczekaniu minuty Maxie mruknął: — Idziemy.

Patrzyła za nimi, jak zbliżają się do rogu i znikają w bocznej uliczce, niosąc swoje brezentowe torby i worek ze „sprzętem”. Wokół niej kipiało życie. Pomyślała sobie, że to trochę dziwne, iż wszystko pozostało tak, jak było po wprowadzeniu w zwykłe środowisko dwóch zupełnie odmiennych ludzi.

* * *

Po dziesięciu minutach zamknęła wóz i poszła za nimi. Drzwi otworzył jej René. Zdążył się już przebrać ze sportowej marynarki i zwykłych spodni w czarne dżinsy i czarną koszulę. Na nogach miał czarne gimnastyczne pantofle.

Pani Tran i dziewczynki siedziały na sofie. Niespokojnie przyglądały się temu, co robi Maxie. Maxie też przebrał się na czarno. Susan przysunęła do sofy krzesło, usiadła i obserwowała z zainteresowaniem.

Maxie siecią rybacką osłaniał okna. René trzymał w ręku krążek białej maskującej taśmy. Dłonią przesłaniał oczy i chodził po pokoju wyglądając przez wszystkie okna. Gdy skończył inspekcję, zaczął rozwijać białą taśmę i przyklejać jej pasma na drewnianej podłodze.

— O co tutaj chodzi? — spytała Susan. — Chcę wyjaśnić pani Tran.

— Sieć rybacka na oknach zabezpiecza przed próbą wrzucenia granatu. Siatka jest drobna i niewidoczna z zewnątrz. Jeśli ktoś rzuci granat, to odbije się on z powrotem — wyjaśnił Maxie. Palcem wskazał René. — No ale siatka nie zatrzyma kul, więc René wyznacza linie ognia. Jeśli, na przykład, jakiś snajper wybierze sobie stanowisko w budynku naprzeciwko, to przez to okno będzie miał ściśle ograniczone pole ostrzału. Więc René wyznacza bezpieczne strefy. Musi to być zrobione bardzo dokładnie. No i sprawa oświetlenia. Wszystko wytłumaczymy po zakończeniu roboty.

Susan przetłumaczyła otrzymane informacje. Wietnamka pilnie słuchała. Słuchały też obie dziewczynki, podobne do laleczek ze swoimi okrągłymi buźkami i włosami upiętymi wysoko na głowie. Były urocze. Nagle uświadomiła sobie swoją sytuację i pilną konieczność podjęcia decyzji. Zdusiła jednak te myśli i powróciła do obserwowania obu mężczyzn.

René skończył naklejanie pasków białej taśmy i wykręcał teraz żarówkę z ozdobnego abażuru zwisającego z sufitu. Maxie sprawdzał sprężystość siatek na oknach. W pełni zadowolony zwrócił się do Susan: — Za chwilę zajmiemy się pozostałymi pomieszczeniami. — Wskazał białe paski na podłodze. — Tylko po nich wolno chodzić. Kiedy pani Tran i dziewczynki będą się przemieszczały w tym pokoju lub szły do pozostałych, mają stapać wyłącznie po białych paskach. Wtedy pozostaną zawsze poza polem widzenia ewentualnego snajpera. Wyjmujemy żarówki ze wszystkich lamp oświetlających niewłaściwe miejsca. Bezpieczną strefę wytyczymy także w łazience. — Z brezentowej torby wyjął kilka czarnych pudełek ze zwisającymi z nich cienkimi drucikami. — Po zmroku umieścimy je na zewnątrz. Jest to system alarmowy na podczerwień. Gdyby ktoś się zbliżał do drzwi czy okien, we wszystkich pokojach rozlegnie się brzęczyk. Wtedy pani Tran i dziewczynki mają natychmiast iść do łazienki i położyć się na ziemi. Mają leżeć, póki René albo ja nie powiemy, żeby spuściły wodę. To będzie dla nich sygnałem, że alarm został odwołany.

Susan wszystko przetłumaczyła, spodziewając się, że Wietnamka będzie tym ubawiona. Ona jednakże pokiwała głową i zapytała:

— Będę z nimi naprawdę bezpieczna?

Susan zerknęła na obu mężczyzn. — Jestem przekonana, że zrobią wszystko, by ochronić panią i jej dzieci.

Kobieta potrząsnęła głową. — Nie o to pytałam. Mamy razem spędzić tu wiele dni i nocy. Co będzie, jeśli oni się upiją i będą chcieli mnie zgwałcić?

Susan chciała sama odpowiedzieć, ale się wstrzymała i powtórzyła pytanie mężczyznom.

Nie wydawali się wcale urażeni. Odpowiedział Maxie.

— Po pierwsze, w czasie pobytu w tym domu nie weźmiemy do ust alkoholu. A po drugie, może jej pani powiedzieć, Susan. . . — zerknął z ukosa na René — że jesteśmy pedziami.

Susan otworzyła szeroko oczy, a następnie przetłumaczyła odpowiedź.

Pani Tran po raz pierwszy uśmiechnęła się, a potem głośno roześmiała. — Ja dobrze widzę, że nimi nie są. Ale teraz im ufam. Niech pani im podziękuję i powie, że miło mi ich gościć w moim domu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Widziała dotąd blizny tylko na jego twarzy, ale nie pozostałe — na jego ciele, w które wpatrywała się teraz z chorobliwą fascynacją. Wydawało się niemożliwe dotknąć palcem klatki piersiowej, by nie trafić na bliznę.

Przed paroma minutami zapukała do drzwi jego pokoju. Ujrzała go tylko w szortach. Hotelowa klimatyzacja znowu się popsukała i podczas bezwietrznego wieczoru w pokoju było gorąco jak w rozpalonym piecu.

Nalał jej i sobie zimnej wody do szklanek i uważnie wysłuchał sprawozdania z przybycia Maxie'ego i René i z objęcia przez nich ochrony domu Trana.

— Bardzo mnie to podniosło na duchu — dokończyła. — Obaj wydają się niezmiernie kompetentni.

Obdarzył ją jednym ze swych rzadkich krótkich uśmiechów. — Już samo to, że jeszcze żyją, jest dowodem ich kompetencji — powiedział. — Wszystko polega na doświadczeniu. Owszem, można wziąć dwudziestolatka atletę i wyszkolić go na ochroniarza, zapoznając ze wszystkimi rodzajami walki i broni. Fizycznie stanie się ekspertem, ale psychicznie i umysłowo tylko częściowo. Zdobędzie pełne doświadczenie dopiero po paru próbach zabicia czy porwania jego podopiecznych. Początkowo nawet wyszkolony mężczyzna czy kobieta nie potrafią sobie poradzić w nie znanych sobie okolicznościach. Są nieporadni. Niech tylko zacznie się strzelanina, całe szkolenie idzie w diabły. A tu mamy sytuację inną i nieco paradoksalną. Zarówno Maxie, jak i René są już po pięćdziesiątce. Nie znam firmy ochroniarskiej na świecie, która zaangażowałaby pięćdziesięciolatek na ochroniarzy. Tymczasem nie ma chyba lepszych ochroniarzy od nich.

Susan nie mogła oderwać oczu od blizn na ciele Creasy'ego.

Wskazując na nie spytała:

— Czy oni są podobnie pokiereshowani?

— Wystarczająco — odparł. — Z tego co wiem, René odniósł wiele ran w Algierii podczas służby w Legii Cudzoziemskiej. A potem był jeszcze parę razy ranny w Kongo. Maxie'ego pozostawiono raz na pograniczu zambijskim podczas wojny w Rodezji. Myślano, że już nie żyje. Przeczółgał się paręnaście kilome-

trów na stronę rodezyjską. Trzy miesiące był w szpitalu. Istotne jest to, droga Susan, że przeszli wielokrotnie przez piekło.

— Po co to robicie?

Wzruszył ramionami. — Tylko to umiemy. Miałem siedemnaście lat, kiedy wstąpiłem do piechoty morskiej, chcąc uciec z prowincji. I od tego czasu zawsze byłem żołnierzem. Żołnierka to mój zawód. To samo dotyczy Maxie'ego i René, no i oczywiście Guido. Nie ma w tym odrobiny romantyzmu. Nazywano nas „psami wojny” i „sierotami społeczeństwa”. Prawda leży zapewne gdzieś pośrodku. Najemnicy zawsze mieli złą reputację i przeważnie na nią zasługiwali. Z natury rzeczy ta profesja przyciąga wyrzutki. Ale nie wszyscy są źli. Najlepsze lata spędziłem w Legii. Czułem się jak w rodzinie, której właściwie nigdy nie posiadałem. Tak samo René i Guido. W legionowej rodzinie byliśmy braćmi.

— Musiałeś odejść z Legii?

— Nie. Żaden żołnierz nie musi odchodzić dobrowolnie. Jeśli osiąga wiek, który nie pozwala mu już wojować, to otrzymuje inne obowiązki albo osiada w jakiejś winnicy we Francji. W normalnych okolicznościach nigdy nie musi opuszczać legionowej rodziny.

— Więc dlaczego wy trzej odeszliście?

— To się zdarzyło pod koniec wojny algierskiej, kiedy de Gaulle postanowił dać Algerii niepodległość. Niektórzy generałowie i inni oficerowie zbuntowali się, łącznie z oficerami dowodzącymi naszym pułkiem spadochronowym. Żołnierze zawsze idą za dowódcami. Po uśmierzeniu rebelii rozwiązano nasz pułk. De Gaulle był mściwy, być może nie bez racji. W pewnym momencie pojawił się pomysł, żeby dokonać desantu na Paryż. — Creasy zamyślił się. — To był szaleńczy plan, ale i czasy były szalone.

Nagle wstał i podszedł do okna, usiłując je jeszcze szerzej otworzyć, aby wpuścić nieco więcej powietrza. Spojrzał na tętniącą ulicę poniżej i nie odwracając głowy powiedział: — Więc nas wyrzucili. Po prostu.

Gdy się odwrócił, na jego twarzy malowało się zakłopotanie. Zamknięty w sobie mężczyzna, nieprzywykły do długich monologów i nie lubiący okazywać własnych uczuć.

— Koniec wykładu — obwieścił. — I zmiana tematu. Jutro lecę do Phnom Penh. Moim zdaniem, tu już nie mamy co robić. Guido zostanie jeszcze kilka dni, żeby z zewnątrz mieć oko na dom Trana i na niego samego.

— Właśnie teraz to robi?

Creasy skinął głową. — Myślę, że możemy zaufać Tranowi, ale właściwie nigdy nie można być niczego pewnym. W tym kraju mechanizmy działania i motywacje są bardzo skomplikowane. Kto wie, czy jeszcze ktoś nie porusza marionetkami, czy jeszcze ktoś z ukrycia nie pociąga za sznurki. — Powrócił do fotela i usiadł. — Jestem ci bardzo wdzięczny za pomoc, Susan. Dzięki tobie poznałem Dang Hoang Longa. Było to dla mnie pożyteczne spotkanie. Przepraszam za to,

co musiałaś przeżyć nad rzeką.

Jego ostatnie słowa ledwo do niej dotarły, ponieważ jej myśli powędrowały nagle do sprawy, która od dwóch dni czekała na decyzję. Nawarstwienie wydarzeń i ich emocjonalne oddziaływanie pozwoliły dotychczas na odsuwanie osobistych problemów. Ale teraz trzeba się z tym uporać. Musiała tkwić dość długo zagubiona w myślach, gdyż nagle usłyszała pytanie:

— Co ci jest, Susan?

— Nie, nic, absolutnie nic — odparła pośpiesznie. — Po prostu o czymś myślałam.

— Musiało to być coś bardzo smutnego.

— Dlaczego tak sądzisz?

— Na twojej twarzy wszystko widać. Od dwóch dni to obserwuję. Jesteś zupełnie inna. Czy coś się wydarzyło?

Uświadomiła sobie, że zmienił się ton jego głosu. Nie było w nim żadnej ostrości. Przez ułamek sekundy miała ochotę wszystko mu powiedzieć. Może dlatego, że był od niej dwadzieścia lat starszy i bardziej doświadczony. Spojrzała jednak na jego pokiereszowane ciało i zadała sobie pytanie: Co taki jak on człowiek może wiedzieć o uczuciach kobiety, która wie, że rozwija się w niej płód? Co może wiedzieć o rozczarowaniu osobą, którą miała nadzieję pokochać i co do której miała nadzieję, że ona pokocha ją? Co Creasy może wiedzieć o czymkolwiek oprócz broni i zabijania? Jego świat jest odległy od mojego świata o miliony lat świetlnych.

Wstała i wygładziła spódnice. — Wszystko jest w porządku, Creasy. Zostanę tu chyba jeszcze parę dni, a potem wrócę do Waszyngtonu. Mam nadzieję, że w Kambodży pójdzie wam wszystkim dobrze. Cieszę się, że mogłam nieco pomóc.

* * *

Wróciła do swego pokoju i wzięła zimny prysznic. Potem otuliła się w kąpielowy ręcznik i położyła na łóżku. Nie mogła się skupić i skoncentrować na jakimkolwiek temacie. Powoli jednak doszła do wniosku, że dojrzała do zwrotnego punktu życia. Była w wieku i w stanie wymagającym życiowej decyzji. Czuła się samotna i porzucona. Podciągnęła się do pozycji siedzącej i oparła o wezgłowie. Podjęła decyzję. Bardzo łatwą: ostateczną decyzję podejmie nazajutrz. Zje w hotelu kolację, wypije butelkę dobrego wina, będzie dobrze i długo spała, a kiedy się jutro obudzi, podejmie decyzję.

Zadzwonił telefon. Telefonował Creasy. — Właśnie otrzymałem faks od Jen-

sa — powiedział. — Wykonał swoją robotę, w związku z czym postanowiłem, że polecę tam jutro rano. I w związku z tym coś ci zaproponuję. Otóż kiedy tu byłem przed laty, pewien Francuz nazwiskiem Jean Godard prowadził restaurację na ulicy Co Ban. Najlepsza francuska kuchnia w Indochinach. Oczywiście po wojnie komuniści przejęli lokal, a on wrócił do Francji. Dziś się jednak dowiedziałem, że wrócił i że pozwolono mu wydzierżawić jego własny lokal. Idę tam na kolację. Przyjmij moje zaproszenie, jeśli nie masz innych planów. Miałbym okazję w bardziej właściwy sposób podziękować ci za pomoc.

Zastanawiała się bardzo krótko. — Nie musisz mi za nic dziękować. Spełniłam tylko swój obowiązek. . . Ale zaproszenie z radością przyjmuję.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Pan Ponnosan otworzył pokrywkę pudełka i mimowolnie ze świstem wypuścił wstrzymywany oddech. Tym razem w pudełku nie było opali ani żadnych innych klejnotów. Na dnie leżało sześć kawałków jaspisu. W życiu nie widział kawałków tej wielkości. Opanował się i spojrzał na uśmiechniętą twarz Connie Crum, która siedziała po drugiej stronie stołu. Obecnemu spotkaniu towarzyszyła ta sama sceneria, co przy paru poprzednich wizytach: drewniany dom w dżungli, pusty pokój i dwie czarno odziane kobiety z pistoletami w kaburach, czuwające za plecami swej pani.

Ponnosan dobrze zarobił przy poprzednich trzech okazjach. Ponad pięćdziesiąt procent. Tym razem chodziło o wielką transakcję. Przypatrywał się malutkim „okienkom” wyszlifowanym w kamieniach. Dzięki nim widać było śmietankową biel imperialnego jaspisu. Mógł pochodzić wyłącznie z górzystej północy Birmy. Ponnosan nie był ekspertem, jeśli idzie o jaspis, ale dobrze rozpoznawał to, co teraz trzymał w palcach. Usiłując zachować obojętny wyraz twarzy zapytał:

— Ile pani za to chce?

Nachyliła się. — Czteryście tysięcy dolarów — oświadczyła zimnym ostrym głosem. — I żadnych targów. Jeśli nie interesuje to pana, sama zawiozę całą partię do Bangkoku.

Opuścił wzrok na szare bryłki.

— To bardzo dużo pieniędzy — mruknął.

— Nie. To wcale nie jest dużo za taki jaspis. Nie przyjechałby pan tu znowu, gdyby nie zarobił pan dobrze przy poprzednich okazjach. I wie pan także, że normalnie jaspis wędruje prosto z Rangunu na aukcję w Hongkongu. Czteryście tysięcy i ani centa mniej. Wie pan doskonale, że podwoi pan zainwestowany kapitał.

Stojące za Connie kobiety obserwowały oczy kupca. Dostrzegły w nich chciwość. Ponnosan zatrzaskał pudełko i skinął głową, sięgając do skózanego pasa z pieniędzmi.

Gdy w swym jedwabnym włoskim garniturze szedł do drzwi, Connie Crum spojrzała na jedną z kobiet. Miała minę kota, który dopadł smakowitego kraba. Po chwili wróciła do przeliczania pieniędzy.

Wszedł Van Luk Wan i podniósł wysoko brwi na widok góry tysiąc dolarowych banknotów.

— Widzę, że transakcja się udała.

Obdarzyła go swym kocim uśmiechem.

— Doskonale. Nie zobaczymy już pana Ponnosana. Po powrocie do Bangkoku i pokazaniu tych kamieni prawdziwym ekspertom dowie się, że kupił alaskański jaspisowiec wart najwyżej pięćdziesiąt dolarów. — Przeciągnęła się z ziewnięciem. — Sama nie wiem, co sprawia mi większą przyjemność: orgazm czy oskubywanie podkładających się tajskich biznesmenów.

Wan się uśmiechnął, ale jego oczy nie opuszczały stosu banknotów. — Dobrze bawiłaś się w Bangkoku? — spytał.

Niemal zamruczała na miłe wspomnienie. — Doskonale. W ogóle miałam wspaniały tydzień.

— Obecny może będzie jeszcze lepszy. Otrzymałem właśnie wiadomość, że Duńczyk i Francuz przylecieli do Phnom Pehn. Przed godziną zameldowali się w hotelu „Cambodiana”.

Connie wyprostowała się. Pieniądze poszły w zapomnienie. — Więc Creasy dopadł Trana? — spytała.

— Tak by z tego wynikało. Albo Creasy jest bardzo przebiegły albo bardzo bogaty. Tran nadal przysyła meldunki. Creasy go kupił — w dalszym ciągu przebywa w Sajgonie. Jego przyjaciel, Guido Aurello, zniknął.

Potakiwała głową, pełna zadumy.

— Tak, Creasy jest chytry. Przysłał tu straż przednią, żeby się rozejrzała i zebrała informacje. A sam udaje niewiniątko. Ale zapewniam cię, że wkrótce także przyleci do Phnom Pehn. Wówczas rozpoczniemy następną fazę. — Jej kocie oczy zwięziły się. — Powiedziałeś Tranowi, co grozi jemu i jego rodzinie, jeśli nas zdradzi?

— Tak. To uprawdopodobniło naszą historyjkę.

— Świetnie. Więc kiedy Creasy opuści Sajgon, każ komuś zabić całą rodzinę zdrajcy.

— Czy to konieczne?

— Oczywiście. Ludzie muszą wiedzieć, że zawsze spełniamy nasze groźby. Ta historia się rozniesie. Będą się nas bardziej bali.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Nie pokazano im nawet karty.

Stary właściciel bistro powitał Creasy'ego cmoknięciem w oba policzki i niedźwiedzim uściskiem. Susan pocałował w rękę. Następnie wskazał stół w rogu sali.

Przy odrobinie wyobraźni mogli myśleć, że siedzą w paryskim bistro: kra-
ciaste obrusy, stare lustra i sztychy na ścianach. Najpierw jedli gęstą zupę rybną,
potem pieczone jagnię, wreszcie francuskie sery i owoce. Na wszystkich stolikach
paliły się świece. W paryskich lokalach rzadko się to spotyka. Pili bardzo dobre
wino i Susan wypiła go nieco zbyt wiele.

Oprócz mało znaczącej wymiany słów, nie prowadzili poważniejszej rozmowy.
Bistro było prawie pełne. Z głośników płynęły przytłumione dźwięki francu-
skiej muzyki. Edith Piaff śpiewała „*Je ne regrette rien*”. I właśnie wówczas Susan
zauważyła coś dziwnego: Creasy obrócił głowę w stronę baru i pochwycił wzrok
starego właściciela, siedzącego za ladą na wysokim stołku. Obaj oddali sobie krót-
ki salut podniesionymi dłońmi.

— O co tu chodzi? Co to miało być? — spytała.

Wahał się chwilę, zanim wyjaśnił: — Stara historia. Jean jest byłym legioni-
stą. Walczył pod Dien Bien Phu i służył potem jeszcze w Algierii, kiedy pucz
się załamał. Mój pułk podpalił własne koszary i wymaszerował w nicłość... Idąc
śpiewaliśmy... *Je ne regrette rien!*³ Wspomnienie tego mocno wryło się w na-
szej pamięci. Kiedy Edith Piaff umarła, dawni legionści wysłali straż honorową
na pogrzeb. Co roku, w rocznicę śmierci piosenkarki, składane są kwiaty na jej
paryskim grobie. Z kartką, na której jest napisane jedno słowo: LEGIA.

Załamał mu się głos, co do głębi poruszyło Susan. Wydawało się to dziwne,
że tacy ludzie jak Creasy mogą ulegać podobnym nastrojom. Po chwili jednak
zrozumiała. Życie Edith Piaff i życie legionistów miały wiele wspólnego. Ona
i oni byli w istocie sierotami tego świata.

³(franc.) Niczego nie żałuję.

Zapoznając się w Waszyngtonie z materiałami przesłanymi przez Interpol, Susan znalazła informację, że Creasy był dwukrotnie żonaty. Jego pierwsza żona i jedyne dziecko zginęli w katastrofie samolotu PanAm nad Lockerbie. Drugą żonę rozerwała na strzępy bomba podłożona do samochodu w Londynie. Już samo przebywanie w pobliżu Creasy'ego stanowiło niebezpieczeństwo. Może właśnie uświadomienie sobie tego, a może wino, spowodowało, że poczuła, jakby przeszył ją prąd. Patrzyła na podświetlaną płomykiem świecy pokiereszowaną twarz o oczach na pół przesłoniętych broniącymi się przed dymem powiekami — on sam nie palił — patrzyła na siwe, krótko przycięte włosy i niemal dostrzegała czającą się w tym człowieku i obwieszczaną światu groźbę. Uświadomiła sobie nagle, że ją podnieca seksualnie.

Zmieszał ją jeszcze bardziej, gdy powiedział: — Nie przypominam sobie, abym kiedykolwiek jadł kolację w podobnie romantycznym miejscu z kapitanem amerykańskiej Armii.

Roześmiała się. — Może powinnam była przyjść w mundurze.

— Nigdy nie chciałbym cię zobaczyć w mundurze — powiedział. — Ten strój lepiej do ciebie pasuje. Jesteś przedziwnie piękna, Susan. Na pierwszy rzut oka wydajesz się okropnie surowa. Potem to wrażenie mija, pojawia się miękkość. . .

Poczuła się nadspodziewanie zadowolona z komplementu. Od bardzo dawna nikt jej nim nie obdarzył.

— Czy w twoim życiu istnieje teraz jakaś kobieta? — spytała zdziwiona własną odwagą.

— Nie. Wisi nade mną fatum. Bywam niebezpieczny dla kobiet.

— W pewnym sensie to rozumiem. Nie pracujesz w biurze od dziewiątej do piątej.

Łokciami wsparł się o stół i ściszył głos.

— Pomówmy teraz o tobie, Susan. Aby przeżyć tak długo w zawodzie, jaki jeszcze wykonuję, muszę być niesłychanie czujny. Muszę wszystko dostrzegać, i dostrzegam. Pilnie ci się przyglądam od paru dni i wiem, że coś się wydarzyło. Możesz mi nie wierzyć, ale naprawdę bardzo cię lubię. . . Bardzo. Z początku myślałem, że twój stan to reakcją na wydarzenia nad rzeką. Ale teraz wiem, że byłem w błędzie. Chodzi o zupełnie coś innego. O co?

Być może podziałał nastrój miejsca.

— Trzy dni temu dowiedziałam się, że jestem w ciąży — wyrzuciła z siebie.

Jedyną jego reakcją było wypicie łyka zimnej wody. — Teraz opowiedz mi wszystko od początku — powiedział po chwili. — Nie jestem twoim ojcem, przełożonym ani kochankiem. Jestem po prostu przyjacielem.

Zaczęła mówić. Przez piętnaście minut słuchał w milczeniu, potem powiedział: — W tym konkretnym wypadku aborcja wyglądałaby na ucieczkę.

— To moja decyzja — odparła.

— Oczywiście, że twoja. Ale to byłaby tragedia.

— Jak możesz tak mówić?

— Mówię tak, ponieważ potrzebne jest ci dziecko.

— Bez ojca?

— Ojciec byłby pożyteczny, ale nie jest nieodzowny. Wystarczy, jeśli dziecko ma miłość matczyną. — Westchnął. — Tak, jestem staroświecki i wcale się tego nie wstydzę. W pewnych wypadkach mogę aprobować aborcję, ale musisz przyznać, że kiedy poczęłaś to dziecko, byłaś w pewnym sensie zakochana w tym facecie z Waszyngtonu. Fakt, że on teraz nie chce mieć z tym nic wspólnego, nie czyni aktu poczęcia wstrętnym czy niewłaściwym. To, że do niego zadzwoniłaś, kiedy się dowiedziałaś o zajściu w ciążę, i to, że do tej chwili właściwie jeszcze nie zdecydowałaś, czy ciążę przerwać, czy też nie, oznacza dla mnie jedno: jakaś część ciebie pragnie tego dziecka. Teraz należałoby się dowiedzieć, jak wielka jest to część. Innymi słowy, powinniśmy zbadać, jak silny jest twój instynkt macierzyński.

Roześmiała się. — Powiedziałaś, Creasy, że powinniśmy. My? Jakże ty możesz sprawdzić siłę mojego instynktu macierzyńskiego?

— Mam sposób — odparł. — Sprawdzę, kiedy stąd wyjdziemy.

Była zarówno zaciekawiona i podekscytowana.

— I co zrobisz? Zabierzesz mnie nad rzekę, podtopisz i potem spytasz o mój instynkt?

— Może właśnie tak zrobię, tylko nieco inaczej niż sobie wyobrażasz.

* * *

Była to wielka sala sprawiająca wrażenie zasnutej gęstą mgłą. Wrażenie to sprawiły moskitiery spływające od sufitu na kołyski i większe łóżeczka. Szli między ich rzędami prowadzeni przez młodego człowieka, który wyjaśniał sekrety sierocińca. Rozległ się płacz dziecka. Do kołyski podeszła zakonnica, odchyliła moskitierę, wzięła na ręce niemowlę i zaczęła do niego łagodnie mówić. Była to kilkumiesięczna dziewczynka o już ukształtowanych rysach, podobna do wschodniej lalki — miała zwężone oczy i pierwsze ślady ciemnej czupryny. Tymczasem rozplakało się inne dziecko. Zakonnica zwróciła się do Susan: — Proszę przez chwilę ją potrzymać.

Susan przejęła zawiniątko i ułożyła je sobie w ramionach. Patrzyła na maleńką buźkę i wypowiadała pieśczośliwe niemądre słowa.

Dziecko przestało płakać. Susan podniosła wzrok na Creasy'ego i powiedziała:

— Ty draniu!

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Jens nie mógł po prostu uwierzyć, że przebywa w kraju, który zaledwie przed kilkunastu laty padł ofiarą jednej z największych zbrodni w historii ludzkości.

Siedział z Sową w patio pawilonu zbudowanego w ogrodach hotelu „Cambodiana”. Równie dobrze mógłby to być fragment raju. Minęła właśnie północ i księżyc w pełni zwiślał nad nimi, niczym latarnia oświetlając bugenwilię spływającą ze ścian pawilonu. Słysząc było intensywny szmer tysięcy owadów, powietrze było ciężkie zapachem tropikalnej nocy.

Duńczyk był bardzo zadowolony. Zjedli doskonałą kolację w restauracji na otwartym powietrzu nad rzeką. Wypili butelkę wspaniałego białego wina, wybranego przez Sowę, a po powrocie do pawilonu Sowa wyciągnął butelkę kupionego na lotnisku koniaku Hennessy XO. Zanim ją otworzył, Jens zdążył zadzwonić do swej żony, Birgitte, i długo rozmawiał z nią i z córką, nie bacząc na koszt połączenia. Już sama rozmowa wprowadziłaby go w świetny humor, a przecież była jeszcze ta wspaniała noc i świadomość dobrze wykorzystanego popołudnia na sprawy zawodowe.

* * *

Do Phnom Penh przylecieli późnym rankiem. Wczesnym popołudniem wykryli, gdzie podłączony jest faks, na który Tran Quock Cong wysyłał raporty. Sowa był pełen podziwu, co czyniło sukces Jensa jeszcze smakowitszym. Z lotniska pojechali prosto do przedsiębiorstwa telekomunikacyjnego — Khmer Telecommunications — gdzie Jens przedstawił jeden ze swych fałszywych biletów wizytowych. Poza tym obdarzył recepcjonistkę czarującym uśmiechem i poprosił o chwilę rozmowy z dyrektorem do spraw technicznych. Był nieco zdumiony, gdy po kilku minutach wprowadzono go do gabinetu, gdzie zastali wysokiego i bardzo opalonego Australijczyka, który po uściśnięciu dłoni gościa spytał familiarnie: — Jaki masz problem, kolego?

— Przede wszystkim chciałbym wiedzieć, co tu, do cholery, robi Australijczyk

— odparł Jens.

Australijczyk podszedł do lodówki w rogu gabinetu, wyjął trzy puszki piwa i dopiero po udowodnieniu, że gościnność australijska naprawdę istnieje, odpowiedział, że jego firma współpracuje z rządem Kambodży nad odbudową i rozwojem sieci telefonicznej kraju. Wskazał palcem sufit i dodał: — Wszystko przychodzi i wylatuje za pośrednictwem rosyjskiego satelity. Można telefonować i faksować na cały świat, ale prędzej cię szlag trafi, nim dodzwonisz się do sąsiedniego miasta.

Jens wyłuszczył swoją sprawę. Jest kopenhaskim eksporterem produktów mięsnych. Organizacja handlu międzynarodowego skontaktowała go z pewną firmą khmerską. W ciągu minionych paru miesięcy był z tą firmą w kontakcie, wysyłając i otrzymując fakсы. Transakcja wyglądała obiecująco. Udając się w podróż do Sajgonu i Hongkongu postanowił odwiedzić przy okazji Phnom Penh w celu odbycia finalnych rozmów z tą firmą. Problem polega na tym, że na lotnisku w Sajgonie skradziono mu teczkę z dokumentacją. Nie może sobie nawet przypomnieć skomplikowanej khmerskiej nazwy owej firmy. Na szczęście zapamiętał numer faksu, gdyż ma dobrą pamięć do cyfr.

Australijczyk był bardzo pomocny. Wystukał numer faksu na klawiaturze komputera, nacisnął jakiś guzik na konsolce, spojrzął na ekran i wykrzyknął: — Jest! To jeden z trzech faksów w centrum biznesu hotelu „Cambodiana”.

Jens otworzył swojego notebooka, zapisał otrzymaną informację i spytał: — Czy można się dowiedzieć, kto korzysta z konkretnego faksu?

Australijczyk potrząsnął głową. — Tego typu informacje posiada tylko hotel. Dyrektorem jest Francuz, Marcel Duprey. Może panu pomoże, a może też i nie. Jest sztywnawy. Pan wie, jacy są Francuzi.

Jens uśmiechnął się i wskazał Sowę. — Doskonale wiem. Mój przyjaciel jest Francuzem.

Australijczyk nie był w najmniejszym stopniu zmieszany. Poklepał Sowę po ramieniu i pocieszył: — Niektórzy Francuzi są okay. Miałem kiedyś kapitalną francuską przyjaciółkę.

— „Cambodiana” to dobry hotel? — zapytał Jens.

— Najlepszy i największy. Tuż nad rzeką. Klimatyzowany, świetnie zaopatrzone bar i dobre jedzenie. Jeśli zamierza pan tu pozostać, radzę wybrać nie główny budynek, ale jeden z pawilonów w hotelowych ogrodach. Tyle że trzeba płacić cholernie dużo.

— To nie ma znaczenia. Ostatnio interesy dobrze idą. — Jens wstał i kończąc rozmowę powiedział: — Być może do zobaczenia w barze „Cambodiana”, gdzie będę miał okazję odwdziżyć się za miłe potraktowanie mojej prośby. Dziękuję, do widzenia.

* * *

Reszta była bardzo prosta. Zarejestrowali się w hotelu, wynajmując pawilon i czym prędzej pobiegli do biznesowego centrum — bardzo nowoczesnego, z trzema faksami, telexem, telefonami, komputerami i bardzo uroczą kierowniczką, pół Francuzką, pół Kambodżanką. Jens opłacił z góry tygodniowe korzystanie z centrum i wyjaśnił, że jeszcze tego popołudnia spodziewa się ważnego faksu między piątą a szóstą. Dziewczyna zapewniła Jensa, że może spokojnie odpoczywać w pawilonie i że dostarczy mu faks natychmiast po jego otrzymaniu. Jens powiedział, że woli czekać na miejscu w centrum, gdyż faks jest poufny i woli mieć do niego dostęp już na maszynie. Kierowniczka odparła, że w pełni rozumie, i poinformowała, że może zamówić do centrum drinki i kanapki.

Jens czekał więc w miękkim fotelu centrum, podczas gdy Sowa na zewnątrz w taksówce. W sali panowała cisza. Między piątą a piątą trzydzieści pojawiło się trzech chińskich biznesmenów, by wysłać fakсы i natychmiast otrzymać odpowiedź. Za pięć szóstą do lokalu wszedł wysoki szczupły Khmer w eleganckim garniturze, z teczką. Skinął głową Jensowi i zajął miejsce przy stole w pobliżu faksów. Jens pogryzał kanapkę i przeglądał tygodnik „Time” sprzed trzech tygodni. Dwie minuty po szóstej ożywił się środkowy faks. Obaj mężczyźni, Jens i Khmer, zerwali się z miejsc i podeszli do maszyny.

— Właśnie o szóstej miałem otrzymać faks — wyjaśnił Jens.

— Ja także. — Khmer uśmiechnął się.

Obaj patrzyli na wysuwający się papier. Khmer odwrócił jego brzeg i przeczytał sygnaturę.

— To dla mnie — powiedział i zasłonił sobą maszynę przed wzrokiem Jensa, ale dopiero wtedy, kiedy ten zdążył dostrzec słowo CALAN w nagłówku. Jens wrócił na miejsce i ponownie wziął do ręki tygodnik. Trzymał go tak, by znad górnego skraju móc widzieć głowę Khmera.

Khmer tylko rzucił okiem na faks i schował go do teczki, następnie wyszedł. Jens poszedł za nim przez hotelowy hol i widział, jak mężczyzna wsiada do czarnego Mercedesa. Ze stopni hotelu Jens skinął głową Sowie. Taksówka natychmiast ruszyła.

* * *

Sowa powrócił do pawilonu po dwudziestu minutach i złożył następujący meldunek: — Wszedł do budynku na bulwarze Achar Hemcheay. Mieszczą się tam

biura kompanii pod nazwą Lucit Trade.

Jens wrócił więc do centrum biznesu i wysłał faks do Creasy'ego w hotelu w Sajgonie. A potem wraz z Sową poszli na zasłużoną kolację.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Strzemiennego postanowili wypić w hotelowym barze. W taksówce w drodze powrotnej zachowywała milczenie. Teraz odczuwała jednak potrzebę rozmowy. Usiedli na barowych stołkach w głębi prawie pustego lokalu. Creasy potrafił słuchać. Opowiedziała mu o swoim dzieciństwie i losie dziecka wojskowej rodziny. Wraz z matką podążały za ojcem do garnizonów w Niemczech, w Japonii i na Guam. Kiedy jednak ojca przeniesiono do Wietnamu, matka i córka wróciły do Stanów.

W szkole napotkała na kłopoty, gdyż podróże i doświadczenia uczyniły ją dojrzałą od pozostałych dzieci w klasie. Z lekcjami radziła sobie dobrze, ale żyła w pewnej izolacji od reszty, Ignąc coraz bardziej do matki.

A potem przyszedł ów okropny dzień, kiedy się dowiedziała, że ojciec zaginał w akcji. Był sztabowym oficerem zwiadu wojskowego w Chu Lay i któregoś dnia, kiedy już rysowała się klęska pod Khe San, udał się do tej odciętej bazy helikopterem. W drodze powrotnej śmigłowiec został zestrzelony rakietą przeciwlotniczą nad gęsto zalesionym terytorium opanowanym przez Wietkong. Pilot miał zaledwie czas, by zawiadomić przez radio, iż próbuje posadzić maszynę. Nigdy nie odnaleziono ani śmigłowca, ani załogi. Nie natrafiono na jego ślad nawet po wojnie, kiedy rząd wietnamski i rząd amerykański już współpracowały w ustalaniu losów zaginionych.

— Moja matka głęboko wierzyła, że ojciec żyje — powiedziała. — Wierzyła w to aż do śmierci. Umarła po dziesięciu latach. Na raka.

Wsparty łokciami na barowej ladzie, Creasy popijał małutkimi łyčzkami wódkę z tonikiem. Twarz miał nieprzeniknioną.

— Ty też w to wierzyłaś? — spytał.

— Właściwie to nie. Oczywiście miałam nadzieję i modliłam się. Powtarzałam za mamą, że ojciec na pewno żyje, ale robiłam to dla niej. Co roku na urodziny ojca przygotowywała specjalny obiad. Jego ulubione potrawy. Na stole czekało na niego nakrycie. Jakby miała nadzieję, że właśnie tego dnia wróci i zaraz wejdzie. W nocy nie spałam. Słyszałam szloch matki z sąsiedniej sypialni. W dniu śmierci

prosiła mnie jeszcze, bym nie zapomniała o urodzinach ojca i przygotowywała obiad... Nigdy tego nie zrobiłam. Wraz z matką pochowałam wszystkie myśli o ojcu, jako o żywej istocie.

Creasy z ukosa rzucił jej krótkie spojrzenie. Kontynuowała zwierzenia:

— Wstąpiłam do wojska, gdyż nie znałam innego życia. Kiedy pojawiła się szansa pracy w Biurze MIA, natychmiast z niej skorzystałam. Bardzo mi ta praca odpowiadała. — Przez jej twarz przemknął nikły uśmiech. — Potrafię rozmawiać z rodzinami. Potrafię pocieszać. Okazało się, że jestem w tym tak dobra, że szybko awansowano mnie do stopnia kapitana.

Wpatrzony w swą szklankę Creasy przerwał Susan.

— Awansowano cię na kapitana, bo jesteś cholernie inteligentna i dobra w swojej robocie. Wietnamski i khmerski należą do najtrudniejszych języków, a ty je doskonale opanowałaś. I nawet znasz trochę laotański. Kiedy byłem tu podczas wojny, poznałem dziesiątki oficerów zwiadu i wywiadu oraz facetów z CIA i tak zwanych ekspertów. Na palcach jednej ręki mogę policzyć tych, którzy jako tako mówili po wietnamsku. To były kpiny. Prawie wszyscy musieli polegać na wojskowych tłumaczach armii południowowietnamskiej. Wielu z tych tłumaczy pracowało dla Wietkongu. Jakość i poziom materiałów wywiadowczych były przeraźliwie niskie. — Wzruszył ramionami i, nie patrząc na Susan, dodał: — Nie zamierzam tu obrażać twego ojca...

— Nie obrażasz, bo ojciec był lingwistą. Mówił świetnie po niemiecku i japońsku, a przed zaginięciem doskonale opanował wietnamski. W błyskawicznym czasie. Miałam okazję przestudiować jego teczkę. Nie wierzył raportom oficerów zwiadu piechoty morskiej. I dlatego właśnie polecił do Khe San...

Creasy wysączył ze szklanki ostatnie krople. Jak duch pojawił się barman i powtórnie ją napełnił. Susan zrezygnowała z drugiego drinka. Już po pierwszym kręciło się jej w głowie, gdyż podczas kolacji piła wino. Gdy barman zniknął równie niepostrzeżenie, jak się przedtem pojawił, powiedziała:

— Być może szkolne lata izolacji, czyli po prostu samotności, uczyniły mnie bardzo ambitną. Ojciec w wieku czterdziestu dwóch lat został pułkownikiem. Miał zostać awansowany na generała. On tego nie doczekał, ale doczekam ja. — Spojrzała na Creasy'ego z lekkim wyzwaniem i napotkała półuśmiech na jego twarzy.

Podniósł szklankę spełniając toast.

— Życzę ci tego z całego serca — powiedział. — Ja dochrapałem się tylko sierżanta, ale to właśnie sierżanci potrafią najlepiej oceniać oficerów, i przewiduję, że zostaniesz generałem. Mam nadzieję, że będziesz mnie jeszcze dostrzegała, kiedy zajdziesz tak wysoko.

Uśmiechnęła się, a poważniejąc dodała:

— Byłby z ciebie nadzwyczajny oficer sztabowy. Jest mi wprost trudno uwierzyć, ile wydarzyło się w ciągu minionych kilku dni. Dopiero przed dziesięcioma

dniami odnalazł cię w Brukseli ojciec Jake'a Bentsena. Dopiero przed tygodniem twoje nazwisko pojawiło się na ekranie naszych komputerów w Waszyngtonie. A teraz jesteśmy w Sajgonie. Ułożyłeś pierścień ochronny wokół naszego informatora i jego rodziny, twoi ludzie są w Phnom Penh i zaczynają nadsyłać pierwsze informacje. . . Jestem pełna podziwu dla członków twojej ekipy. Potrafisz dobierać odpowiednich ludzi do konkretnych zadań.

— Instynkt — odparł. — Znam ich wszystkich od lat. Wielokrotnie się sprawdzili. — Lekko dotknął jej ramienia. — I ty nam bardzo pomogłaś. Będzie nam ciebie brakowało.

Zapadła cisza, po której Susan wolno obróciła się do Creasy'ego.

— Nie będzie mnie wam brakowało. Wracając taksówką podjęłam decyzję. Nic nie mów! Wymusiłeś na mnie tę decyzję. Nie wracam do Waszyngtonu, nie usuwam dziecka. Jestem tu na oficjalnym urlopie. Chcę z wami zostać. Chcę jutro lecieć z tobą do Phnom Penh.

Creasy pokręcił głową.

— Sytuacja się zmienia. Zostajemy wessani w historię, która może przybrać bardzo gwałtowny przebieg i okrutne oblicze. Nie mogę w to pakować ciężarnej kobiety.

Roześmiała się. — Ciężarnej! Mam w sobie zaledwie zygotę, embrion. Ciężar poczuję dopiero za wiele tygodni. A do tego czasu, przy tempie, w jakim przeprowadzasz operacje, będzie już dawno po wszystkim. Jeszcze najwyżej dwa tygodnie. Mówi mi to mój instynkt. Lecę z tobą. W Phnom Penh mamy placówkę. Może okazać się pożyteczna. I nie zapominaj, że znam język.

Nie przekonany kręcił z dezaprobatą głową, więc ciągnęła dalej:

— Jeśli z tobą nie polecę, to obowiązek każe mi poinformować Waszyngton, że widziano niedawno żywych amerykańskich MIA.

— To szantaż!

— I kto to mówi? — Roześmiała się. — Kto przed paroma godzinami zabrał mnie do sierocińca?

— To nie był szantaż, ale udany eksperyment w dziedzinie sugestii.

— Było co było. Nieważne. Ważne jest to, że chcę z wami dotrzeć do końca. A poza wszystkim innym: to mój zawodowy obowiązek.

Pilnie go obserwowała, gdy w dalszym ciągu rozważał sytuację.

— Dobrze, zostajesz z nami — zgodził się. — Ale w takim razie jutro z samego rana musisz ponownie użyć swoich wpływów. Skomunikuj się ze swoim przyjacielem, Dang Hoang Longiem, by u Kambodżan załatwił ci od ręki wizę. Zwykle trwa to kilka dni, ale przy kontaktach Longa powinno dać się zrobić w parę godzin. I nie polecimy, ale pojedziemy.

— A co z Guidem?

— Dołączy za kilka dni. Jeśli tamci zamierzają zemścić się na rodzinie człowieka, któremu kazali nas śledzić, to będą próbowali natychmiast po opuszczeniu

przez nas Sajgonu. Guido obserwuje z zewnątrz, Maxie i René bronią fortecy.

— Co nas czeka w Phnom Penh?

— Z pewnością pozostawione przez drugą stronę ślady. Pozostawione po to, abyśmy nimi szli i wpadli w pułapkę. Rozwiązanie z pewnością nie znajduje się w Phnom Penh.

— A gdzie? I jak to się skończy?

— Gdzie, nie wiem. A jak? Z pewnością czyjaś śmiercią. Ich lub moją. Ale jeszcze nie w Phnom Penh. Na pewno nie... — Zszedł ze stołka. — Pojęcia nie mam, po co ja im jestem potrzebny, ale chyba nie po to, by mnie ucałować w oba policzki... Chodźmy spać!

Winda znowu była zepsuta. Idąc po schodach powiedziała:

— Przepraszam. W barze za dużo mówiłam. Rozkleiłam się. To zupełnie do mnie niepodobne. Może wypięłam za dużo wina... A może dlatego, że dziś jest dwudziesty siódmy...

Weszli w korytarz.

— Nie rozumiem? — spytał.

Stała pod drzwiami swego pokoju.

— Urodziny mojego ojca.

Każde z nich trzymało w dłoni klucz do pokoju. Creasy w zamyśleniu patrzył na Susan. Susan włożyła klucz do zamka.

— Jeśli nie chcesz dziś zostawać sama, to możesz spać ze mną — powiedział.

Wybuchnęła niemalże histerycznym śmiechem.

— Słyszałam wiele męskich propozycji, ale podobnie wypowiedzianej jeszcze nigdy.

— To nie jest propozycja. Nie zapraszam cię na miłosne igraszki. I nie jestem sentymentalny. Jesteś w obcym kraju, daleko od domu i człowieka, który, jak przypuszczałaś, kocha cię. W moich oczach jesteś po prostu samotną ludzką istotą. Dobrze, idź do siebie, połóż się i leż przez pół nocy z otwartymi oczami. Albo chodź ze mną i dobrze śpij. — Obdarzył ją kolejnym ze swych niby uśmiechów. — Tak już działałam na kobiety.

Bardzo długo spoglądała na Creasy'ego, a potem wyciągnęła klucz z zamka od swoich drzwi.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Na przejściu granicznym Moc Bai czekali zaledwie dziesięć minut. Creasy wysiadał z samochodu, trzymając w jednej ręce paszporty, w drugiej zwinięty studolarowy banknot.

— Nic się nie zmieniło — powiedział po powrocie do samochodu.

— I nic się nie zmieni, póki funkcjonariusze będą tak słabo opłacani — odparła Susan.

Creasy musiał lawirować na drodze pełnej dziur. Po obu stronach szosy rozciągały się po horyzont pola ryżowe. Z rzadka napotykali pojazdy — zmalretowane ciężarówki lub zabłąkane samochody oenzetowskich misji.

— Kiedy dotrzemy do Phnom Penh? — spytała.

— Przy takiej drodze trudno powiedzieć. W najlepszym wypadku późnym popołudniem.

Od chwili wyjazdu z hotelu niewiele rozmawiali, wyłącznie dzieląc się uwagami i obserwacjami. Susan zerknęła na Creasy'ego i szepnęła:

— Powinam chyba przeprosić za dzisiejszy poranek. . .

— Przeprosić za co?

— Za to, co się wydarzyło.

Spojrzał na nią zaskoczony. — No cóż, dziś rano wstaliśmy, zjedliśmy śniadanie, załadowaliśmy nasze rzeczy do samochodu, załatwiłaś wizę i ruszyliśmy do Phnom Penh.

— Mam na myśli to, co wydarzyło się przed wstaniem.

Prowadził wpatrzony w wyrwy na szosie. — Nic sobie nie przypominam. Pamiętam tylko, że położyłem się dobrze po północy i że obudziłem się o w pół do szóstej z nieco ciężką głową.

Zaśmiała się głucho. — Musiało mi się śnić.

— Zdarza się, Susan. Zwłaszcza po kilku kieliszkach dobrego czerwonego wina.

* * *

Nie śniło się jej. Położyli się na szerokim małżeńskim łóżu i zasnęli każde z osobna. Musiała już być czwarta rano, kiedy się obudziła. Obejmowała go i wtuliła głowę w jego ramię. Spał mocno, głęboko i równo oddychając. W łazience paliło się światło i drzwi do pokoju były otwarte. Dziwny obyczaj u takiego człowieka: powiedział jej, że nie potrafi zasnąć w ciemnościach. Uniosła głowę i zaczęła przyglądać się jego rysom. Poczła jednocześnie współczucie i pożądanie. Dotrzymywał danego słowa. Nie usiłował jej uwieść. Po prostu zaofiarował swoje towarzystwo samotnej istocie. Przesunęła dłońmi po jego ciele i złożyła kilka delikatnych pocałunków na policzku. Potem pocałowała go w kąciku ust. Wiedziała, że się obudził, że odczuwa jej dotyk. Objął ją. Nie padło między nimi ani jedno słowo. Przez następne pół godziny kochali się. Czułe, delikatne zespolenie. Przez cały czas ona była czynnikiem wiodącym — zupełna nowość w jej skromnym doświadczeniu seksualnym. Potem zasnęła, przytulona do niego całym ciałem. Spała tylko przez godzinę. Był to wspaniały głęboki sen. Życiodajny.

* * *

Gdy tak jechali wolno wyboistą szosą, usiłowała przeanalizować swoje uczucia. Czyżby się w nim zakochała? A może to tylko chwila niespodziewanie rozbudzonego pożądania? Creasy to przeciwieństwo jej nieszczęsnego profesora. Creasy i ona to istoty z dwóch różnych planet. Nigdy nie interesowali jej nieokrzesani, twarde jak żelazo mężczyźni. Może nie tyle nieokrzesani, ale wyciosani z granitu. Jej uwagę zwracał przede wszystkim intelekt.

Spróbowała myśleć o czymś innym, skoncentrować uwagę na scenerii, na wieśniakach w stożkowatych kapeluszach uplecionych z traw i bambusa, na nielicznych wołach zaprzęgniętych do pracy, na dzieciach sprzedających owoce na poboczach szosy. Wiele z nich było kalekich, bez nogi czy bez obu nóg — ofiary milionów min zagrzebanych w ziemi.

Próbowała na tym wszystkim się skoncentrować i oczy wchłaniały obrazy, ale myśli nieustannie wracały do siedzącego obok mężczyzny. Rozumiała jego zachowanie. Z jednej strony usiłować oszczędzić jej rumieńców, z drugiej wznosił między nimi niewidzialny mur. A może tylko tak jej się zdaje? Postanowiła nie zgłębiać przyczyn. Czas przyniesie odpowiedź. Chwilowo, po raz pierwszy od wielu dni, czuła spokój psychiczny i fizyczny. Rezultat zaspokojenia emocjonalnego i w pewnym sensie rozwiązania problemu osobistego.

— Kiedy coś zjemy? — spytała wesoło.

Spojrzał na zegarek. — Przy odrobinie szczęścia za godzinę dotrzemy do Neak Lung nad Mekongiem. Mam nadzieję, że prom nadal kursuje. Zjemy coś po drugiej stronie rzeki. Był tam niegdyś dobrze zaopatrzony rynek i wiele sklepów żywnościowych. Pamiętam, że tam właśnie jadłem wspaniałe słodkowodne ryby. I zaraz po jedzeniu pojedziemy dalej. W Phnom Penh mamy wiele do zrobienia.

— Od czego zaczynamy?

Odpowiedział dopiero po ominięciu groźnego wyboju:

— Najprawdopodobniej Jens już się dowiedział, kto stoi za Lucit Trade Company, a Sowa przeprowadził pełen rekonesans budynku. Kto wie, może jeszcze tej nocy włamiemy się tam z nim i dobrze porozglądamy.

— Czy to nie nazbyt ryzykowne? — spytała po chwili głębokiego zastanowienia. — Dwaj cudzoziemcy włamują się do biur w mieście takim jak Phnom Penh? Zdawałoby się, że do tego potrzebni są miejscowi spece.

Chrząknął rozbawiony. — Jeśli idzie o włamywanie się, to nie jestem amatorem, a Sowa to wysokiej klasy profesjonalista. Nim skumał się z Jensem, pracował dla marsylskiej mafii. Otworzenie zamka to dla niego czynność równie prosta, jak dla innych wytarcie nosa. Przy odrobinie szczęścia wejdziemy i wyjdziemy przez nikogo nie zauważeni. No i w zależności od tego, co w tym biurze znajdziemy, zaplanujemy dalsze kroki.

* * *

Prom w Neak Lung był czynny. Kiedy przepływali pięć kilometrów błotnistej, powolnej rzeki, Susan pomyślała, że właśnie porzuca dotychczasowe życie. Opuszczając tym razem Indochiny będzie zupełnie inną kobietą, zupełnie niepodobną do tej, która tu przyleciała przez kilkoma dniami.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Na pierwszy rzut oka przedmiot przypominał sławny scyzoryk armii szwajcarskiej z dziesiątkami ostrzy, pilników i dłut. Sowa pokazywał je kolejno, wyjaśniając, że są to narzędzia-wytrychy do rozmaitego typu zamków oraz specjalne ostrza i noże do podważania okiennych zamknięć. Susan była bardzo zaintrygowana.

— Gdzieś to znalazł, w Phnom Penh? — spytała. Pierwszy raz zobaczyła Sowę śmiejącego się głośno.

— Ten zestaw został wykonany przez najlepszego fachowca w Marsylii — odparł. — Nazywa się Gadra. Arab. Dostarcza najlepszej jakości sprzęt klientom w Europie i Północnej Afryce. Jest najwyższej klasy profesjonalistą. Dla swojej małej firmy handlowej kupuje zamki i kasy pancerne od znanych producentów, a potem dorabia klucze. Zakupione zamki i kasy oczywiście sprzedaje. — Podniósł z dumą do góry swój komplet wytrychów. — Najtwardsza stal. Kosztowało mnie to ponad sto tysięcy franków. Zawsze z tym podróżuję. Przedmiot nie mniej potrzebny niż szczoteczka do zębów czy paszport.

Sowa był bardzo dumny ze swojej specjalności włamywacza. Wyszedł na dwór i polecił Susan, aby zamknęła się od wewnątrz. Zamek w drzwiach należał do najnowocześniejszych. Po dwudziestu sekundach Sowa z roześmianą twarzą wszedł do środka.

— Widzę, że nie ma większego sensu zamykanie sypialni na klucz — skomentowała Susan z udawaną surowością.

Wyraz twarzy Sowy uległ gwałtownej zmianie. Odparł dość obcesowo:

— Droga Susan, nie musisz obawiać się o swoją cnotę. Nie tutaj. Tutaj nie jesteś dla nas kobietą. Jesteś członkiem drużyny.

To chyba miał być komplement? — pomyślała i wróciła do saloniku, gdzie przy stole siedzieli Creasy i Jens pochyleni nad jakimiś kartkami.

Zajrzała Creasy'emu przez ramię. Podniósł głowę.

— Jensowi udało się ustalić nazwiska obecnych dyrektorów Lucit Trade. Firma specjalizuje się w handlu szlachetnymi kamieniami, zwłaszcza szafirami, któ-

re pochodzą z prowincji Battambang w pobliżu tajlandzkiej granicy. A przynajmniej tak widnieje na ich szyldzie. — Wskazał na inną kartkę. — To jest zewnętrzny plan budynku. Drzwi frontowe od głównej ulicy oraz tylne drzwi od wąskiej uliczki. Żadnych alarmów chyba nie ma. Nic na to nie wskazuje. Dziś w nocy zajrzę tam z Sową. Dyrektorzy firmy to Kambodżanie. Ich nazwiska chwilowo nic dla nas nie znaczą. — Przyjaźnie klepnął Jensa po ramieniu. — Ale nasz Jens jest doskonałym detektywem. Dzięki drobnej łapówce uzyskał odpis pierwszego rejestru firmy z 1965 roku. Wyobraź sobie, że w tym czasie głównym udziałowcem był niejaki William Crum!

Susan tylko przez chwilę była zdezorientowana. Następnie przypomniała sobie:

— Człowiek, którego zabiłeś w Hongkongu?

— Tenże sam. — Creasy wstał.

Wstał też Jens i przeciągnął się. — Nie powiedziałem ci jednej rzeczy. Kiedy Sowa poszedł za mężczyzną z faksem i zobaczył, że wchodzi on do firmy Lucit Trade, zaskoczyło go, że mężczyzna nie stosuje żadnych uników, nawet się za siebie nie ogląda.

— A dlaczego miałby to robić? — spytała Susan. — Khmer we własnym kraju miałby podejrzewać, że jest śledzony?

— Jest przynajmniej jeden powód — odparł Jens. — Dowiedziałem się od mojego nowego przyjaciela Australijczyka, że Lucit Trade ma własny faks. Jest więc wysoce podejrzane, że do poufnej korespondencji korzysta z faksu hotelowego.

— To wszystko jest częścią planu wciągania mnie coraz głębiej i głębiej — zauważył Creasy.

Susan czuła, że ogarnia ją coraz większy niepokój. — Możliwe więc, że właśnie będą na ciebie czatować w nocy w biurze... Bardzo ryzykujecie.

Creasy zaprzeczył. — Wątpię, aby na mnie czatowali. Podobnie jak wątpię, by w budynku były jakiegokolwiek alarmy. W każdym razie jestem pewien, że nie ma żadnych szlachetnych kamieni. Najwyżej parę szafek z korespondencją. W tej części świata kupcy z tej branży nie przechowują szlachetnych kamieni w biurach, ale przeważnie w materacach rodziców.

— A więc czego się spodziewasz? Czego szukasz? — spytała Susan.

— Kolejnego fałszywego śladu. Kolejnego skrawka papieru — odparł Creasy zerkając na Jensa.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Tropiciel Tran Quock Cong powrócił do rodziny i stwierdził, że jego żona i córki obłąskawiły dwa dzikie stworzenia.

W każdym razie w jego oczach obaj mężczyźni sprawiali takie wrażenie — istot żyjących poza cywilizowanym normalnym środowiskiem. Pierwszy, imieniem René, siedział przy łóżeczku młodszej, śpiewając francuską kotyśankę. Drugi, Maxie, rezydował w kuchni, przyrządzając kurę w sosie curry.

— Nie wyglądają na ludzi gotowych do bronienia nas przed bandą morderców — powiedział do żony. W głosie jego brzmiał wyrzut.

Pokazała mu sieci rybackie w oknach i paski na podłodze, niewielkie metalowe pudełko na stole i dwa pistolety w zasięgu mężczyzn. Wytłumaczyła też, jak ma się poruszać po domu, i co ma robić w wypadku napaści — pochwyć starszą córkę, podczas gdy ona zajmie się młodszą, pędzić do łazienki i położyć się na posadzce.

— A gdzie oni śpią? — spytał.

Wskazał wąski materac na podłodze przy drzwiach frontowych.

— Obaj na tym śpią? — zdziwił się.

— Kiedy jeden śpi, drugi czuwa... oni są dobrzy...

Zaśmiał się sucho. — Mordercy. Tak jak ich szef.

Pokręciła głową. — Dziewczynki mają instynkt i obie się z nimi zaprzyjaźniły, chociaż nie znają ich języka.

* * *

Dzieci spały, podczas gdy dorośli jedli przyrządzoną przez Maxie'ego kurę. Z braku możliwości porozumienia mógłby to być pełen napięcia sztywny posiłek, a nie był. Nastrój był swobodny, rozmowa na mię ożywiona. Maxie był dumny ze swego kulinarnego wyczynu. Przygotował wielki gar kury w potrawce z curry,

licząc na to, że zostanie trochę na następny dzień. Po godzinie gar był pusty. Po kolacji Tran chciał ich poczęstować koniakiem, lecz Maxie podniósł w proteście dłoń, potem wskazał na pistolet i palcem wykonał gest pociągnięcia za spust. Tran zrozumiał, że ci dwaj nie piją podczas pełnienia obowiązków. Po kilku stosownych ukłonach małżonkowie wyszli, by dołączyć do dzieci odesłanych wcześniej do łóżeczek. Maxie wyciągnął z kieszeni talię kart i zasiadł z René do kolejnej partyjki remibrydża.

* * *

Guido siedział w wynajętej furgonetce o siedemdziesiąt metrów od domu. Podjechał tu przed dwiema godzinami i miał pozostać do rana. Noc była ciemna, ulica pusta. Jedyna lampa rzucała głębokie cienie. Nie chciało mu się spać, ponieważ co cztery godziny połykał pastylkę deksedryny. To go zabezpieczało przed snem, ale i przywoływało natłok myśli, a poza tym podniecało fizycznie. Doszedł do wniosku, że już nadszedł najwyższy czas, by poszukał sobie dziewczyny. Jakiej? Nawet zaczął ją sobie wyobrażać. Najlepiej Włoszka z rodzinnego Neapolu. Twarz wyrazista, pełna charakteru, wydatne usta i owalna oprawa lekko skośnych oczu. Ciało kształtne, duże, strone piersi, i musi mieć piękną linię nóg od stanu do stóp. Namiętna, umysł błyskotliwy i szybki, podobnie jak i jego umysł. I powinna jak bogini przygotowywać spaghetti.

Zaśmiał się w duchu, uświadamiając sobie, że właśnie opisał Sophie Loren.

Próbował się zbesztać, kiedy jego szybki umysł odpowiedział mu, że podświadomość objawiła mu nagą prawdę. Prowadził bardzo samotne życie w neapolitańskim *pensione*. Rzecz jasna, że od czasu do czasu znajdował sobie jakąś kobietę, ale był to zawsze chwilowy związek. Od czasu śmierci żony przed piętnastu laty nigdy nie myślał poważnie o zbliżeniu z inną kobietą. O dzieleniu z nią życia. Podświadomość ostrzegała go jednak, że jeśli tego nie uczyni, zestarzeje się opuszczony i samotny. Dlatego też siedział w furgonetce w obcym mieście Indochin żądny towarzystwa starych przyjaciół, zwłaszcza Creasy'ego. Potrzebne mu było towarzystwo bratniej duszy. Chciał być członkiem ekipy. Kiedy upora się z tą robotą i wróci do Neapolu, zacznie rozglądać się po świecie innymi oczami. Będzie miał otwarty umysł na nową życiową przygodę. Inaczej będzie patrzył na kobiety. Nie, nie zamierza polować na żadną specjalną istotę. To nie w jego zwyczaju, i nie potrafi tego czynić. Ale jeśli jakaś zapuka do furtki, to okaże dobre chęci, choćby to nie była dokładna kopia Sophii Loren.

Czas musiał mijać szybciej, niż to sobie wyobrażał, gdyż była już trzecia nad ranem, kiedy po drugiej stronie ulicy zobaczył czterech mężczyzn. Przechodzili na

wysokości jego furgonetki. Przyglądał im się przez parę sekund, a później wziął z siedzenia obok telefon i wystukał numer. Po czterech sygnałach wyłączył aparat i sięgnął po pistolet.

W domu René spał na materacu przy drzwiach, zaś Maxie siedział za stołem i układał pasjans. Telefon komórkowy leżał za kartami obok pistoletu. Kiedy zadzwonił, Maxie sięgnął po pistolet i zaczął nasłuchiwać. Lekkim kopniakiem obudził Belga i kiedy ten otworzył oczy, szepnął do niego kilka słów. René zerwał się prawie natychmiast, chwycił broń i poszedł w kierunku schodów prowadzących na górę. Maxie powrócił do stołu, przewrócił go na bok i przykląkł za nim. Słyszał z góry odgłosy przemieszczania się rodziny Tran do łazienki. Potem zapadła cisza. Po dwóch minutach z metalowego czarnego pudełka dobiegło krótkie ciche buczenie. Po chwili następne. Dwie fotokomórki sygnalizowały, że ktoś je właśnie mija. Maxie odbezpieczył pistolet.

* * *

Zaczęło się i skończyło w ciągu pół minuty.

Najpierw rozprysły się szyby w oknie, ale Maxie nie odwrócił oczu od drzwi. Potem nastąpiło głucho uderzenie. Maxie padł na podłogę za stołem. Niemal mu popękały bębniaki w uszach od dwóch kolejnych wybuchów. Pierwszy wyrwał frontowe drzwi i rzucił je na podłogę. Drugi granat rozerwał się na ziemi za oknem, odbity przez rybacką sieć. Maxie przesunął się w prawo, unosząc pistolet. W otworze po drzwiach pojawiły się dwie sylwetki odziane na czarno. Amatorzy, pomyślał. Powinni byli najpierw wrzucić do środka granat.

Obaj intruzi mieli pistolety, ale wzajemnie sobie przeszkadzali. Maxie trafił obu w klatki piersiowe, zerwał się i podskoczył pod ścianę, tuż przy potrzaskanej futrynie. Do domu wpadł trzeci mężczyzna, potykając się o ciała zabitych. Maxie strzelił mu w plecy niemal w chwili, kiedy zbiegający ze schodów René trafił go w pierś.

— Został jeszcze jeden! — wykrzyknął Maxie.

Usłyszeli czyjeś szybkie kroki, potem dwa strzały. Nastąpiła cisza.

— Guido go załatwił — mruknął René. — Zmykamy. — Porwał czarne pudełko i telefon komórkowy, podczas gdy Maxie zbierał z ziemi karty. Pistolety włożyli do kabur.

Maxie pobiegł do łazienki na górę i przez pół minuty tłumaczył na migi Tranowi i jego żonie, że niebezpieczeństwo minęło. Uśmiechnął się do dzieci i w formie pieszczoty zmierzwił im włoski, po czym zbiegł na dół. W dziesięć sekund później Maxie i René wybiegli z domu, czym prędzej wsiedli do furgonetki i ruszyli

do wynajętego apartamentu.

— Spróbują jeszcze raz? — spytał René.

— Myślę, że zrezygnują, kiedy zobaczą, jaki los spotkał ich wyborową drużynę.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Creasy przyświecał latarką, podczas gdy Sowa majstrował przy zamku. Obaj mieli na sobie czarne płaszcze z głębokimi kieszeniami. Na wyprawę poszli w przezroczystych chirurgicznych rękawiczkach. W drzwi wpasowany był nowoczesny zamek firmy Chubb i otwarcie go zajęło Sowie aż dwie minuty. Creasy cierpliwie wysłuchiwał gniewnych pomruków Sowy, zakończonych pełnym satysfakcji sapnięciem. Sowa schował do kieszeni swe cenne narzędzia i lekko uchylił drzwi, kierując na szparę strumień światła z latarki.

Creasy pozostał na zewnątrz. W dłoni trzymał pistolet i czujnie rozglądał się na boki. Po trzech minutach usłyszał ciche gwizdnięcie z wnętrza budynku. Wszedł i delikatnie zamknął za sobą drzwi. W świetle latarki zobaczył Sowę czekającego u szczytu drewnianych schodów. Dołączył do niego.

— Nie znalazłem żadnych alarmów — wyszeptał Sowa. Latarką wskazał stojące otworem drzwi. — Biuro sekretarki. Za nim jest sala konferencyjna, a następnie chyba gabinet szefa.

Creasy wszedł do biura. W świetle latarki zobaczył biurko, dwa krzesła, dwie metalowe szafy i osobno stojący faks. Na biurku stał komputer i drukarka. Metalowe szafy były zamknięte, ale Sowa otworzył je błyskawicznie.

W szafach znajdowały się teczki dotyczące handlu szlachetnymi kamieniami. W ciągu dziesięciu minut Creasy zorientował się, że Lucit Trade Company ma tylko trzech klientów. Dwóch we Francji — jeden w Paryżu, drugi w Lyonie — i jednego, chińską firmę, w Hongkongu. Korespondencja z klientami we Francji prowadzona była po francusku, z firmą w Hongkongu po angielsku. W korespondencji nie zauważył niczego szczególnego. Wyjął z kieszeni notes i długopis, i skrupulatnie zanotował wszystkie trzy adresy.

Następnie przeszli do sali konferencyjnej, w której znajdował się tylko stół i sześć krzeseł. Gabinet za drzwiami po przeciwnej stronie był natomiast umeblowany elegancko: na podłodze perskie dywany, kontrastujące z meblami w szwedzkim stylu — z szerokim sosnowym biurkiem i skórzanym dyrektorskim fotelem oraz stolikiem do kawy i trzema fotelikami. Białe ściany zdobiło abstrakcyjne

malarstwo.

Biurko miało cztery szuflady, wszystkie zamknięte. W trzeciej szufladzie, w metalowym pudle znajdowała się cienka aktówka. Creasy szybko przerzucił jej zawartość, zatrzymując się przy pliku fotografii. Już po przyjrzeniu się pierwszej mruknął coś do siebie, jakby potwierdzał jakieś przypuszczenie. Szybko porozkładał wszystkie fotografie i dokumenty na dywanie, a następnie wyjął z kieszeni aparat fotograficzny z fleszem. Sowa dodatkowo oświetlał latarką każdy fotografowany dokument czy zdjęcie.

Cztery minuty później Sowa ryglował tylne drzwi, by po chwili zniknąć wraz z Creasym w mroku.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Connie Crum była bardzo dumna z nowego nabytku. Przesyłka nadeszła rano z Bangkoku. Rozpakowana stała na stole, niczym przybysz z nadchodzącego wieku. Nawet zwykle martwe twarze ochroniarek wyrażały zainteresowanie, gdy Connie wyjaśniała Van Luk Wanowi zasady funkcjonowania aparatury.

— Korzystają z tego zagraniczni korespondenci i biura międzynarodowych agencji pomocy, by móc nawiązać łączność z zagubionych krańców świata. — Wymanikiowanym palcem Connie wskazała niebo. — Aparat korzysta z pośrednictwa geostacjonarnego satelity, dzięki czemu stąd czy z innej części świata można się łączyć z każdym zakątkiem globu.

Van Luk Wan był pod wielkim wrażeniem. — Ile to waży? — spytał.

Connie zajrzała do instrukcji obsługi. — Dwanaście i pół kilograma. Takie urządzenia istnieją od kilku lat, ale wcześniejsze modele były bardzo ciężkie. Co roku robią coraz lżejsze. Przedstawiciel firmy zapewniał mnie, że za pięć lat zmieszczą się w niedużej teczce i będą ważyły dwa, a najwyżej trzy kilogramy. Kupiłam dwa zestawy. Drugi dotrze jutro do Tuk Luy. Aparaty są zasilane bateriami, które można ładować. — Wskazała rząd przycisków i mały ekranik ciekłokrystaliczny. — To są przyciski numerów wprowadzonych do pamięci. Już mi zaprogramowano te, których najczęściej używam. — Spojrzała na zegarek. — Jest teraz dziewięta trzydzieści. Sok San przyjechał już do biura. — Obdarzyła Wana uśmiechem niczym dziecko, które otrzymało nową zabawkę. — Będzie zaskoczony moim telefonem. On wie, że jestem w Chek, i wie, że nie mamy tu linii telefonicznej.

Przekreśliła dwa przełączniki z boku matowego czarnego żelaznego pudła. Z lekkim warkotem wynurzyła się antena i powędrowała pod dach baraku. Na pulpicie aparatu zapaliło się czerwone światełko. Connie odczekała pół minuty, po czym wzięła do ręki słuchawkę i nacisnęła pierwszy przycisk. Na malutkim ekranie pojawił się rząd cyfr. Ruchem głowy odrzuciła spływające na twarz włosy i przyłożyła słuchawkę do ucha. Aparatura wydała ciąg melodyjnych dźwięków i zamilkła. Connie, w trakcie oczekiwania, skórzaną podeszwą wybijała takt na

drewnianej podłodze. — Sygnał zostaje przekazany przez satelitę i wędruje do naziemnej stacji w Phnom Penh, a stamtąd zostaje przekazany do sieci telefonii komórkowej... — wyjaśniła Vanowi.

Minęło pół minuty. Wreszcie usłyszała głos w słuchawce i zaczęła z ożywieniem mówić: — Dzwonię z Chek... Tak, to ja... Jestem w Chek... Nie, nie założyli mi linii telefonicznej. Po prostu porzuciłam gołębie pocztowe na rzecz satelity. Czy jest dla mnie wiadomość?

W miarę jak słuchała, z jej twarzy znikająca dziecięca radość, by ustąpić miejsca czujności zaskoczonego zwierzęcia. W milczeniu słuchała przez kilka minut i wreszcie władczy głosem poleciła:

— Masz nie opuszczać biura. Zadzwoń w ciągu godziny. — Odłożyła słuchawkę i wstała, spoglądając w zamyśleniu na Wana. — Dwie informacje. W Sajgonie cała twoja ekipa została zlikwidowana w domu tropiciela. Tropiciel i jego rodzina cali.

— Nic z tego nie rozumiem — odparł Van. — Wydałem ścisłe instrukcje. Mieli dokonać egzekucji dopiero po wyjeździe Creasy'ego do Phnom Penh.

— Creasy wyjechał do Phnom Penh. Sok San informuje, że przybył tam wraz z dziewczyną po południu. To musiał być ten Aurellio... albo ktoś inny, kogo Creasy ściągnął. — Rozsadzała ją złość.

— Przebiegły sukinsyn. Tropiciel musiał mu powiedzieć o groźbie wiszącej nad głowami jego rodziny. I Creasy przekupił tropiciela, obiecując mu ochronę.

Wan i Connie patrzyli na siebie w milczeniu. Wreszcie Wan powiedział: — Facet działa szybko.

— O, tak. Ubiegłej nocy włamano się do biur Lucit Trade. Przeszukano wszystko.

— Skąd wiesz? Czy możesz być pewna?

Przez chwilę wydawało się, że Connie wybuchnie. Jej oczy ciskały błyskawice. Wzięła głęboki oddech i odparła: — Oczywiście, że jestem pewna. Wydałam odpowiednie polecenie Sok Sanowi. Przez minione kilka nocy umieszczałam cieniutkie bawełniane nitki na drzwiach, szafkach i szufladach zamkniętych na klucz. Dziś stwierdzono, że nitki są przemieszczone lub leżą na ziemi. Creasy spenetrował biuro i wszystko za sobą pozamykał.

— Zabrał coś?

— Oczywiście, że nie. Jest na to zbyt sprytny. Możemy jednak założyć, że przejrzał całą dokumentację. — Znów niecierpliwie wybijała takt na podłodze.

— Innymi słowy, Creasy zrobił to, czego się spodziewałaś?

— Owszem, ale zrobił to za szybko. Liczyłam, że nie pojawi się w Phnom Penh przed upływem dziesięciu dni. Nie jestem jeszcze gotowa na jego wizytę. I czas jest nieodpowiedni. Musimy znaleźć sposób, żeby go przez kilka dni zatrzymać w Phnom Penh. A my za dwie godziny ruszamy do Tuk Luy.

Ponownie sięgnęła po słuchawkę.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Była to niecodzienna rozkosz. Wyciągnięta na leżaku przy hotelowym basenie, trzymała w dłoni szklanke zimnego soku ze świeżo wyciśniętych pomarańczy i czytała powieść P. D. Jamesa.

Pakując się w Waszyngtonie nie zabrała kostiumu kąpielowego, ale w hotelowym butiku znalazła wiele nieprawdopodobnie drogich kostiumów z Paryża. Skrzywiła się płacąc blisko trzysta dolarów za skąpe bikini i to nawet bez metki, i znaku któregoś ze sławnych projektantów mody. Nieco się rozpogodziła, gdy zobaczyła siebie w lustrze, a odzyskała wspaniały humor, gdy zeszła nad basen i ujrzała obracające się w jej kierunku głowy mężczyzn.

Creasy i Sowa odsypiali ubiegłą noc, Jens poszedł oddać do wywołania kasetę ze zdjęciami zrobionymi podczas nocnej wyprawy.

W trakcie jej trwania Susan i Jens czuwali w hotelu. Jens wyciągnął kieszonkowe wydanie gry trik-trak, ale po sześciu przegranych Susan dyskretnie grę odłożył. Zaczęli rozmawiać. Susan polubiła Jensa. Podobał się jej jego kostyczny humor i nawet nadmierne deprecjonowanie własnej osoby, a wiedziała przecież, że ma błyskotliwy umysł. Opowiedział jej, jak on i Sowa poznali Creasy'ego. W jego ustach brzmiało to jak wspaniała przygoda, choć w rzeczywistości toczyli wówczas krwawą wojnę z okrutnym gangiem handlarzy narkotyków. Jens mówił także o swojej żonie, Birgitte, i córeczce. Mimo iż bawiło go przebywanie w egzotycznym kraju, tęsknił wyraźnie do rodziny. Susan lubiła takich ludzi.

* * *

Creasy i Sowa powrócili z nocnej wyprawy o trzeciej nad ranem. Wyglądali raczej na bywalców przybyłych prosto z nocnego lokalu, niż włamywaczy. Susan zauważyła jednak, że Creasy nalał sobie drinka, co rzadko czynił w podobnych sytuacjach, a Sowa poszedł w jego ślady. Creasy pokrótce przestawił im przebieg

wyprawy, a następnie wręczył kasetę z filmem Jensowi.

Susan była niebywale przejęta, ale starała się tego nie okazywać. Od kiedy pracowała w Biurze MIA, jeszcze nigdy nie była tak blisko definitywnego rozwiązania konkretnej sprawy. Z udanym spokojem zapytała Creasy'ego:

— Czy jesteś pewien, że to była fotografia Jake'a Bentsena?

— Bez wątplenia. Jest na niej dużo starszy, ale ja nigdy nie zapominam twarzy... To był Jake Bentsen.

— I na fotografii znajdowało się jeszcze dwóch Amerykanów?

Wzruszył ramionami. — Dwóch innych białych. Żaden z nich nie powiewał amerykańską flagą.

Dopiero w tym momencie dostrzegła ogromne zmęczenie na jego twarzy. Creasy, choć sprawny fizycznie, nie był już młody. Na przestrzeni minionych dwudziestu czterech godzin kochał się z nią, przez wiele godzin prowadził wóz po najgorszych drogach świata, a potem ryzykując życiem dokonał nocnego włamania.

— Powinieneś się przespać — powiedziała.

— Wszyscy potrzebujemy snu — odparł i zwrócił się do Jensa: — Trzeba wywołać film, ale u kogoś, komu można zaufać. Bądź przez cały czas przy wywoływaniu i nie pozwól nikomu nawet zerknąć na odbitki.

Jens schował kasetę do kieszeni. — Zastanowię się, jak sprawę załatwić.

* * *

Pochwyciła wzrok kelnera w białej kurtce i zamówiła owocowy koktajl. Gdy kelner przyniósł wielką michę osadzoną w jeszcze większej misce pełnej lodu, ogarnęła ją wesołość: w tej pierwszej znajdowała się góra pokrajanych w kostki, w płatki i paski owoców. Niektórych nie potrafiła rozpoznać, a być może nigdy ich nie widziała. Musiało tam być z dziesięć gatunków tropikalnych specjałów. Uporała się zaledwie z połową, gdy po drugiej stronie basenu zobaczyła Sowę. Nie pasował do luksusowego otoczenia w swoich workowatych popielatych spodniach, w ciemnoniebieskiej koszuli zapiętej po ostatni guzik i w czarnym wełnianym swetrze, po prostu śmiesznym w tropiku. Rozglądał się dookoła, z pewnością poszukując właśnie jej. Obszedł dookoła basen, musnął ją spojrzeniem i kontynuował wędrówkę. Odstawiła owocową sałatkę i zawołała: — Jestem tutaj!

Obejrzał się i jakby skamieniał.

— Co się stało? — spytała.

Był wyraźnie zmieszany. — Przepraszam, Susan, nie poznałem cię. — Wskazał ją ręką. — To znaczy, że... Nigdy cię takiej... nie widziałem.

— Jestem kobietą, nie wiedziałeś?

— Widzę, widzę, *mademoiselle*. I muszę dodać, że bardzo piękną kobietą.

Przyjęła komplement skinięciem głowy i uśmiechem.

— Jest coś nowego?

— Wrócił Jens. Przed chwilą obudziłem Creasy'ego. Mamy się spotkać za piętnaście minut.

Powróciła czujność. — Film wywołany?

— Oczywiście, *mademoiselle*. — Wydawało się jej, że dostrzega na twarzy Sowy ślad uśmiechu.

Na skraju basenu stały prysznice. Zmyła olejek do opalania i przez bujny tropikalny ogród poszła do bungalowu. Creasy właśnie kończył nieco spóźnione śniadanie, na które składały się francuskie rogaliki, szynka i ser. Wyglądał znacznie lepiej — wyraźnie wypoczęty. Po przeciwnej stronie stołu, pochyleni nad fotografiami, siedzieli Jens i Sowa. Duńczyk przyglądał się zdjęciom przez duże szkło powiększające.

— Obejrzyj te fotografie, Susan — powiedział Creasy.

Jens i Sowa rozsunęli się, robiąc jej miejsce. Spojrzała na rozłożone obok siebie gruboziarniste odbitki. Jens wskazał palcem jedną. Pochyliła się niżej. Czarno-białe powiększenia przedstawiały trzech mężczyzn. Jeden był wysoki, miał jasne włosy. Stał tylko w szortach. Chyba khaki. W dłoni trzymał ciemny okrągły przedmiot. Pozostali dwaj mężczyźni byli niscy. Azjaci. Mieli na sobie mundury Czerwonych Khmerów i karabiny przerzucone przez ramię. Stali po bokach wysokiego mężczyzny i uśmiechali się do obiektywu. W Waszyngtonie Susan dokładnie przejrzała teczkę Jake'a Bentsena. Teraz rozpoznała jego twarz. Bez uśmiechu, tak jak tamta dołączona do akt.

Pozostałe dwie fotografie także przedstawiały białych. I po bokach tamtych także stali Czerwoni Khmerowie. Jens podał Susan szkło powiększające, by mogła lepiej zapoznać się z rysami twarzy jeńców. Jake był ogolony, pozostali dwaj mieli pokaźne brody. Długo przypatrywała się obu brodaczo, ale ich twarze nic jej nie mówiły. Instykt podszeptował jednak, że to Amerykanie.

Powróciła do fotografii Bentsena. W tle znajdował się niewielki pagórek z budynkiem na szczycie. Przyjrzała się budynkowi przez szkło powiększające i rozpoznała świątynię, jakich tysiące są rozsiane po całej Kambodży. Obejrzała pozostałe fotografie. Było ich sześć, przedstawiały zbite linijki ręcznego pisma po wietnamsku.

— Potrafisz to odcyfrować, Susan? — spytał Creasy.

Podniosła jedną z fotografii i trzymając ją pod szkłem powiększającym zaczęła czytać.

— Rozumiem większość — odparła po minucie.

— Doskonale. Jens, daj Susan papier i potem wprowadzaj do komputera przetłumaczone strony.

Jens wziął z ziemi teczkę, położył ją na stole, i wyjął z niej blok żółtych kartek. Podał je Susan wraz z flamastrem.

— Jak udało się tak szybko wywołać film? — spytała.

Jens skromnie wzruszył ramionami. — Jestem detektywem, Susan — odparł. — Dobry detektyw powinien być także trochę psychologiem. Wiedziałem, że dyrektorem hotelu jest Francuz, a Francuzi uwielbiają historie sercowe, zwłaszcza gdy łączy się z nimi jakiś choćby mały skandalik. Zaaranżowałem więc rozmowę z panem dyrektorem Marcelem Duprey, który przebywa tu od trzech lat i ma liczne kontakty w mieście. I przedstawiłem mu swój problem. . .

— Twój problem?

— Oczywiście. Skryty romans Dunki, oficera misji UNTAC, czyli Tymczasowej Administracji Narodów Zjednoczonych w Kambodży, z australijskim majorem przydzielonym do tej samej misji. Ktoś z członków czy pracowników misji tak bardzo nie lubi naszego Australijczyka, że wysłał anonimowy list do męża Dunki, do Kopenhagi. Mąż jest zamożnym przemysłowcem, sporo starszym od żony. Na tym etapie opowieści wręczyłem panu Duprey moją wizytówkę, która informuje, że jestem prywatnym detektywem, i wyjaśniłem, że mąż-przemysłowiec zlecił mnie i mojemu koledze udać się do Phnom Penh i zweryfikować informacje zawarte w anonimowym liście. No i tym właśnie mój kolega się zajmował ubiegłej nocy. Ma bardzo kompromitujące fotografie. Jednakże przed odlotem do Danii muszę film dyskretnie wywołać i zrobić powiększenia, żeby sprawdzić, czy dobrze wyszły. — Jens mrugnął porozumiewawczo do Susan. — Pan Marcel Duprey był bardzo zaintrygowany. Ponieważ zna wielu oficerów misji oenzetowskiej, zaczął mnie męczyć, żebym mu powiedział, o kogo chodzi. Usłyszał wykład o poufności stosunków pacjent-lekarz, klient-adwokat, klient-detektyw, a także gość hotelowy i dyrektor hotelu. Pojął, pogodził się z tym stanem rzeczy i zadzwonił do bliskiego znajomego w ambasadzie francuskiej, gdzie mają ciemnię i laboratorium fotograficzne. No i cała reszta to już była fraszka.

Creasy skwitował opowieść śmiechem.

— Dobrzy detektywi oprócz znajomości psychologii muszą umieć przekonująco kłamać — skomentował.

Dalszą rozmowę przerwało pukanie do drzwi. Sowa poszedł otworzyć, a Jens szybko zgarnął fotografie i schował do teczki.

Sowa powrócił z kopertą, którą podał Jensowi. W kopercie był faks. Jens przeczytał go i bez słowa przekazał Creasy'emu. Ten, po zapoznaniu się z treścią, wręczył z kolei kartkę Susan. Tekst brzmiał: „Podpisaliśmy korzystny kontrakt dziś o świcie. Nasi handlowcy wracają do centrali, a ja przybędę wkrótce z dokumentacją. Henry”.

— Henry to Guido, a Maxie i René to handlowcy? — spytała Susan.

— Tak. Guido powinien zjawić się dziś wieczorem albo jutro rano.

Jens z powrotem wyłożył na stół powiększenia. Creasy wziął do ręki foto-

grafię Bentsena, długo jej się przyglądał i wreszcie stwierdził: — Kluczem do zagadki jest ta świątynia. Musimy ją zlokalizować. I w tym celu potrzebny nam jest ekspert. Tymczasem pośpiesz się z tekstem, Susan.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

Przetłumaczenie tekstów zajęło jej godzinę. Kończyła właśnie ostatnią stronę, kiedy pojawił się Guido. Z zainteresowaniem obserwowała rytuał powitania. Creasy mocno ucałował przybysza, w policzek, blisko kącika ust. Później zapytała o to Jensa, który wytłumaczył, że taki obyczaj mieli dawni najemnicy. Symbolizowało to wspólnotę. Guido serdecznie powitał Jensa i Sowę, ale już bez całowania. Ucałował natomiast Susan, i to w oba policzki, oraz wręczył jej kopertę.

W kopercie były trzy kartki z postanieniami od Jasona Woodwarta. Pierwsze brzmiało „Zadzwoń!”, drugie „Zadzwoń pilnie!”, a trzecie „Zadzwoń bardzo pilnie!” Zmiała kartki w dłoni i wrzuciła do kosza.

Guido miał twarz ściągniętą i wydawał się zmęczony, podobnie jak Creasy poprzedniej nocy. Przysłuchiwała się jego sprawozdaniu z wydarzeń w Sajgonie. Powiedział, że udało mu się dostać bilet do Phnom Penh via Bangkok na poranny lot i że Maxie i René zamelinowali się na parę dni w bezpiecznym miejscu, a potem wrócą do siebie lub przylecą do Phnom Penh, jeśli będą potrzebni.

Creasy zapoznał Guido z wydarzeniami w Phnom Penh i pokazał mu powiększenia. Podczas gdy Guido je studiował, Susan kończyła tłumaczenie. Oddała wreszcie ostatnią kartkę Jensowi i poinformowała Creasy’ego:

— To korespondencja dowódcy nieregularnego oddziału wietnamskiej milicji z oficerem Czerwonych Khmerów, który przebywał w tym czasie w Battambang. — Załamał się jej głos, ale mówiła dalej: — Korespondencja dotyczy sprzedaży trzech amerykańskich jeńców znajdujących się w wietnamskich rękach. Cena za jednego z nich wynosiła dwa taele złota, za dwóch pozostałych po trzy taele. Tę różnicę tłumaczył fakt, że dwaj ostatni byli specjalistami od pól minowych. Zarówno w ich zakładaniu, jak i oczyszczaniu.

Mężczyźni widzieli głęboki smutek na jej twarzy.

— Wiadomo o kogo chodzi? — spytał cicho Creasy.

— Nazwiska nie są wymienione. Tylko ich wojskowe numery służbowe.

Jens wpisywał ostatnią stronę do komputera. Po słowach Susan dodał: — Nie ma też nazwisk sprzedającego i kupującego. Tylko kryptonimy. Wietnamczyk był

znany jako Komendant Tanon, Khmer zaś jako Komendant Indravarnam.

Susan zaśmiała się sucho. — Mają poczucie humoru. Indravarnam to nazwisko sławnego cesarza Khmerów z dziewiątego wieku. — Spojrzała na Creasy'ego. — No cóż, nie mam wyboru. Skoro są numery służbowe...

Creasy pokiwał głową. — Oczywiście, musisz zawiadomić Waszyngton. Ale daj mi czas. Daj mi czterdzieści osiem godzin, żebym mógł znaleźć miejsce, gdzie to zdjęcie zostało zrobione.

Zaczęła protestować, ale Creasy jej przerwał:

— Susan, bądź rozsądna, graj ze mną fair. Pozwoliłem ci pojechać z nami do Phnom Penh. Gdybym się nie zgodził, leciałabyś w tej chwili do Stanów, nie mając żadnej z tych informacji. Jeśli ci ludzie żyją, to godziny, o które proszę, mogą być dla nich decydujące.

Jens skończył zapis w komputerze, zamknął go i włączył się w rozmowę:

— W ciągu ostatnich paru dni uczyniliśmy wielki postęp, Susan. Istnieje niebezpieczeństwo, że jeśli zawiadomisz swego szefa, to natychmiast zostanie o wszystkim poinformowany kambodżański rząd, który jest doszczętnie skorumpowany. We wszystkich organach i na bardzo wysokich szczeblach Czerwoni Khmerowie mają swoich ludzi. Jeśli się dowiedzą, że rząd amerykański podejrzewa, iż na terenie kraju znajdują się amerykańscy MIA, to zostaną oni zlikwidowani.

Wszyscy teraz na nią patrzyli. Przyszła jej do głowy irracjonalna myśl, że przez ostatnie dwa dni nie robi właściwie nic innego, tylko podejmuje trudne decyzje.

— Będzie to oznaczało, że jako zaprzysiężony oficer nie wykonałam obowiązku... Dobrze, czterdzieści osiem godzin — powiedziała z westchnieniem.

Guido wstał, przeciągnął się i spytał:

— Gdzie mam spać?

Jens wyjął z kieszeni klucz.

— Masz. To jest do sąsiedniego bungalowu.

Guido podniósł z ziemi swą torbę podróżną, skinął wszystkim głową i wyszedł.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Toyota Landcruiser wjechała do obozu w chmurze pyłu. Za nią podążały dwie osłonięte brezentem ciężarówki. Piett de Witt obserwował, jak Connie Crum ze skórzaną teczką w dłoni wyskakuje z dżipa i zmierza w jego kierunku. Była wyraźnie zaaferowana, ale powitała go ciepło.

— Mówiono mi, że robi pan dobrą robotę, ale teraz potrzeba jeszcze lepszej — powiedziała.

Poszedł za nią, wdychając smugę perfum. Connie poleciła podać zimne napoje i coś do jedzenia. Ubranie i twarz miała pokryte pyłem. Gdy weszli do budynku i usiedli obok siebie przy długim stole, spytała:

— Powiedz mi, Piett, ile min twoi ludzie wykopali w ciągu minionych sześciu miesięcy?

Dziwnym zbiegiem okoliczności o tym samym myślał ubiegłej nocy.

— Około dwunastu i pół tysiąca.

Obdarzyła go czarującym uśmiechem. — To wspaniale! Ale teraz chcę, żebyś założył pole minowe. Kilka tysięcy min.

Na chwilę stracił mowę. Potem z niedowierzaniem spytał:

— Mam je z powrotem zakopać?

— Ach, nie, nie te stare miny. — Wskazała ręką podwórze. — W tych ciężarówkach mam dwa tysiące czeskich *PP-Mi-SR* rozpryskowych przeciwpiechotnych i półtora tysiąca rosyjskich przeciw-czołgowych *PMN2*. Chcę, żebyś założył najbardziej śmiertelne pole minowe w całej historii wojen. I chcę mieć to pole za cztery dni.

Wziął głęboki oddech, by zacząć protestować, ale nim zdołał wypowiedzieć jedno słowo, sięgnęła do torebki i wyjęła z niej hebanowe pudełeczko, które położyła na stole. Pudełeczko było inkrustowane, sprzed stuleci.

— To jest premia dla ciebie. Otwórz je — poleciła.

Uchylił wieczko. Na dnie leżały trzy doskonałe szafiry. Białe, żółte i czarne. Piett znał się na szlachetnych kamieniach i wiedział, że pochodzą z Gór Kardamonowych i należą do najlepszych. Wiedział też, że za każdy z nich dostanie co

najmniej dwadzieścia tysięcy dolarów. Wyjął je z pudełka i obracał w palcach.

— Gdzie ma być to pole minowe? — zapytał ochrypłym głosem.

Otworzyła skórzaną teczkę i wyjęła z niej szczegółową mapę obszaru na wschód od Tuy Luk, tuż u podnóża Gór Kardamonowych i niezbyt daleko od kopalń, z których musiały pochodzić szafiry, jakie miał w ręku. Wskazała palcem na mapie.

— Tu stoi świątynia otoczona murem. Chcę, aby pole minowe ją okrężyło. Ma pozostać tylko wąska ścieżka. Na zewnętrznym skraju gęstość min ma wynosić dwie na cztery metry kwadratowe, natomiast od strony świątyni jedna mina na metr.

— Jezu drogi! Nikt się nie dostanie do świątyni! — wykrzyknął.

— Nikt nie może się dostać i nikt wydostać — odparła.

Żołnierz przyniósł tacę z posiłkiem i napojami. Ryż, ryba i wieprzowina. Chłodzona woda mineralna i Coca-Cola. Podczas jedzenia Holender studiował mapę i kalkulował. Wreszcie podjął decyzję.

— Pole minowe będzie koliste, o promieniu czterystu metrów od środka świątyni. Przekładaniec z *PP-Mi-SR* i *PMN2*. Jeśli ma być gotowe za cztery dni, trzeba będzie pracować w nocy. Potrzebne jest oświetlenie. Innymi słowy musimy dostać generator.

— Dostaniesz wszystko, co ci będzie potrzebne — zapewniła.

— Dlaczego właśnie ta świątynia? — spytał.

Connie chusteczką ocierała kurz z twarzy. — To nie jest zwykła świątynia. To jest bardzo święte miejsce. Więcej nie potrzebujesz wiedzieć. Pilnuje jej dwudziestu moich najlepszych ludzi. Ani ty, ani żaden z twoich ludzi nie macie prawa zaglądać w obręb murów. Karą jest śmierć. Zrozumiałeś?

Wziął pudełeczko z szafirami i schował je do kieszeni.

— Zawsze słucham rozkazów — odparł.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

Gabinet dyrektora hotelu był luksusowo umeblowany, pełen skórzanych foteli i mebli z drewna różanego. Jedną ze ścian zajmowało wielkie akwarium, w którym pływały tropikalne ryby o jaskrawych barwach.

— To działa na mnie kojąco — wyjaśnił Jensowi dyrektor. — Kierowanie hotelem w tym kraju i w takich czasach jest wyjątkowo stresujące. Pan sobie nawet nie wyobraża ogromu problemów związanych z zaopatrzeniem i personelem. Pozyskanie kwalifikowanego kelnera, czy barmana jest marzeniem ściętej głowy. Czy pan wie, że kiedy Czerwoni Khmerowie przejęli władzę, wszyscy, którzy pracowali w hotelu, zarówno mężczyźni, jak i kobiety, zostali rozstrzelani? Podobnie jak wszyscy urzędnicy i inteligencja. Musiałem kompletować personel od zera. No i teraz, w chwilach kiedy mam już wszystkiego dość, siadam i patrzę na moje rybki.

— Ale świetnie pan sobie radzi — pochwalił szczerze Jens. — Kuchnia i obsługa są bezbłędne.

Pan Duprey lekko wypiął pierś. — Minione dwadzieścia lat spędziłem na otwieraniu nowych hoteli w krajach Trzeciego Świata. To moja specjalność. Moja rola w tym hotelu skończy się za sześć miesięcy. Jadę następnie otworzyć nowutki hotel w Wientnamie.

— Czy nie dręczy pana brak stałej bazy? Stałego miejsca zamieszkania? — spytał zaciekawiony Jens.

— Nie — odparł pan Duprey. — Wprost przeciwnie. Zaczyna mnie nudzić rutyna, kiedy wszystko idzie gładko. Czasami obejmuję dykcję hotelu, który przynosi straty. Sama zmiana tego stanu rzeczy sprawia mi ogromną satysfakcję. W branży nazywają mnie lekarzem hoteli. Wzywają mnie na pomoc wszystkie wielkie koncerty hotelowe. Jeśli Hilton ma problem z hotelem w Indiach, Zambii czy Timbuktu, dzwoni zawsze do dyrektora Duprey. — Dyrektor pochylił się konfidencko w kierunku rozmówcy. — I wie pan, co ja robię, kiedy przyjeżdżam na miejsce?

— Nie mam pojęcia. — Jens wydawał się autentycznie zainteresowany.

— Wyrzucam szefa kuchni, zastępcę dyrektora, kierownika recepcji i kierownika działu rezerwacji. I to wszystko. Nawet w hotelach zatrudniających tysiąc

lub więcej pracowników nigdy nie wyrzucam więcej niż pięciu ludzi, i to zawsze z kierownictwa. Następnie awansuję ich dotychczasowych zastępców czy pomocników i zaczynam ich uczyć. Przez pierwsze trzy miesiące nie liczę na wzrost dochodów. Po trzech miesiącach siadam do komputera i zadaję mu pytania.

Teraz Jens był prawdziwie zafascynowany. Trafił na bratnią duszę. — Jak pan korzysta z komputera. Jak pan pyta? O co?

— Mam specjalne oprogramowanie. — Duprey uśmiechał się bardzo z siebie dumny. — Otrzymuję codziennie pełne zestawienie wpływów. Osobne dla każdego działu przynoszącego dochód. Z wynajmu pokoi, z restauracji, barów, z zamówień do pokoi, z pralni, z centrali telefonicznej i tak dalej, i tak dalej. Jest wprost niezliczona liczba źródeł dochodu. Mam codzienne wpływy i średnią kosztów. Zaczynam wtedy redukować koszty. I zawsze zwracam uwagę na magiczną liczbę wyrażającą stosunek kosztów do tak zwanej zajętości pokoi. Brzydkie słowo, ale ładnie określa procent wynajętych pomieszczeń. — Pan Duprey chrząknął z rozbawieniem. — Czy pan wie, jaka jest najwyższa odnotowana „zajętość” pokoi hotelowych? Mówię o hotelach całego świata, o wszystkich hotelach.

Duńczyk przecząco pokręcił głową.

— Sześćset pięćdziesiąt procent! — Pan Duprey wybuchnął śmiechem, widząc zdumienie na twarzy Jensa. — Hotel „Phu Tey” w Bangkoku. To jest po prostu bardzo elegancki burdel. W ciągu dwudziestu czterech godzin wynajmują tam każdy pokój przeciętnie sześć i pół raza. Marzenie każdego hotelarza. — Dyrektor spoważniał. — Wróćmy jednak do naszych codziennych spraw. Czym mogę panu służyć? Czy wizyta u mego przyjaciela w ambasadzie przyniosła oczekiwany rezultat?

Jens wyprostował się w fotelu.

— Wszystko poszło świetnie, dziękuję. Muszę pana jednak poprosić o ponowienie przysługi i powtórne zatelefonowanie do pańskiego przyjaciela. Chodzi mi o to, że potrzebuję dużego powiększenia fragmentu jednej z fotografii. . .

— Powiększenia?

— Właśnie. — Jens mrugnął porozumiewawczo do pana Duprey i zniżył głos. — Widzi pan, w sprawach rozwodowych tego typu potrzebny jest dowód. . . penetracji. Rozumie pan, że korzystaliśmy z minikamery i. . .

— Wszystko rozumiem! — Francuz był wniebowzięty i zafascynowany, podobnie jak wcześniej Jens podczas wyjaśnienia tajników hotelowej rachunkowości.

Pan Duprey odsunął skórzany fotel, wstał i zaczął przechadzać się po zaścielonym dywanem gabinecie.

— Nie ma najmniejszego problemu. Zeskanuję zdjęcie i powiększę w komputerze. Pierre jest fanatykiem komputerów. — Powrócił do biurka i nacisnął guzik na konsolce telefonicznej. Gdy zgłosiła się sekretarka, kazał połączyć się

z panem Pierre Lacroix w ambasadzie francuskiej. W oczekiwaniu na połączenie uśmiechał się i kiwał głową. — Tak, zeskanowanie da świetne wyniki.

Duńczyk był bardzo z siebie zadowolony. I z pana Duprey także.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

— Od czasu do czasu każdy z nas głupio postępuje — stwierdził Creasy, jakby chciał bronić swoich motywacji. — Życie byłoby nieskończenie nudne, gdybyśmy zawsze podejmowali właściwe decyzje.

Guido nie był przekonany tą argumentacją. Obaj mężczyźni siedzieli na patio bungalowu Creasy'ego i popijali miejscowe piwo.

— Każdy krok został ci wyznaczony — mówił Guido. — Nie pamiętam równie precyzyjnie przygotowanej operacji. Od chwili dostarczenia w San Diego nieśmiertelnika Bentsena. — Zaczął wyliczać na palcach: — Nieśmiertelnik, rysopis Van Luk Wana przedstawiony przez panią Bentsen, tropiciel w Sajgonie dostarczający ci informacje, że w pobliżu Tuk Luy widział białego jeńca, numer faksu tu, w Phnom Penh. . . — Skończyły mu się palce lewej ręki, więc kontynuował wyliczanie na prawej. — Teczka w biurach Lucit Trade, fotografia Jake'a Bentsena w teczce. Ktoś prowadzi cię na smyczy.

Creasy milczał, Guido westchnął. — Osoba, która za tym wszystkim się kryje, jest niesłychanie sprytna i posiada doskonały zmysł organizacyjny. Powiedziałem „osoba”, ale to może być grupa ludzi. I oni doskonale cię znają. Wiedzą, do czego jesteś zdolny. Wiedzieli dobrze, że wykryjesz sajgońskiego tropiciela, wiedzieli, że ustalisz, skąd wysyłane są faksy, że włamiesz się do tego biura i znajdziesz teczkę. A wszystko kręci się wokół osoby, która od dawna nie żyje. Wokół osobnika, który miał wielkie wpływy w Indochinach. Musisz uczynić dwie rzeczy, przyjacielu. Pierwsza, to odnaleźć ślad byłych wspólników i członków rodziny, jeśli tacy są, pana Billa Cruma. Druga rzecz, którą powinieneś zrobić, to wciągnąć w to Amerykanów. — Guido gestem dłoni wskazał wspaniały tropikalny ogród otaczający bungalow. — Żyjesz tu sobie w niebezpiecznym rajku, dosłownie pod okiem tych ludzi. Wciągają cię w otchłań. Mają w tym jakiś cel. Gdyby chcieli cię ot tak, po prostu zabić, to wynajęliby strzelca wyborowego w Sajgonie czy tu. — Wskazał palcem palmowy zagajnik o pięćdziesiąt metrów od miejsca, gdzie siedzieli. — Nawet w tej chwili mógłby tam sterczeć snajper, celujący ci w sam środek czoła.

Creasy pociągnął łyk piwa. — To logiczne, co powiedziałaś. Logiczny jest również twój wniosek, że nie chcą mnie zabić. Jeszcze nie. Instynkt mi podpowiada, że wchodzimy w ostatnią fazę. Masz rację co do Billa Cruma. To był najgorszy facet pod słońcem. A znałem wielu mu podobnych. Wiemy, że zapłacił za prawo wyjazdu Van Luk Wana z Wietnamu. Musimy się dowiedzieć, kto kontroluje, zatrudnia czy manipuluje Wanem. Musimy zlokalizować osobę pociągającą za sznurki. Ostatnie lata swego życia Bili Crum spędził w Hongkongu. Może tam należy szukać odpowiedzi? Wyślę Jensa i Sowę do Hongkongu i zobaczymy, co wygrzebią. Jeśli idzie o włączenie do sprawy Amerykanów, to się zastanowię i podejmę decyzję, kiedy dobrze pojmujemy cel dalszych posunięć naszych przeciwników. — Zamyślił się. — Tak, lepiej niech Jens stąd wyjedzie. Następny etap może być brutalny, a Jens nie jest przysposobiony przez naturę do brutalności.

Guido zaczął spacerować po patio. — Skoro poruszyłeś tę sprawę... Jest jeszcze inna, pokrewna: Maxie i René mają zostać jeszcze przez parę dni w Sajgonie. Proponuję, aby nie wracali do domu, jak zamierzają, ale zostali na miejscu. Lub jeszcze lepiej: ściągnij ich po cichutku do Kambodży jako wsparcie. I powinieś odesłać dziewczynę do Stanów... Wiem, że jest pomocna jako tłumaczka, ale wystawia się na wielkie niebezpieczeństwo.

— Siadaj, Guido. Kiedy tak spacerujesz, mam wrażenie, że oglądam mecz tenisowy. Mam problem z dziewczyną.

Guido usiadł, patrząc ciekawie na Creasy'ego.

— Tylko mi nie mów, że się w niej zakochałeś.

— To nie, chociaż dziewczyna jest wyjątkowo pociągająca. Nie zapominajmy, że jest kapitanem Armii Stanów Zjednoczonych i teraz wykonuje służbowe polecenie udzielania nam pomocy w odszukiwaniu MIA. Ryzyko wchodzi w zakres jej obowiązków i ona dobrze o tym wie.

— Więc na czym polega problem?

— Problemem jest jej ojciec.

— Jej ojciec?

— Tak. Jak wiesz, był pułkownikiem i pracował w wywiadzie Armii USA w Wietnamie. Helikopter, którym leciał, rzekomo się rozbił w okolicach Khe San. Pułkownika uznano za zaginionego w akcji.

— Powiedziałeś „rzekomo”?

— W tym właśnie cały problem. Żaden helikopter nie rozbił się w tym czasie w okolicach Khe San. Nie było katastrofy.

— Skąd wiesz?

Tym razem to Creasy wstał i zaczął się przechadzać. Był wyraźnie zakłopotany i przejęty. — Kiedy przyjąłem zlecenie zlikwidowania Billa Cruma, obarczo no mnie również obowiązkiem zniszczenia dokumentów, które mogły znajdować się w tej przerobionej na rezydencję świątyni w Sai Kung. Przed zniszczeniem przejrzałem je. Przeczytanie zawartości teczek i zrobienie notatek stanowiło jak-

by polisę ubezpieczeniową. Nie zapominaj, że robotę zlecili mi wyżsi oficerowie armii amerykańskiej, którzy dali się skorumpować przez Billa Cruma. Zannotowałem wszystkie nazwiska. Jednym z nich był pułkownik Bruce Moore z wywiadu Armii... Ojciec Susan pracował dla Cruma. Jednakże pod koniec obudziło się w nim sumienie. W teczce znalazłem kopię notki Billa Cruma, adresowanej do generała Wayne'a Thomasa. Thomas był także na liście płac Cruma. Crum polecił generałowi zlikwidować Moore'a w sposób wskazujący na wypadek. Generał Thomas był świetnie ustosunkowany. Pełnił funkcję szefa oficerów łącznikowych Armii z siłami zbrojnymi Południowego Wietnamu. W tydzień po notce Cruma Thomas odpowiedział własną notką. Była to iście diabelska kartka. Autor notki zawiadamiał z wielką satysfakcją o wykonaniu zlecenia. Opisał w szczegółach, jak to załatwił wysłanie Moore'a helikopterem sił wietnamskich w rejon Khe San, jak w czasie lotu pułkownika obezwładniono, związano i wyrzucono z helikoptera na wysokości trzech tysięcy metrów. Generał Thomas łatwo mógł sporządzić fałszywy raport o wypadku. — Creasy powrócił na swoje krzesło. — Mój problem streszcza się do pytania: mam powiedzieć Susan prawdę czy pozwolić jej myśleć, że jej ojciec zginął jak bohater?

Obaj mężczyźni siedzieli długo w milczeniu. Ciszę rozpraszało cykanie świerszczy.

— Nic jej nie mów — powiedział wreszcie Włoch. — W życiu tak bywa, że prawda może wyrządzić większą krzywdę niż kłamstwo. Poza tym, kto wie, może on był bohaterem? Porzucenie pokus wymaga wielkiej odwagi. Bili Crum kazał go zabić, ponieważ pułkownik zagrażał jego przestępczej organizacji. Niech dziewczyna ma dobre wspomnienia o ojcu.

Uśmiechając się blado, Creasy skinieniem głowy zaaprobował punkt widzenia przyjaciela. — Romantyk z pana, *signor* Guido. To twoja włoska krew. Mam jeszcze jeden problem z dziewczyną.

— Dziewczyny i problemy pasują do siebie jak rękawiczki do dłoni — stwierdził Guido, teatralnie przewracając oczami. — O co chodzi?

Creasy chwilę odczekał, aby zbudować napięcie.

— Po pierwsze, Susan zakochała się we mnie, a po drugie, jest w ciąży.

Guido odrzucił do tyłu głowę i parsknął śmiechem. — Jak ty to robisz, Creasy?

— Nie jestem odpowiedzialny za ciążę. Ojcem jest profesor nauk politycznych Uniwersytetu Georgetown w Waszyngtonie. Susan jest w ciąży od paru tygodni, a on chce, żeby zrobiła skrobankę.

Guido spowaźniał. — A czego chce ona?

Creasy wzruszył ramionami. — Ona nie wie, czego chce. Jest zagubiona. Byłaby raczej skłonna zatrzymać dziecko. Po tym, jak mi o wszystkim opowiedziała, zabrałem ją w Sajgonie do sierocińca. Patrzyłem, jak brała na ręce dwutygodniowe dziecko i dostrzegłem w jej zachowaniu kobietę, która pragnie zostać matką.

— Czyżby Creasy stawał się nieco sentymentalnym starszym panem? — Guido pilnie obserwował twarz przyjaciela.

— Wcale nie, troszczę się o nią, bo jest członkiem zespołu. Troszczę się o nią tak, jak o ciebie, Jensa czy Sowę. Wszyscy żyjemy w okrutnym, złym świecie. Takie jest najprawdopodobniej nasze przeznaczenie. Ty i ja widzieliśmy w życiu więcej śmierci i zniszczenia, niż może znieść zwykła ludzka istota. Przypominasz sobie twarzyczki dzieci w Biafrze, Angoli i Wietnamie? Maleństwa zagubione, przerażone i jakże często bliskie śmierci. Dziwna rzecz, Guido. Kiedy Susan mówiła o pozbyciu się płodu, pojawiły mi się przed oczami te twarzyczki. Tysiące dziecięcych buź. Niemal ją zbeształam. Może nie miałem racji. Ostatecznie to jej życie.

— Miałeś rację. Mówię to nie dlatego, że jestem katolikiem. Nie znam dobrze Susan, ale ją polubiłem. Jeśli pozbędzie się dziecka, będzie miała uraz przez całe życie. Ja jej to powiem.

— Możesz jej od razu powiedzieć. — Ruchem głowy Creasy wskazał trawnik. Susan szła w ich kierunku. Miała na sobie bikini i przez ramię przerzucony szlafrok.

— Jest piękna — mruknął Guido.

— Tak, piękna jest nie tylko powłoka. Nie będziemy mówić jej o ojcu, ale na temat dziecka pożądana byłaby dodatkowa opinia.

Obaj mężczyźni wstali, Guido przysunął do stołu krzesło. Susan podziękowała uśmiechem i usiadła.

— Coś do picia? — spytał Guido.

— Coca-Colę i dużo lodu — odparła.

Guido poszedł do bungalowu. Creasy bez wstępów oświadczył:

— Powiedziałem mu o twojej ciąży. Nie złość się. To mój najlepszy przyjaciel. Podczas trwania akcji jesteś pod moją opieką, ale gdyby mi się coś stało, kierownictwo i odpowiedzialność za ciebie przejmie Guido. Nikomu więcej nie powiem, Guido także nie. Możesz rozmawiać z Guidem równie szczerze, jak ze mną. I zawsze możesz na nim polegać. We wszystkich okolicznościach. Obaj jesteśmy zdania, że gra zrobi się wkrótce brutalna. Brutalna, krwawa. Guido jest zdania, że powinniśmy włączyć do gry Amerykanów jako wsparcie. Ja natomiast uważam, że powinniśmy poczekać, aż przeciwnik zrobi kolejny ruch.

Susan wszystko wchłonęła, nie zmieniając wyrazu twarzy. Już chciała coś powiedzieć, kiedy wrócił Guido z Coca-Cola odzywając się prosto z mostu: — Susan, masz urodzić to dziecko. Ja będę ojcem chrzestnym. — Obdarzył ją uśmiechem. — Każde dziecko, którego ojciec chrzestny jest Neapolitańczykiem, ma zapewnioną wspaniałą przyszłość.

Susan chciała znowu coś powiedzieć, ale tym razem uniemożliwiło to nadejście Jensa i Sowy. Jens położył teczkę na stole i wyjął z niej fotografie formatu 20x25. Rozłożył je gestem prestidigitatora, który wyciąga królika z kapelusza.

Wszyscy pochylili się nad stołem. Zdjęcia przedstawiały ten sam temat: zamglony pierwszy plan i w tle wyraźny zarys świątyni.

— Teraz potrzebny jest nam ekspert od świątyń — skonkludował Duńczyk.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

Holender pracował w pocie czoła, wycofując się na czworakach, wybierając ziemię ostro zakończoną saperką i ostrożnie umieszczając w powstałych dołkach miny. Posuwał się zygzakiem wzdłuż linii wytyczonej białą taśmą zabezpieczoną kołkami. Po ułożeniu każdej miny, uaktywnieniu jej i zasypaniu, zwijał zbędny odcinek taśmy. Tuż za nim stał żołnierz — umundurowany Czerwony Khmer, trzymając wysoko nad głową lampę oświetlającą teren. Było już po północy, powietrze ochłodziło się, ale mimo to Piett de Witt obficie się pocił. Praca była mordercza. Rzucił okiem w lewo, potem w prawo. Po obu stronach świeciły lampy, po obu stronach pocili się jego saperzy.

Piett de Witt zasypał ostatnią minę i wstał, prostując zdrętwiałe nogi. Do swoich ludzi wykrzyknął, żeby zakończyli nocną pracę. Wznowią ją o świcie.

Mimo że było późno, postanowił złożyć wizytę Tan Sotho. Tak robił zawsze, gdy z pracą łączyło się wielkie ryzyko. Musiał się odprężyć u boku kobiety. Potrzebował uczcić fakt, że ma szansę zobaczyć kolejny wschód słońca.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

Zjedli razem kolację, zamawiając ją do jednego ze swoich bungalowów. Nastrój był wyjątkowo miły. Po kolacji Jens i Sowa poszli w miasto. Nie w poszukiwaniu nocnego życia lub damskiego towarzystwa, ale w celu dyskretnego rozpytania, gdzie by tu znaleźć eksperta od spraw architektury świątyń buddyjskich. Susan dołączyła na patio do Creasy'ego i Guida. Sącząc koniak przysłuchiwała się ich wspomnieniom o dawnych czasach i dawnych kolegach. Obaj mężczyźni byli tak życzliwi, że porozumiewali się półsłówkami. Guido zapytał:

— Denard?

— Pełny spokój.

— Francja zakazana?

— Już nie. Otrzymał przebaczenie.

— I słusznie. Zawsze na boku pracował dla ich wywiadu.

— Święta prawda. Nawet na Komorach.

— Wycofał się?

— Licho wie. Może zerka na Gwadelupę albo Saint Bartholemy. Zawsze chciał być cesarzem.

Susan nie czuła się wyłączona z towarzystwa czy rozmowy, chociaż większość dialogu była dla niej niezrozumiała. W miarę upływu dni coraz bardziej czuła się częstką tego przedziwnego bractwa. Nigdy w życiu czegoś podobnego nie zaznała. Przynależności. Nawet w okresie unitarki nie nawiązała wielu przyjaźni. Zdawała sobie sprawę, że chociaż ci czterej mężczyźni reprezentują cztery narodowości i rozmaite charaktery, są pod wieloma względami bardzo do siebie podobni. Pławili się w tym, co robią. Czerpali z takiego życia pełnymi garściami. Każdego ranka budzili się nie wiedząc, co to życie im przyniesie.

Susan uświadomiła też sobie, że Creasy ma na nią coraz większy wpływ. Nie można było tego zdefiniować słowem miłość, chociaż bardzo pociągał ją fizycznie. Była to chyba sprawa jego obecności. Czuła się dobrze, gdy Creasy znajdował się blisko. Ceniła jego ironiczny humor, a przede wszystkim głęboki umysł. Zauważyła, że interesuje się bieżącymi sprawami świata, łakomie czyta

periodyki i co najmniej dwa razy dziennie słucha wiadomości ogólnoswiatowego serwisu BBC. Podczas rozmów Creasy objawiał oryginalną mieszankę poglądów liberalnych i konserwatywnych. W czasie kolacji tego wieczoru podkpiwał sobie z Jensa twierdząc, że Dania jest prawdopodobnie ostatnim prawdziwie komunistycznym państwem na świecie. Jens był oburzony podobnym twierdzeniem, ale Creasy przypomniał mu, że komunistyczne ideały nie zostały zrealizowane ani w Rosji, ani w Chinach czy na Kubie, zakorzeniły się natomiast głęboko w Danii, gdzie wspólnota dba o wszystkich współobywateli. Społeczeństwo duńskie reprezentuje wewnętrzną sprzeczność, twierdził Creasy. Z jednej strony składa się z ludzi miłujących wolność myślenia i inicjatywę, a z drugiej strony ci sami ludzie biorą na swoje barki odpowiedzialność za dobro wszystkich bez wyjątku. I bez najmniejszej skargi płacą olbrzymie podatki, ponieważ pieniądze z nich są rozsądnie wydawane dla dobra społeczeństwa. W rezultacie kraj posiada niewielu bogatych i niewielu biednych. Jens zaczął polemizować z teorią Creasy'ego. Creasy powstrzymał jego potok wymowy paroma zdaniem: — Przemierzyłem cały świat. A od kiedy poznałem ciebie, spędziłem wiele czasu w Danii, gdzie jakość życia jest najwyższa ze wszystkich, jakie widziałem. Bądź dumny ze swego kraju.

Jens umilkł. Creasy z kolei począł drażnić Guida swymi opiniami o Włochach:

— Naród pawi. Ostatnie badania opinii publicznej wykazały, że mężczyźni wydają na ubrania czterdzieści procent posiadanych do dyspozycji pieniędzy. — Zerknął na przyjaciela odzianego w garnitur od Armaniego. — Ale ty chyba wydajesz sześćdziesiąt procent. . .

— Dobre ubranie jest świadectwem stopnia ucywilizowania — odparł Guido. — Amerykanie i Anglicy nie mają stylu. A jeśli o nas chodzi, to nienawidzimy płacenia podatków, lubimy dobrze jeść i uwielbiamy kobiety o pełnych kształtach. Uwielbiamy też słońce i snujemy marzenia. Ogólnie rzecz ujmując, jesteśmy chętnie szczęśliwi.

Do rozmowy włączył się Sowa: — Skoro mowa o ucywilizowaniu, to duszą i sercem cywilizacji jest Francja. Mamy najwspanialszą kuchnię, najpiękniejsze kobiety, najdoskonalsze wina, najcudowniejsze sery i najszybsze pociągi. Duńczycy są dobrze zorganizowani, Włosi posiadają styl, ale powierzchowny, Amerykanie zaś mają Hollywood. Natomiast *La France* posiada polot. — Obrócił się ku Susan i z szelmowskim błyskiem w oku spytał: — Co Ameryka dała światu oprócz Johna Wayne'a?

Susan poczuła nagle wzbierający w niej patriotyzm i odparła: — Daliśmy światu blues i jazz, Louisa Armstronga, Ellę Fitzgerald, Brubecka i Millera. Ta unikatowa muzyka powstała w Ameryce. Wy możecie zatrzymać swoich Mozartów, Beethovenów i Verdich. My mamy naszą własną kulturę i jesteśmy z niej dumni. I nie potrzebujemy żadnych mięczakowatych Francuzików do uczenia nas kultury.

Sowa zaśmiewał się do łez.

* * *

Tak, cały wieczór upłynął w wyjątkowo miłej atmosferze. Wreszcie Guido wysączył ze szklanki ostatnie krople, wstał i powiedział, że ma randkę z łóżkiem. Susan dołała sobie koniaku, a Creasy resztę czerwonego wina.

— Jak ty ich wybrałeś? — spytała.

— Jak wybrałem? — zdziwił się.

— No tak. Ze wszystkich twardych jak żelazo ludzi, a musiałeś znać wielu, wybrałeś właśnie takich. . . A René i Maxie? To są naprawdę dobrzy ludzie. Być może robili w życiu straszne rzeczy, ale w zasadzie są to bardzo zaci ludzie.

Pytanie Susan kazało Creasy'emu poważnie się zastanowić. Kilka razy obrócił w palcach kieliszek z winem i wreszcie odpowiedział:

— To nie jest sprawa wyboru, Susan. Życie to jeden wielki lunapark i nieustanne jeżdżenie w zderzających się elektrycznych samochodzikach. Tak, człowiek przez całe życie wpada na innych ludzi, zderza się z nimi. Zderzenia są czasami bolesne, czasami nie. Zderzenie z młodym Bentsenem nie było bolesne. Poznałem go w Wietnamie. Przerażony dzieciak strojący bohaterские miny. Polubiłem go. Uświadomiłem sobie dlaczego. . . dopiero wtedy, kiedy poznałem jego rodziców. To dobrzy ludzie. Z ich przyczyny tu jestem. Mam dość zaoszczędzonych i zainwestowanych pieniędzy, bym nie musiał pracować jako najemnik. Chcę wiedzieć, co się stało z młodym Bentsenem nie tylko dla zaspokojenia własnej ciekawości, ale dlatego, że w San Diego mieszka para starszych ludzi, którzy zasługują na odpowiedź. I nie chodzi tu o tani sentymentalizm czy chwilowe wzruszenie. Jest to sprawa zrównoważenia.

— Czego zrównoważenia?

— Własnego życia. Zrobiłem wiele rzeczy i z paru nie jestem dumny. Za pieniądze wykonywałem rzeczy, które w pojęciu porządných ludzi nie mieszczą się w kryteriach poprawnego zachowania. Nie próbuję się tłumaczyć. Stwierdzam, że nie miałem wyboru. Byłem w lunaparku i wszystkie samochodziki zderzały się z moim. Chciały zrobić z mojego miążę. Przez całe życie posługiwałem się jednym kryterium: przeżyć. Być może instynktownie! chcę zrównoważyć bilans mojego życia. . . Jestem tu w niebezpieczeństwie. . . Wszyscy jesteśmy w niebezpieczeństwie. Mógłbym jutro rano wyjechać z tego kraju, powrócić na starą fermę na Gozo, kąpać się w ciepłym morzu, dobrze jeść i cieszyć się towarzystwem przyjaciół, których tam zostawiłem. — Wzruszył ramionami. — Ale nie wiem, czy spałbym dobrze. Chcę móc powiedzieć tej parze z San Diego, co się stało z ich synem. Jeśli żyje, to chcę go zabrać stąd do domu. Najemników nazywano „psami wojny”. Mnie też tak nazywano. Niech będzie. Ale stare psy mają poczucie lojalności. I ten jeden pies chce spoczywać w spokoju.

— Co będziesz robił po zakończeniu tej sprawy? — spytała. -: Powrócisz do domu i wycofasz się z... lunaparku?

Zaśmiał się nieco sztucznie, jakby po raz setny słyszał stary dowcip.

— Od dziesięciu lat chcę to zrobić. Postanowiłem się wycofać po zakończeniu kontraktowej służby w armii rodezyjskiej w późnych latach siedemdziesiątych. Za dużo piłem i wyszedłem z formy zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Któregoś wieczoru zjawiłem się w pensjonacie Guida w Neapolu. Nie miałem żadnych perspektyw. Guido załatwił mi pracę ochroniarza. Miałem pilnować córki włoskiego przemysłowca. Spaprałem robotę. Dziewczynkę porwano i następnie zabito. Ale przedtem zdążyłem się w niej zakochać. Broń Boże fizycznie. Miała dopiero jedenaście lat. Ale właśnie ona, dziecko, wtargnęła w moje życie i całkowicie je zmieniła. W trakcie porwania zostałem postrzelony. Pojechałem na Gozo i przez dwa miesiące dochodziłem do siebie. Następnie wróciłem do Włoch i pozabijałem sporo ludzi... z mafijnego gangu odpowiedzialnego za porwanie dziewczynki. Zrobiłem to nie dla pieniędzy. Dziewczynka miała na imię Pinta. Potem w różnych odstępach czasu były inne Pinty. — Uśmiechnął się gorzko. — Jake Bentsen był w pewnym sensie Pintą... I wiem, że zawsze pojawiać się będą następne Pinty. To chyba dobrze. Daje mi to cel w życiu.

— Czujesz się czasami samotny? — spytała.

— Właściwie to nie. Sam ze sobą prowadzę rozmowy. Być może, czasami, późno w nocy czuję się rzeczywiście samotny. W nocy... — Wskazał gestem dłoni w mrok. — Mówią, że Kambodża to jedno wielkie pole śmierci. Chyba tak jest. Ale ja widziałem i inne wielkie pola śmierci. Przechodziłem przez nie. Samotność czasami wywołuje wspomnienia. I zawsze późną nocą.

— Nie dzisiejszej nocy — odparła miękko. — Dziś ja zostanę z tobą. Przecież i ty zrobiłeś to dla mnie.

* * *

Obudziła się o świcie. Czowała w sercu radość i spokój. Kochali się długo. Spoglądała na jego twarz, gdy otwierał oczy. Pocałował ją w podbródek. — To było wspaniałe... — mruknął.

— Sen? — spytała przekornie.

— Nie. Kochanie się z tobą. Było cudowne.

— O czym ty znowu mówisz? — spytała.

Otworzył szeroko oczy. — O minionym wieczorze, minionej nocy. Kolacja, rozmowa i kochanie się. To wszystko razem było wspaniałe.

— Pojęcia nie mam, o czym ty opowiadasz. Ot, zmęczeni położyliśmy się do

jednego łóżka. To wszystko.

Chrząknął rozbawiony i wtulił twarz w jej szyję.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

— Chyba oszalałeś! — powiedział Creasy.

— Jestem całkowicie zdrowy na umyśle. Sam nie wierzyłem własnym uszom — odparł Jens.

Creasy westchnął. Siedział na miejscu pasażera w wypożyczonej Toyocie. Prowadził Jens. Wyboista droga prowadziła wschodnim brzegiem Mekongu.

— Były pułkownik armii australijskiej?

— Pułkownik. Były zawodowy oficer.

— I jest teraz buddyjskim duchownym?

— Tak. Mieszka jak pustelnik za wioska Prek. Nasz ekspert.

— Skąd tu się wziął?

— Podczas drugiej wojny światowej trafił do japońskiej niewoli. Przeżył wojnę, został zdemobilizowany w Tajlandii. Przeszedł na buddyzm, przez dwadzieścia lat go studiował i został duchownym. Na początku lat sześćdziesiątych przeprowadził się do Kambodży. Miał tak wielką wiedzę, że miejscowi ludzie zaczęli go wprost uwielbiać. Z czasem uznano go za jednego z trzech najbardziej czczonych mężów duchownych. Kiedy władzę przejęli Czerwoni Khmerowie, jego wynawcy zabrali go do Tajlandii. Wrócił do Kambodży przed czterema laty. Ma teraz osiemdziesiąt osiem lat i uważany jest za pierwszego świętego męża kraju. Jest ekspertem w dziedzinie historii buddyzmu w Kambodży, a zwłaszcza historii kambodżańskich świątyń. Niestety, jest całkowitym odludkiem. Nawet nie wiem, czy zechce z tobą rozmawiać. Ale warto spróbować.

— Jak na niego trafiłeś?

— Wczoraj wieczorem rozmawiałem w barze z jednym Amerykaninem. W barze pod nazwą „Lokal Bez Problemu”. Zbierają się tam przedstawiciele szczątkowej europejskiej kolonii. Ten Amerykanin pracuje przy wykopaliskach w Angkor Wat. Jest doktorantem azjatyckiej archeologii i też buddystą. Wiesz, taki wariatuńcio z długimi włosami, brodą i z bransoletami na obu przegubach. Ale zna dobrze lokalne warunki i ludzi. Nasz australijski pułkownik nazywa się teraz Chum Bun Rong. Amerykanin powiedział mi, że jest żywą encyklopedią buddyj-

skiej architektury. Problem polega na tym, że nie lubi rozmawiać z ludźmi. Ja na pewno nie zwariowałem, ale on może tak.

* * *

Minęli zapyloną wioskę Prek. Jens zatrzymał się na jej końcu, wyjął ręcznie narysowaną mapkę, a potem palcem wskazał stary, zniszczony drewniany domek na palach, który pochylał się niebezpiecznie nad brzegiem rzeki.

— To chyba to. Jaki scenariusz?

Creasy przyjrzał się chatce i mruknął: — Ty bierz ryż i owoce, ja fotografie. Nie wypowiadamy ani jednego słowa. Ty mu dasz ryż i owoce, a ja mu będę trzymał przed oczami fotografie. Jeśli z niego taki cholerny ekspert, to powinien się zaciekawić.

I udało się. Wspięli się po drewnianych schodkach i pchnęli skrzypiące drzwi. W kącie ogołoconej izdebki siedział stary mężczyzna w pozycji lotosu. Miał na sobie brudne pomarańczowe szaty. Był zupełnie łysy. Pomarszczona twarz nie różniła się barwą od pociemniałych ze starości desek ścian. Jens przy drzwiach postawił wiklinowy koszyk z ryżem i owocami. Creasy podszedł do starca i u jego stóp ułożył na podłodze cztery fotografie, a następnie wycofał się do drzwi. Starzec zignorował Jensa i jego koszyk, lecz utkwiał wzrok w twarzy Creasy'ego. Przez trzy minuty jedynym odgłosem był szum rzeki. Starzec powoli opuścił wzrok na fotografie.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

— Będzie nam potrzebna pomoc Amerykanów — stwierdził Creasy. — Ale selektywna pomoc. — Podniósł wzrok na Susan i wskazał palcem fotografie. — Ta świątynia leży w samym sercu obszaru będącego pod kontrolą Czerwonych Khmerów.

— Ten duchowny jest pewny, że chodzi o tę świątynię?

— Tak. Jest stary, ale umysł ma sprawny. Był bardzo zdziwiony, kiedy zobaczył tę fotografię. Przed przyjściem Czerwonych Khmerów w kraju było ponad trzydzieści tysięcy świątyń. Zniszczyli ponad dwie trzecie. Nasz święty pułkownik nie rozumie, dlaczego ta właśnie ocalała.

— Jeśli w Kambodży było, jak mówisz, ponad trzydzieści tysięcy świątyń, to chyba wiele z nich niczym nie różniło się między sobą. I skąd on może wiedzieć, gdzie konkretnie ta się znajduje? — spytał Guido.

— Nie miał najmniejszych wątpliwości — odparł Creasy. — Powiedział, że w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych wielokrotnie odwiedzał tę właśnie świątynię i w niej się modlił. Ma ona specjalne znaczenie jako bardzo święte miejsce. Zbudował ją w latach 1181–1193 Dżajawarman VII. Architektura o dużych wpływach hinduskich. Nasz pustelnik nie miał najmniejszych wątpliwości, że o nią chodzi.

— Mówisz, że duchowny jest bardzo stary, ale powiedz bardziej szczegółowo, jaki on jest — poprosiła Susan.

— Co mnie najbardziej uderzyło, to jego akcent — odparł Creasy. — Zupełnie jakby nigdy nie opuścił Australii. Nie jest natomiast ciekawy zewnętrznego świata. Jest w przerażający sposób pogodny.

— Dlaczego w przerażający?

— Byłem tam z Jensem, ale on odzywał się wyłącznie do mnie. Najpierw długo się we mnie wpatrywał, a potem powiedział, że jestem w wielkim niebezpieczeństwie. I że niebezpieczeństwo grozi mi ze strony kobiety.

— I co jeszcze powiedział?

— To wszystko. Nie przywiązuje do tego wielkiej wagi. Ale ten człowiek

przedziwnie na mnie oddziaływał. Nie jestem religijny ani przesądny, ale...

— I dlatego postanowiłeś wciągnąć w to Amerykanów? — spytał Guido.

— Nie, nie z tego powodu. Znany szlak kończy się w świątyni. O cztery kilometry na południowy wschód od świątyni leży wioska Tuk Luy, gdzie znajduje się dowództwo największego ugrupowania Czerwonych Khmerów w zachodniej Kambodży. Nie ma mowy, abym mógł ot tak, po prostu podjechać pod świątynię. Potrzebna mi jest pomoc, aby tam dotrzeć, a jeszcze przedtem muszę zebrać dokładne informacje, co się w tym rejonie dzieje. — Spojrzał wymownie na Susan. — Zakładam, że skoro istnieje podstawa, aby sądzić, że są tam amerykańscy MIA, taką pomoc otrzymam.

— Oczywiście. Zadzwoń do pułkownika Friedmana i on puści sprawę w ruch. Ale będzie lepiej, jeśli zadzwonię do niego z ambasady za pośrednictwem bezpiecznego łącza. Czego ci będzie potrzebna?

— Jeszcze nie wiem. Przynajmniej chciałbym otrzymać szczegółowe informacje dotyczące całego obszaru na południowy wschód od Battambang, zwłaszcza Gór Kardamonowych. Potrzebne mi będą dokładne mapy i, jeśli to możliwe, zdjęcia z satelity. Jestem pewien, że CIA je posiada. Chcę też znać stopień nasycenia terenu jednostkami Czerwonych Khmerów i nazwiska dowódców tych jednostek. Również nazwiska lokalnych bonzów. Nie chcę dowiadywać się tego za pośrednictwem kambodżańskich urzędników, gdyż byłoby to zbyt ryzykowne. Wielu z nich ma powiązania z Czerwonymi Khmerami.

Susan spojrzała na zegarek i szybko obliczyła różnice czasowe. — W Waszyngtonie jest ósma wieczorem. Elliot jest na pewno w domu. Dowiem się w recepcji adresu amerykańskiej ambasady i pojedę tam taksówką.

— Nie potrzeba — powiedział Jens siedzący przy komputerze. Nacisnął kilka klawiszy i zaczął czytać z ekranu: — Ambasada jest pod numerem 240 przy ulicy Eo. Ambasador Henry Gates, rezydentem CIA jest najprawdopodobniej attache wojskowy o nazwisku William B. Garner. Ma lat 42, żonaty, dwoje dzieci. Gra dużo w tenisa.

— Jestem pod wielkim wrażeniem — powiedziała Susan. — Skąd ty bierzesz te informacje?

Jens uśmiechnął się enigmatycznie. — Na tym polega moja praca. Zdobywanie informacji. — Zwrócił się do Creasy'ego: — Czy ten pułkownik Friedman ma wystarczające doświadczenia, żeby pociągnąć za odpowiednie sznurki? — spytał.

Odparła Susan: — Ma. A jeśli napotka na trudności, to zadzwoni do senatora Graingera, który z pewnością potrafi pociągnąć za wszystkie możliwe sznurki...

Przerwało jej pukanie do drzwi. Otworzył Sowa i powrócił z kopertą.

— Z recepcji — powiedział. — I adresowane do ciebie. — Podał kopertę Susan.

Otworzyła ją i wyjęła kartkę papieru z maszynowym tekstem bez podpisu:

Mam informację, która może panią zainteresować. Przyślę ją do hotelu w czwartek po południu. Jest istotne, aby do tego czasu pani towarzysze nie podejmowali żadnych kroków.

Oddała kartę Creasy'emu. Ten ją przeczytał i przekazał Jensowi, Guidowi i Sowie.

— Chciałbym zobaczyć kopertę — poprosił Creasy.

Podala mu ją. Była adresowana do kapitana Susan Moore, Armia Stanów Zjednoczonych, Biuro MIA, czasowo w hotelu „Cambodiana”, bungalow nr 4.

Creasy długo wpatrywał się w kopertę, jakby mogła mu jeszcze objawić jakąś cenną informację, a potem oddał ją Jensowi. Duńczyk wyjął z teczki szkło powiększające i dokładnie obejrzał przez nie kopertę oraz list. — Nowoczesna laserowa drukarka — obwieścił.

— Stała taka w biurze Lucit Trade. Japońska OKI — dopowiedział Sowa.

Creasy raz jeszcze wziął do ręki list. — Jeszcze jeden papierowy ślad... Ciekawe dlaczego chcą tu nas przetrzymać do czwartku?

Nikt nie miał na to odpowiedzi.

— Tak czy inaczej dzwoń do swego szefa — powiedział do Susan Creasy. Następnie zwrócił się do Jensa: — Razem z Sową polecicie do Hongkongu i zainteresujecie się ostatnimi latami Billa Cruma. Dobrze by było mieć na ten temat informacje przed czwartkiem po południu.

Susan zebrała fotografie i, wraz z przekładem tekstów, włożyła je do teczki. — Powinnam wrócić za godzinę — powiedziała. — Jeśli Jens chciałby mieć bezpieczną linię z Hongkongu, to mogę załatwić. Z naszego konsulatu w Hongkongu do ambasady.

— Może się przydać — mruknął Creasy, zapatrzony w trzymany w ręku tekst. — A jeśli im tylko chodzi o zwolnienie naszego tempa? Może na ich gust idziemy zbyt szybko tropem?

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY

Na kolację Moira Friedman przygotowała duszoną wołowinę z jarzynami. Zgodnie z rytuałem, cały garnek zaniosiła na stół i dopiero wtedy podniosła pokrywkę. Elliot nachylił się, wdychając aromaty i wypowiedział jakże często powtarzane słowa: — Jesteś wspaniała, twórcza, jesteś światłem mego życia.

Nabierał sobie okazałą porcję na talerz, kiedy zadzwonił telefon. Zdesperowany podniósł oczy ku niebu i oświadczył: — Bez względu na to, kto dzwoni, powiem, żeby zadzwonił później.

Jednakże nie uczynił tego. Susan usłyszała jego głos:

— Cześć, Susan! Skąd dzwonisz? — Potem długo i uważnie jej słuchał, a wreszcie westchnął, sięgnął po papier i ołówek. Po zrobieniu kilku notatek powiedział: — Przyślij mi wszystkie fotografie i twój przekład tekstów.

Moira Friedman wyczuła podniecenie w głosie męża.

— Za dwadzieścia minut będę w biurze — oświadczył. — Załatwię, żeby Departament Stanu polecił ambasadorowi w Kambodży udzielenie wam wszelkiej pomocy. I żeby wam dali satelitarny telefon. Nie powinniście zbyt często chodzić do ambasady. . . — Przez dłuższą chwilę słuchał Susan. — Nie — odparł. — Nie sądzę, aby w tej fazie potrzebna nam była pomoc senatora Graingera. W każdym razie nie w sprawie związanej z fotografiami. Niemniej go poinformuję. Może też wyśle wam wsparcie. — Znowu słuchał, skinął głową i odparł: — Dobrze, wstrzymam się z wysyłaniem do czwartku wieczorem. Poczekaj w ambasadzie. Zadzwonię do ciebie zaraz po rozmowie z Departamentem Stanu. A tak przy okazji, twój przyjaciel, profesor Woodward, dzwoni parę razy dziennie, usiłując się z tobą porozumieć. Wydaje się zdenerwowany, nawet zbulwersowany. . . — Chwilę słuchał. — Dobrze, powiem mu, że skomunikujesz się z nim, jak będziesz mogła. I oglądaj się za siebie, kobieto. Jesteś w niebezpiecznym kraju. . . — Słuchał kilka sekund i chrząknął rozbawiony. — Wiem, że jesteś. Odkładam słuchawkę. Czekaj na mój telefon.

Wrócił do stołu, ale nie usiadł. — Susan Moore dzwoniła z Phnom Penh — powiedział. — Jest tam w towarzystwie kilku najemników i ma fotografie, na

których są prawdopodobnie amerykańscy MIA w rękach Czerwonych Khmerów. Co do jednego MIA jest pewna. Muszę sprawdzić numery z nieśmiertelników pozostałych dwóch. — Gestem żalu pożegnał potrawkę z wołowiny. — Przykro mi, kochanie. Będziesz musiała to podgrzać. Wrócę późno.

Moira Friedman nie była rozczarowana. Rozumiała presję pracy męża, a ponadto widziała w jego oczach podniecenie. Podeszła, ucałowała go i powiedziała: — No to pędź do biura, Elliot. I zadzwoń, jeśli będziesz miał wolną chwilę.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY

Ambasador Gates nie był zadowolony. Jako zawodowy dyplomata lubił postępować zgodnie z regulaminem. Siedział w swoim gabinecie. Za plecami miał amerykańską flagę i na ścianie portret prezydenta.

— Kapitanie Moore, jestem w pełni świadomy wagi sprawy dotyczącej naszych MIA — rozpoczął. — I jestem gotów pani pomóc wszelkimi środkami będącymi w mojej dyspozycji. Przed chwilą otrzymałem telefon od podsekretarza stanu, który wydał mi takie właśnie polecenie. Ale czy nie mogłaby pani powiedzieć mi czegoś więcej? Wszystko wydaje mi się takie niejasne. Rozumiem, że chodzi o to, iż istnieje domniemanie, że Czerwoni Khmerowie przetrzymują jakichś Amerykanów i pani przygotowuje operację, by do nich ewentualnie dotrzeć i, jeśli się uda, uwolnić. Chciałbym znać jakieś szczegóły...

— Bardzo mi przykro, panie ambasadorze, ale to jest wszystko, co w tej chwili mogę panu powiedzieć. Działam nieoficjalnie, z grupą jeszcze mniej oficjalnych ludzi, którzy postawili warunek absolutnej dyskrecji. Chodzi o ich bezpieczeństwo.

— Agenci CIA?

Uśmiechnęła się i pokręciła głową. — Nie. Mogę jeszcze dodać, że nasze poszlaki są bardzo poważne, a ludzie, z którymi pracuję, bardzo kompetentni.

— Amerykanie?

— Jeden z nich był chyba niegdyś obywatelem amerykańskim, ale poza tym jest to międzynarodowa ekipa. I prosiłabym, by nie zagłębiał się pan więcej w tę sprawę. Mam nadzieję, że pod koniec tygodnia będę mogła udzielić panu bardziej szczegółowych informacji. Rozumiem, że mogę pana prosić o satelitarny telefon i faks. Być może w najbliższych dniach będę musiała prosić o sprowadzenie do Phnom Penh pewnego... sprzętu dyplomatycznego pocztą kurierską.

— Jakiego sprzętu?

— Trudno mi w tej chwili powiedzieć. Może chodzić o broń i sprzęt łączności.

— Broń?!

— Tak jest, panie ambasadorze. Moi koledzy... współpracownicy, być mo-

że będą musieli udać się na obszar kontrolowany przez Czerwonych Khmerów i byłoby im głupio wmaszerować tam powiewając białą flagą.

Ambasador był wysokim, szczupłym mężczyzną o surowych rysach twarzy. Jednakże parę dziesiątków lat w służbie dyplomatycznej nie zabiło w nim poczucia humoru. Z uśmiechem na ustach wstał, mówiąc: — Jestem do pani dyspozycji, kapitanie. Mam tylko nadzieję, że biedny kurier nie będzie musiał dźwigać na swoich barkach zbyt wielkiego ciężaru. Miałbym spore kłopoty, usiłując wprowadzić do kraju w poczcie dyplomatycznej kompanię czołgów *Abrams* i baterię rakiet *Cruise*.

— Postaram się tego nie zamawiać — uspokoiła go Susan. — Myślę, że ograniczymy się do ręcznej broni i amunicji oraz zestawów radiokomunikacyjnych z elektronicznym kodowaniem. Jeszcze raz przepraszam, że nic więcej nie mogę w tej chwili powiedzieć. Jedno dodam: sytuacja rozwija się bardzo szybko i tempo wydarzeń z pewnością się utrzyma.

— Gdzie pani mieszka?

— W „Cambodiana”. Ale moi koledzy i przełożeni byliby bardzo rozczarowani, gdyby ambasada roztoczyła nad nami jakąkolwiek... opiekę. I jeśli to miałyby nastąpić, będziemy szybko tego świadomi. Bez względu na stopień profesjonalności dozoru.

— To nie nastąpi, zapewniam panią — odparł ambasador. — Niech pani jednak zrozumie jedno: reprezentuję w tym państwie amerykański rząd i bardzo bym nie chciał żadnych przykrych niespodzianek. — Nacisnął guzik na biurkowej konsolecie i po chwili do gabinetu wszedł młody mężczyzna. — Mark, wydasz pani kapitan sprzęt łączności, jakiego potrzebuje, i poinstruujesz, jak z niego korzystać.

Susan uścisnęła dłoń ambasadora.

— Dziękuję panu, ambasadorze! — powiedziała.

— Miło mi było panią poznać, kapitanie. I niech pani będzie ostrożna. Niepotrzebni są nam dalsi MIA.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY ÓSMY

Stali u stóp łagodnie opadającego zbocza i z zadartymi głowami patrzyli na sylwetkę świątyni. Connie Crum pośrodku, po lewej Holender, po prawej Van Luk Wan. Holender palcem wskazywał jaskrawoczerwoną taśmę, która biegła zygzakiem po zboczu pod samą bramę umieszczoną w murze okalającym świątynię.

— Czerwona taśma wyznacza środek szerokiej na metr ścieżki. Ścieżka trzykrotnie zmienia kierunek. Będziecie musieli orientować się na punkty, które wam wskażę. Otóż wybiera się pobliski punkt i ustawia się go w prostej linii z jakimś szczytem na horyzoncie czy dalej rosnącym drzewem. Osoba patrząca, punkt odniesienia bliski i punkt odniesienia na horyzoncie muszą stanowić linię prostą. Trzeba znać długość odcinka prostego, a potem wyznaczyć następny kierunek, i jak powiedziałem, trzeba to zrobić trzykrotnie. Dostać się do świątyni i wyjść ze świątyni będą mogli tylko wtajemniczeni. Jutro wieczorem skończymy układanie pola minowego. Po południu przekażę punkty odniesienia, długości odcinków ścieżki i tak dalej, a potem zdejmemy czerwoną taśmę.

Connie poklepała Holendra po plecach. — Dobra robota. Zakładam, że twoi ludzie znają te punkty odniesienia i potrzebne do przejścia dane.

— Oczywiście.

Connie zwróciła się z kolei do Wana: — Jutro wieczorem saperzy Pietta mają dostać premię po dwieście dolarów amerykańskich.

— Dziękuję w ich imieniu — powiedział Holender. — Dla nich to fortuna.

— Którą natychmiast wydadzą na alkohol i kobiety — odparła cynicznie Connie Crum. — Nie będę cię dłużej zatrzymywała, Pieta. Wrócimy tu z Wanem jutro o piątej po południu. Zrobiłeś dobrą robotę.

Gdy Holender odszedł na szczyt pagórka trzymając się drogi wytyczonej czerwoną taśmą, Connie przez długą chwilę patrzyła za nim w milczeniu, by potem powiedzieć: — Jutro, kiedy będzie położona ostatnia mina i ekipa zejdzie na dół, pozabijasz ich.

Wietnamczyk nie okazał najmniejszego zdziwienia.

— Po czy przed wręczeniem im dwustudolarowej premii?

Roześmiała się. — Zawsze warto coś oszczędzić. A Holendra zakuj. Kajdanki na ręce i żelazo na nogi. Jutro skończy robotę, a jeszcze nie zdecydowałam, co z nim robić.

* * *

Piett de Witt stał pod świątynią i przyglądał się pracy swoich ludzi. Dobrze ich wyszkolił. Oczywiście, niektórzy pracowali lepiej i szybciej od innych. Najlepszy członek ekipy potrafił w trzy minuty ułożyć i uzbroić minę. De Witt obrócił się, by obliczyć odległość do świątynnego muru. Około czterdziestu metrów. Zdązą, nie będą nawet musieli pracować nocą przy reflektorach. Nocna praca była niesłychanie niebezpieczna. Dobrze, że już nie muszą tak ryzykować. Wieczorem pojedzie do Tuk Luy i na targu kupi świeże ryby. Zawiezie je do Tan Sotho. Kiedy już się zrelaksuje, Tan Sotho przygotowuje ryby z szafranem i ryżem. Tak jak on lubi. I nauczy małego kilku nowych słów po angielsku. To już stało się rutyną, dwa albo trzy razy w tygodniu: seks, ryba i godzina lekcji angielskiego. Chłopaczek miał dopiero trzy lata, ale był bystry, szybko się uczył. Holender zaśmiał się w duchu: on nauczycielem angielskiego! Nikt by w to nie uwierzył.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY

Jens i Sowa dzielili pokój w hotelu „New World”. Okna pokoju wychodziły na port. Znali Hongkong z poprzedniego pobytu przed kilku laty, kiedy to uczestniczyli w innej operacji Creasy’ego. Byli wówczas pod dużym wrażeniem tętniącego życiem miasta. Po drugiej stronie zatoki, w Victorii, drapacze chmur wznosiły się ku niebu niczym potężne stalagmity. Obserwując z balkonu port i zatokę Jens doliczył się dwudziestu promów przemierzających ciemne lustro wody. Był to dla niego wymarzony widok. Od dziecka uwielbiał promy. Siadał na podwórku rodzinnego domu w Helsingorze i przyglądał się promom kursującym przez Oresund. Ku wielkiemu zmartwieniu żony, Birgitte, ideałem wakacyjnego wypoczynku było dla niego przemierzanie Bałtyku którymś z wielkich szwedzkich promów. Birgitte nie mogła tego zrozumieć, ponieważ większość czasu spędzał w którymś z okrętowych barów, popijając piwo na zmianę ze sznapssem. Jens wstąpił nawet do klubu miłośników podróży promowych. Wraz z innymi fanatykami tego typu środka lokomocji jeździł na liczne wycieczki, podczas których upijał się na umór.

Teraz od pół godziny obserwował promy, podczas gdy Sowa leżał na łóżku z walkmanem i słuchawkami na uszach, i w tej pozycji dyrygował V Symfonią Beethovena. Jens oderwał wreszcie wzrok od portu, spojrzął na zegarek i głośno zakomenderował:

— Jedziemy! Wsiądziemy na prom do Victorii i odwiedzimy biuro rejestracji firm handlowych. Chcę się dowiedzieć, kto i co kryje się za Agencją Importowo-eksportową Cuontum.

Sowa bardzo niechętnie wyłączył Beethovena i wstał. Jens otworzył teczkę i wyjął pakiet wizytówek. Przejrzał je, wybrał jedną.

— Dziś nazywam się Svend Torp i jestem dyrektorem biura Viking, które zajmuje się sprawdzaniem zdolności płatniczych potencjalnych kredytobiorców — obwieścił.

* * *

W dwadzieścia minut później Jens i Sowa stali przed recepcją biura rejestru firm handlowych. Jens oczarowywał siedzącą za biurkiem Chinę w średnim wieku. Chinka wpatrywała się w wizytówkę, podczas gdy Jens tłumaczył, że pragnie zapoznać się z dokumentami przedsiębiorstwa Cuontum i że jest to rutynowe zadanie zlecone mu przez duńską firmę, która zamierza współpracować z firmą Cuontum.

Chinka na kilka minut zniknęła, po czym powróciła z niebieską kartonową teczką zawiązaną czarną wstążeczką. Dając ją Jensowi zastrzegła, że wolno robić kopie wyłącznie list statutowych dyrektorów i udziałowców. Wyjaśniła przy tym, że ponieważ jest to spółka cywilna, a nie akcyjna, nie ma obowiązku przedstawiania dorocznego bilansu, natomiast ma obowiązek zgłaszać zmiany na liście dyrektorów i udziałowców.

Jens zaczął przeglądać dokumenty od dna te czki, najstarsze. Zorientował się też natychmiast, że firmę założyli dwaj wspólnicy — William Crum i Tam Wok Lam LD. Przeglądając poszczególne kartki dowiedział się, że w marcu 1977 roku William Crum przestał być dyrektorem, a w cztery lata później dyrektorem została Connie Lon Crum. Podała ten sam adres, co drugi dyrektor, Tam Wok Lam — w biurcu przy ulicy Ice House. Od czasu powstania firmy w 1962 roku nie było innych zmian na liście dyrektorów.

Obrócił kartkę i pokazał kobiecie. — Co oznaczają te litery LD? — spytał.

Przeczytała nazwisko i odpowiedziała: — To oznacza, że pan Tam jest adwokatem. Pan Tam jest bardzo znanym adwokatem, uczestniczy w wielu przedsięwzięciach komercyjnych. Zasiada także w Radzie Legislacyjnej mianowanej przez gubernatora. Jest powszechnie szanowaną osobą.

— Bardzo się z tego cieszę — powiedział Jens. — Ułatwia mi to sporządzenie raportu. Niepotrzebne mi są kopie. Serdecznie dziękuję za pomoc.

Kiedy znaleźli się na ulicy, Jens powiedział do Sowy: — Muszę poduczyć się trochę na temat szlachetnych kamieni. Zwłaszcza pochodzących z Indochin. Poszukajmy jakiegoś jubilera. A potem, być może, porozmawiamy z panem Tamem. Ale przedtem muszę zadzwonić do przyjaciela w Kopenhadze. — Uśmiechnął się błogo. — A dziś wieczorem przejadę się paroma promami. Czy ty zdajesz sobie sprawę, że z wyspy pływają one do osiemnastu przystani na lądzie stałym?

— Nie miałem pojęcia — odparł Sowa. — Jest to w istocie poważny brak w mojej kolekcji niepotrzebnych informacji.

— Poważny brak — zgodził się Jens.

* * *

Rozmowa z jubilerem zakończyła się kupnem pierścionka z szafirem dla Birgitte. Kosztował aż dwa tysiące hongkońskich dolarów, ale Jens uważał, że są to pieniądze wydatkowane z pożytkiem, gdyż przed zawarciem transakcji przez godzinę rozmyślnie deliberował, co kupić, i to deliberował głośno w towarzystwie właściciela sklepu, który pokazał mu prawie cały swój inwentarz i udzielił bezcennych informacji na temat różnych drogocennych kamieni i źródeł ich pochodzenia.

Odbyli pięciominutowy kurs promem do hotelu, skąd Jens zadzwonił do starego przyjaciela w dyrekcji duńskiej policji. Potrzebne mu było nazwisko duńskiego importera biżuterii, który pozornie jest szacownym handlowcem, ale w istocie ma sporo na sumieniu; ktoś, dla kogo handel biżuterią jest parawanem dla prania brudnych pieniędzy. Przyjaciel obiecał jak najszybciej oddzwonić, i przez najbliższe pół godziny Jens obserwował promy, a Sowa dyrygował V Symfonią.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY

Jens w życiu nie widział równie luksusowego gabinetu. Całą posadzkę pokrywał gruby dywan z Tiencinu, ściany wyłożono mahoniową boazerią po sam sufit, a meble były z hebanu i skóry. Na biurku stała ni to półeczka, ni ornament po mistrzowsku wyrzeźbiony w kości słoniowej. Mężczyzna za biurkiem był niski, łysy i odziany w nieskazitelną, doskonale skrojony garnitur z ciemnego materiału. Wstał na powitanie Jensa i przyjął podany mu bilet wizytowy, wydrukowany zaledwie przed godziną. Bilet stwierdzał, że jego posiadacz nazywa się Lars Petersen i reprezentuje firmę importową Odense w Danii. Pan Tam wskazał Jensowi fotel, sekretarka wniosła na tacy czajniczek z jaśminową herbatą i dwie złoczone filiżanki.

Podczas gdy Jens przedstawiał swoją propozycję, Chińczyk małymi łyżkami popijał herbatę i bacznie wpatrywał się w twarz gościa. Gdy Jens skończył, zapytał:

— Dlaczego przyszedł pan z tym do mnie, panie Petersen? Dlaczego nie poszedł pan prosto do Agencji Cuontum, do dyrektora biura, pana Fu?

— Z dwóch powodów — odparł Jens. — Po pierwsze, życie mnie nauczyło, że interesy załatwia się lepiej z samym kataryniarzem, niż siedzącą na katarynce małpą. A po drugie, wolę mieć do czynienia z prawnikiem.

Pan Tam lekko się uśmiechnął i parę razy skinął głową. — Ale skąd pan wiedział, że mam cokolwiek wspólnego z Agencją Cuontum?

— Mam zasadę dowiadywania się, kim są dyrektorzy i udziałowcy firm, z którymi mam zamiar prowadzić interesy. Następnie sprawdzam ich reputację. Byłem w biurze rejestru firm handlowych i stwierdziłem, że jest pan jednym z dwóch dyrektorów. Drugim jest panna Connie Lon Crum. I jest pan w pięćdziesięciu procentach udziałowcem.

— To wszystko się zgadza. Założyłem tę firmę wraz z ojcem Connie. Po jego śmierci ona odziedziczyła pięćdziesiąt procent udziałów i została wpisana do rejestru handlowego jako dyrektor.

— W 1977, prawda?

— Tak, chyba tak. Pan Crum zmarł w 1977 roku. W testamencie zapisał udziały córce, która w kilka lat później została współdyrektorem wraz ze mną. Stało się

to, gdy skończyła dwadzieścia jeden lat.

— Tak, wszystko to jest zapisane w rejestrze. Będę szczerzy, panie Tam, bardzo krótko jestem w Hongkongu, miałem szczęście od razu dowiedzieć się o pańskiej doskonałej reputacji, ale nie wiem nic o panie Crum. I jest jeszcze jeden istotny szczegół. Jestem głównie zainteresowany szafirami z Kambodży. W minionych latach pojawiały się na rynku bardzo sporadycznie. . .

Pan Tam potwierdził to ruchem głowy. — Aaa. Tu właśnie tkwi siła naszej firmy! Zapewne pan wie, że większość szafirów pochodzi z Gór Kardamonowych i że obszar ten jest w zasadzie pod kontrolą Czerwonych Khmerów. Matka panny Crum była Kambodżanką i tak się składa, że córka ma doskonałe układy z tymi ludźmi. . . Tymi, którzy działają w Górach Kardamonowych.

— Ma pan na myśli Czerwonych Khmerów?

— Ach nie, skądże znowu — odparł pan Tam z lekkim uśmiechem. — Nigdy bym niczego podobnego nie sugerował. Connie Crum spędza wiele czasu w Paryżu i Bangkoku. Ponieważ ma, jak wspomniałem, doskonałe układy, posiada pewne wpływy w południowo-zachodniej Kambodży, co przełożone na język handlowy oznacza, że Agencja Cuontum otrzymuje regularne dostawy najwyższej jakości szafirów. O stałość dostaw może pan się nie martwić. Jestem pewien, że pan Fu poradzi sobie z pańskim zamówieniem i będzie mógł spełnić wszystkie życzenia. Firma nasza posiada bogaty asortyment. Czy mam może umówić pana z panem Fu?

— Jeszcze chwilka — odparł Duńczyk. — Najpierw chciałbym omówić z panem stronę finansową.

Pan Tan wyraźnie nastawił uszu i zrobił się czujny. — Stronę finansową?

— Tak, właśnie. Jak pan wie, panie Tam, cła i podatki są w Danii niesłychanie wysokie. Moja firma zamierza w ciągu najbliższych paru lat zakupić spore ilości szafirów. Nie jest dla nikogo tajemnicą, że szafiry są walorami łatwymi do przewiezienia.

— Oczywiście.

— Chcielibyśmy dojść do porozumienia z Agencją Cuontum, by zaświadczone dokumentami wartość importowanych szafirów nieco się różniła od wartości rzeczywistej.

— Bardzo dobrze pana rozumiem, panie Petersen. Jest to częste żądanie i w Hongkongu, który jest portem wolnocłowym, nie przedstawia najmniejszych trudności. Zakładam, że wartość deklarowaną płaciłby pan akredytywą?

— Oczywiście. Różnicę natomiast wpłacilibyśmy przed wysyłką szafirów na wskazane nam konto w jakimkolwiek banku na świecie.

— Rozsądne rozwiązanie — pochwalił pan Tam i podzielił się z Jensem konspiracyjnym uśmiechem. — Chociaż podatki w Hongkongu są bardzo niskie, każdego człowieka boli, gdy musi je płacić. Pańska propozycja nam odpowiada. Kiedy pragnie pan spotkać się z panem Fu i obejrzeć nasz towar?

— Chyba za jakieś dwa dni. Przyleciałem do Hongkongu dopiero dziś rano i rozsądniej będzie, jeśli pozbędę się skutków zmiany tyłu stref czasowych, nim zasiądę do twardych negocjacji. Przypuszczam bowiem, że będą twarde. Nim zajmę się interesami, obejrzę trochę miasto, a może pojedę na jeden dzień do Makau.

— Jest pan bardzo pragmatycznym człowiekiem, panie Petersen — stwierdził Chińczyk wstając. — Proponuję, aby zadzwonił pan do pana Fu, gdy pan już wypocznie. Przekażę mu treść naszej rozmowy i ustalenia. No i liczę na długą i owocną współpracę...

* * *

— A co będzie, jeśli pan Tam będzie chciał ciebie, to znaczy pana Petersena, sprawdzić w firmie importowej Odense? — spytał Sowa.

Siedzieli w barze hotelu „Mandarin”, tuż za rogiem, w pobliżu biura pana Tam.

— Nie ma żadnego problemu — odparł Jens. — Mój przyjaciel w dyrekcji kopenhaskiej policji przyparł paru typków do muru. Jeśli do Odense przyjdzie faks od pana Tam, to otrzyma on odpowiedź, że Lars Petersen jest dyrektorem do spraw handlu i właśnie podróżuje w interesach po Dalekim Wschodzie.

Jens pociągnął łyk piwa Carlsberg. Nie zamówił go z patriotyzmu. Ot po prostu smakowało mu bardziej od lokalnego produktu San Miguel. Rozejrzał się po zatłoczonym barze i mruknął do Sowy:

— Connie Crum, lat trzydzieści cztery, córka Billa Cruma. To ona zwabiła tu Creasy’ego.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY

PIERWSZY

Creasy wszystkiego wysłuchał i przez telefon pochwalił Jensa:

— Dobra robota. Lećcie do Bangkoku i poszukajcie informacji o tej pannie. Z mojej strony poproszę Susan, żeby sprawdziła, co amerykańska ambasada o niej wie lub może się dowiedzieć.

Creasy odwiesił słuchawkę.

— Bili Crum miał córkę z żony Kambodżanki — powiedział do Susan i Guida. — Córka ma teraz trzydzieści cztery lata i podobno utrzymuje dobre stosunki z Czerwonymi Khmerami. Z tego, co mi powiedział Jens, mogę nawet domniemywać, że do nich przynależy. Wiele czasu spędza w Bangkoku, w Paryżu i najprawdopodobniej w południowo-zachodniej Kambodży. Jens i Sowa polecą dziś po południu do Bangkoku i spróbują się czegoś o niej dowiedzieć. Ciebie, Susan, proszę, abys znowu pogadała ze swoim ambasadorem. CIA może coś o niej wiedzieć, a poza tym z pewnością posiada zdjęcia z satelity przelatującego nad Kambodżą. Myślę, że przydałyby się nam zdjęcia regionu, w którym znajduje się świątynia. Zaraz dam ci współrzędne.

Susan zadzwoniła do ambasady i umówiła się na spotkanie z ambasadorem za dwadzieścia minut.

Gdy wyszła, Guido oświadczył: — Sprawa dla mnie jasna. Chodzi o zemstę. Wszystko obmyślane niesłychanie chytrze, a kobieta wie, że to ty zabiłeś jej ojca. Trzy czwarte orientalnej krwi. Wszyscy dobrze wiemy, że ludzie Wschodu długo pamiętają i mają wielką cierpliwość. Kobieta długo czekała i z pewnością jej plany wobec ciebie nie są przyjazne. Moim zdaniem powinienes dać nogę. . .

— Wiesz doskonale, że tego nie zrobię. Natomiast muszę przyznać, że ta kobieta dysponuje doskonałą organizacją, która swymi mackami obejmuje pół świata. Od Kambodży do San Diego. Musi mieć dużo pieniędzy i olbrzymie wpływy. Nie należę do gatunku ludzi, którzy uciekają przed niebezpieczeństwem i chowają się po mysich dziurach. Zresztą gdybym to nawet spróbował zrobić, ona by mnie znalazła. Sytuacja dojrzała do pojedynku na śmierć i życie. W jej planach leży zabicie mnie. Co do tego nie ma wątpliwości. Przypuszczam natomiast, że

najpierw chce ze mną porozmawiać. Chce mi powiedzieć, dlaczego robi to, co robi, i chce obserwować moją twarz. Nie mam wyboru. Muszę iść śladami, które tak chytrze dla mnie pozostawiła. Jeśli jest w niej choćby jeden procent zła, jakie reprezentował jej ojciec, to zabicie jej z pewnością nie poruszy mego sumienia.

Guido był prawdopodobnie jedynym człowiekiem na świecie, który potrafił zrozumieć mechanizm myślenia Creasy'ego. Na decyzję przyjaciela zareagował własną decyzją: — W takim razie ściągam wsparcie. Maxie'ego i René. Jeśli chodzi ci po głowie samobójczy pomysł udania się na obszar znajdujący się pod kontrolą Czerwonych Khmerów, to potrzebne ci będą informacje i odpowiednia siła ognia. Fotografie satelitarne CIA nie wystarczą. Musisz mieć informacje szczegółowe, informacje zwiadu. Fotografie CIA są rutynowymi zdjęciami wielkiego, najprawdopodobniej gęsto zalesionego obszaru. — Gestem dłoni wskazał telefon. — Chyba nadszedł czas, byś zadzwonił do senatora Graingera. Ambasador będzie, oczywiście, współpracował z Susan, ale nam obecnie nie wystarczy zwykła współpraca.

Włoch niespodziewanie się uśmiechnął. — Zupełnie jak za dawnych czasów. Już się czuję o dziesięć lat młodszy.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DRUGI

— Nie pytaj mnie — powiedział pułkownik Jonas Chapman do drugiego pilota. — Ja tylko prowadzę cholerną maszynę. Pieprzone komputery pokładowe wiedzą więcej ode mnie. Rozkaz przyszedł z samej góry. Priorytet A-1. Przeleciemy nad Manilą, a potem będziemy udawali cywilny samolot w drodze do Bangkoku. Zboczmy lekko nad południowo-zachodnią Kambodżę, zejdziemy na pułap sześciu tysięcy metrów i wtedy komputery włączą kamery na zaprogramowane współrzędne. I nim wylądujemy w naszej bazie w Tajlandii, zdjęcia będą już w drodze do kogoś, kto tak bardzo chce się przyjrzeć temu skrawkowi Azji. Dobra, kończymy sprawdzanie. Proś o zezwolenie na start i uruchamiaj silniki.

Pięć minut później maszyna AWAC — samolot dozoru powietrznego, obciążony potężnym garbem w postaci dyskowej anteny, z załogą czternastu ekspertów nawigacji, goniometrii, fotometrii i radarowców — wystartował z bazy Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych na wyspie Guam. Po osiągnięciu pułapu dwunastu tysięcy metrów i ustawieniu komputerów, pułkownik Chapman i drugi pilot rozsiedli się wygodnie w fotelach i zaczęli pić pierwszy z niezliczonych kubków kawy, jakie ich jeszcze czekały podczas tego rejsu. Przez następne pięć godzin mieli nie dotykać sterów.

— To mi przypomina. . . — zaczął Chapman. — Pod sam koniec wojny wietnamskiej latałem na B-52. Mój pierwszy przydział. Z Guam nad szlak Ho Szi Mina, zawadzenie o wschodnią Kambodżę i z powrotem na Guam. Byłem cholernie nafaszerowanym entuzjazmem szczeniakiem, ale już po dwudziestu pięciu misjach nudziłem się jak mops. Tam i z powrotem trwało dziesięć godzin. Koordynacja z naszej bazy w Chiang Mai. W tej bazie mieliśmy około tysiąca ludzi. Żyli sobie w haszyszowym rajku, na życzenie masowały ich nagutkie Wietnamki, i majstrowali koło komputerów, które odbierały sygnały ze zrzucanych z samolotów czujników sejsmicznych. A te czujniki umiały podobno odróżnić pieszy oddział Wietkongu od zmotoryzowanego. Co za wariackie czasy! — Pułkownik zerknął na dużo młodszego drugiego pilota. — Kiedy osiągnęliśmy wyznaczone współrzędne, komputer uwalniał bomby. B-52 podskakiwał o paręnaście metrów.

Następowała krótka cisza, po której cała załoga chóralnie skandowała: „Choler- nie was przepraszamy!”. — Uśmiechnął się. — Problem jednak polegał na tym, że zanim zdążyliśmy się zjawić, Wietkong znajdował te pieprzone czujniki i przenosił z kilometr w dżunglę. Miliony ton bomb poszły w dżunglę. Przegraliśmy wojnę, bo zgubiła nas technologia.

— O co może chodzić w tej misji? — spytał drugi pilot.

— A kto to wie! Może jakiś generał chce mieć ładne fotografie na ściany swojej willi. — Pułkownik zaklął. — Musiałem odwołać popołudniowego golfa. I niech pan szczerze mi powie, poruczniku, co jest ważniejsze: partia golfa czy robienie głupich zdjęć nad Kambodżą?

Drugi pilot parsknął śmiechem. — Niech pan nie narzeka, pułkowniku. Ja musiałem zrezygnować z lunchu i interesującego popołudnia z parą bardzo interesujących cycków ze szpitala w bazie.

— No cóż, ojczyzna ma pierwszeństwo — odparł z westchnieniem pułkownik. — Zerknął na ekran komputera po lewej. — Za godzinę; radiolatarnia manilska. Będzie cholernie interesująco. Maszyna sama zmieni kurs o trzy stopnie, podczas kiedy my będziemy popijali kawę i patrzyli we własne pęпки... Urodziłem się o pięćdziesiąt lat za późno. Czy wyobraża pan sobie, poruczniku, jakie podnieca- jące było zmaganie się ze sterami *Mustangów* czy *Latających-Fortec* nad Tokio czy Berlinem? To było latanie!

Porucznik uśmiechnął się. Miał zaledwie dwadzieścia trzy lata, ale podobne narzekanie słyszał już ze sto razy.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY TRZECI

Układanie pola minowego zostało zakończone. Holender był z siebie dumny. Zygzakowatą ścieżką sprowadzał swoich dziesięciu ludzi. Szli za nim gęsiego, nie zbaczając nawet o centymetr. Byli coraz bliżej ciężarówki z brezentową budą. Koło ciężarówki stał oficer Czerwonych Khmerów. Wskazując palcem warknął coś, czego Piett de Witt nie zrozumiał, ale jego ludzie zrozumieli. Ustawili się w szeregu i wyprężyli na baczność. Oficer skinął na Pięta, by koło niego stanął. Holender było nieco zaskoczony, ale wykonał polecenie. Pomyślał, że oficer zamierza podziękować ludziom za ich niebezpieczną pracę. I za to, że bez jednego wypadku udało im się w tak krótkim czasie założyć pole minowe o niespotykanym nasyceniu.

Oficer się obrócił i wykrzyczał kolejny rozkaz. Opadł brezent od strony tylnej klapy ciężarówki. Holender ujrzał lufę karabinu maszynowego, która niemal natychmiast zaczęła pluć ogniem. Usłyszał też świst pocisków rozszarpujących jego drużynę. Stał otępiały patrząc, jak ludzie konwulsyjnie się wyginają padając na ziemię. Któryś z nich wyczołgał się spod ciał, ale ruszył w złym kierunku. Pierwsza mina zewnętrznego pierścienia wyrzuciła go wysoko w powietrze. W huk wybuchu wtopiły się przeraźliwe jęki.

Holender obrócił się z dłońmi gotowymi do zaciśnięcia się na gardle oficera. Ale oficer celował z pistoletu w jego czoło.

— To było konieczne — powiedział.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY CZWARTY

Był młody, przystojny, inteligentny i chyba świetnie znał się na swojej robocie.

Nie podobał się Creasy'emu. Może dlatego, że przejawiał nadmierną pewność siebie; a może dlatego, że za wszelką cenę chciał zrobić wrażenie na Susan. Przyczyną mógł być też fakt, że okazał się zwiastunem złych wieści. Przyjechał przed dziesięcioma minutami z ambasady amerykańskiej i przywiózł zdjęcia. Rozłożył je na jadalnym stole w bungalowie i czekał na odpowiednią chwilę, by wyrazić swoją opinię. Ponieważ pracował w CIA, miał na sobie ciemny garnitur, białą koszulę i gładki krawat.

— Potrzeba by batalionu ze wsparciem czołgów i ciężkiej artylerii — oświadczył. — W promieniu dwudziestu kilometrów od świątyni jest co najmniej tysiąc uzbrojonych Czerwonych Khmerów. Kambodżańskie wojska rządowe tam nie zagładają. I nie mają najmniejszego zamiaru tego uczynić. — Wskazał na kolejną fotografię. — To jest miasteczkowa właściwie wieś Tuk Luy. Znajduje się tam dowództwo Czerwonych Khmerów. . .

Creasy słuchał tylko jednym uchem. Wraz z Guidem pilnie studiował fotografie. Jedne pochodziły sprzed paru miesięcy z satelity, inne wykonano przed paroma godzinami z samolotu AWAC z bazy na Guam. Te ostatnie były bardzo czytelne, a ponadto agent CIA przyniósł urządzenie, które, umieszczone nad zdjęciami, pozwalało osiągnąć efekt trójwymiarowości. Łatwo mogli wyodrębnić budynki, pojazdy i ludzi.

Sama świątynia miała wymiary trzydzieści metrów na osiemnaście i wydawała się być w doskonałym stanie. Otaczał ją wysoki mur. Średnica obwodu muru wynosiła sto metrów. Na świątynny podwórzec prowadziła tylko jedna brama. Doskonale odcinali się od niej dwaj strażnicy stojący po wewnętrznej stronie. Wiele z tych zdjęć zrobiono na filmie termoczułym i odbitki mieniły się kalejdoskopem barw.

Agent CIA wyjaśnił: — Mamy tu wyodrębnione gatunki roślin, różne rodzaje ziemi, a nawet minerałów. — Wskazał na jedno zdjęcie. To było zrobione dwa miesiące temu przez satelitę dozorującego cały region. Ciemna czerwień to las.

Jaśniejsza czerwień oznacza pastwiska. Różowy pola ryżowe. Tutaj mam coś bardzo interesującego. — Wziął do ręki fotografię, w którą już od dłuższego czasu wpatrywał się Creasy. — To zrobiono dziś. Wszystkie dzisiejsze zdjęcia zostały wysłane także do Waszyngtonu do dokładnej ekspertyzy. Więc to zdjęcie... Oto świątynia. A to jest ta sama świątynia na zdjęciu sprzed dwóch miesięcy. — Wziął do ręki drugą fotografię. — Widzi pan różnicę?

Widać było wyraźną różnicę. Na fotografii z samolotu AWAC teren wokół świątyni był bladoszary. Na fotografii z satelity czerwony.

— Co to jest? — spytał Creasy.

Młody agent dla większego efektu odczekał kilka sekund. Po tej udratyzowanej pauzie powiedział: — Nasi ludzie w Langley twierdzą, że to pole minowe. Zupełnie niezwykle pole minowe. W Kambodży są jeszcze setki, a nawet tysiące pól kładzionych przez Czerwonych Khmerów, potem przez Wietnamczyków w okresie ich okupacji, no i nowych, zakładanych przez obecny rząd. Ocenia się, że w terenie leży ponad pięć milionów min. Jednakże nigdy żadne pole minowe nie wystąpiło ani na fotografiach satelitarnych, ani na zdjęciach robionych z samolotów dozoru lotniczego. Ten teren wokół świątyni jest po prostu gęsto obsiany minami. To pole minowe musieli zakładać prawdziwi eksperci. I to w ciągu ostatnich dwóch miesięcy...

— Może to amerykańscy MIA — wtrąciła Susan.

— Zupełnie możliwe — mruknął Creasy. — Jake Bentsen był saperem, ale w chwili postrzelenia go mało wyszkolonym. Jednakże mógł wiele się nauczyć w ciągu minionych dwudziestu sześciu lat.

— Wszystko jest możliwe — zgodził się Guido. — Niemniej ciągle chodzi mi po głowie, co powiedział ten tropiący nas w Sajgonie facet. Że białego człowieka, którego widział, nazywano Holendrem. Co ma do roboty Holender w bazie Czerwonych Khmerów?

— Może najemnik — podpowiedział Creasy. — Z wyjątkiem Bośni nie było wiele pracy dla najemników w ciągu ostatniego dziesięciolecia. No i jeszcze Czeczenia... Otarło mi się o uszy, że w tym rejonie i w Birmie jest garstka najemników. Holender, powiadasz? — Podniósł głowę. — Holender! Myśmy tak zawsze nazywali Afrykanerów. Najemników Holendrów można policzyć na palcach jednej ręki, ale Afrykanerów jest sporo.

Guido był wyraźnie podniecony. — I prawie wszystkich znamy. — Zaczął wyliczać: Joey Bock, Renne de Beer, Janik Jarensfeld, Pielt de Witt... wymieniam tych, o których wiem, że są nadal aktywni...

Susan przerwała zwracając się do Creasy'ego:

— Może powinniśmy zrobić to, co zrobił mój szef, kiedy chciał uzyskać informacje o tobie? Skontaktował się z Interpolem w Paryżu, gdzie mają obszerną dokumentację na temat wszystkich operujących na całym świecie najemników. Może to nam coś da? Guido, spisz wszystkie nazwiska, które ty i Creasy sobie

przypominacie. Holenderskich i afrykanerskich najemników. — Wskazała agenta CIA. Pan Jennings przefaksuje je do Interpolu. Z naszego doświadczenia w Departamencie Obrony wiemy, że odpowiedź przychodzi w dwadzieścia cztery godziny.

Creasy skinął na Guido, który natychmiast zabrał się do spisywania nazwisk. Creasy powrócił do studiowania fotografii z polem minowym.

— To pasuje do całości — powiedział. — Ona spodziewa się, że będę chciał przedostać się do świątyni i przygotowała pole minowe. — Zwrócił się do rezydenta CIA: — Macie jakichś agentów w tej okolicy?

— Nie.

— Czy ma ich rządowa armia kambodżańska?

— Nawet jeśli mają, to nam o tym nie powiedzieli. Poza tym byłyby to mało pewne źródła. Mamy człowieka w Battambang, ale to ponad dwieście kilometrów od świątyni. Tajski przedsiębiorca. Niewiele wart. Pobiera miesięczne stypendium i przysyła wiadomości z lokalnej gazety. Jest pewnie także na żołdzie Czerwonych Khmerów.

Susan odeszła od stołu i zabrała się do nalewania kawy do kubków. Rzuciła pytanie przez ramię: — Panie Jennings, ilu macie agentów w całym kraju?

Młody człowiek uśmiechnął się. — Na imię mam Mark. Może pani tak się do mnie zwracać, panno Moore. Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie. Informacja jest tajna.

Podążyła mu kawę i ze słodkim uśmiechem oświadczyła:

— Wystarczy jeden telefon do Waszyngtonu, aby ją odtajnić, Mark. Istnieje prawdopodobieństwo, że w terenie znajduje się trzech naszych MIA. Otrzymał pan polecenie pełnej z nami współpracy. Jeśli wykonam ten telefon, to rozmowę zacznę od stwierdzenia, że nie otrzymuję wystarczającej pomocy ze strony niejakiego Marka Jenningsa. — Gestem dłoni wskazała Creasy'ego i Guido. — Przez ostatnie kilka dni ci panowie ryzykują życiem, usiłując pomóc mojemu departamentowi w odnalezieniu tych MIA. Ryzykują życiem przebywając w Phnom Pehn i wiem, że w ciągu najbliższych dni będą podejmowali jeszcze większe ryzyko, podczas kiedy ty, Mark, będziesz wtulał swoją elegancko odzianą dupę w elegancki fotel w eleganckim gabinecie ambasady. — Podeszła blisko do przedstawiciela CIA i wpiła wzrok w jego oczy. Po paru sekundach cichym głosem zadała pytanie: — Ilu macie w Kambodży agentów?

Odpowiedział natychmiast: — Dziesięciu. Czterech Amerykanów wraz ze mną i sześciu Kambodżan.

Susan cofnęła się o krok, spojrzała na Creasy'ego i oświadczyła: — Jestem pewna, że moje biuro otrzyma zezwolenie na uczestnictwo w naszej misji wszystkich tych agentów, łącznie z obecnym tutaj.

Creasy i Guido spojrzeli po sobie i wybuchnęli śmiechem. Creasy powiedział do Jenningsa: — Bez urazy, Mark, ale nawet gdyby mi pan obiecał kompanię komandosów, tobym odmówił. Nie potrzeba nam kolejnej wpadki, których kilka

już zdarzyło się wam w przeszłości.

Susan dyplomatycznie wycofała się do stolika z kawą. Podała kubki Creasy'emu i Guido, po czym pojednawczo powiedziała do Jenningsa: — Ci panowie mają swoje metody, nieco odmienne od naszych. Oni nie polegają wyłącznie na sile ognia. Sytuacja jest niesłychanie skomplikowana i ma liczne wątki uboczne, których na pierwszy rzut oka nie można nawet podejrzewać. Są to sprawy bardzo tajne i nawet dla ciebie, Mark, muszą takimi pozostać.

Twarz Jenningsa wyrażała głębokie poirytowanie. Patrząc prosto w oczy Creasy'emu powiedział: — Jestem tylko posłańcem, panie Creasy. Ale przebywam w tym kraju od jedenastu miesięcy. Pan przyjechał tu przed paroma dniami. Może nie ma pan wielkiego szacunku dla amerykańskich sił zbrojnych, ale nie jest to powód, aby obrażać ludzi.

Creasy odparł głosem spokojnym, bez cienia urazy. — Bardzo sobie cenię twoją pomoc, Mark... Mam nadzieję, że i mnie wolno zwracać się do ciebie po imieniu... Żywię wielki szacunek dla amerykańskich sił zbrojnych. Byłem w piechocie morskiej, póki mnie nie wyrzucili. Ale istnieje coś, co nazywa się nadmierną pewnością siebie. Armia z bagażem całej technologii, jaką ją w ostatnich latach obarczono, zaczęła być zbyt pewna swoich elektronicznych zabawek. Dlatego też doszło do katastrofy podczas próby uwolnienia zakładników w ambasadzie teherańskiej. Dlatego również doszło do kompromitacji w Mogadiszu, gdy chodziło o pochycenie awanturniczego watażki. I dlatego tutaj doszłoby do tragedii, gdyby armia usiłowała frontalnie natrzeć na świątynię. Uczestniczył pan kiedyś w prawdziwej walce, Mark?

— Nie.

— Zabił pan kiedyś człowieka?

— Nie.

— Ile masz lat, Mark?

— Wczoraj skończyłem trzydzieści sześć.

— Wszystkiego najlepszego. Człowiek, na którego tropie jestem, miał dwadzieścia jeden lat, kiedy został ranny na pograniczu wietnamsko-kambodżańskim. Był już trzy lata w wojsku, a z tych trzech lat jedenaście miesięcy spędził w Wietnamie na pierwszej linii frontu. Był dobrym żołnierzem. Był patriotą. Nie musiał iść do wojska. Zgłosił się na ochotnika. Istnieje prawdopodobieństwo, że żyje i że od dwudziestu sześciu lat jest niewolnikiem tych ludzi. Więc ja bardzo sobie cenię twoją pomoc, Mark... — Creasy wskazał fotografii na stole. — Technologia odgrywa oczywiście ważną rolę. Nadal jest mi potrzebna twoja pomoc, Mark, i nie leżało w moich intencjach umniejszanie twojej roli i pracy czy też obrażanie amerykańskich sił zbrojnych. Ale podczas tej misji muszę polegać na sobie i na mojej ekipie. Być może będę potrzebował dla nich fałszywych dokumentów, paszportów i tak dalej. Na pewno będę potrzebował broni. Zamierzam wyruszyć w ciągu następnych siedemdziesięciu dwóch godzin. Twoja rola będzie bardzo ważna,

kluczowa. Chcę, żebyś ściśle współpracował z Susan i pełnił funkcję szefa bazy operacyjnej. Może ci grozić niebezpieczeństwo, mimo że posiadasz dyplomatyczny paszport. — Creasy lekko się nachylił, głos mu stężał. — Nawet dyplomatę nie chroni nic przed kulami w plecy czy w głowę. Jesteś uzbrojony?

— Nie, sir.

— Kiedy wrócisz do ambasady, weź broń i miej ją przy sobie do zakończenia naszej misji. Zakładam, że potrafisz strzelać?

— Tak jest, sir. Umiem.

— Weźmiesz na siebie odpowiedzialność za bezpieczeństwo Susan.

— Tak jest, sir.

— Czy to konieczne? — spytała Susan.

— Tak — odparł Creasy. — Wiemy o tym, że Connie ma w mieście swoich ludzi. Kiedy natrzemy, oni mogą spróbować porwać cię lub zabić. — Powrócił do stołu i do fotografii świątyni. Po chwili podniósł wzrok ku Guido. — Potrzebny mi będzie spadochron.

Guido skinął głową. — Potrzebne nam będą dwa spadochrony — poprawił.

— Nie — sprzeciwił się Creasy. — Idę sam. Ty sprowadzisz kawalerię, jeśli zajdzie potrzeba.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIĄTY

— Czy szukasz czegoś specjalnego? — spytała przymilnie dziewczyna.

— A co masz do zaofiarowania? — odparł pytaniem Jens.

— Znam różne sposoby, żeby sprawić ci radość — odparła. — Ale to kosztuje dodatkowe sto dolarów. — Zachichotała.

Duńczyk westchnął i skoncentrował myśli na swym kopenhaskim mieszkaniu, kochającej żonie i córce. Od godziny leżał na szerokim łóżu hotelowego pokoju w Bangkoku. Hotel nazywał się „Dusit Trani”. Od godziny masowała go młoda dziewczyna w krótkim białym fartuchu. Czuł, jak spływa z niego znużenie dnia i zmęczenie lotem z Hongkongu. W sąsiednim pokoju Sowa doznawał tej samej przyjemności.

— Dziękuję, ale nie. Jestem żonaty — powiedział.

Dziewczyna wpiła palce w mięśnie jego karku. — No i co z tego? — spytała.

— To, że kocham żonę i nie robię skoków w bok.

— Skoków w bok! — Zaśmiała się. — Jesteś dziwnym człowiekiem — oświadczyła i dała mu lekkiego klapsa w pośladek, sygnalizując, że masaż skończony.

Kiedy dziewczyna wyszła, Jens poszedł do łazienki i wziął bardzo zimny prysznic.

W dwadzieścia minut później zapukał do jego drzwi Sowa. Wydawał się zrełaksowany.

— To miasto bardzo mi się podoba — obwieścił.

— Domyślam się — mruknął Jens. — Dość zabawy, mamy robotę. Dopadłem przez telefon znajomka Duńczyka, który tu pracuje. Spotykamy się z nim za pół godziny. On ma mnie nauczyć, jak się przekupuje wyższego funkcjonariusza tajskiej policji.

Sowa spojrzął z powątpiewaniem. Jens zaczął wyjaśniać:

— My, Duńczycy, zawsze sobie pomagamy w obcych krajach. Ten gość nazywa się Soren Musholm i prowadzi dużą duńską firmę handlową. Mieszka w Bangkoku od dwunastu lat i wie, jak tutaj załatwia się sprawy. Miejscowa policja kom-

pletuje dokumentację na temat każdego cudzoziemca, który tu mieszka na stałe, więc na pewno będzie miała informacje na temat Connie Crum. Jedynym sposobem rzucenia okiem na jej teczkę jest wręczenie pokaznej łapówki. . . Idziemy!

* * *

Spotkanie odbyło się w mrocznym barze przy alei Pat Pong. Sowa nic nie rozumiał z rozmowy, ponieważ Duńczycy z takim zapalem rozmawiali po duńsku, jakby od dziesięciu lat nie mieli okazji posługiwania się ojczystym językiem. Pili także sznapsa i nieustannie życzyli sobie *skali*. Wreszcie Soren Musholm zlitował się nad Sową i przeszedł na angielski, wyjaśniając w tym języku procedurę przekupywania policjantów.

Wręczając Jensowi firmową wizytówkę powiedział:

— Zadzwoń pan do tego człowieka i umów się na spotkanie w jego biurze. Kiedy pan do niego przyjdzie, powie pan, że jest prywatnym detektywem i że poszukuje pan dowodów w sprawie rozwodowej. Wspomni pan, że chodzi o tę trzecią osobę, która jest powodem rozkładu małżeństwa.

— Znajome mi sprawy — mruknął Jens.

— Jestem pewien, że jest pan w tej dziedzinie oblatany i że świetnie pan sobie poradzi. Poda mu pan nazwisko kobiety i spyta, czy jest coś w aktach na jej temat. Ponieważ on jest szefem wydziału rejestracji cudzoziemców, będzie mógł natychmiast sprawdzić w komputerze, czy ma taką osobę w rejestrze. Odpowie z pewnością, że ma, ale że nie może panu udostępnić informacji. Wtedy pan dyskretnie upuści na ziemię portfel i wykrzyknie: „O Boże, upuściłem portfel z dwoma tysiącami dolarów!”.

— Z dwoma tysiącami?!

— Taka jest aktualnie taryfa. To już nie te dawne czasy, kiedy za pięć dolarów można było uzyskać audiencję u króla. Miasto rozwija się w oszałamiającym tempie. Krążą olbrzymie pieniądze. Policja jest nędznie opłacana. Osiemdziesiąt procent ich dochodów pochodzi z upuszczonych portfeli. Niech pan nawet nie próbuje za mniej. Przed dwoma tygodniami poszedłem na spotkanie z ministrem w trudnej sprawie importowej licencji. Upuściłem portfel i wykrzyknąłem: „O Boże, upuściłem portfel z dziesięcioma tysiącami dolarów!”. Minister się uśmiechnął i odpowiedział: „Ach nie, panie Musholm, upuścił pan portfel z dwudziestoma tysiącami”. Musiałem przyjść po raz drugi z bardziej wypchanym portfelem. Jeśli chce pan uzyskać informacje na temat tej kobiety, musi pan zapłacić dwa tysiące. Niech pan oczywiście nie wspomina mego nazwiska, i niech pan idzie sam. Tak nakazuje etykieta. Podobne transakcje dokonuje się w cztery oczy. Napełnił trzy

już puste kieliszki i spytał: — Co się, do cholery, dzieje z naszą reprezentacją piłki nożnej?

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY SZÓSTY

Guido i Creasy w kąpielówkach siedzieli pod parasolem na brzegu basenu. Popijali piwo i sprzeczali się.

Susan pojechała z Jenningsem do ambasady, aby dopilnować wysłania faksu do Interpolu.

— Myśl logicznie — tłumaczył Guido. — Connie Crum wie o tobie cholernie dużo. Musi dobrze znać twoje możliwości. Przewidywała, że trafisz śladami do Sajgonu. Była pewna, że zorientujesz się, iż jesteś śledzony. Zakładała, że przechwycisz tropiciela i wydobędziesz od niego informacje, jakimi specjalnie go nafaszerowała. Spodziewała się, że znajdziesz faks, do którego tropiciel wysyłał raporty i pójdziesz śladem odbiorcy raportów do biura firmy. Musiała założyć, że znajdziesz eksperta i ustalisz, gdzie znajduje się świątynia. Teraz my możemy założyć, iż ona wie, że w Legii Cudzoziemskiej byłeś spadochroniarzem. Na pewno wygrzebała historię o tym, jak w nocy wylądowałeś ze spadochronem na Sycylii w obrębie murów posiadłości mafijnego capo, zabiłeś go i wystrzelałeś jego ludzi. Zaplanowała całą twoją podróż. W niezrozumiały dla mnie sposób zajrzała ci pod czaszkę. Bardzo mnie to martwi. — Pochylił się i powiedział z naciskiem: — Zrozum, że ona kazała ułożyć pole minowe nie po to, by ci uniemożliwić dotarcie do świątyni, ale jej opuszczenie! Spodziewa się twojej wizyty w najbliższym czasie. I będzie na ciebie czekała.

Creasy w milczeniu dokończył piwo i wskoczył do basenu. Na Gozo codziennie przepływał pięćdziesiąt długości basenu. Teraz było mu tego brak.

Guido cierpliwie czekał. Wiedział dobrze, że Creasy pływając intensywnie myśli. Wiedział też, że nie pozwoli Creasy'emu skoczyć ze spadochronem w obręb świątyni. W każdym razie nie samemu.

Po pół godzinie Creasy wyszedł z basenu i powrócił do stolika. Biorąc z krzesła ręcznik powiedział: — Chyba masz rację. Ta kobieta mnie niepokoi. Chyba spakuję rzeczy i wrócę do domu.

Włoch uśmiechnął się. — Nie kpij sobie ze mnie. Musimy opracować strategię dotarcia do świątyni i jej bezpiecznego opuszczenia. Właściwie to twoja specjal-

ność, opracowywanie strategii. Mówię ci jednak stanowczo, że do świątyni nie skoczysz ze spadochronem. Maxie i René przylatują dziś wieczorem do Bangko-ku i będą czekali na wiadomość. Jens i Sowa już tam są.

— Jensa nie będziemy w to wplątywać. To myśliciel, a nie żołnierz — powiedział Creasy. — Ale Sowa nam się przyda. Każdy, kto przetrwał w marsylskich zaułkach, potrafi zadbać o siebie na polu walki. Nasza armia będzie więc miała pięciu ludzi. Tak czy inaczej, nie możemy robić żadnych planów, póki nie otrzymamy informacji od Jensa. A właściwie do jutrzejszego popołudnia, kiedy to Susan ma otrzymać tajemniczą wiadomość.

— Susan ma charakter. — Guido był pełen podziwu. — Potrafiła ustawić tego Jenningsa. I to tak, że teraz pójdzie za nią w ogień.

— Susan ma charakter i styl — zgodził się Creasy, a widząc, że właśnie zbliża się przedmiot ich rozmowy, spytał: — Nie pieką cię uszy? Właśnie o tobie mówiliśmy.

Susan usiadła i natychmiast pojawił się koło niej kelner. — Poproszę o Co-ca-Colę i połowę waszej porcji owocowej sałatki. — Potem zwróciła się do Creasy'ego: — Co o mnie mówiliście?

— To i owo — odparł. — Stwierdziliśmy, że nie jesteś całkowicie bezużyteczna.

Przyjęła kpinę kornym pochyleniem głowy. — Miło mi to słyszeć. Tak się właśnie składa, że mogę to potwierdzić. Przynoszę interesującą informację. — Sięgnęła do swej wielkiej torby, wyciągnęła rulonik faksowego papieru i podała Creasy'emu. — Odpowiedź przyszła po godzinie. Mój uroczy chłopaczyna Jennings uruchomił wszystkie mechanizmy.

Przez dwie minuty Creasy czytał, potem spojrział wymownie na Guido. — Piett de Witt! Był jednym z czterech najemników, których przed rokiem zakontraktowała firma w Bangkoku. Firma ta jest znanym parawanem Czerwonych Khmerów.

— De Witt... — mruknął Guido. — Największy sukinsyn, jakiego znam. Świetny saper. Kim są pozostali?

Creasy przeczytał z faksu: — Denderfield, Brad Shore i Gagnier,

— Znacie ich wszystkich? — spytała Susan.

— Tak — odpowiedział Creasy. — Pierwsi dwaj to Brytyjczycy, służyli pod Mike'em Hoare'em w Kongo. Trzeci to Francuz od Denarda. Wszyscy czterej to dno naszego zawodu. Szumowiny. Najgorszy jest chyba Piett de Witt. Afrykaner, spędził pięć lat w południowoafrykańskiej armii, w jednostkach dywersji. Nawet tam go nie mogli znieść i wykopsali. Ale wzięła go zaraz tak zwana policja bezpieczeństwa wewnętrznego, osławiony BOSS. Był ich płatnym mordercą. Na rozkaz zabijał działaczy politycznych w Republice Południowej Afryki i w Mozambiku. — Creasy roześmiał się sucho. — Przyłapano go na fałszowaniu przedstawianych rachunków, co kłóciło się z moralnością jego przełożonych, tych samych, którzy

sankcjonowali morderstwa. Wyrzucono go. Skończył jako najemnik w Afryce Zachodniej, potem przeniósł się do Europy. Krążyły plotki, że wykonał parę robótek na zlecenie Irlandzkiej Armii Republikańskiej. Gdzieś poza Wyspami Brytyjskimi. Raz się z nim zderzyłem. Prawie go zatłukłem na śmierć. Żałuję, że tego nie zrobiłem. Hm, Afrykaner, stąd wynika, że to właśnie jest nasz Holender. I to on najprawdopodobniej obsiał minami teren wokół świątyni.

— Czy wiemy, gdzie teraz przebywa?

— Raport Interpolu stwierdza, że przed jedenastoma miesiącami zniknął z Bangkoku. Nie ma śladów opuszczenia przez niego kraju. Założę się, że teraz przebywa w Tuk Luy. A jeśli tam jest, to się nie spodziewa, że zamierzam go odwiedzić. Bo gdyby wiedział, to umknąłby, gdzie pieprz rośnie.

— Dlaczego? — spytała Susan.

— Bo kiedy go poharatałem, to mu szepnąłem, że jeśli kiedykolwiek znów go zobaczę, to go zabiję. I on w to wierzy. Nie wątpi w to, podobnie jak nie wątpi, że po nocy następuje dzień.

Powrócił kelner z Coca-Cola i sałatką owocową.

— Więc jakie są dalsze plany? — spytała Susan.

— Czekamy na wiadomości od Jensa i na tę wiadomość, którą ty masz dostać jutro po południu.

— Jeśli w ogóle takowa przyjdzie. Sądzisz, że jednak chcą mi coś zakomunikować?

— Kto wie? Moim zdaniem przybyliśmy tu zbyt szybko. Connie Crum nie była jeszcze odpowiednio przygotowana. Wątpię, abyś otrzymała sensacyjną informację, ale musimy czekać, a czekając powinniśmy poważnie się zastanowić, jak dotrzeć do Tuk Luy i co zrobić, kiedy tam już dotrzemy.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY SIÓDMY

— Czy wie pan, jak pracować na komputerze IBM w programie Word Perfect?

— Oczywiście — odparł Jens i położył na biurku teczkę, w której miał notebooka IBM. — Korzystam z tego samego programu.

Policjant wstał zza biurka. — Muszę pana przeprosić, panie Jensen. Idę do toalety, a potem wpadnę do kafeterii na kawę. Nie będzie mnie co najmniej piętnaście minut. Nikt nie zakłóci tu pańskiego spokoju. — Idąc w kierunku drzwi dorzucił: — Kod wejścia brzmi CRUM/KHMER. Plik 25. Zakładam, że ma pan w teczce zapasową dyskietkę. A portfel niech sobie leży na ziemi. — Zatrzymał się z ręką na klamce. — Piętnaście minut. Mam nadzieję, że znajdzie pan wyjście. Gdyby pan jeszcze czegoś potrzebował, proszę bez wahania dzwonić. Jestem zawsze do usług.

— Będę o tym pamiętał — odparł Duńczyk.

* * *

Wszystko poszło dokładnie tak, jak przewidywał Soren Musholm. Tani plastikowy portfel, który Jens kupił po wyjściu z baru, leżał teraz u jego stóp. Zawierał dwadzieścia nowiutkich studolarowych banknotów. Jens wstał, obszedł biurko i usiadł za klawiaturą komputera. Był to nowy model z kolorowym monitorem. W ciągu kilku sekund znalazł odpowiedni plik. Liczba w prawym górnym rogu informowała o ilości stron. Sto dwadzieścia dwie! Spojrzał na zegarek i przez następne dziesięć minut przeleciał pierwsze piętnaście. Otworzył teczkę, wyjął czystą dyskietkę, włożył do komputera i skopiował cały plik. Dokładnie po czterech minutach opuścił gabinet. Przy drzwiach; obrócił się i spojrzał na portfel. Informacje, które uzyskał, warte były każdego dolara.

W recepcji hotelowej czekała na niego wiadomość od Sowy, aby po powrocie natychmiast poszedł do pokoju.

Sowa otworzył drzwi, zasłuchany w jakiejś symfonii. Widząc Jensa, wyłączył walkmana i ściągnął słuchawki na szyję. — Jak poszło? — spytał.

— Doskonale. Upuściłem portfel i otrzymałem prawo pobawienia się na jego komputerze. — Poklepał teczkę. — Mam tu sto dwadzieścia dwie strony z wszystkim tym, co tajńska policja wie o Connie Crum... Bardzo niebezpieczna dama. Muszę jak najszybciej przekazać te informacje Creasy'emu.

Sowa wyjął z minibarku dwie butelki piwa Tiger. — Niestety, Carlsberga nie ma — powiedział, zdejmując kapsle. — Creasy dzwonił. Dziś po południu przylatują tu Maxie i René. Maxie ma rezerwację w hotelu „Wizord”, René w „Sheratonie”. Tak zrobiłem, bo sobie pomyślałem, że powinniśmy pozostawać rozproszeni. Zostawiłem im wiadomość na lotnisku. Creasy powiedział także, że ma informacje dotyczące ostatecznego celu wędrówki i że sprawa jest bardzo skomplikowana. Pytał mnie, jak ci idzie. Obiecałem mu, że jak najszybciej się z nim skomunikujesz. Dał mi nazwisko i numer telefonu faceta w ambasadzie amerykańskiej w Phnom Penh, który w dyskretny i bezpieczny sposób przekaże każdą wiadomość.

— Doskonale. Łącz się z nim — polecił Jens.

Pół butelki piwa i w dwie minuty później Jens rozmawiał z Markiem Jenningsem: — Ma pan przy biurku komputer?... Doskonale. Jaki?... Dobrze. Ma pan na nim Word Perfecta? Dobrze. Niech mi pan da numer pliku i kod dostępu, a wyślę panu cały pakiet przez modem. Proszę do mnie zadzwonić z potwierdzeniem bezbłędnego odbioru. Proszę zrobić dwie kopie i bezzwłocznie doręczyć je osobiście Creasy'emu. — Podał Jenningsowi numer hotelowego telefonu i numer pokoju, po czym odwiesił słuchawkę i zabrał się do pracy.

Sowa patrzył na niego z podziwem, gdyż sam był w dziedzinie komputerów absolutnym ignorantem. Duńczyk w dwie minuty przygotował swojego noteboka, podłączył modem do linii, wsunął dyskietkę i wystukał numer oraz kod dostępu.

— Zwariowany świat — mruknął Sowa. — Pamiętam czasy, kiedy granicyło z cudem uzyskanie telefonicznego połączenia jednego przedmieścia Marsylii z drugim.

— Nie jestem wcale tym zdziwiony — odparł Duńczyk. — Jedyne, co Francuzi umieją dobrze robić, to przyprawiać żabie udka i jeździć na rowerze.

— *Mon Cul!* — burknął niegrzecznie Sowa i zaraz podniósł szklanę, by złągodzić obrazę.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY ÓSMY

Creasy i Guido siedzieli zagłębieni w lekturze wydruków przyniesionych do hotelu przez Marka Jenningsa. Przeczytane strony Creasy przekazywał Susan, a Guido Jenningsowi.

— Nawet nie zdążyłem do tych materiałów zerknąć — tłumaczył się rezydent CIA. — Zrobiłem kopie i natychmiast tu z nimi przyleciałem.

Creasy skończył pierwszy. Wstał i wyszedł do ogrodu, gdzie po dziesięciu minutach dołączył do niego Guido.

— Wrodziła się w tatusia — mruknął ponuro Creasy. — Do cna przeżarta złem. A przy tym wysoce inteligentna. Sorbona za głupotę nie daje dyplomów z wyróżnieniem.

— Na wskroś zepsuta, nieprawdopodobnie przebiegła i piękna. Co za wybuchowa kombinacja. . . — zauważył Guido. — Jestem tylko zdziwiony, skąd tajaska policja tyle o niej wie.

— Nie bądź zdziwiony — odparł Creasy. — Od chwili, kiedy na scenie pojawili się Czerwoni Khmerowie, istnieją ściśle powiązania między nimi a pewnymi sektorami biznesu. Tajaska policja ma z pewnością informatorów w łonie Czerwonych Khmerów. Zarabia się wielkie pieniądze na imporcie drewna i szlachetnych kamieni oraz na eksporcie broni. Pokażne sumy trafiły do kieszeni tajskich generałów i polityków. Te dokumenty jasno wskazują, że Connie Crum przewodzi Czerwonym Khmerom w Górach Kardamonowych. Ocenia się, że ma pod swoim dowództwem co najmniej dwa tysiące żołnierzy, i że w ciągu minionych paru lat zlikwidowała pola minowe w tym rejonie. Może nie wszystkie, ale większość. Dzięki materiałom policyjnym dowiedzieliśmy się także, że jej wojsko jest głównie zajęte osłanianiem dostępu do gór, które są zamieszkałe wyłącznie przez nielicznych miejscowych chłopów w paru izolowanych, mało dostępnych wioskach. Nie wiem, po co otacza góry żołnierzami.

Dołączyli do nich Susan i Jennings.

— Czy po zapoznaniu się z tym materiałem zamierzasz działać dalej? — zapytała Susan.

— Tak — odparł Creasy. — Jest tylko pytanie, w jaki sposób.

— Myślę, że w świetle otrzymanych dokumentów rząd kambodżański byłby skłonny zaryzykować natarcie z powietrza na te góry — wtrącił Jennings. — Regularne oddziały mogłyby lądować wewnątrz kontrolowanego przez jej ludzi obszaru. . .

— Nie mają do tego ani przygotowania, ani środków — odparł Creasy. — Kambodża nie ma ani jednego batalionu desantowego. Najwyżej mogliby przewieźć helikopterami kilkuset żołnierzy. . . A to nie wystarczy.

Jennings wzruszył ramionami. — Natomiast pan i kilku pańskich przyjaciół wystarczy?

— My podeszlibyśmy do tego zupełnie inaczej — wyjaśnił Creasy. — Dokonalibyśmy szybkiej penetracji nocą. Znamy się doskonale i wielokrotnie uczestniczyliśmy we wspólnych operacjach. Jesteśmy zgrani. Czerwoni Khmerowie to żołnierze-chłopi z podstawowym wykształceniem. — Wrócił do bungalowu i rozłożył na stole mapę. Pozostali podążyli za nim. Wskazał obszar, na którym znajdowała się świątynia. — Czterdzieści pięć kilometrów od tajskiej granicy. — Obrócił się do Jenningsa. — Zmieniłem podejście do sprawy i zmieniłem plany. Connie Crum jakby odczytywała moje myśli. Zakłada teraz, że któreś z najbliższych nocy skoczę ze spadochronem w obręb murów świątyni. Z policyjnych materiałów tajskich wynika, że Connie Crum jest mocno zakotwiczona w Bangkoku, posiada tam kilka firm i ponad stu pracowników. Chcę, żeby uwierzyła, że zrobię dokładnie to, czego ona się po mnie spodziewa. W tym celu potrzebna mi jest pańska pomoc.

— Co będzie panu potrzebne?

— Przede wszystkim informacje. W okolicach Bangkoku jest co najmniej jeden aeroklub. A pewno i więcej. Proszę się dowiedzieć, jakim sprzętem ów aeroklub czy aerokluby dysponują i czy czarterują swoje maszyny. Poza tym chcę wiedzieć, czy w Bangkoku jest sklep sprzedający sportowe spadochrony. Wie pan, o jakich mówię? Nazywają je skrzydłami.

— Jeśli nawet sklepu nie ma, to mogę załatwić przysłanie takich spadochronów — odparł Jennings.

Creasy pokręcił głową. — Nie, potrzebny mi jest raczej sklep. Udajemy się jutro do Bangkoku. Guido i ja. Reszta moich przyjaciół już tam jest. Będziemy z pewnością śledzeni przez ludzi Connie Crum. Nasze hotelowe telefony będą bez wątpienia na podsłuchu. Powinniśmy rzucać się w oczy. Connie Crum powinna się dowiedzieć, że na konkretny dzień wynajęliśmy samolot i że kupujemy spadochrony. Czego jej nie wolno wiedzieć, to tego, że kupujemy dwa Land Rovery lub ich japońskie odpowiedniki i różną broń. — Wskazał palcem na mapę. — Ona i jej ludzie będą spoglądali w nocne niebo, podczas kiedy my samochodami przekroczymy tajską granicę.

— A wiadomość, którą ma dostać Susan w czwartek po południu? — spytał

Guido.

Creasy wzruszył ramionami. — Nie ma i nie będzie żadnej wiadomości. Connie Crum po prostu chciała nas opóźnić.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

— Zawrzemy umowę — powiedziała Connie.

— Jakiego rodzaju umowę? — spytał de Witt.

Siedzieli na kamiennej posadzce. Najemnik miał lewy przegub przykuty kajdankami do żelaznego pierścienia osadzonego w murze. Connie, w eleganckich dżinsach i jedwabnej kremowej bluzce, siedziała za stołem i popijała schłodzone białe wino. Za nią dwie czarno odziane strażniczki stały nieruchomo, niby kamienne posagi. Z ich pasów zwisały pistolety TT.

Connie upiła mały łyżeczek i powiedziała: — Ofiaruję ci twoje życie w zamian za poradę.

W jego śmiechu nie było żadnej wesołości. — Ale mi umowa! Udzielę wam porady, a potem i tak mnie zabijecie.

— Nie! — Zaprzeczyła energicznym ruchem głowy. — Za kilka minut nawet cię uwolnię z kajdanów. Będiesz mógł wziąć prysznic i iść odwiedzić swoją przyjaciółkę. A za kilka dni zorganizuję przerzucenie cię do Tajlandii wraz z szafirami.

Myślał nad tym przez długą chwilę i wreszcie zdał sobie sprawę, że nie ma żadnego wyboru. — Słucham. O jaką poradę chodzi? — spytał.

— Poradę na temat człowieka, którego nienawidzisz. Nazywa się Creasy.

— Creasy?! — Aż podskoczyła mu głowa.

— Tak. Zamierza mnie za parę dni odwiedzić.

Zaśmiała się, widząc wyraźny strach na twarzy de Witt. — Nic się nie martw, Holendrze. On nie wie, że tu jesteś. Przybędzie z powietrza, najprawdopodobniej ze swym przyjacielem, Guido Aurello.

Holender zaczął jaśniej myśleć. — Z powietrza? Przecież tu nie ma żadnego lądowiska.

— Creasy nie potrzebuje lądowiska. Zamierza przylecieć w nocy i skoczyć ze spadochronem w sam środek twojego pola minowego, tuż pod murem świątyni. I już nigdy tego miejsca nie opuści. Będę na niego czekała z moimi ludźmi.

— A po cóż Creasy miałby tu przylatywać?

— Ponieważ poszukuje Amerykanina, Jake'a Bentsena, z którym przed laty się przyjaźnił. Ale Bentsen przed trzema laty zmarł. Creasy o tym nie wie. Myśli, że Jake może przebywać w tej świątyni. — Uśmiechnęła się do własnych myśli. — Creasy z tym samym zapalem dba o przyjaciół, co zabija wrogów... Nie jesteś jego przyjacielem, prawda, Piett?

Holender potrząsnął głową. — Nie. I jeśli mnie znajdzie, to zabije.

Wymanikiurowanymi palcami pogłaskała ramię de Witta. — Nie zabije cię, Piett! On jest moim wrogiem. Ja go zabiję.

— Dlaczego chcesz go zabić?

— Ponieważ zabił mojego ojca. Siedemnaście lat czekałam na tę chwilę. Długo to planowałam i wydałam furę pieniędzy. Każdego poranka, gdy się budzę, i każdego wieczoru, gdy kładę się spać, myślę o tej chwili, kiedy wreszcie dopadnę Creasy'ego. Od lat o tym myślę. Byłam siedemnastolatka, kiedy widziałam, jak on zabijał ojca. Mam to przed oczami: jeden strzał w głowę. Z pistoletu z tłumikiem. I potem płomienie. Patrzyłam na to przez okno i potem uciekłam. Creasy odszedł spokojnie, jakby zabił psa czy kota. Tej nocy złożyłam ślubowanie, że któregoś dnia zabiję go w ten sam sposób. Zbliży się chwila spełnienia tej obietnicy. Wszystko jest przygotowane. Creasy nie wie czego oczekiwać. Znam dokładnie jego sposób myślenia. Był spadochroniarzem, podobnie jak jego przyjaciel, Guido. Obaj lubią posługiwać się spadochronami. Jest to ich stały sposób penetrowania trudno dostępnych miejsc. Tym razem spenetrować będzie mógł, ale nigdy nie wydobędzie się z pułapki.

— Więc w czym problem? O jaką radę chodzi?

— Jesteś najemnikiem. W przeszłości pracowałeś z Creasym. Jak on będzie uzbrojony?

Holender krótko się zastanawiał. — Będzie miał pistolet maszynowy *Uzi*, to jego ulubiona broń. Będzie miał granaty, i to sporo, obronne i być może fosforowe. A także pistolet i nóż. I jeszcze coś znacznie groźniejszego...

— A mianowicie?

Oczy Holendra zamigotały wspomnieniem. — On nie myśli, kiedy walczy. Działa tylko instynkt. W życiu czegoś podobnego nie widziałem. Jako chłopiec złapałem w Południowej Afryce cyweta. Zabijał kury na fermie mojego ojca. Założyłem wnyki i cywet się złapał. Zakłada się takie wnyki na chytrą zwierzynę, i groźną. Przygina się do ziemi gałąź młodego drzewa, unieruchamia koniec wbijając w ziemię gruby drut, zgięty w literę U, i na końcu gałęzi umocowuje się pętlę. Kiedy drapieznik stanie na gałęzi, wyswobadza ją, pętla zaciska się na jego nodze. Więc kiedy złapałem tego cyweta, zatańczył w powietrzu zwisając na jednej nodze. Miałam wtedy czternaście lat, ale byłem uzbrojony w dubeltówkę. Cywet jest najgroźniejszym drapieznikiem Afryki, i naprawdę czegoś podobnego nigdy nie widziałem. Wisiał na jednej nodze, ale użyłem sześciu naboń, żeby go wreszcie trafić, i dalszych czterech, żeby wykończyć. Nigdy nie zapomnę jego

oczu. Pełne nienawiści. I chociaż nie było obawy, że pętla puści, prawie robiłem w majtki. Nigdy potem nie widziałem podobnego ładunku nienawiści w niczyich oczach, póki po wielu latach nie trafiłem na Creasy'ego i nie musiałem z nim się bić. Niestety, nie miałem wtedy dubeltówki, a on nie zwisał z nogą w pętli. Nieważne, ilu na niego będzie czatowało ludzi i z jaką bronią, radzę zachować wielką ostrożność.

Connie przez cały czas się uśmiechała. Uśmiechało się całe jej ciało. Myślami była daleko, ale oczy miała wpatrzone w Holendra. Przeszły go ciarki. Patrzył na cyweta. Na drapieżnika, który nigdy nie uwalnia ofiary.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY

Mark Jennings sprawiał wrażenie bezpiecznego szczeniaka, który wreszcie znalazł dom. Był cały w uśmiechach i kipiał energią.

Jego oddanie Susan było aż zenujące. Wchłaniał każde jej słowo i akceptował bez mrugnienia każdą sugestię. Podczas jednej z jego krótkich nieobecności, gdy wyszedł, by gdzieś zadzwonić, Creasy uczynił uwagę: — Trzymasz go na psychicznej smyczy.

— I wcale mnie to nie cieszy — odparła Susan.

— Ale niech cię to nie denerwuje — poradził Creasy. — Nie każda kobieta może poszczycić się swoim własnym agentem CIA, tańczącym na jej każde skinienie. Za pomocą środków, jakimi dysponuje, mógłby prawdopodobnie obrabować lokalny bank emisyjny i obsypać cię złotem oraz klejnotami.

— Nie potrzebuję złota ani klejnotów. Poza tym podejrzewam, że lada chwila zaczniesz się do mnie zalecać.

Creasy wzruszył ramionami. — Żaden problem. Zagroź mu oskarżeniem o seksualne molestowanie. Po ostatnich wyrokach amerykańskich sądów każdy pełnokrwisty Amerykanin błędnie słysząc te dwa słowa. Ale powstrzymaj się z pogroźkami, póki nie wykonamy misji. Jennings okazał się bardzo przydatny i ma nawet twórcze pomysły. Jego propozycja, by spróbować zaangażować jako przewodnika przekabaczonego żołnierza Czerwonych Khmerów, warta jest medalu. W ubiegłych tygodniach kilkuset ich zdezerterowało oddając się w ręce władz kambodżańskich. Jennings ma kilku wybrać. Ty ich przesłuchasz i wskażesz najlepszego.

Siedzieli w patio przed bungalowem. Guido poszedł do hotelowego centrum obsługi biznesowej, żeby wysłać faks do swojego *pensione* w Neapolu z zapytaniem, czy w czasie jego obecności hotel się nie spalił lub czy jego zastępca, Pietro, nie zamienił go w dom publiczny.

Jennings powrócił, przysunął sobie krzesło i powiedział do Susan: — Wszystko załatwione. Mój człowiek przy sztabie armii kambodżańskiej wybrał pięciu byłych żołnierzy Czerwonych Khmerów, którzy zdezerterowali w ciągu ostatnich trzech tygodni. Wszyscy są z regionu, który nas interesuje. Z Gór Kardamonowych. Możesz zacząć ich przesłuchiwać już za pół godziny w szefostwie wywia-

du. Zawiozę cię tam. Pamiętaj, żeby nie mówić, o co chodzi, o jaką misję, w obecności kambodżańskich oficerów. — Z kolei zwrócił się do Creasy'ego: — Mógłbym wam załatwić przelot do Bangkoku amerykańskim samolotem wojskowym oddanym do dyspozycji misji Narodów Zjednoczonych. Nikt by nie wiedział, że opuściliście Phnom Pehn albo że przylecieliście do Bangkoku.

— Dziękuję, Mark, ale nie. Polecimy z Guidem samolotem regularnych linii. Chcemy, żeby Connie Crum dowiedziała się, że opuściliśmy Phnom Penh, i chcę, żeby za nami łążono w Bangkoku. . . W każdym razie w pierwszej fazie. Byłoby jednak dobrze, gdybyś mógł przesmuglować do Bangkoku Susan i ewentualnie tego byłego Czerwonego Khmera, jeśli się na niego zdecydujemy.

— No i mnie!

— Co i ciebie?

— Siebie też muszę w ten sam sposób niepostrzeżenie przemycić. Z tajskiego raportu policyjnego wynika, że Connie Crum dysponuje w Bangkoku potężną organizacją. Jeśli ma tam lecieć Susan, to potrzebna jest jej ochrona w czasie, kiedy wy będziecie w Kambodży. — Poklepał się pod pachą. — Mam tu mojego *Colta 1911*. I będzie ze mną, póki Susan bezpiecznie nie odleci z Południowo-Wschodniej Azji.

Creasy zerknął na Susan, która usiłowała zachować powagę.

— Zgoda — powiedział wreszcie. — Wszyscy będziemy czuli się lepiej wiedząc, że trzymasz rękę na pulsie. Będziesz też mógł się zająć odebraniem naszej broni i obu pojazdów z napędem na cztery koła.

— Te sprawy są już w trakcie załatwiania — odparł Jennings. — Wszystko ma być gotowe jutro w południe. — Spojrzał na zegarek i powiedział do Susan: — Na nas czas. Tych pięciu niedługo sprowadzą.

Wszyscy wstali. Creasy zwrócił się do Susan: — Jeśli już mamy brać Khmera, to postaraj się o takiego, który ma bardzo poważny żal do swych byłych kolegów lub przełożonych. Coś, co będzie lepszą motywacją niż pieniądze.

— Postaram się — odparła. — A skoro mowa o pieniądzach. Ile mam mu zaofiarować?

— Pięćset dolarów.

— Tylko tyle?

— Tylko tyle. Jeśli mu zaproponujesz więcej, pomyśli, że to jakaś samobójcza wyprawa. A kto wie, czy nie jest. Zwłaszcza dla niego. Jeśli uda mu się wrócić. . . Jeśli nam wszystkim uda się wrócić, to damy mu premię.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY PIERWSZY

Jak na Khmera był wysoki. Miał regularne rysy i inteligentne spojrzenie. Susan poczuła do niego sympatię, której nie żywiła do poprzednich czterech. Tamci byli po prostu pionkami na szybko zmieniającej się kambodżańskiej scenie. Ten przedstawiał zupełnie inny kaliber. Wyglądał na około czterdzieści pięć lat i emanował z niego jakiś wewnętrzny spokój, sugerujący jednocześnie czujność. Gdy usiadł, wypowiedział grzecznie formułkę powitania, a po paru jej zdaniach pogratulował dobrej znajomości khmerskiego. Susan spojrzała w jego dokumenty: nazywał się Nol Pol i dopiero przed tygodniem oddał się w ręce kambodżańskiej armii rządowej. Po lewej ręce, nieco z tyłu, siedział Mark Jennings. Dopiero od niedawna uczył się khmerskiego i nie mógł jeszcze brać udziału w rozmowie.

— Dlaczego zdezerterowałaś? — spytała.

— Sprawy rodzinne.

— A mianowicie?

Nol Pol westchnął i z kolei on spytał: — Zna pani historię Kambodży ostatnich parudziesięciu lat?

— Nie jestem historykiem, ale ogólnie znam.

— Więc wie pani, że u podstaw powstania organizacji Czerwonych Khmerów tkwiły wielkie ideały. Ideały czystego komunizmu. Te ideały kazały mi przyłączyć się do Czerwonych Khmerów wbrew życzeniom reszty rodziny, zwłaszcza mojego starszego brata. W tamtych czasach wiele rodzin zostało w ten sposób rozbitych. Przez wiele lat nosiłem w sercu te ideały. Przetrwały we mnie mimo bratobójczych mordów. Ale ideały zaczęły gasnąć wtedy, gdy Czerwoni Khmerowie, wbrew wynikom wyborów, postanowili dalej się bić. Ideały umarły we mnie, gdy wśród jeńców Czerwonych Khmerów rozpoznałem starszego brata. Nawet nie zdążyłem z nim porozmawiać. Było za późno. Bezradnie patrzyłem, jak ta kobieta rozkazała naszym żołnierzom zapędzić więźniów, w tym mojego brata, na pole minowe, by w ten sposób oczyścić przejsie. . .

Susan poczuła na całym ciele gęsią skórę. Zerknęła na Jenningsa, ale widać było, że Amerykanin nie rozumie słów dezertera. Ten ciągnął głosem, który

z trudem przychodziło mu opanować:

— Jeńców mogło być ze stu. Z początku nie zdawałem sobie sprawy z tego, co się dzieje. Dopiero kiedy usłyszałem wybuchy i zobaczyłem wylatujące w powietrze ciała... Widziałem, jak ginie mój brat...

— Nie usiłowałeś nic zrobić?

— A co mógłbym zrobić? Gdyby się dowiedzieli, że mam brata w rządowej armii, mnie też wysłaliby na to pole minowe.

— Kim była ta kobieta, która wydała rozkaz?

— Lokalnym dowódcą Czerwonych Khmerów.

— Jak się nazywa?

— W naszym języku So Hoan. Ma przydomek Talian, co oznacza bardzo jadowitego węża. Obcy nazywają te węże kobrami.

— Czy używa jeszcze innego nazwiska?

— Tak. Connie Crum.

Susan wyczuła, że na dźwięk tych dwóch słów siedzący obok Jennings jakby się sprężył. Dłonią nakazała mu milczenie.

— Jest w połowie Khmerką, w połowie białą...

— To ona kazała zabić twego brata?

— Jego i wielu innych. Sianie śmierci przychodzi jej łatwiej niż obrywanie liści z drzew. W czasie minionych lat widziałem wiele zła. Ale Talian bije wszystkich na głowę.

Susan ponownie spojrzała w dokumenty dezertera.

— Jesteś z miasta Pursat?

— Tak.

— Znasz dobrze Góry Kardamonowe?

— Oczywiście.

— Znasz miasteczko Tuk Luy?

— Kwaterowaliśmy tam przez trzy lata.

Susan wzięła głęboki oddech i zadała kluczowe pytanie: — Co byś zrobił, gdybyś miał okazję zabicia lub pochycenia So Hoan?

Khmer pochylił się nad stołem. — Oddałbym życie, by móc w tym uczestniczyć.

Susan obróciła się do Jenningsa i powiedziała po angielsku: — Wydaje mi się, że życiorys tego człowieka kwalifikuje go w pełni do pracy dla nas.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY DRUGI

— Jadę z wami — oświadczyła Susan.

Creasy głęboko westchnął wiedząc, że czeka go kolejna rozprawa. — Wykluczone! — odparł.

— Ponieważ jestem kobietą i w dodatku... w ciąży?

Leżeli w łóżku w pokoju Creasy'ego. Przed chwilą skończyli się kochać. Za ledwie po raz trzeci, ale intensywność ich zbliżenia rośla. Susan podciągnęła się i usiadła wsparta na poduszce. Creasy patrzył jej prosto w oczy.

— To jest powodem za ledwie dziesięciu procent moich obiekcji. Pozostałe dziewięćdziesiąt procent wynika z faktu, że nie jesteś odpowiednio wyszkolona. Byłabyś dla nas ciężarem. Wiem, że dokładnie tę samą rozmowę odbędę jutro w Bangkoku z Jensem. Otrzyma ode mnie identyczną odpowiedź. Musisz zrozumieć, że jestem zgrany z pozostałymi, wielokrotnie uczestniczyliśmy wspólnie w różnych ekspadach. Przeżyliśmy wyłącznie dzięki temu zgraniu. Między nami istnieje coś w rodzaju telepatycznego porozumienia. Praktycznie nie muszę wydawać poleceń. Oni wiedzą, jak myślę i co zamierzam. Gdybyś pojechała z nami, to jeden z nas musiałby się tobą zajmować. To by nas osłabiło. Wszyscy są mi potrzebni. To jest chyba jasne. Nie myśl o tym więcej.

— Więc może mógłby pojechać Mark i mną się opiekować.

Creasy chrząknął rozbawiony. Rzadko to robił i bardzo to lubił. — Wtedy musiałbym zrezygnować z kolejnego członka ekipy, żeby mógł opiekować się z kolei Markiem... Nie dysponuję armią, tylko czterema doświadczonymi ludźmi. — Usiadł także i objął Susan ramieniem. — Jesteś bardzo wartościowym członkiem ekipy. To dzięki tobie jesteśmy gotowi. Z pewnością nie dotarlibyśmy tu bez twojej znajomości języka i bez twoich kontaktów. Nadal będziesz nam pomagać w Bangkoku. I kiedy przekroczymy granicę, zacznij powtarzać, ale i wierzyć w motto: „Służą i ci, którzy zostali na tyłach i czekają”. Czekanie będzie trudne. Zarówno dla ciebie, jak i dla Jensa. Zawsze tak bywa. Ale to nie potrwa długo. Musimy się tam dostać, zrobić swoje i przed świtem umknąć. Ty, Jens i Jennings będziecie czekali na granicy. I powtarzam raz jeszcze: byłeś i jesteś bezcennym

członkiem ekipy. Dzięki tobie mamy Nol Pola. W pewnej chwili wszystko może od niego zależeć. Z kim innym. . . Nie wiem, jakby nam poszło. Zapomniałem cię zapytać: przyjął propozycję zapłaty?

— Tak. Jego rodzice i starsza siostra żyją, mieszkają w Battam-bang. Te pieniądze pozwolą im utrzymać się co najmniej przez rok. Nadeszły tu ciężkie czasy.

— I będą trwały jeszcze bardzo długo. Jeśli Nol Pol wyjdzie z tego żywy, to zapewnię jego rodzinie znośny byt na dłuższy czas.

— A język? Jak będziesz się porozumiewał z ludźmi?

— Nie widzę problemu. Powiedziałaś, że Nol Pol mówi trochę po francusku.

— Właśnie, tylko trochę.

— Wystarczy. Guido i ja mówimy po francusku. Nauczyliśmy się w Legii Cudzoziemskiej. Jest to rodzimy język René. — Przyciągnął ją i złożył na jej ustach lekki pocałunek. — Przed pół godziną nic się nie wydarzyło?

Uśmiechnęła się. — Nie przypominam sobie nic ważnego.

— A ja w ogóle nic sobie nie przypominam.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY TRZECI

Creasy nie lubił tego miasta.

— Jeden wielki burdel — powiedział do Guida. — Każdy otyły stary Niemiec, Anglik albo Francuz, który w swoim własnym kraju nie ma szansy albo czasu, żeby przygadać dziewczynę, przylatuje tu i kupuje sobie kobietę, która bez względu na lata zawsze wygląda jak nastolatka. W godzinę po wylądowaniu każdy z nich zmienia się w Cary Granta. W każdym razie tak mu się wydaje.

— Zawsze tak było — skomentował Guido.

— Nieprawda. Dwie rzeczy uczyniły z tego miasta jeden wielki dom publiczny. Najpierw wojna wietnamska. Tysiące żołnierzy amerykańskich przywożono tu na pięciodniowe urlopy. Kieszenie mieli wypchane dolarami. A następnie rozwój turystyki i szaleństwo lotów czarterowych. Jeśli Niemiec lub Anglik chcą iść do wysokiej klasy burdelu w Hamburgu czy w Londynie, to za noc z dwiema panienkami zapłacą więcej, niż kosztuje dwutygodniowa wycieczka do Tajlandii. Połowa europejskich pedofilów oszczędza każdy grosz, żeby tu spędzić urlop.

Guido podejrzliwie spojrzał na przyjaciela. — Zamierzasz zostać moralizatorem?

— Zawsze miałem moralizatorskie skłonności. Nie mam pretensji do mężczyzn. Dla wielu jest to jedyna okazja, by pójść do łóżka z kobietą. Nie winie też kobiet. Są tylko ofiarami. Winą obarczam finansową śmietankę i rząd. Właścicielami większości salonów masażu i zwykłych burdeli są generałowie i ich polityczni kumple. Obliczono, że jedna trzecia wpływów dewizowych kraju pochodzi z seks-turystyki.

Ich taksówka ugrzęzła w kolumnie pojazdów. Po obu stronach też wlokły się ciężarówki i samochody osobowe. Ruch odbywał się w ślimaczym tempie.

Creasy gestem dłoni wskazał zapchaną ulicę. — Na jezdniach nie byłoby takiego chaosu, gdyby częśćkę tych miliardów, jakie zarabiają na seksie, zużyli na zbudowanie metra i zaopatrzenie Bangkoku w zdatną do picia wodę.

Guido wzruszył ramionami. — Znasz przecież Neapol. My mamy takie same slumsy. Jedyna różnica polega na tym, że u nas majątki robią nie generałowie,

a lokalna mafia.

— I tu, i tam jest mafia. — Creasy zmienił temat: — Susan zrobiła dobrą robotę. Ten Nol Pol to prawdziwy skarb. Gdybyśmy wynajęli innego faceta, to za parę dolarów więcej otrzymanych od naszej przeciwniczki mógłby nas wprowadzić prosto w pułapkę. Ten Nol ma motywację i Susan okazała duży spryt wydobywając to z niego.

Guido nie odpowiedział od razu. Przez długą chwilę przyglądał się zatłoczonej ulicy i dopiero potem spytał: — Czy ty się tak troszkę w niej nie zakochujesz?

Creasy też odczekał paręnaście metrów wleczenia się taksówki, nim odparł: — Troszkę tak. Ona jest naprawdę wyjątkowa.

— Dobra w łóżku?

— Dziwna rzecz — mruknął Creasy. I dodał zdanie, które zawsze padało z ust najemników, kiedy ich ktoś zapytał, ilu ludzi zabili: — Nie pamiętam.

Guido zachichotał. — A więc bardzo dobra. W pełni się z tobą zgadzam: to wyjątkowa kobieta. A przede wszystkim dobra dla ciebie.

Między przyjaciółmi zapadła długa cisza, którą przerwał Creasy.

— Chyba tak. Choć ja w takich sprawach już nic nie wiem. Boję się. Wszystkie kobiety, do których się zbliżyłem, zginęły. Może dla Susan są lepsi i bezpieczniejsi tacy jak Jennings albo ten profesor w Waszyngtonie.

Guido chrząknął. — Mam zastrzeżenia co do Jenningsów. Jennings to CIA. Agent CIA to nie jest zbyt bezpieczna profesja.

Creasy prychnął. — Może agent w terenie, ale w centrali czy w ambasadzie, to bezpieczniejsza robota niż kierowanie oddziałem banku. Tylko biedni agenci obcych nacji wynajmowani w poszczególnych krajach przez różnych Jenningsów mają ucinane główki. . . Jennings szaleje za Susan.

— To jego problem — odparł Włoch. — Zbyttnio okazuje swoje uczucie. Kobiety wolą silnych, milczących mężczyzn.

Taksówka dobrnęła wreszcie na wspaniałą podjazd hotelu „Ducit Thani”. Creasy dał przyjacielowi kuksańca. — Tylko Włoch mógł to powiedzieć.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY CZWARTY

Byli przyjaciółmi.

Zdał sobie z tego sprawę, gdy się ubierała. Miała piękne ciało i piękną twarz, ale uświadomił sobie, że po ostatnim zbliżeniu widział w niej bardziej przyjaciela niż kochankę. Kochał jej umysł bardziej niż jej ciało.

— Czujesz się dobrze? — spytał.

Dopięta ostatni guzik bluzki, którą kupiła po południu i spojrzała na niego lekko zdziwiona. — To zupełnie do ciebie niepodobne. Chociaż z urodzenia jesteś Amerykaninem, w zasadzie nie postępujesz jak Amerykanie.

— O czym ty mówisz?

— O twoim pytaniu, czy czuję się dobrze. Amerykańscy mężczyźni potrzebują duchowego wsparcia po akcie miłosnym i zadają głupie pytania w rodzaju: „Jak ci było, kochanie?”. Kobiety nienawidzą tego.

— Zupełnie co innego miałem na myśli. Przez ostatnią godzinę działaliśmy niewiele oprócz utrwalania wspólnoty myślenia. Moim zdaniem było nam bardzo dobrze.

— Zapomniałam, że my nigdy nic nie robimy i wobec tego wiele nie działaliśmy, jak to przed chwilą ślicznie powiedziałaś. — Uśmiechnęła się. — Powiedz wreszcie poważnie, o co ci chodziło?

Creasy spuścił nogi na ziemię, wziął z łóżka sarong, który mu zawsze służył jako piżama, i owinął się w pasie. — Skoro poważnie, to poważnie. Nie mieliśmy okazji poważnie porozmawiać od Phnom Pehn. Od chwili twego wejścia do pokoju byliśmy bardzo zajęci. Wszystkim innym, tylko nie rozmową. Pytając, jak się czujesz, myślałem o twoim... stanie.

— Jakież to miłe, staromodne określenie. „Mój stan”! Chciałeś wiedzieć, jak sobie daję radę w drugim tygodniu ciąży?

Creasy podszedł do minibarku w rogu pokoju i wyjął z niego butelkę wody mineralnej. Rozlewając wodę do dwóch szklanek powiedział: — Może i jestem staromodny, co mnie zresztą napawa dumą, ale miły rzadko i pytania zadaję wprost. Więc jeszcze raz cię pytam, jak się czujesz?

Mówił poważnym głosem i ona odpowiedziała tak samo:

— Fizycznie czuję się dobrze, z wyjątkiem leciutkich mdłości z samego rana. I mdłości będą większe, aż ustąpią zupełnie w późniejszych miesiącach ciąży. Natomiast psychicznie czuję się troszkę jak schizofreniczka.

Creasy podał jej szklankę z wodą. — Niezupełnie rozumiem.

Wypiła łyk, nim odpowiedziała. — Docierają do mnie fale uczucia. Zarówno od ciebie, uczucia o charakterze pożądania fizycznego, jak i od Jenningsa. Czuję się bardzo dziwnie. Jeszcze nigdy w życiu nie miałam mężczyzny niemal dosłownie leżącego u mych stóp. To nie wszystko. Odbieram także sygnały ze strony Jensa, Sowy i Guida. Odczuwałam to nawet ze strony Maxie'ego i René w tak krótkim czasie, kiedy przebywałam w ich towarzystwie w Sajgonie.

— Tak bywa, kiedy się przynależy do zespołu — odparł Creasy. — W zasadzie każdy z nas jest indywidualistą, czasami nawet samotnikiem, ale podczas wspólnych misji sympatie wyraźnie się ujawniają. To rezultat wszechobecnego niebezpieczeństwa. Nawet w tym momencie. Jesteś integralną częścią zespołu, a teraz stał się nią także Jennings. — Poklepał ją po policzku i ciągnął dalej nieco mentorskim tonem: — To się nazywa braterstwem broni. Po raz pierwszy doznałem uczucia, o którym mówimy, w Legii Cudzoziemskiej. Kto wie, czy właśnie nie dzięki niemu przeżyłem i mogę tu dziś być. Bo widzisz, Jake Bentsen też był członkiem zespołu, bliskim mi jak brat. . .

Susan była bardzo zainteresowana słowami Creasy'ego. Coraz lepiej poznawała jego motywacje. Przyszła jej do głowy śmieszna myśl, że rozmowa z nim przypomina zdejmowanie kolejnych warstw z cebuli.

— A pozostali? — spytała. — Na przykład Guido, Maxie, René. Co jest ich siłą napędową?

Creasy poszedł do garderoby, wyjął czystą bieliznę, spodnie i koszulę, rozłożył wszystko na łóżku. Robił to powoli, jakby chciał zyskać na czasie, by dobrze przygotować odpowiedź. — Wszyscy są psychicznymi sierotami i każdy z nich ponad wszystko przedkłada owo braterstwo. Maxie jest szczęśliwym małżonkiem i prowadzi bar przynoszący dobre zyski. Ale po kilku miesiącach podawania do stolików marzy o znalezieniu się w kręgu kolegów i o akcji. Kiedy się ożenił, obiecał żonie, że opuszcza świat najemników. Ale ona jest mądrą kobietą i wie, czego on potrzebuje do życia. Zwalnia go czasami z tej obietnicy. Zwolniła i tym razem, dzięki czemu Maxie jest teraz z nami. Guido nie ma żony, tylko krótkoterminowe przyjaciółeczki. Cięży mu samotność z wyjątkiem takich dni jak teraz. Guido to po prostu Guido, mój najlepszy przyjaciel. Moje życie jest jego życiem i odwrotnie. Jeśli jeden z nas ma problem albo wpakował się w groźną sytuację, to taki sam problem ma i drugi. I też czuje się zagrożony. Tak to już z nami jest.

Zaczął się ubierać. Susan w milczeniu patrzyła na jego blizny. — Do czego wrócisz po zakończeniu tej misji? — spytała po chwili.

Zapinał pasek spodni. — Do pięknej starej fermy na wzgórzu uroczej wyspy

o nazwie Gozo, na morzu Śródziemnym, tuż obok innych wysp, Comino i Malty. Prowadzę bajkowe, idylliczne życie. Zaopatruję się w prowiant w małym sklepiku w pobliskiej wiosce. Chodzę do baru o nazwie „Gleneagles”, tuż nad rybackim portem. Miejscowi są moimi przyjaciółmi. Chodzę na wioskowe jarmarki i wypijam wtedy zbyt wiele piwa i wina. Długie godziny spędzam na plaży, piekąc się w słońcu i grając w karty, pływam z rybakami na połowy i po powrocie razem smażymy na plaży ryby, a potem tańczymy pod gwiazdami i księżycem przy muzyce z magnetofonu. Mam adoptowaną córkę Juliet. Studiuje medycynę w Stanach Zjednoczonych. Odwiedza mnie podczas przerw semestralnych. Jestem z niej bardzo dumny. Tak jak powiedziałem ci na wstępie: prowadzę bajkowe, idylliczne życie...

— I czasami w tym rajku ogarnia cię nuda?

— Ogarnia.

— Podobnie jak twoich przyjaciół?

— Tak. Czasami brakuje mi moich braci. A klimat braterstwa potrafi stworzyć tylko niebezpieczeństwo w połączeniu z ryzykiem. To jest nasz narkotyk. Inni piją na umór, wstrzykują sobie heroinę albo wachają kokainę. My wybraliśmy niebezpieczeństwo.

Skończył się ubierać. Uśmiechnął się do niej jednym ze swych rzadkich uśmiechów. — I któregoś dnia, podobnie jak wszystkie inne narkotyki, to nas zabije. Ale jeszcze nie jutro.

— Skąd to wiesz?

— To zabrzmiało jak motto: nigdy nie umiera się jutro. Podszedł i delikatnie pocałował ją w usta. — Dość puste gadaniny — powiedział. — A co z tą schizofrenią, o której wspomniałaś?

Przez chwilę tuliła się do niego. — Mimo tych wszystkich ciepłych uczuć, jakie do mnie docierają, którymi wy promieniujecie, trochę się boję. Nie chodzi mi o niebezpieczeństwo, jakie mi grozi czy mogłoby grozić. Chodzi mi o dziecko w moim łonie. Jeszcze go nie czuję, ale stale o nim myślę. Mężczyzna nigdy tego nie zrozumie, a kobieta nie potrafi wytłumaczyć. I mimo tych wszystkich waszych emanacji braterstwa i oznak sympatii czuję się czasami nieco samotna z moim problemem.

Odsunęła się od Creasy'ego. — Już dość o mnie... Jeszcze ci nie mówiłam, co było w ambasadzie. Jennings załatwił wszystko, czego potrzebujesz. Są dwie terenówki Mitsubishi Shoguns. Rozmawiałam z moim szefem w Waszyngtonie. Nasze biuro pokryje wszystkie koszty łącznie z rachunkami hotelowymi i miejscowymi wydatkami. Broń i pozostały ekwipunek w większości przylecą dziś wieczorem z amerykańskiej bazy wojskowej w Japonii.

Creasy całkowicie zagłębił się już w sprawy misji. — Udało się załatwić *Uzi*?

— Niestety nie. — Wyjęła z kieszeni kartkę. — Przysyłają pięć karabinów samoczynnych *Colt XM177E2 Commando*. To używana przez Siły Specjalne

skrócona wersja karabinu MJ 6 przystosowana do podwieszania pod lufą granatnika *M203*.

Creasy z zadowoleniem pokiwał głową. — To dobra broń. Czy Jenningsowi udało się dostać noktowizory?

— Tak, ma wszystko. A jak inne sprawy? Pytam o pozostały sprzęt.

— Wszystko załatwione lub w załatwianiu — odparł Creasy. — Guido wycharterował na jutrzejszy wieczór Cessnę. Wraz z pilotem. Znalazł tę awionetkę w aeroklubie Pattonong. Teraz kupuje dwa spadochrony w sklepie sportowym. I załatwia u krawca mundur dla naszego przewodnika. Mundur takiego typu, jaki noszą Czerwoni Khmerowie. Jeśli nas ktoś zatrzyma po przekroczeniu granicy, to on powie, że jesteśmy najemnikami zakontraktowanymi na krótki termin przez Connie Crum i mamy oczyszczać pola minowe. Tak jak Witt. Jutro o północy wyjedziemy z wioski Trat w kierunku kambodżańskiej granicy. Trat jest niespełna dziesięć kilometrów od granicy. Przez następne parę godzin Connie Crum będzie spoglądała w niebo. I mam nadzieję, że zeszywnieje jej kark. Wynajęty samolot przeleci o milę od świątyni o tej samej porze, kiedy my się tam zjawimy.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY PIĄTY

O szóstej wieczorem zadzwonił telefon satelitarny. Connie Crum podniosła słuchawkę i odbyła dwuminutową rozmowę, po czym z triumfującą miną obróciła się do Van Luk Wana. — Zupełnie jak mistrzowska partia szachów. Mój przeciwnik wykonuje właśnie ostatni ruch i będzie szach mat.

— Jest w Bangkoku?

— Tak. W hotelu „Dusit Thani”. Spędził cały dzień w pokoju, ale jego przyjaciel Aurellio był niesłychanie aktywny. Na jutrzejszą noc wynajął samolot. Kupił także dwa sportowe spadochrony. — Spojrzała w niebo. — Przewidywania pogodowe są dobre. Noc bezchmurna, księżyc w półpełni. Będziemy na nich czatowali.

Stali po wewnętrznej stronie ponad dwumetrowego muru opasującego świątynię. Sama świątynia była bogato zdobiona rzeźbami w kamieniu. Nie wszystkie rzeźby wykonano dla tej świątyni. Wiele przywieziono ze sławnego kompleksu świątynnego w Angkor Wat. Connie ruszyła w stronę wejścia do świątyni. Wan poszedł za nią.

Wnętrze było puste i surowe. Tylko pośrodku stał półtorametrowej wysokości marmurowy kwadratowy sarkofag bez napisu, zajmujący mniej więcej jeden metr kwadratowy. Na nim leżały ustawione w stos polana. Van Luk Wan po raz pierwszy był we wnętrzu świątyni. Stał w progu, wpatrzony w czarny marmur sarkofagu. Tuż za nim tkwiły jak posągi czarnoodziane ochroniarki Connie Crum, dzierżąc w dłoniach *Katasznikowy*.

Connie Crum podeszła do sarkofagu i pełna szacunku powiedziała: — Tu znajdują się prochy mego ojca. W ubiegłym roku kazałam je sprowadzić z Hongkongu. To jest ich ostatnie miejsce spoczynku.

Wietnamczyk nie wiedział, co powinien odpowiedzieć lub zrobić. Zawdzięczał życie Billowi Crumowi. Przez kilka sekund stał bez ruchu, a potem skłonił się kornie marmurowemu sarkofagowi. Gdy się wyprostował, spojrzał na Connie. Miała pogodną, prawie radosną twarz. Wskazała na ofiarny stos, zajmujący połowę płyty sarkofagu.

— Na nim umrze Creasy — obwieściła. — Umrze w płomieniach jak mój

ojciec, i zamieni się w proch. Śmierć będzie powolna i Creasy dowie się, dlaczego ginie. A potem każe Holendrowi zaminować ścieżkę prowadzącą do świątyni. Kiedy to robi, zabije go. Dusza mego ojca zazna wreszcie spokoju.

Wan jak zafascynowany patrzył na stos drewna. Oczami wyobraźni widział związanego Creasy'ego leżącego na sarkofagu, widział Connie podchodzącą z pochodnią i zapalającą stos, a ciało mężczyzny zaczynało się wic w płomieniach. Wan poczuł przyptyw gorąca. . .

— Ilu tu będziesz miała z sobą żołnierzy? — spytał.

Connie wskazała na czarno odziane dziewczyny. — Będą tylko one dwie, jak zwykle, oraz ja i ty.

Obrócił gwałtownie głowę w jej kierunku i wykrzyknął zdumiony: — Tylko nas czworo?! Czy zdajesz sobie sprawę, do czego ci dwaj ludzie są zdolni. . . ? Na nich potrzeba co najmniej kompanii wojska!

Roześmiała się, widząc czający się w jego oczach strach. — Nie obawiaj się niczego. Mamy jeszcze jednego „żołnierza” — obwieściła. — Bardzo skutecznego w działaniu. Creasy i jego przyjaciel Aurellio nie domyśla się jego istnienia i nic przeciwko niemu nie dziają. Chodź, pokażę ci!

Wyprowadziła go na świątynny podwórzec ku masywnej żelaznej bramie w murze. — Zauważ, że brama jest skonstruowana i wbudowana w ten sposób, że po zamknięciu jest całkowicie szczelna, nie ma żadnej szpary między nią a murem. A spójrz na mur! Nie ma żadnych ubytków, żadnych szczelin. I ma prawie dwa i pół metra wysokości. Teraz wróćmy pod świątynię.

Wan poszedł za Connie jak posłuszny pies. Pokazała mu metalowe końcówki wystające z niektórych rzeźb. Nie zauważył ich przedtem — czarne żelazne rurki. Zaprowadziła go z kolei do wejścia do świątyni. W mur wbudowana była metalowa puszką. Connie wyjęła z kieszeni klucz i otworzyła puszkę. W puszcze znajdowały się dwie dźwignie: czerwona i zielona. Dotknęła palcem czerwonej i zaczęła wyjaśniać:

— Kiedy przestawię tę dźwignię, rurami z cylindrów umieszczonych pod świątynią popłynie gaz paralizujący. Amiton. Ten gaz wyprodukowano w Ameryce w 1952 roku. Poraża śmiertelnie, chyba że w krótkim czasie, najwyżej paru minut, poda się antidotum. Jest cięższy od powietrza i snuje się przy ziemi do wysokości nieco poniżej szczytu murów. Kiedy Creasy i jego przyjaciele wylądują na swoich spadochronach w obrębie murów, stracą przytomność w ciągu zaledwie kilku sekund. — Skinęła na Wana, by wszedł z nią do świątyni. Wskazała stojący pod ścianą stół. Leżały na nim niewielkie pojemniki podłączone do masek gazowych. To jest antidotum. Najpierw rozbiorimy Creasy'ego i tego Aurellio, będą przecież nieprzytomni, a potem damy im pooddychać tym życiodajnym gazem. Na krótko życiodajnym. — Zaśmiała się. — Po pół godzinie odzyskają przytomność. Wówczas opowiem Creasy'emu historię jego kończącego się życia i wyjaśnię, dlaczego zostanie spalony na stosie. . . — Mówiła to wszystkim radosnym

głosem, niemal wniebowzięta.

— No dobrze, ale co z nami? — zapytał przerażony Wan.

Poklepała go po ramieniu. — Nic się nie martw. Będziemy mieli na sobie kombinezony ochronne i maski gazowe. — Wskazała na stos grubych jaskrawo-żółtych plastikowych kombinezonów. — My niczym nie ryzykujemy. Holender przedstawił Creasy’ego i Aurello jako dwóch najniebezpieczniejszych ludzi na świecie... Ale oni nigdy nie musieli stawić czoła „żołnierzowi”, który nazywa się Amiton! — Z zadowoleniem wciągnęła głęboko powietrze.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY SZÓSTY

Mark Jennings z zaciekawieniem przyglądał się pracy obu mężczyzn. Byli to najwyższej klasy fachowcy w specjalistycznej dziedzinie i posługiwali się wysoce specjalistycznym sprzętem elektronicznym. Sprawdzenie niewielkiej sali konferencyjnej zajęło im piętnaście minut — ścian, sufitu, podłogi i wszystkich mebli. Przez cały czas spoglądali na migotliwe światełka instrumentów pomiarowych. Wreszcie jeden z nich rozebrał aparat telefoniczny, skontrolował każdy komponent i złożył aparat informując Jenningsa: — Wszystko w porządku, sir. Żadnego podsłuchu.

— Doskonale. Czy bylibyście łaskawi, panowie, zawołać pozostałych i zorganizować nam jakąś kawę? A potem zostańcie obaj przed drzwiami i nie pozwalajcie nikomu wejść. Absolutnie nikomu. Jutro wieczorem będę miał dla was drugą robotę, której koniec przewiduję mniej więcej o drugiej nad ranem. Nic niebezpiecznego, wycieczka sportowym samolotem. Parę godzin sobie polatacie. Zaraz potem będziecie mogli wracać do Stanów.

Mężczyźni spakowali sprzęt, a dzięki swym butom na gumowych podeszwach wyszli niemal bezszelestnie. Jennings otworzył potężnych rozmiarów teczkę i wyjął z niej parę plików dokumentów, fotografii i map. Czuł się wspaniale. Można nawet powiedzieć, że dobrze się bawił. Od czasu przybycia do Południowo-Wschodniej Azji była to pierwsza poważna misja, w której uczestniczył. Właściwie spodziewał się, że ta hotelowa salka konferencyjna będzie na podsłuchu. Może nie dlatego, że miał w niej właśnie konferować Creasy, ale ze względu na minione negocjacje biznesowe odbywające się w tym pomieszczeniu. Obecnie przyniatająca większość szpiegowania prowadzona była na rzecz wielkiego biznesu. Nie była od tego grzechu wolna nawet CIA. Założyła między innymi podsłuch w gabinecie prezesa firmy Airbus w Tuluzie, zbierając informacje dla amerykańskiego Boeinga.

* * *

Pierwsi przybyli Creasy i Guido. Miło powitali Jenningsa, który doskonale zdawał sobie sprawę, że z chwilą wejścia do tej sali Creasy przejmował dowodzenie. Nie słowem i nie czynem, ale po prostu swoją obecnością.

Następnie weszła Susan z byłym żołnierzem Czerwonych Khmerów, Nol Po-lem, dziarsko się prezentującym w nowym garniturze i białej koszuli z brązowym krawatem. Przedstawiła go Guidowi oraz Creasy'emu, który wypowiedział do nowego członka ekipy kilka słów po francusku. Przed paroma minutami Susan wręczyła Nol Polowi obiecane pięćset dolarów. Zdziwiła się widząc, że sięga teraz do kieszeni i zwraca jej pieniądze. Zapytała go po khmersku, dlaczego to robi.

— Ten człowiek — wskazał na Creasy'ego — powiedział mi przed chwilą, że mogę zginać jutro w nocy. I obiecał, że gdyby tak się stało, to te pieniądze zostaną doręczone mojej rodzinie w Battambang. Wierzę mu i powierzam je pani.

Gdy brała pieniądze, Creasy mruknął: — Jego francuszczyzna jest lepsza, niż się spodziewałem.

Następnymi przybyszami byli Jens i Sowa. Towarzyszył im jeden z członków ochrony, niosąc tacę z termosem kawy i filiżankami. Niemal depcząc im po piętach pojawili się Maxie i René. Przed słowami powitania Creasy zapytał:

— Jesteście pewni, że nie mieliście ogona? Nikt tu się za wami nie przywłókł?

— Z pewnością nie — odparł Maxie. — Jesteśmy czysti od chwili wylądowania.

Creasy nie wątpił temu zapewnieniu, gdyż Maxie był najlepszym tropicielem, jakiego znał, i posiadał szósty zmysł, który mu pozwalał natychmiast wykryć każdego, kto usiłowałby za nim chodzić.

Jennings z zaskoczeniem przyglądał się powitaniom najemników, całujących się w policzki w pobliżu kącika ust. Uświadomił sobie nagle, że wszyscy są już panami w średnim wieku. Pochodzili z niemalże zapomnianej epoki, ale sami nie zapomnieli swojej wojennej sztuki. A może wojennych sztuczek? Jedno spojrzenie w ich oczy mówiło, że są nadal groźni.

Usiedli wokół owalnego stołu. Duńczyk ustawił przed sobą komputer i natychmiast go otworzył. Jennings podsunął Creasy'emu, kartkę. Po przeczytaniu Creasy aprobująco skinął głową.

— To dobrze, że dostałeś *RPG-7*... Odwaliłeś dobrą robotę, Mark. Dziękuję.

— Co to jest *RPG-7*? — spytała Susan.

Odpowiedział jej Guido: — Broń przeciwczołgowa produkcji rosyjskiej. W swojej kategorii najlepszy towar na rynku.

Susan przez chwilę się zastanowiła. — Spodziewacie się tam czołgów?

— Na zdjęciach satelitarnych nie ma ich śladu — odparł Guido. Ale ta broń ma

i inne zastosowanie. Rozbija ciężkie stalowe odrzwia i bramy. A poza czołgami istnieją też inne pojazdy. — Zapytał Creasy'ego: — Ile mamy granatów do *RPG*?

— Cztery. W zupełności wystarczy. — Creasy zwrócił się do Jenningsa: — Żeby nie tracić potem czasu, zapoznaj Maxie'ego i René ze zdjęciami satelitarnymi i lotniczymi.

Jennings rozłożył przed sobą fotografie, a obaj wymienieni najemnicy stanęli za jego plecami.

Creasy zwrócił się z kolei do Jensa. Postukując palcem w leżącą przed nim listę sprzętu powiedział: — Odległość z Trat do Tuk Luy wynosi około siedemdziesięciu kilometrów. Na naszym sprzęcie UKF będziemy mogli swobodnie utrzymać z tobą łączność radiową. Kiedy zabezpieczymy bazę, ich bazę, Guido i ja wejdziemy do świątyni. Łączność nawiążemy tylko w razie absolutnej konieczności. Wątpię, czy oni tam mają sprzęt nasłuchowy, ale w tych czasach nigdy nie wiadomo, co kto może mieć. Samolot wystartuje z Bangkoku dopiero na moje polecenie. — Przerwał Jenningsowi instruowanie Maxie'ego i René: — Mark, załatwiłeś dwóch ludzi, którzy polecą udając mnie i Guida?

— Załatwiłem. Polecą dwóch naszych agentów. Są teraz przed salą konferencyjną. Mniej więcej waszej postury. Będą dokładnie poinstruowani, jak się mają zachowywać na lotnisku. Możesz na mnie polegać.

Creasy przez chwilę nie spuszczał wzroku z Marka, a potem skinął głową i powiedział: — Polegam. Powiedz mi jeszcze jedno: oba dzipy i reszta sprzętu będzie czekać na nas w Trat?

— Tak. Wyjadą stąd kilka godzin przed nami. W Trat mam zabezpieczony dom otoczony murem.

— Doskonale. Wobec tego pozostaje nam wyznaczenie bezpiecznego miejsca zbiórki w Bangkoku i sprawa transportu do Trak.

Widać było, że Jennings pali się, żeby coś na ten temat powiedzieć. Nie przerwał jednak Creasy'emu. Gdy ten skończył, natychmiast obwieścił triumfalnie: — I to też jest załatwione. Nie zapominaj Creasy, że wspomaga nas tu potężna organizacja.

Creasy z uśmiechem na ustach zerknął na Guida. — I bez trudu może wspomagać. Mają budżet większy niż budżet niejednego państwa na świecie... No dobrze, teraz omówmy kilka szczegółów...

Dyskutowali jeszcze przez dwie godziny. Susan była zaskoczona wagą, jaką, jej zdaniem, przywiązywali do drobiazgów. Jej opinia o najemnikach jako bandzie rewolwerowców uległa radykalnej zmianie. Rósł w niej podziw dla tych ludzi w miarę, jak każdy z nich zabierał głos i przedstawiał własne sugestie. Chociaż wszyscy byli gotowi na ślepo akceptować przywództwo Creasy'ego, każdy reprezentował swoją indywidualność i miał coś istotnego do powiedzenia. W którymś momencie René zaproponował, by w trójkę wdrzeć się do świątyni. Maxie pokręcił głową i przypomniał, że Creasy i Guido zawsze pracowali we dwóch i że

dobranie trzeciego byłoby raczej przeszkodą niż pożytkiem. I dodał z uśmiechem: — Jeśli do zdobycia świątyni potrzeba trzech ludzi, to znaczy, że Creasy może to z łatwością zrobić sam.

Do generalnej debaty włączono także Nol Pola, którego traktowano jako pełnoprawnego uczestnika wyprawy. Wszyscy pochylili się nad rozłożonymi mapami i Khmer pokazywał im najlepsze drogi i ścieżki podejścia.

Gdy zakończono naradę, Nol Pol powiedział do Creasy'ego kilka słów po francusku. Creasy skinął głową, po czym jeden z agentów ochrony odprowadził przewodnika do jego pokoju.

— Co on powiedział? — zainteresowała się Susan.

Creasy wzruszył ramionami. — Spytał, czy mógłbym mu przynieść ze świątyni głowę Connie Crum. . . Chyba wybrałaś odpowiedniego człowieka, Susan!

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY SIÓDMY

Gdy Susan wróciła do pokoju, na jej aparacie telefonicznym migąła lampka oznajmiając wiadomość. Zadzwoiła do recepcji, gdzie jej powiedziano, że dzwonił pan Elliot Friedman i prosił o skomunikowanie się w sprawie osobistej. W centrali odebrano ten telefon przed pół godziną. Spojrzała na zegarek i obliczyła, że w Waszyngtonie jest siódma trzydzieści rano. Elliot musiał wcześniej wstać. Zadzwoiła do niego do domu.

— Nic nie mów o waszych planach — zastrzegł się na samym początku. — Nasi przyjaciele o wszystkim informują mnie na bieżąco. Powiedz swojej ekipie, że im życzę powodzenia.

— Po co więc dzwoniłeś? — spytała Susan.

Usłyszała najpierw westchnienie. — Mam pewien problem z niejakim profesorem Jasonem Woodwardem.

Susan stała przy łóżku. Usłyszawszy, o kogo chodzi, usiadła. — Na czym polega ów problem?

— Nieustannie mnie nachodzi. Jest zupełnie zdesperowany. Skarży się, że nie może skontaktować się z tobą. Coś ty mu zrobiła? Myślałem, że wasze stosunki są oparte na trzeźwym porozumieniu. On tu do mnie dzwoni, nie wiem, ile razy dziennie. Dzwoni nawet do domu. Wczoraj wdarł się do biura domagając się informacji, gdzie jesteś i co robisz. Co mam mu powiedzieć?

— Powiedz mu prawdę. Że jestem w Południowo-Wschodniej Azji, spełniając misję mającą związek z MIA. I powiedz, że misja zakończy się w ciągu trzech dni i że wówczas do niego zadzwonię.

— Mogę mu obiecać, że na pewno zadzwonisz?

— Tak. Możesz mu nawet obiecać, że zadzwonię przed upływem siedemdziesięciu dwóch godzin.

— No dobrze, że mam to z głowy. Życzę wam wszystkim wiele szczęścia. A ty uważaj na siebie, moja droga.

— Uważam i dziękuję ci, Elliot. Do usłyszenia.

Odłożyła słuchawkę i przez kilka minut pozostawała na łóżku, zastanawiając

się, co też Jasonowi chodzi po głowie. Pomyślała, że być może niepokoi się, iż mogła zdecydować się na zatrzymanie dziecka. Powodowana impulsem chwyciła słuchawkę i zaczęła wystukiwać domowy numer w Stanach. Po pierwszych paru cyfrach zmieniła zamiar. Jason może poczekać. Jutro w nocy mogą zginąć ludzie, którzy stali się jej bardzo bliscy. To teraz ważniejsze niż cokolwiek innego. Wstała i poszła do łazienki. Była już przy drzwiach, kiedy zadzwonił telefon. Wróciła i podniosła słuchawkę. Dzwonił Creasy.

— Zjedźmy dziś razem kolację - mruknął.

— Rozkaz czy propozycja? — spytała.

— Rozkaz. Musimy przedyskutować punkt po punkcie całą operację.

— Przecież dopiero co omawialiśmy ją przez ponad dwie godziny!

— Wystarczy nam pół minuty na omówienie jeszcze paru rzeczy.

— Punkt po punkcie w ciągu trzydziestu sekund? A co zrobimy potem?

— Potem będziemy mogli rozmawiać o tym, co się nie wydarzy po kolacji.

Westchnęła. — Dobrze. Gdzie i kiedy?

— Spotkajmy się o ósmej w barze.

— Zgoda.

Odłożyła słuchawkę i ponownie skierowała kroki do łazienki. I znowu zadzwonił telefon. Tym razem Mark Jennings.

— Tak się zastanawiałem. . . — zaczął kuszącym głosem. — Czy może jesteś wolna dziś wieczorem. Jeśli tak, to może zjedlibyśmy razem kolację.

Stojąc tak ze słuchawką przy uchu, doszła do wniosku, że stała się nagle bardzo pożądana przez trzech mężczyzn.

— Mark, z wielką ochotą zjadłabym z tobą kolację, ale nie mogę — wymówiła się, usiłując nie urazić uczuć Jenningsa. — Przed chwilą dzwonił Creasy i musimy jeszcze przedyskutować kilka aspektów jutrzejszej operacji.

— Sądziłem, że już wszystko zostało obgadane.

Szybko wymyśliła odpowiedź: — W zasadzie tak, ale zostało kilka szczegółów. Jeśliby jego towarzyszom coś miało się przydarzyć. . . . No, wiesz. Creasy chce, żebym zaopiekowała się ich rodzinami. Ma mi powiedzieć, o co mu konkretnie chodzi. Chyba rozumiesz, Mark? Sześciu ludzi wdziera się głęboko w teren opanowany przez Czerwonych Khmerów. Niektórzy mogą nie wrócić. Creasy chce, aby wiedzieli, że ich osobiste sprawy są uporządkowane.

Po drugiej stronie nastąpiła chwila ciszy, zakończona westchnięciem Jenningsa.

— Rozumiem. I rozumiem, że Creasy tego chce. Już go na tyle poznałem.

— Odłóżmy więc tę kolację na inny wieczór.

— Czy to obietnica?

— Obietnica. Dobranoc. Zobaczymy się rano.

Tym razem doszła do łazienki bez przeszkód.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY ÓSMY

O świcie opuścili minibusem Bangkok. Po trzech godzinach zatrzymali się na skraju miasta Sattahip i zjedli kanapki oraz wypili kawę przygotowaną przez hotelowych kucharzy. Szóstka, która miała przekroczyć granicę kambodżańską, stała w gromadce na poboczu drogi. Susan, Jennings i kierowca zostali w wozie.

— Wydają się rozluźnieni — zauważył Jennings. — Spodziewałem się, że będą napięci jak struny. Nawet Nol Pol wydaje mi się zupełnie spokojny. A on wie lepiej od nich, w co się pakują. Jeśli go złapią, to zginie w mękach. Będą go torturować.

Susan spojrzała na Khmera, który rozmawiał z Guidem. Od czasu do czasu nawet się uśmiechał reagując żywo na to, co mówił Włoch.

— Jak oni się porozumiewają? — spytał Jennings.

— Po francusku. Guido był w Legii Cudzoziemskiej.

Sześciu mężczyzn stało w kręgu, w dłoniach trzymali kubki z kawą.

— Forma osmozy — zauważyła Susan. — Oni go w pewnym sensie wchłonęli, wciągnęli w zespół. Nol Pol czuje się jednym z nich. I jest traktowany jak równy. Wszyscy są równi. Oni tak pracują w terenie. Creasy może być przywódcą, ale patrząc na nich, nikt by tego nie przypuszczał. A są rozluźnieni, ponieważ robią to, co uwielbiają. W pewnym sensie nigdy nie dorośli. Są wyrafinowaną formą ulicznego gangu — gromady chłopaków szykujących się do zrobienia czegoś, co nie jest bardzo chwalebne.

Jennings cichutko się zaśmiał. — Co nie jest bardzo chwalebne! Ależ ty umiesz stosować kurtuazyjne eufemizmy!

Mężczyźni wypili kawę i wrócili do minibusu. Kierowca ruszył. Jechali na wschód nabrzeżną drogą. Po prawej pojawiła się migotliwa Zatoka Tajlandzka, przyprószona niebieskawą mgiełką.

* * *

Dom był usytuowany w głębi bananowego zagajnika, otoczony murem. Na tyłach budynku stały dwa Shoguny, pomalowane na czarno. Gdy minibus zatrzymał się koło nich, z kuchennych drzwi wyszła para Tajów i złożyła im powitalny ukłon.

— Kim on są? — Creasy spytał Jenningsa.

— Sprawdzeni, absolutnie pewni — odparł Jennings. — Nie wymienię nazwisk, ale mężczyzna, zanim przed pięciu laty przeszedł na emeryturę, był przez trzydzieści lat naszym agentem. Ona jest jego żoną. Wejźmy do środka.

Gęsiego wstąpili do obszernego pokoju ze stołem pośrodku. U sufitu obracały się skrzydła wentylatora. Cały stół założony był bronią. Susan poczuła się nieswojo. Pistolety maszynowe, broń osobista, zapasowe magazynki, noże, granaty. Oprócz tego osprzęt, czarne mundury i kamizelki kuloodporne. Na samym końcu stołu leżał granatnik przeciwpancerny i cztery pociski o strzelistych głowicach. Susan poczuła pewne zakłopotanie: jakże nieestosowne było jej porównanie do ulicznego gangu łobuzów, mających zrobić coś, co nie „jest bardzo chwalebne”.

Mężczyźni zgromadzili się wokół stołu i, biorąc do ręki poszczególne elementy ekwipunku, dzielili się uwagami. Creasy ujął pistolet maszynowy i zadał Nol Polowi pytanie po francusku. Ten odparł przeczącym ruchem głowy. Creasy podał mu broń i zwrócił się do Guida: — On zna tylko *Katasznikowa*. Naucz go obsługi. Pokaż mu, jak się rozbiera i składa. Niech przy tobie poćwiczy. — Następnie zwrócił się do Maxie’ego i René: — Znacie ten model?

Skinęli głowami. Maxie spojrział na stojące po drugiej stronie stołu Sowę. Sowa się skrzywił. — Ja takich rzeczy nie używam. Mam swój *MAB* i to mi wystarczy.

Creasy wziął do ręki granatnik *RPG-7*. Był wyraźnie zadowolony.

— Model D — powiedział, odkręcając tubus. — Łatwiejszy do noszenia. — Spojrzął na René. — Ty jesteś mechanikiem samochodowym, więc przejrzyj nasze dżipy i dokładnie zbadaj ich silniki, abyśmy nie mieli żadnych niespodzianek. My tymczasem sprawdzimy broń. A potem wszyscy prześpimy się kilka godzin. — Spojrzął na zegarek i zwrócił się do Jenningsa: — Kolacja powinna być o siódmej.

— Nie ma najmniejszego problemu. — Jennings wskazał na stojącą na uboczu Tajkę. — Była gospodynią jednej z naszych bezpiecznych kryjówek w Bangkoku. Podobno świetnie gotuje.

Drobna kobieta o okrągłutkiej twarzy najwidoczniej znała angielski, gdyż rozpromieniła się słysząc komplement.

— Panowie jedzą steki czy tajskie potrawy? — spytała.

Creasy rozejrzał się po obecnych. Tylko Maxie wybrał stek.

— Typowy Rodezyjczyk — skomentował Creasy. — Wszystko, co nie ma rogów i kopyt, jest niejadalne. — Ponownie spojrzął na zegarek. — Nol Pol twierdzi, że zostały cztery godziny drogi do Trat. Musimy więc stąd wyjechać o ósmej trzydzieści. — Wziął ze stołu jeden z nadajników UKF wielkości dużego telefonu komórkowego.

Podał go Jenningsowi i polecił odjechać minibusem jakieś osiem kilometrów, aby sprawdzić jakość odbioru. — Twój kod, Mark, będzie M. Określenie kodowe tego domu B jak baza. Nie mów wiele, tekst ma być krótki. — Z końca stołu wziął zielony mundur z tej samej barwy czapką i podał Nol Polowi, mówiąc po francusku: — Na jeden dzień ponownie wstąpisz do Czerwonych Khmerów.

Khmer trzymał mundur w wyciągniętej ręce, daleko od siebie. Twarz mu bardzo posmutniała.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

Po kolacji spakowali się i włożyli czarne mundury, tylko Nol Pol wdział zielone spodnie i bluzę Czerwonych Khmerów. Susan, Jennings i Jens przyglądali się rytuałowi sprawdzania ekwipunku: mężczyźni stanęli parami naprzeciwko siebie i wzajemnie kontrolowali swoje wyposażenie. Raz jeszcze Susan zweryfikowała poprzednią myśl o gangu ulicznym. Przed oczami miała wyszkolonych żołnierzy. Nawet Sowa, którego grube szkła nie pasowały do czarnego munduru nocnego napastnika. Gdy go spytała, czy zabiera ze sobą walkmana, odparł nieco zdumiony: — Ależ oczywiście!

Zerknęła na Jensa, zastanawiając się, co też on teraz myśli. Czy czuje się zawiedziony, że nie bierze udziału w finale wspólnie przygotowywanej misji? Jego zwykle ożywiona twarz wyrażała powagę i skupienie, gdy przyglądał się ostatnim przygotowaniom przyjaciół. Była też świadoma perfekcyjności Creasy'ego jako przywódcy, który zwrócił się do Duńczyka, wskazując na radio u jego boku: — Jesteś teraz odpowiedzialny za funkcjonowanie głównej bazy. Musisz koordynować każdy nasz krok. Może powstać pewne zamieszanie, kiedy opanujemy przyczółek i będę wraz z Guidem wdzierał się do świątyni. Zawsze w takich wypadkach powstaje chaos — trudno przewidzieć rezultat natarcia ogniowego. Wiemy, że nasze nadajniki pracują dobrze i mają odpowiedni zasięg, ja będę miał jeden, a drugi Maxie na przyczółku. Musisz monitorować wszystkie polecenia i rozmowy. W przypadku zakłóceń będziesz pośredniczył. Od tej chwili ten dom jest naszą bazą operacyjną. Znasz plan. Damy ci znać natychmiast po uchwyceniu przyczółka. I wtedy przekażesz Markowi, by kazał startować swym agentom w Bangkoku. Niech tu lecą zgodnie z ustalonym kursem. Musimy dokładnie znać czas ich startu. Powinni utrzymać kurs 21°, aż znajdą się o półtora kilometra od świątyni. Wtedy zmienią kurs na dziewiętnaście stopni i przez godzinę mają następnie krążyć nad Zatoką Tajlandzką. Potem mogą wracać do Bangkoku.

Jens poklepał notebooka. — Nic się nie martw, Creasy. Mam to wszystko tutaj. Teraz daj mi tylko kody, jakich będziesz używał.

— Ty jesteś Baza, ja — Zielony Jeden, Guido — Zielony Dwa, Maxie —

Czerwony Jeden, René — Czerwony Dwa, Sowa — Czerwony Trzy, a Nol Pol — Niebieski Jeden.

Jens wprowadził te informacje do komputera.

Creasy zwrócił się do Susan: — Żadnych rozczulających pożegnań. To przynosi pecha. Do zobaczenia jutro rano. — Wziął swój pistolet maszynowy i wyprowadził wszystkich na podwórze. Przez ramię powiedział jeszcze do Jensa: — Po przekroczeniu granicy zrobimy próbę sprzętu radiowego.

Susan, Jennings i Jens zostali przy drzwiach patrząc, jak Nol Pol zajmuje miejsce kierowcy w pierwszym dżipie. Obok niego usiadł Creasy, a na ławeczce z tyłu Guido z *RPG-7*. Maxie prowadził drugiego dżipa z René obok i Sową z tyłu. Nie oglądając się, wyjechali za bramę.

* * *

Susan i dwaj pozostali mężczyźni wrócili do domu.

— Szkoda, że Creasy nie pozwolił mi przygotować grupy wsparcia. Jeśliby coś się nie powiodło, mógłbym helikopterem wysłać na pomoc drużynę komandosów — powiedział Jennings.

Gdy zajmowali miejsca przy stole, Jens mu odpowiedział: — Chcesz wiedzieć, dlaczego Creasy się nie zgodził? On nie jest podobny do tych dzisiejszych podróżników. Taki facet, gdy jest w tarapatkach, krzyczy przez radio „Na pomoc!”, a w jakiejś bazie natychmiast startuje maszyna i po paru godzinach pośrodku Atlantyku zrzuca się zaopatrzenie albo nawet skaczą do wody ratownicy. Ale Creasy i jego kumple są zupełnie inni. Oni są jak Scott czy Amundsen. Nie potrzebują niańki. I właśnie dlatego są zdolni robić to, co robią. I nie chodzi im tylko o pieniądze. Zwłaszcza w tym wypadku nie chodzi o pieniądze. Ich upaja niebezpieczeństwo. To są narkomani. Nie potrafią żyć bez adrenaliny w nadmiernych ilościach.

— Nawet Sowa? — spytała Susan.

— Nawet on.

By zaspokoić ciekawość, zadała kolejne pytanie:

— Ale ty jesteś inny?

Jens pokręcił głową i wskazującym palcem popukał się w czoło.

— Mam inaczej ułożone w głowie, i głową pracuję. To nie znaczy, że ich uważam za głupich. Są to bardzo inteligentni ludzie. — Przez chwilę zastanawiał się. — Można to nazwać zdolnością koordynacji. Każdy z nich byłby niezłym sportowcem wyczynowym w niejednej dziedzinie. Mają doskonałą koordynację. Dlatego są tacy świetni w obchodzeniu się z bronią. — Uśmiechnął się. — Ja byłem

zawsze beznadziejny na boisku. W szkole było to nawet kłopotliwe i zawstydzające. Nigdy nie wiedziałem, czy gram w piłkę nożną, czy w dwa ognie. Kiedy pracowałem w duńskiej policji, musiałem, jak wszyscy inni policjanci, uczyć się strzelać. — Roześmiał się. — Gdy tylko unosiłem lufę i próbowałem celować, mój instruktor na wszelki wypadek chował się za moje plecy.

Jens wzruszył ramionami. — Wcale nie czuję się upokorzony, że mnie tu zostawili. I tu też mogę odgrywać istotną rolę. Poza tym, podczas wszystkich misji dokonuję wstępnych wywiadów i zbieram informacje, czego oni by nie potrafili. Uczestniczę w planowaniu, a kiedy rozpoczyna się akcja, koordynuję. Tak jak teraz. Moje czuwanie i moja obecność przy radiostacji ułatwia im pracę i poprawia samopoczucie. W pewnym sensie to właśnie ja jestem ich wsparciem. Poza tym... ktoś musi to robić. — Spojrzał na zegarek. — Miną granicę mniej więcej za godzinę. To będzie krytyczna chwila. Jeśli uda im się przedostać bez zwrócenia uwagi, to nie powinni napotkać Czerwonych Khmerów aż do przeprawy przez górny bieg rzeki Tamyong. Potem teren jest właściwie niczyj aż do Tuk Luy. Z obserwacji satelitarnych wiemy, że większość oddziałów Czerwonych Khmerów przesunęła się na południe. Nie wiemy jednak, ilu żołnierzy zostało. Na kilometr przed Tuk Luy Creasy wyśle Maxie'ego na zwiad. Lepszego zwiadowcy nie ma.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY

— Jesteśmy w Kambodży — obwieścił z powagą w głosie Nol Pol, zatrzymując dżipa.

— Jesteś pewien? — spytał pochylony nad mapą Creasy.

— Tak. Okolica wydaje się taka sama, ale ja czuję instynktownie, że to już Kambodża. Jesteśmy na Polach Śmierci. — Wskazał na lewo. — Wkrótce zobaczymy światła wioski Cam Tray. Nie mają tam elektryczności, ale będą się paliły lampy naftowe. A za dziesięć minut powinniśmy zobaczyć rzekę Tamyong. Innej rzeki tu nie ma. Za rzeką znajdziemy się na obszarze kontrolowanym przez Czerwonych Khmerów.

Jechali drogą gruntową, z której korzystały głównie wozy zaprzężone w woły, jak wyjaśnił Khmer.

— Taką drogę mamy do końca? — spytał Guido.

— Niestety nie — odparł Nol Pol. — W pobliżu rzeki będzie gorsza. Bardzo niebezpieczny odcinek. Czerwoni Khmerowie mają tam liczne posterunki, a nawet obozowiska. Potem do Tuk Luy będzie już lepsza jazda.

— Kiedy zbliżymy się do rzeki, zgaś światła — polecił Creasy Khmerowi. — I załóż gogle noktowizyjne. Prowadzenie nie będzie łatwe, ale chyba dasz sobie radę. — Wziął radio, włączył je i zaczął wywoływać: — Zielona Jedyńka do Bazy. Czy mnie odbieracie?

Po trzech sekundach usłyszał odpowiedź Jensa:

— Baza do Zielonej Jedyńki, odbieram głośno i wyraźnie.

— Zielona Jedyńka do Czerwonej Jedyńki, czy mnie odbieracie? — wywołał z kolei Creasy.

Z dżipa jadącego pięćdziesiąt metrów z tyłu dobiegł przez radio głos Maxie'ego: — Odbieramy.

— Jesteśmy już w Kambodży — kontynuował Creasy. — Za mniej więcej dziesięć minut gasimy reflektory. Zróbcie to samo i nałóżcie gogle noktowizyjne.

— Potwierdzam — odparł Maxie.

Creasy skinął głową Nol Polowi, Khmer wrzucił pierwszy bieg i ruszył.

* * *

Wydarzyło się to, gdy już zjeżdżali do rzeki. Nol Pol i Creasy mieli na głowach kaski z noktowizorami *Trilux*. Jednocześnie dostrzegli dwie sylwetki stojące na drodze, uzbrojone w karabiny. Creasy podniósł radio, zbliżył do ust mikrofon i powiedział cicho: — Przed nami dwaj Czerwoni Khmerowie. Zatrzymujemy się. Wy też wyhamujcie. Niech Czerwona Dwójka i Czerwona Trójka wyjdą z wozu i zajmą z flanki. Mają nas osłaniać. Potem podjedź i stań za nami.

— Zrozumiałem, wykonuję. Bez odbioru. — dobiegł ściszony głos Maxie'go.

Stojący na drodze unieśli *Kałasznikowy*. Nol Pol stanął prawie na ich wysokości. Jeden z Czerwonych Khmerów odstał na bok, drugi z wycelowaną bronią podszedł do dżipa. Z tylnego siedzenia Guido zawiadomił szeptem: — Mam ich na celowniku.

Creasy zdjął kask z goglami noktowizyjnymi i polecił Khmerowi zrobić to samo. — Wiesz, co masz im mówić.

— Przećwiczyłem to wiele razy — odparł Nol Pol. — To są chłopci, a nie prawdziwi żołnierze. Przeważnie używa się ich właśnie do patrolowania dróg.

Czerwony Khmer stanął przy drzwiach kierowcy. Lufa jego *Kałasznikowa* była wycelowana w głowę Nola Pola. Dostrzegł Creasy'ego oraz pasażera na tylnej ławeczce i nagle spojrzął za dżipa, gdzie właśnie zatrzymał się drugi pojazd. Wymierzył w jego kierunku broń, jednocześnie wykrzykując coś do swego towarzysza.

Creasy zrazu był zdumiony reakcją Nola Pola, który zaczął wymyślać Czerwonemu Khmerowi. Gdy ten usiłował coś powiedzieć, Nol Pol jeszcze bardziej podniósł głos. Czerwony Khmer wycofał się o metr, ale nie opuścił broni. Słuchając Nola Pola Creasy odniósł wrażenie, że to oficer bezsza rekruta. Nol Pol obniżył nieco głos, wypowiadając kilka zdań spokojniejszym tonem. Tak, na pewno wyjaśnia, że jest oficerem i że wiezie najemników wynajętych przez budzącą postrach wszystkich szefową o przydomku Kobra. I pewno tłumaczy, że najemnicy będą oczyszczali nie rozminowane jeszcze pola. A to, że jadą z wygaszonymi światłami, podyktowane jest obecnością w okolicy patroli wojsk rządowych. I z pewnością spyta, czy jakiś patrol Czerwonych Khmerów ich widział.

W miarę wysłuchiwania wyjaśnień Nola Pola Czerwony Khmer coraz niżej opuszczał lufę karabinu, aż wreszcie postawił kolbę na ziemi i stanął na baczność. Nol Pol obrócił się z uśmiechem do Creasy'ego i powiedział: — On nie słyszał o penetracji oddziałów rządowych, chociaż wczoraj rządowi zbombardowali obozowisko Czerwonych Khmerów, położone o piętnaście kilometrów stąd... Czy macie jakieś papierosy?

— Ja nie palę. Czy oni żądają papierosów?

— Oni są zawsze łakomi na papierosy. Zwłaszcza amerykańskie.
— René pali Marlboro i zawsze ma zapas — mruknął Guido z tylnego siedzenia.

Creasy otworzył drzwiczki i wyskoczył na ziemię wołając: — René!

Z krzaków trzydzieści metrów z tyłu wyłonił się René z pistoletem maszynowym gotowym do strzału. Stojący na poboczu Czerwony Khmer skierował nań lufę karabinu. Nol Pol wykrzyknął rozkaz, natychmiast powtórzony przez stojącego obok niego Czerwonego Khmera. Lufa *Katasznikowa* osunęła się ku ziemi.

— Masz papierosy? — Creasy spytał przyjaciela.

— Oczywiście — odparł Belg. — Kilka paczek.

— Trzeba je poświęcić. Daj im po paczce. Jesteśmy wśród przyjaciół — powiedział Creasy.

René opuścił pistolet maszynowy i sięgnął do kieszeni kurtki, wymacał papierosy i zawiadomił: — Mam tylko dwie paczki. Dam im półtorej na dwóch. Nie mam zamiaru cierpieć mąk podczas akcji.

Powstał przyjacielski nastrój. Czerwoni Khmerowie oparli karabiny o dżipa, René starannie wyliczył papierosy i każdemu wręczył po piętnaście sztuk. Nim odeszli, odbyli jeszcze krótką rozmowę z Nol Polem, który poinformował Creasy'ego, że wskazali mu najlepsze miejsce przeprawy przez rzekę.

Gdy ruszyli, Creasy spytał: — Czy zawiadomią Tuk Luy o naszym przejeździe?

Khmer pokręcił głową. — Nie mają łączności radiowej. Pochodzą z wioski, którą właśnie minęliśmy. Są pewni, że jestem oficerem Czerwonych Khmerów. Oczywiście, wcześniej czy później, wieść o naszym przejeździe rozniesie się po okolicy. To jest wieść i każde pojawienie się obcych budzi zainteresowanie. Ale wtedy będzie już po wszystkim, a my daleko stąd.

Na pół godziny przed północą oba dżipy przejechały płytką w tym miejscu rzekę. Przed dżipami wskazując drogę szli obaj Czerwoni Khmerowie, chcąc odwdziżyć się za papierosy, które palili jeden po drugim pełni szczęścia. Pożegnali się dopiero na drugim brzegu, machając w stronę znikających w mroku pojazdów.

— Nie pójdzie tak łatwo, jeśli wpakujemy się na regularny oddział — powiedział Nol Pol. — Jesteśmy na obszarze, z którego dałem nogę. Ktoś może mnie rozpoznać.

— Nie otworzą ognia bez ostrzeżenia i sprawdzenia, kto jedzie — odparł Creasy. — Jeśli podejda i rozpoznają cię, to ich zabijemy. Guido nie zdejmuje palca ze spustu.

— Jeśli ktoś nas zatrzyma, René i Sowa będą osłaniali nasze flanki, zanim w ogóle dostrzegą drugi pojazd — uzupełnił Guido.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY PIERWSZY

— A co będzie, jeśli Maxie napotka Czerwonych Khmerów? — spytał Nol Pol.

— Nie spotka — odparł Creasy. — To najlepszy zwiadowca i tropiciel, jakiego znam. Porusza się jak leśny drapieżnik, a nocą drapieżniki nie wpadają na myśliwskie psy i inne niebezpieczne istoty.

Stali przed lekkim wzniesieniem, o kilometr od migotliwych światełek. Maxie McDonald przed chwilą zniknął w mroku. Creasy spojrzął na zegarek. — Zajmie mu to pół godziny. Daj nam kawy, Guido — poprosił. Po cichutku wyszli z dżipa. Włoch zabrał z wozu termos i trzy plastikowe kubki. Z kieszeni wyjął flakonik i na dłoń wytrząsnął trzy pastylki. Creasy połknął jedną i dał znak Khmerowi, by zrobił to samo.

— Deksedryna — wyjaśnił. — Chroni przed sennością i pozwala na zachowanie pełnej sprawności i czujności. Jest zakazana przez Międzynarodowy Komitet Olimpijski, ale nie sądzę, aby w najbliższym czasie zjawił się tu których z ich inspektorów.

Nol Pol popił pastylkę kawą i spytał: — Więc teraz tylko czekamy?'

— Tak. Czekamy na sygnał od Maxie'ego. Tu nas nikt nie zaskoczy. René pilnuje lewej flanki, Sowa prawej. — Upił trochę kawy. — Długo byłeś z Czerwonymi Khmerami?'

Przez następne dwadzieścia minut, nagabywany przez Creasy'ego i Guida, Khmer opowiadał o szaleństwie reżimu Pol Pota. Mówił, że każdy, kto miał jakiegokolwiek wykształcenie, uważany był za wroga państwa, mimo że sam Pol Pot i jego najbliżsi współpracownicy byli ludźmi wykształconymi we Francji. Opisywał zbiorowe szaleństwo mordowania ciosami motyki w głowę dzieci i umiających czytać oraz pisać dorosłych, gdyż uważano ich za zarażonych obcą ideologią. Tak, zatłukiwano ich na śmierć, by oszczędzić amunicję.

— Dlaczego zawsze muszą cierpieć dzieci? — mruknął do siebie Creasy.

— Pamiętam dobrze Dzień Pierwszy — snuł opowiadanie Nol Pol. — I nigdy nie zapomnę przemówienia mego przełożonego w dniu, kiedy zajęliśmy Phnom

Penh. Zwracając się do żołnierzy naszej jednostki obwieścił, że Khmerowie nie mają swojej historii. Że nasza kultura, świątynie i duchowni nic nie znaczą i że to wszystko musi zostać unicestwione. I że właśnie rozpoczynamy Dzień Pierwszy historii narodu khmerskiego. Wszystko, co poprzedzało Dzień Pierwszy, ma przestać istnieć. Będziemy nowymi ludźmi, oczyszczonymi z brudu przeszłości. Przyjęliśmy to wystąpienie radosnymi okrzykami i rozpoczęło się zabijanie. To był jakiś morderczy szal. Po pewnym czasie zabijanie ludzi stało się rzeczą powszednią, tworząc część nowej kultury.

— W historii ludzkości wydarzyło się to nie po raz pierwszy. I nie ostatni — zauważył Guido.

* * *

Rozmowę przerwał im głos Maxie'ego z radia przyczepionego do mundurowych szelek Creasy'ego.

— Czerwona Jedyńka do Zielonej Jedyńki. . .

— Zielona Jedyńka, słucham — odparł Creasy.

— Jestem w wiosce. Niewielkie skupisko domów i chat. Żadnych śladów obecności Czerwonych Khmerów. Jedyne światła palą się w największym budynku we wsi. Udało mi się zajrzeć przez okno. Jest tam jakiś biały przykuty łańcuchami do muru. Pilnuje go dwóch żołnierzy w mundurach Czerwonych Khmerów. Siedzą przy stole i piją piwo. Poza tymi dwoma nie widziałem innych żołnierzy. Obszedłem wszystko dookoła. Koniec meldunku.

Creasy nacisnął guzik nadawania. — Zielona Jedyńka do Czerwonej Jedyńki. Oceniam sytuację jako dobrą. Wjeżdżamy. Czekać na nas w połowie drogi. Zielona Jedyńka do Czerwonej Dwójki i Trójki. Ruszajcie z miejsca za dwie minuty. Trzymajcie się o sto metrów za nami. Kiedy zajmiemy dom, w którym jest ten biały, podjedźcie, ale stańcie w odległości, z której będziecie mogli nas osłaniać. Zielona Jedyńka do Bazy. Wszystko słyszeliście?

Głos Duńczyka dobiegał wśród lekkich trzasków. — Wszystko słyszeliśmy.

— W ciągu następnych piętnastu minut powinniśmy zająć dom — kontynuował Creasy do mikrofonu. — Wtedy was wywołam, abyście wysłali samolot. Potwierdźcie odbiór, baza.

— Baza potwierdza. Powodzenia.

Creasy wyłączył radio i odwiesił je na szelki. Wziął z siedzenia pistolet maszynowy i powiedział: — Jazda!

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY DRUGI

Holender doszedł do wniosku, że mimo obietnicy Connie Crum zostanie zabity. Wiele razy w życiu był w niebezpieczeństwie, ale jeszcze nigdy nie miał tak silnego przeświadczenia o nadchodzącej śmierci. Czuł to w tej chwili. Wzbierała w nim dzika wściekłość, gdy patrzył na roześmianych i żartujących żołnierzy za stołem. Ładnie mu płacą za robotę, którą tak dobrze wykonał! Zawsze dobrze wywiązywał się z kontraktu. To była kwestia honoru, niezależnie od tego, kto mu płacił. Spojrzał na kajdanki na lewym przegubie. Symbolizowały całe jego życie. W rzeczywistości nigdy nie był wolnym człowiekiem. Zawsze ktoś mu mówił, co ma robić i jak to zrobić. Żałował tylko Tan Sotho. Stał się jej przyjacielem. Nie było to słowo kojarzące się z takimi jak on ludźmi.

Zaskrzypiały zardzewiałe zawiasy. Otworzyły się drzwi i gdy Holender podniósł głowę, zobaczył, że stoi w nich Creasy i w dłoni trzyma pistolet z wielkim tłumikiem.

Czerwoni Khmerowie rzucili się do odstawionych karabinów. Creasy w ciągu sekundy zastrzelił obu. Gdy padli na ziemię, odsunął się od drzwi, w których pojawił się drugi mężczyzna z gotowym do strzału pistoletem maszynowym. De Witt rozpoznał Guido Aurellio. Guido podszedł szybko do leżących i sprawdził, czy nie żyją. Potwierdził to skinieniem głowy i wtedy Creasy zbliżył się do Holendra. — Ostatnim razem powiedziałem, że przy następnym spotkaniu zabiję cię — oświadczył.

De Witt roześmiał się głucho. — Żadna różnica. Nie zrobisz tego ty, zrobi ona.

— Ona to znaczy Connie Crum? Jest teraz w świątyni?

— Aha. Czeka na ciebie. — Znowu się roześmiał. — Masz przecież skoczyć ze spadochronem.

— Ilu ma tam ludzi?

— Nie wiem. Tego nikt nie wie.

Guido podszedł i stanął obok Creasy'ego. — Od jak dawna tu jesteś? — spytał de Witta.

— Od dwóch miesięcy.

— Widziałeś tu jakichś Amerykanów?

— Nie. Ale przed trzema laty jeszcze tu byli. Jeńcy wojenni. Pracowali przy rozminowywaniu pól. Powiedziano mi, że ostatni wyleciał w powietrze właśnie przed trzema laty.

— Kto ci to powiedział?

— Kobieta. Wietnamka. Tu ją przyłapali Czerwoni Khmerowie. Zrobili z niej prostytutkę. Ma małego synka z jednym z tych Amerykanów. — Spojrzał Creasy' mu w oczy: — Bez względu na to, co zamierzasz zrobić ze mną i z innymi, proszę o jedno: nie czyń jej krzywdy. Niech to będzie moje ostatnie życzenie. . .

Creasy odparł zimno: — Nie toczę wojny z kobietami, które do mnie nie strzelają. Ty układałeś pole minowe wokół świątyni?

— Ja. Fachowa robota.

— Ile jest ścieżek dostępu?

— Tylko jedna. Metrowej szerokości.

— Masz mapę?

— Nie. Nikt nie ma mapy. Ludzie, których tu wyszkoliłem, zakładali ze mną to pole. Gdy skończyliśmy, kazała ich zabić.

— Jak sama dostała się do świątyni?

Holender wzruszył ramionami. — Podałem jej długości prostych odcinków i kąty zmiany kierunku. Zanotowała.

Creasy obejrzał się na leżących na ziemi zabitych żołnierzy, a potem, wskazując na kajdanki de Witta, spytał: — Oni mają klucz?

— Nie. Jedyne klucze ma ona.

— Wezwij Sowę! — zwrócił się Creasy do Guido. — On sobie z tym poradzi.

— Gdy Guido szedł do drzwi, Creasy spytał de Witta: — Gdzie są teraz kobieta i dziecko?

— Mieszka z synem w ostatnim domu, tuż przy drodze do świątyni. Nazywa się Tan Sotho.

Guido wrócił z Sową.

Wskazując na kajdanki, Creasy spytał go: — Możesz to otworzyć?

Sowa ukląkł przy przegubie Holendra. — Nie ma problemu — powiedział. — Potrwa dwie minuty.

— W ostatnim domu przy drodze do świątyni mieszka kobieta o nazwisku Tan Sotho. Ma małe dziecko. Sprowadź oboje — polecił Guido Creasy.

Guido po raz drugi wyszedł.

— Co wiesz o siłach Czerwonych Khmerów w tym rejonie? — spytał Creasy de Witta.

— Zanim odpowiem ci na dalsze pytania, chcę wiedzieć jedno: masz zamiar mnie zabić?

Creasy pokręcił głową. — W moich oczach zawsze byłeś robalem i zarazą, ale nie zamierzam cię zabijać. Za pół godziny przeprowadzisz mnie przez pole

minowe. Potem, jeśli uda nam się wycofać, zabiorę cię do Tajlandii i puszcze wolno.

Holender tylko chwilę się zastanawiał. — Nienawidzę cię, ale jesteś znany jako człowiek dotrzymujący słowa. Tak, było tu pełno Czerwonych Khmerów, jeszcze jakieś dwa tygodnie temu. Ale Connie Crum przemieściła ich na południowy wschód. Z tego, co wiem, został tylko mały oddział w wiosce Ak Lau, jakieś półtora kilometra na południe stąd. Najwyżej dwudziestu ludzi.

Sowa otworzył kajdanki. De Witt wstał, rozprostował kończyny i zaczął pocierać zboląły przegub.

— Tylko niczego nie próbuj! — ostrzegł go Creasy. — Jeśli spróbujesz, zginiesz. Na zewnątrz czekają pozostali. Maxie McDonald i René Callard. O ile sobie przypominam, nie przepadają za tobą.

— Cholera, przyproważyłeś najlepszych — mruknął ponuro de Witt.

Otworzyły się drzwi i wszedł Guido, prowadząc kobietę z dzieckiem. Kobieta spjrzała na leżące na ziemi ciała, a potem podniosła wzrok na Holendra. W oczach jej było widać strach.

— Mówisz po angielsku? — spytał ją Creasy.

Skinęła głową.

— Zapewniam cię, że z naszej strony nie spotka cię nic złego. Wkrótce wracamy do Tajlandii. Jeśli chcesz, możemy zabrać ciebie i twojego syna.

Chłopaczek miał okrągłą buzię i dwoje czarnych okrągłych oczu. Kurczowo trzymał się matczynej nogi. Creasy zadał kobiecie pytanie: — Znałaś Amerykankę o nazwisku Jake Bentsen?

— Tak.

— Co się z nim stało?

— Zginął podczas oczyszczania pól minowych.

— Kiedy?

— Około trzech lat temu.

Creasy spojrział na chłopca. — Czy to jego syn?

Zawahała się przed udzieleniem odpowiedzi. — Chyba tak... Mam nadzieję, że jego... Jake był dobrym człowiekiem. Czuję i uczciwym. Nigdy nie zrobił mi krzywdy, jak to potrafili pozostali. — Położyła dłoń na główce chłopca. — Jake zginął na trzy miesiące przed urodzeniem dziecka. Chłopcu na imię Kori...

* * *

Guido przeciągnął zwłoki w kąt pokoju i przykrył je poplamionym obrusem ze stołu.

— Gdzie mieszkała Connie Crum, kiedy tu przebywała? — zapytał Creasy de Witta.

— W sąsiednim domu.

— Idź tam i przeszukaj dom — polecił Sowie Creasy. — Wszystkie pomieszczenia. Zabierz dokumenty i mapy. Jeśli znajdziesz sejf, to postaraj się go otworzyć. Ale masz tylko dziesięć minut! — Zwrócił się do Guida: — Przekaż sygnał Jensowi. Samolot ma wystartować za pięć minut. — Wskazał kobiecie krzesło i polecił jej usiąść. — Do naszego powrotu masz pozostać z synem w tym pokoju.

Tan Sotho usiadła, biorąc syna na kolana.

— Znasz człowieka o nazwisku Van Luk Wan? — zapytał Creasy.

Na jej twarzy pojawił się natychmiast wyraz pogardy i głębokiego niesmaku. — Tak, znam go. Zły człowiek i sadysta. Wstyd mi, że jest Wietnamczykiem.

— Był tu wczoraj z Connie Crum — wtrącił de Witt. — I pewno jest z nią nadal w świątyni.

— To doskonale. Tym razem nie spudłuję — mruknął Creasy.

Kobieta wpatrywała się intensywnie w jego twarz.

— Ty jesteś Creasy? — spytała niespodziewanie.

— A skąd takie przypuszczenie?

— Tak mi się wydaje, że to ty. Jake o tobie mówił. Że byłeś jego przyjacielem.

— Tak, to ja. Byłem jego przyjacielem i żałuję, że spóźniłem się trzy lata.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY TRZECI

Odezwał się telefon satelitarny i Connie Crum pochwyciła słuchawkę. Przez kilkadziesiąt sekund pilnie słuchała, po czym mrugnęła porozumiewawczo do Van Luk Wana i z uśmiechem satysfakcji powiedziała: — Ich samolot właśnie wystartował z Bangkoku. Pilot zgłosił lot do Phnom Penh. Nie wątpię, że po drodze zboczy lekko z kursu, żeby nas odwiedzić.

Wypowiedziała jeszcze kilka słów do słuchawki, potem ją odwiesiła i spojrzała na zegarek. — Moi ludzie potwierdzają, że na pokład weszło dwóch mężczyzn, obaj biali i obaj z wielkimi brezentowymi torbami. Według moich obliczeń nadlecą tu za pół godziny. — Wstała i zaniósła do sarkofagu zabraną ze stołu puszkę — benzyny. Umieściła ją obok stosu drewna i obracając się do Van Luk Wana wyszczała: — Za dwadzieścia minut puszczam gaz, a potem zaleję drewno benzyną i spalimy Creasy'ego na węgielek.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY CZWARTY

Sowa powrócił po dziesięciu minutach z René. Nieśli dużą drewnianą skrzynię, a Sowa dodatkowo dzierżył w lewym ręku skórzaną torbę. Dźwignęli skrzynię na stół i René wyszedł. Sowa rzucił torbę Creasy'emu mówiąc: — Był tam stary francuski sejf typu MI-TEL. Uczyłem się na tych sejfach. Znalazłem to w środku.

Creasy rozwiązał torbę. W środku znajdowały się setki szafirów. Przekazał torbę Guidowi. — Mamy szczęście, w każdym razie jeśli idzie o finansową stronę przedsięwzięcia.

Guido trzymał torbę, ale do niej nie zaglądał. Wzrok miał utkwiony w skrzynię i napis na jej boku. Napis był po francusku.

— Gdzieś to znalazł? — spytał Sowy.

— W składzie na tyłach domu.

Wszyscy podeszli do stołu. Guido przeczytał na głos: — *Costumes et masques protecteurs contenant calciumhypochloride contre gas neurotique de type V. Huit unités.*

Creasy, Guido i Sowa natychmiast zrozumieli znaczenie zawartości skrzyni. De Witt nie znał francuskiego. Creasy przetłumaczył mu: — Stroje ochronne i maski zawierające podchlorań wapnia, zabezpieczające przez gazem porażającym typu V. Osiem zestawów. Gdzie ta jędzta dostała gaz paraliżująco-drgawkowy?

Guido potrząsnął skórzaną torbą. — Za te szafiry można kupić połowę zakładów chemicznych.

Sowa podważył wieko skrzyni. — Tu są tylko cztery zestawy... A powinno być osiem. — Zaczął wyjmować jaskrawożółte kombinezony i maski.

— Nic dziwnego, że była taka pewna, że ma was w ręku — wtrącił De Witt. — Ona wie wszystko o tobie i Aurellio. Zna twój charakter, twoje metody. Całą twoją przeszłość. Nie spotkałem w życiu kobiety równie przebiegłej i równie okrutnej.

— Gdybyśmy skoczyli w obręb świątyni, bylibyśmy trupkami — mruknął Guido.

Creasy spojrzął na zegarek.

— Ona już teraz tam siedzi z Van Luk Wanem, mają na sobie kombinezony

i maski. Spodziewają się, że im spadniemy z nieba. Czeka ich przykra niespodzianka. Wyruszamy za pięć minut. De Witt przeprowadzi nas przez pole minowe. Potrzebne jest nam coś do wyznaczenia ścieżki na powrotną drogę. . .

Guido na chwilę zniknął i powrócił z woreczkiem cukru. — Znalazłem to w kuchni — powiedział.

— Będziesz z tym szedł na końcu — zdecydował Creasy. — Ja biorę *RPG-7* i rozwalę bramę. Maxie i René w tym czasie będą pilnować podejścia od południa. Mogą pojawić się Czerwoni Khmerowie, gdy usłyszą strzelaninę. — Obrócił się do Sowy: — Podprowadź jednego dżipa, a kiedy dam ci znać przez radio, podjedź nim na skraj pola minowego. De Witt pokaże ci na mapie, gdzie to jest. — Obrócił się do Holendra: — A ty sobie wszystko szybko przemyśl. Twoją jedyną szansą opuszczenia Kambodży jest trzymanie się nas. Ale musimy być żywi. Wiem, że przeprowadzisz nas przez to pole minowe, ponieważ będę miał pistolet wycelowany w twoje plecy. Jeśli jednak masz trochę oleju w głowie, to z egoistycznych pobudek nie powinienes mnie drażnić. Więc się zastanów, jak postąpić, żebyś mógł ocalić własną skórę.

De Witt patrzył na torbę z szafirami. — Czy dostanę swoją część?

Creasy spojrział na Guido, który kwaśno się uśmiechnął i powiedział: — Z de Wittem zawsze tak było. Niech ma ten udział, ale wchodzi z nami za bramę. Sukinsyn przynajmniej wie, jak posługiwać się bronią.

Creasy wyraził zgodę lekkim skinieniem głowy i wskazał *Katasznikowy* oparte o stół. — Wybierz sobie jeden, rozłóż, sprawdź, złóż — polecił de Wittowi. — Pośpiesz się, bo zaraz ruszamy.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY PIĄTY

Przed polem minowym włożyli stroje ochronne i założyli maski. Stłumiły im one głosy, ale polecenia wydawane przez Creasy'ego były zrozumiałe:

— De Witt, ty, oczywiście, prowadzisz. Ja idę za tobą z granatnikiem. Guido na końcu posypuje ścieżkę cukrem i niesie zapasowy granat, na wszelki wypadek, gdybym miał nie trafić pierwszym lub gdyby okazało się, że drzwi świątyni są zabarykadowane. Powiedz mi, de Witt, ile ma długości ostatni prosty odcinek wychodzący na bramę w murze?

— Dokładnie trzydzieści metrów.

— No i dobrze. Z tej właśnie odległości rozwalę bramę. Idziemy.

* * *

Dwukrotnie się zatrzymywali, gdy de Witt wyznaczał kierunek ścieżki, wykorzystując drzewa i krzewy jako punkty odniesienia. Teren był rozjaśniony światłem księżyca, niemniej korzystał z gogli noktowizyjnych. Posuwał się powoli, ale pewnie. To było jego pole minowe i dobrze je znał. Creasy szedł dwa metry za de Wittem, stąpając dokładnie po jego śladach. Z kolei Guido trzymał się dwa metry od Creasy'ego, pozostawiając za sobą białą smugę cukru.

* * *

W obrębie murów świątyni Connie Crum, jej dwie ochroniarki oraz Van Luk Wan czekali także w kombinezonach ochronnych i maskach. Connie Crum już przed paroma minutami wypuściła gaz. Po przechwyceniu Creasy'ego i jego to-

warzysza zamierzała przerzucić zieloną dźwignię i spryskać teren środkiem neutralizującym gaz paraliżująco-drgawkowy. Wszyscy czworo stali rzadkiem oparci plecami o mur, głowy mieli zadarte do góry, wzrok utkwiony w niebo, broń gotową do strzału. Connie Crum usłyszała słabutki jeszcze warkot silnika samolotu, podobny do brzęczenia owada. Ochroniarki oderwały się od muru i zajęły stanowiska po obu stronach świątyni, celując ze swoich *Kataszników* w mrok nad głowami.

* * *

Po ostatniej zmianie kierunku de Witt się zatrzymał. Palcem wskazał Creasy'emu majaczące wysoko nad nimi ciemne pasemko muru. Creasy dostrzegł obrys jeszcze ciemniejszej barwy. De Witt, pokazawszy palcem pień drzewa po lewej i krzak po prawej, wyznaczające kraniec ścieżki, odstąpił na bok. Creasy wyszedł na pierwszą pozycję i odłożył pod stopy pistolet maszynowy. Rurę granatnika miał przytroczoną do pleców. Guido odszedł, odczepił wyrzutnię i podał ją ostrożnie Creasy'emu, a następnie przykucnął z jego lewej strony. Ścieżka wiodąca ku bramie była kamienista i pięła się stromo na wierzchołek wzgórza. Creasy położył granatnik na ramię i wycelował w bramę z litego żelaza.

* * *

Zapatrzona w niebo Connie była zaskoczona. Warkot motoru osłabł. Samolot nie zamierzał przelecieć nad świątynią.

— Może wyskoczyli parę kilometrów stąd — podsunął Van Luk Wan. — Te nowoczesne spadochrony są jak skrzydła, można nimi sterować, a wieje odpowiedni po temu wiatr... — Jednakże widać było, że jest zdenerwowany i niespokojny.

* * *

Creasy zwolnił spust. Z tyłu granatnika buchnął płomień i po sekundzie pocisk wyrwał się z wyrzutni. Początkowo wydawało się, że leci wolniutko grożąc

upadkiem na ziemię, ale to było tylko złudzenie. W mgnieniu oka przyśpieszył i z hukiem towarzyszącego wybuchu rozerwał bramę. Guido biegł już wtedy pod górę, a de Witt podążał za nim długimi susami. Nagle Creasy zaczął się zsuwać. Odrzut pchnął go do tyłu, zmuszając do cofnięcia się o dwa kroki. Spodziewał się tego, ale w trakcie wykonywania przewidzianego manewru poślizgnął się o drobne kamyki i stracił równowagę, której odzyskanie uniemożliwił granatnik. Zrzucił go z barku na ziemię, ale ruchy nadal utrudniał mu kombinezon ochronny. Upadł i dalej się staczał. Gdy wreszcie zatrzymał się, zaczął szukać wzrokiem wskazanych przez de Witta punktów odniesienia. Dostrzegł pień w odległości siedmiu metrów.

Leżał na polu minowym.

* * *

Guido słyszał te odgłosy, ale instynkt kazał mu nie zatrzymywać się i nie odwracać głowy. Był tuż na wysokości bramy, po której prawie że nie pozostał ślad. De Witt dyszał mu nad karkiem.

— W lewo! — krzyknął do niego Guido.

Cząstka jego świadomości oczekiwała lada chwila wybuchu za plecami. Jeśli go usłyszy, to znaczy, że Creasy'ego nie ma już wśród żywych. Nie myślał jednak o tym. Koncentrował całą uwagę na tym, co dostrzegały teraz jego oczy: pośrodku placu świątyni, po jej obu stronach dostrzegł postaci w żółtych kombinezonach. Skoczył w prawo i przylgnął do muru. Za plecami narastała cisza. Eksplozji nie słychać.

Myślowe procesy Guida uległy przyhamowaniu, jego ciało natomiast wiedziało doskonale, co ma robić. Wycelował pistolet maszynowy nieco na lewo od żółtoodzianej postaci stojącej bliżej niego i ściągnął spust, a następnie powędrował lufą pistoletu w prawo, zataczając wielki łuk i plując pociskami. Ujrzał błyski z luf broni przeciwników i przypadł do ziemi na ułamek sekundy przed tym, kiedy chmara pocisków trzepnęła w mur tuż nad jego głową. Ale cel, który sobie przed chwilą wybrał, został trafiony. Żółtoodziana postać padła na ziemię, wydając okropny agonalny jęk. Wzrokiem zaczął szukać drugiej postaci. Dostrzegł tylko żółtą plamę na ziemi. Doskonale!

Przerzucił teraz uwagę na to, co działo się po drugiej stronie bramy. De Witt leżał na ziemi, jakby wtulony w mur. Wszystko wskazywało na to, że nie żyje. Guido ponownie spojrzął na żółtą plamę. Tak, de Witt musiał zginąć w pojedynku, w którym obaj przeciwnicy się pozabijali. Teraz zaczął penetrować głęboki mrok wokół świątyni. Musieli się tam kryć dalsi przeciwnicy. Instynkt i logika

podpowiedziały mu, że dwaj zabici to ochrona. Wyeliminowanie Connie Crum i Van Luk Wana należało do drugiej fazy operacji.

Creasy! Nadal nie słychać eksplozji, a więc Creasy żyje. Jeśliby jednak upadł na ścieżkę, to zdążyłby już dołączyć do Guida. Musiał osunąć się na pole minowe. Ma piekielne szczęście, że nie potrafił żadnego detonatora. Ale pobiec mu na pomoc nie może. Bogini Szczęścia na tyle hojna nie jest. Creasy będzie macał szlak tak powoli i ostrożnie, jak czyni to chłopak odpinając guziczki bluzki dziewczyny podczas pierwszej randki. Guido musi dać Creasy'emu czas, a więc nie może teraz bezprzytomnie pognać do świątyni. Poza tym nie ma już żadnego wsparcia. Przesunął się nieco w prawo, aby mieć lepszy kąt ostrzału bramy świątynnej.

* * *

Connie Crum i Wan stali za świątynią. Connie usiłowała zebrać myśli nasyczone najgorszymi przekleństwami.

Rozerwanie pociskiem z *RPG-7* bramy było dla niej jedną z najgorszych chwil w życiu od dnia, kiedy ujrzała spalone ciało ojca. Natychmiast zdała sobie sprawę, że Creasy wyprowadził ją w pole. Patrzyli w niebo, oczekując spływających ku ziemi spadochronów, a tu nastąpił wybuch, biały ogień rozjaśnił wszystko dokoła, brama zniknęła, a w jej otworze pojawiły się dwie sylwetki w żółtych kombinezonach.

Uświadomiła sobie przebieg wydarzeń i scenariusz Creasy'ego: samolot to zasłona dymna, Creasy przybył drogą naziemną. Skłonił albo zmusił de Witta, żeby go przeprowadził przez pole minowe, znalazł także zapasowe stroje ochronne... Po raz pierwszy poczuła lęk, który zalała natychmiast fala palącej nienawiści. Nie, nic jej teraz nie powstrzyma!

Wyrzwała zza załomu muru i zobaczyła zwłoki jednej ze swoich ochroniarek. Założyła, że i druga nie żyje. Przy bramie muru okalającego teren ujrzała bezwładny korpus ludzki. Mignęła jej sylwetka po drugiej stronie bramy. Skryła się i zaczęła analizować sytuację.

Coś ją bardzo niepokoiło. Wiedziała, że metodą Creasy'ego jest błyskawiczne działanie. Może więc trupem po lewej stronie jest ten Włoch, a Creasy czai się, oczekując na jej ruch. Skoro tak, to nie będzie długo czekał!

Szepnęła do stojącego za nią Wana: — To chyba Creasy kryje się pod murem po lewej stronie. Obejdź dokoła świątynię i zaskocz go z przeciwnej strony. Zaczynij strzelać, kiedy wykrzyknę: „Teraz!”. A ja zacznę strzelać z tego rogu. — Wietnamczyk nie ruszył się. Stał jak skamieniały. Pchnęła go, sycząc przez zęby: — Albo my go zabijemy, albo on nas!

Wan ruszył we wskazanym kierunku zaciskając dłoń na kolbie pistoletu.

* * *

Creasy zdawał sobie sprawę z nasycenia pola minami i wiedział, jak nieprawdopodobnie miał szczęście, że nie uderzył w żaden z zapalników i nie spowodował detonacji. Wierzył, że zarówno to szczęście, jak i jego własne umiejętności pozwolą mu powrócić żywym i całym na ścieżkę. Nie miał na kogo liczyć, a jeden fałszywy ruch mógł spowodować rozerwanie na strzępy.

Leżał bez ruchu, wsłuchując się w strzelaninę wysoko nad nim. Usłyszał jeden przejmujący kobiecy krzyk, a potem zapadła cisza. Wolniutko, ostrożnie wyciągnął nóż z pochwy przytroczonej do prawej łydki i ostrym końcem zaczął delikatnie rozgarniać ziemię przed sobą.

Na czole perlił mu się pot. Wyrzucał sobie własną głupotę i nieodpowiedzialność: przed wystrzeleniem z *RPG-7* powinien był skorygować położenie ciała. Nie uwzględnił w ogóle pochyłości terenu, i ten jeden błąd może Guida kosztować życie!

Po chwili przestał się karcić. Nie czas na to. Jeśli Guido żyje, to jedynym sposobem utrzymania go nadal przy życiu było wydostanie się jak najszybciej z tego przeklętego pola minowego.

Wziął głęboki oddech i cierpliwie kontynuował nakłuwanie ziemi końcem noża.

* * *

Guido wyliczył sobie, że Creasy stoczył się w pole minowe nie dalej niż cztery, powiedzmy pięć metrów. Wydobyć się z pułapki zajmie mu wiele minut. Zerknął na martwego Holendra, a następnie na wejście do świątyni. Uznał, że Connie jest zbyt przebiegła, aby dać się zaskoczyć w budynku, skoncentrował więc uwagę na obu jego skrajach.

Nagle zobaczył postać w żółtym kombinezonie. Wychynęła zza rogu po lewej. Nacisnął spust pistoletu maszynowego, nim przeciwnik zdołał wycelować broń. Trafił. Żółty kombinezon zamienił się w żółtą plamę na ziemi. Dla pewności Guido oddał jeszcze trzypociskową serię w jego kierunku.

Guido potrafił w ciągu trzech sekund wymienić pusty magazynek na pełny.

I właśnie w ciągu tych trzech sekund zza prawego załomu wyskoczyła druga postać. Zobaczył lufę ziejącą białymi błyskawicami płomieni wylotowych i usłyszał świst pocisków. Z muru nad głową poleciały odpryski. Magazynek wszedł do gniazda, ale było już za późno. Postać biegła ku niemu. Kula trafiła go w prawe ramię i zakreśliła nim. Upuścił pistolet, który z łoskotem padł na kamienie.

* * *

Słyszac przeciągłą serię z broni maszynowej Creasy przerwał dziobanie. Późnał charakterystyczny grzechot pistoletu Guida. Potem nastąpiła cisza.

Spojrzał na pień, który mu de Witt wskazał jako jeden z punktów odniesienia. Znajdował się teraz o trzy metry od niego. Przez ułamek sekundy miał ochotę zerwać się i skoczyć w stronę pnia. Zwyciężył rozsądek. Miał ratunku znalazłby śmierć. Wznowił dziobanie. Ostrze noża trafiło na coś twardego. Prześlizgnął się obok.

* * *

Guido leżał na lewym boku, patrząc na ostrożnie zbliżającą się postać. Z kocich kroków domyślał się, że to Connie Crum. Lewą dłoń dociskał mocno do dziury w kombinezonie. Chodziło mu zarówno o zatamowanie upływu krwi, jak i ochronę przed penetracją porażającego gazu. Wyczuwał znajdujący się pod sobą pistolet maszynowy.

Kobieta jednym rzutem oka oceniła sytuację. Usłyszał jej okrutny śmiech zniekształcony przez maskę. Dla bezpieczeństwa stanęła za jego plecami, z wycelowanym *Kałasznikowem*. Zerknęła za bramę w murze okalającym świątynię i, widząc pustą ścieżkę, ponownie wybuchnęła śmiechem. Obeszła Guida i stanęła nad nim.

Widział otwór lufy wycelowanej w swoją głowę. Zdawał sobie sprawę, że musi coś zrobić, by zyskać na czasie. Skoncentrował się i wysłał do Creasy'ego telepatyczne posłanie: „Pośpiesz się, przyjacielu!”.

Głosem pełnym nienawiści zadała mu pytanie:

— Ty jesteś Creasy?

Oczywiście! Był w kombinezonie i w masce gazowej! Nierozpoznawalny. Patrząc odważnie w czarny otwór lufy i imitując amerykański akcent Creasy'ego odparł: — Tak.

Podobnie odziana i nierozpoznawalna jak on sylwetka jakby się rozrosła i wyolbrzymiła. — Jestem Connie — powiedziała głosem pełnym triumfu. — Córka Billa Cruma. Długo czekałam na tę chwilę. Widziałam, jak zabijałeś mego ojca w Hongkongu. W budynku, w którym niegdyś była świątynia. Tu też jest świątynia. W niej znajdują się jego prochy. Spalę cię na płycie jego grobowca.

* * *

Nóż znowu natrafił na coś twardego. Creasy ostrożnie wyciągnął go z ziemi i spróbował nieco w prawo. Miętka! Postąpił kilka centymetrów. Do Creasy'ego dochodziły pojedyncze słowa rozmowy. Wiedział, że Connie nie zabije od razu rannego. Jej metody były okrutniejsze, prowadziły do śmierci powolnej i bolesnej.

Jeszcze nie dostrzegał ścieżki z białym śladem cukru. A czas naglił. W głosie kobiety brzmiała triumfalna nuta. Potrzeba natychmiastowego pójścia na ratunek przyjacielowi nakazywała mu spróbować doskoczyć do pniaka, ale instynkt samozachowawczy, a może i rozsądek, były silniejsze. Nie pomoże Guidowi, jeśli wyleci w powietrze. Stopy, kolana i łokcie, którymi się podpierał, trzymał blisko siebie, dociśnięte. Posuwał się do przodu jak wąż albo lizka, która się spręża i rozpręża, by pokonać teren.

* * *

— Wstań! — rozkazała Connie Crum. — Albo zabiję cię na miejscu. — Wycofała się o dwa metry, karabin w jej rękach nawet nie drgnął.

Guido podparł się lewą ręką i dźwignął na nogi, wydając jęk bólu. Natychmiast ponownie zakrył dłonią dziurę w kombinezonie. Zaśmiała się dziko.

— I tak umrzesz, Creasy! Będę patrzyła, jak się palisz. Zginiesz tak, jak zginął mój ojciec.

Chcąc zyskać na czasie, Guido stał w miejscu. Liczyły się nawet sekundy.

— Oszukałem cię — powiedział. — Myślałaś, że potrafisz przewidzieć każdy mój krok, ale ja okazałem się chytrzejszy od ciebie. Poznałaś mój życiorys i myślałaś, że potrafisz czytać w moich myślach. Byłaś pewna, że wiesz, co ja robię. Jak jakaś idiotka stałaś wpatrzona w puste niebo, oczekując spadochronu. Nie jesteś wcale taka sprytna, za jaką się uważasz.

Lufa karabinu opadła i kilka kul smagnęło ziemię o parę centymetrów od jego

prawej stopy. Błyskawicznie zmieniała magazynek.

— Jeśli jeszcze choć raz otworzysz usta, Creasy, to ci wpakuję kulę w brzuch. I będziesz wolniutko umierał. — Podeszła o krok. — A teraz jazda!

Guido, nie śpiesząc się, poczłapał w kierunku wejścia do świątyni. Kiedy przechodził koło ciała Holendra, usłyszał strzał — kula roztrzaskała głowę trupa. Zaśmiała się.

— To było w celu upewnienia się, że twój przyjaciel Guido już nigdy nie wstanie. Na pewno de Witt powiedział wam, jak tu się dostać. Powinam była zabić sukinsyna natychmiast po założeniu tego pola minowego. Jazda, Creasy, pośpiesz się.

Guido wznowił powolne człapanie.

— Szybciej! — rozkazała.

— Jestem, do cholery, ranny! — odparł, nie zapominając o akcencie Creasy'ego.

— Mój ojciec także nie cieszył się dobrym zdrowiem. Miał prawie bezwładne nogi z powodu artretyzmu i raka. Bez pomocy nie mógł wstać z fotela, a tyś go spokojnie zastrzelił, jakbyś celował do szczura.

— Więc w pewnym sensie wyświadczyłem mu przysługę — powiedział Guido będąc już na progu świątyni. — A poza tym był to skorumpowany sukinsyn, morderca i oszust, dla którego nie powinno być na tym świecie miejsca. — Zobaczył czarny sarkofag i stos ułożony na jego szczycie. Wysłał ciche błaganie do któregośkolwiek z bogów, który akurat mógł pełnić dyżur, aby dane było Creasy'emu jak najszybciej wyjść z pola minowego.

W innych okolicznościach jej śmiech mógł nawet wydać się przyjemny. — Spójrz, Creasy. Tu właśnie umrzesz. Najpierw wdrapiasz się na sarkofag i położysz na stosie. Następnie ja przestrelę ci kolana i łokcie. — Pokazała palcem zapalniczkę Zippo stojącą na stole. — I wtedy podpalę ofiarny stos, i będę się przyglądała, jak płoniesz. Nadeszła wreszcie chwila, na którą czekałam od dnia, kiedy widziałam, jak zabijasz mojego ojca, a potem pozostawiasz go w płomieniach. Spalisz się na popiół. Tak jak on się spalił. I będę karmiła moje oczy tym widokiem. Przez cały czas, panie Creasy.

Z mroku za jej plecami rozległ się głos: — Nie tego człowieka pochwycałaś, Connie. Ja jestem Creasy i bardzo nie lubię piromanów.

Wykonała błyskawiczny obrót wraz ze swym *Katasznikowem*. Guido padł na ziemię. Tuż nad nim poszła seria. Po sekundzie poczuł na sobie ciężar jej ciała. Wydała ostatni oddech i znieruchomiała.

— Jesteś poważnie ranny? — spytał Creasy.

Guido ujrzał nad sobą jego twarz. — Nic tragicznego. Prawy obojczyk.

— Nie ruszaj się, póki nie wrócę. Muszę się rozejrzeć. De Witt chyba dostał bilet do piekieł... — Creasy zniknął.

Guido leżał przygnieciony ciałem Connie i czekał. Po paru minutach poczuł, że wreszcie jest od niego uwolniony.

— Było ich czworo — poinformował go Creasy. — Łącznie z Van Luk Waniem. — Wskazał głową na sarkofag. — Przygotowała dla nas wieczorynkę. — Pochylił się, podłożył rękę pod głowę Guido i pomógł mu się podnieść.

— Możesz iść? — spytał.

— Mogę. To tylko ten cholerny obojczyk.

— Trzymaj dłoń na dziurze w kombinezonie — nakazał mu Creasy. — Nie wiem, jakiego gazu paraliżującego użyła, ale on może penetrować przez skórę. — Spojrzał na ciało Connie, a potem na stół i zapalniczkę. Wziął ją i podpalił papier pod polanami.

Wszystko musiało być przesiąknięte benzyną, gdyż natychmiast skoczyły do góry wysokie płomienie. Creasy odłożył na ziemię swój pistolet maszynowy, dźwignął Connie i rzucił ją na stos. — Byłoby szkoda zmarnować taką okazję... Z prochu powstałeś, w proch się obrócisz — powiedział.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY SZÓSTY

— Nie miałem wyboru — powiedział Elliot Friedman przez telefon. — Ten jegomość ma wpływy. Po pierwsze, jest doradcą Departamentu Stanu. Miałem liczne naciski. Poza tym zjawił się w moim biurze i zagroził pobiciem.

— On wie, że jestem w hotelu „Dusit Thani”?

— Wie. Wczoraj wyleciał i chyba wkrótce do ciebie zawita. Co z resztą spraw?

— Mamy wszystko. Ta kobieta, Tan Sotho, pokazała Creasy’emu groby. Szczątki zostały ekshumowane. Identyfikacji muszą dokonać specjaliści medycyny sądowej. Ale wśród szczątek znajdują się z pewnością szczątki Jake Bentsena. Czy załatwiłeś sprawę wiz dla tych dwojga?

— Tak. Załatwiłem wojskowy samolot. Zabierze was jutro z Bangkoku. Ciebie, dziewczynę i dziecko. Oraz szczątki. Co z tym Aurellio?

— Dziś rano wyjęli mu kulę. Wszystko będzie w porządku. To twardy facet.

— Wykonałaś dobrą robotę, Susan — powiedział Friedman. — Będę jutro czekał na ciebie w bazie lotniczej Andrews. Bądź w mundurze, bo przewidziana jest uroczystość przekazania szczątków.

Odwiesiła słuchawkę i obróciła się do Creasy’ego, który siedział po drugiej stronie łóżka.

— O co mu chodziło? — spytał.

— O profesora Jasona Woodwarda. O ojca dziecka, które noszę. — Poklepała się lekko po brzuchu. — On tu leci. . .

Creasy wstał, podszedł do minibarku i wyjął butelkę piwa. — Wygląda na to, że jednak cię kocha.

— Kto wie? Nie należy do ludzi, którzy odrywają się od pracy i przylatują do Bangkoku pod wpływem impulsu.

Creasy przechylił butelkę i zaczął pić. Po chwili spojrzał przenikliwie na Susan. — Skoro cię kocha i jeśli jest prawdziwym mężczyzną, to pewno i zmienił swój stosunek do twojej ciąży.

— Kto wie?

Creasy odstawił butelkę, obszedł łóżko i ujął dłoń Susan.

— Nadszedł czas decyzji, moja droga. Bez dramatycznej oprawy. Porozmawiaj z człowiekiem i postanów, co powinnaś zrobić. My przez cały czas udajemy, że się nie kochaliśmy. I oboje wiemy, dlaczego to robimy. Był to ciąg snów i marzeń. Snów, których nigdy nie zapomnimy, niemniej tylko snów. Ludzie mogą kochać się we snach równie dobrze, jak na jawie, w prawdziwym życiu.

Pukanie do drzwi zabrzmiało jak ostatni akord.

Creasy wstał i otworzył drzwi. Przez długą chwilę przyglądał się mężczyźnie, który stał w progu. Potem obrócił się do Susan i powiedział: — Wygląda lepiej, niż myślałem.

EPILOG

Dzwonek u drzwi zabrzączał wczesnym wieczorem. Marina Bentsen uniosła głowę znad czytanej pisma i spojrzała na męża. Minęły dwa dni od telefonu pułkownika Elliota Friedmana, który poinformował, że odnaleziono szczątki ich syna. Pułkownik podał im też dzień i godzinę wojskowego pogrzebu na cmentarzu Arlington. Marina kupiła na tę okazję nową suknię.

Mąż poszedł otworzyć drzwi i powrócił z Creasym oraz z jakąś kobietą. Creasy przedstawił ją jako Susan Moore i zaczął bez wstępów: — Jest mi niezmiernie przykro z powodu śmierci Jake'a. Z tego, co wiem, była szybka. Nie cierpiał.

Stara kobieta podeszła, położyła dłonie na ramionach Creasy'ego i ucałowała go w oba policzki. — Wreszcie wiemy, jaki los spotkał naszego syna. Dziękujemy panu, że szczątki Jake'a mogą spocząć na ojczystej ziemi, u boku towarzyszy broni. Przyjdzie pan na pogrzeb?

Pokręcił głową. — Źle się czuję na pogrzebach. Ale, podobnie jak pani, i ja już jestem spokojny, jeśli idzie o Jake'a. — Spojrzał przelotnie na Susan i na starego mężczyznę. — Jest jeszcze jedna sprawa, pewien szczegół z życia Jake'a. Na wiele miesięcy przed śmiercią zakochał się w Wietnamce, która, tak jak i on, była jeńcem Czerwonych Khmerów. Przed trzema laty urodziła syna. Na imię mu Kori.

Kobieta spojrzała na męża i spytała Creasy'ego: — Ta dziewczyna i dziecko są nadal w Kambodży?

Odpowiedziała Susan: — Nie. Są oboje tu, w Ameryce. Biuro MIA może się nimi zająć, gdzieś ich umieścić. Matka ma dopiero dwadzieścia cztery lata. Dostanie zasiłek na wychowanie dziecka. Dostanie pomoc, będzie, pod naszą opieką. . .

Słuchając Susan stara kobieta nie spuszczała wzroku z Creasy'ego: — Gdzie oni są? — spytała.

— Niezbyt daleko. Siedzą przed domem w naszym wynajętym samochodzie — odparł Creasy.

Stara kobieta nie wahała się ani sekundy. Rzuciła się do drzwi wejściowych.

* * *

Załatwianie formalności nie trwało dłużej niż pięć minut. Bentsen bez czytania parafował dokumenty, które mu dała do podpisania Susan. Pani Bentsen zabrała Tan Sotho i chłopczyka do pokoju Jake'a na piętrze. W ciągu tych pięciu minut staruszkowie odmłodnieli o dwadzieścia lat.

* * *

Susan odwoziła Creasy'ego na lotnisko. Oboje milczeli. Najemnik wyciągnął z kieszeni kurtki hebanowe pudełeczko i położył Susan na kolanach. — Nie chciałaś swojego udziału w szafirach znalezionych przez Sowę w Tuk Luy, ale chyba przyjmiesz to. Potraktuj to jako prezent ślubny ode mnie.

Otworzyła drewniane wieczko. Zobaczyła prześliczną srebrną bransoletkę wysadzaną szafirami. Zamknęła pudełeczko i spytała: — Przyjdiesz na ślub? Za dwa tygodnie, w Waszyngtonie.

— Nie lubię pogrzebów, nie lubię ślubów — odparł. — Zwłaszcza kiedy ślub związany jest z przeżytym snem.

Stała przed wejściami do terminalu. Creasy wysiadł, wziął z tylnego siedzenia torbę i wykonał gest podobny do salutowania. . . Nim zdążył się odwrócić, zadała mu ostatnie pytanie: — Sądysz, że Kori jest rzeczywiście synem Jake'a?

Wzruszył ramionami. — Jest szansa jeden do trzech. Ale to mi zupełnie wystarczy. . .

KONIEC